

CZY WIESZ,
KTO TAK
NAPRAWDĘ
RZĄDZI TWOIM
KRAJEM?

JAKUB
SZAMAŁEK
KIMKOLWIEK JESTEŚ

UKRYTA
SIEĆ
2

Jakub Szamałek

KIMKOLWIEK JESTEŚ



Copyright © by Jakub Szamałek, MMXIX
Wydanie I
Warszawa MMXIX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Dedykacja

Przedślowie

= 1 =

= 2 =

= 3 =

= 4 =

= 5 =

= 6 =

= 7 =

= 8 =

= 9 =

= 10 =

= 11 =

Posłowie

Podziękowania

Dla Moniki i Krzysztofa

Przedślowie

To też nie jest powieść science fiction. Niestety.

Listopad 2018

Policzę do pięciu i się zmieni, pomyślała Hanka Barańska. Raz... Dwa... Trzy... Cztery... Cztery i pół... Cztery i trzy czwarte... Iiii... Piiięęćć! Nic. Światło dla pieszych wciąż było czerwone, Warszawską wciąż pędziły samochody, rozbryzgując kałuże. Hanka spojrzała na zegarek, chociaż doskonale wiedziała, która jest godzina, podawał ją przecież ekran reklamowy na budzie z kebabem po drugiej stronie ulicy. Był to jedynie sposób na to, żeby wyrazić swoje zniecierpliwienie, jej wkład w pantomimę odgrywaną przez czekających na przejściu przechodniów, którzy ciężko wzdychali, przestępowali z nogi na nogę albo wciskali raz za razem guzik mający rzekomo przyspieszyć nadejście zielonego ludzika. Bez świateł przejść się nie dało, bo przez miasteczko prowadziła trasa na Terespol, więc ruch był całą dobę: ciężarówki na polskich, rosyjskich i białoruskich tablicach.

– A mówili, że jak zrobią obwodnicę, to się skończy. – Starszy pan w poźółkłym kozuchu pokręcił głową. – Że się szybciej będzie zmieniało.
– Prawda – powiedziała, żeby coś powiedzieć.
– A panienska co? Wraca do domu?
– Nie. Do pracy idę.
– Do pracy? O dwudziestej? – zdziwił się staruszek. – To gdzie panienska robi?

Nim odpowiedziała, w końcu zmieniło się światło. Piesi ruszyli jak z bloków startowych, szybko, szybko, zanim zaczną migać, liczyła się każda sekunda. Hanka patrzyła pod nogi, żeby się nie potknąć: asfalt był nierówny, rozjeżdżony przez tiry. Weszła na plac Kilińskiego. Był jak jeden z tych fotomontaży, które pokazują, jak jakieś miejsce wyglądało kiedyś, a jak teraz, zdjęcie przecięte w połowie, o, patrzcie, ile się zmieniło, no nie do wiary. Z jednej strony skweru stały parterowe drewniane chatki kryte papą, które pamiętały chyba jeszcze czasy zaborów, z drugiej – lśniaca nowością trzypiętrowa kamienica, kamień i szkło, krawędzie ostre jak brzytwy. Mińsk Mazowiecki był pełen kontrastów, był jak krzykliwe reklamy, które go oblepiały. Nic tu do niczego nie pasowało i nie miało sensu, wszystko się ze sobą gryzło: Stary

Rynek, na którym nie było żadnych starych budynków, salon sukni ślubnych Eleganka wciśnięty między monopolowy a hurtownię kartonów, zabytkowy kościół naprzeciwko obskurnego bazaru otoczonego drucianą siatką, na której powiewały wieszaki z koszulami nocnymi w kwieciste wzory.

Hanka weszła do nowoczesnej kamienicy na rogu skweru i wsiadła do windy. Spojrzała w lustro. Kurtka zapięta pod szyję, blond włosy spięte gumką, drucziane okulary, zza których wyzierały podkrążone, pomniejszone przez grube soczewki oczy. Nie wyspała się. Nie dlatego, że pracowała w nocy, a odsypiała w dzień; do tego zdążyła się już przyzwyczaić. To przez Alexa. Powiedział, że zadzwoni, na sto procent. Czekala na telefon. Godzinę, dwie. W końcu stwierdziła, że musi się położyć. Zaciągnęła kotary, żeby zaciemnić pokój, zatkała uszy stoperami. A potem leżała na boku, z nogami podwiniętymi pod brodę, aż zadzwonił budzik.

Winda wjechała na trzecie piętro. Hanka skręciła w lewo, w stronę drzwi, na których wisiała metalowa tabliczka z wygrawerowanym kursywą napisem „DreamNet”. Weszła do środka. Duży przedpokój wyłożony kamienną posadzką wypolerowaną na błysk, po lewej szafa wnękowa, po prawej biurko z komputerem, a nad nim – zegary pokazujące czas w Nowym Jorku, Los Angeles, Tokio. Kiedy przyszła tu po raz pierwszy, skojarzyły jej się z filmami o bankierach z Wall Street. Kilku potem nawet poznała.

– Hej, kochana – przywitała ją Karola, szefowa biura. – Jak leci?

– W porządku, dzięki.

– Zaparzyć ci kawki?

– Nie, nie, późno już... Który mam pokój?

– Czeka, niech no spojrzę... – Karola poruszyła myszką, żeby obudzić uśpiony komputer, zmrużyła oczy. – Wiolka wzięła jedynekę... Może trójkę? Czy wolisz piątkę?

– Nie, trójka jest okej. Słuchaj...

– No?

Hanka zdjęła kurtkę. Ramiona miała pokryte kolorowymi tatuażami.

– Pytał ktoś o mnie?

Karola uniosła wzrok znad komputera.

– Nie. A czemu?

– Nic. Nieważne.

– Na pewno? Wiesz, jaka jest nasza polityka. Gdyby ktoś...

– Tak, tak, wiem. – Hanka machnęła ręką. – Nie przejmuj się.

Weszła w głąb biura. Długi korytarz, pokoje z obu stron – w sumie sześć – a nad każdym z nich czerwona lampka. Jedna się paliła, co znaczyło, że dziewczyna w środku była zajęta, *live*, proszę nie przeszkadzać. Słysząc było tipsy stukające o klawiaturę, stłumiony głos, jęki. Hanka weszła do trójki. Różowe ściany, puszysty dywan, na środku wielka kanapa, a przed nią stolik z komputerem i kamerką internetową. Obok, poza kątem widzenia obiektywu, stała toaletka z podświetlanym lustrem do makijażu, tandetna metalowa garderoba uginająca się pod ciężarem wiszących na niej ciuchów i pudło z butami na absurdalnie wysokich obcasach.

Hanka rzuciła torbę w kąt i rozebrała się do bielizny. Stała przed garderobą i przerzucała ciuchy: czarna lateksowa spódnica, kusy strój pielęgniarce, legginsy w panterkę... Skrzywiła się, nie lubiła wkładać tej tandety. Zdecydowała się w końcu na czarną koronkową sukienkę, do tego pończochy i klasyczne szpilki. Potem usiadła przed toaletką, zdjęła okulary – świat się na chwilę rozmył, rozjechał – i założyła szkła kontaktowe, które zmieniły kolor jej oczu z brązowych na niebieskie. Potem się umalowała – gruby podkład, puder, czerwona szminka, sztuczne rzęsy – i była gotowa. Była KandyKroosh.

Hanka usiadła na krawędzi łóżka i włączyła komputer. Zaszumił wiatraczek, zielona diodka w kamerce zapaliła się, sygnalizując gotowość. Zalogowała się na platformę MyGreatCams. Guzik na środku ekranu pytał: *Rozpocząć transmisję?* Hanka potwierdziła kliknięciem.

14.11.2018, 20:13

KandyKroosh jest online!

KandyKroosh (Ocena: 4.87/5.00, 34 589 głosów)

Temat: Witajcie w moim pokoju! Jestem KandyKroosh, słowiańska dziewczyna o latynoskim temperamentem. Uwielbiam francuskie filmy i włoskie wino. Mam dwa jamniki, Bambetla i Matuzalema. Będzie mi miło, jeśli do mnie dołączysz!

Obecny cel: topless (1000 żetonów)

Użytkownik realgood_53 dołączył do czatu

Użytkownik bob_the_boulder dołączył do czatu

Użytkownik baconbeacon dołączył do czatu

Użytkownik me_llamo_llama dołączył do czatu

...

Hanka przejrzała listę uczestników czatu. Niektóre nicki brzmiały znajomo. Realgood_53 był jej najwierniejszym widzem: emerytowany pracownik zakładów chemicznych z Columbus w stanie Ohio, lubił, kiedy zakładała opaskę z kocimi uszami i chłeptała mleko z miski. Sympatyczny facet, kilka miesięcy temu dała mu nawet uprawnienia moderatorskie. Bob_the_boulder był Anglikiem z Bath, pracował w branży IT czy w finansach, już nie pamiętała. Raz dał jej dziesięć tysięcy żetonów, żeby udawała, że ma napad padaczki. Wołała nie pytać, czemu go to kręci. Alexa nie było. Cholera. Cholera jasna.

KandyKroosh: Cześć chłopaki! Co słyhać?

realgood_53: hej złotko

Me_llamo_llama: hejoooo :*

realgood_53: spóźniłaś się dzisiaj! Niedobra! ;((

Me_llamo_llama podarował ci jeden żeton!

Me_llamo_llama podarował ci jeden żeton!

Użytkownik manly_man dołączył do czatu

manly_man: pokaż cycki

manly_man: tłusta zdiro

Użytkownik manly_man został zablokowany przez realgood_53

Hanka przewróciła oczami. Tego chyba najbardziej nie lubiła w byciu camgirl: chamów, którzy traktowali ją jak kawał mięsa, jak pustą lalkę, której można powiedzieć wszystko, na której można się wyżyć. Cóż. Każda praca ma swoje minusy.

KandyKroosh: dzięki za pomoc @realgood_53

KandyKroosh: jesteś słodki

realgood_53: nie ma za co! Zawsze na posterunku!

globglob: jaki masz rozmiar biustu?

hakuna_ma_tata: fajne majtki :P

hakuna_ma_tata: sprzedasz? Ile żetonów?

KandyKroosh: @globglob 32E

KandyKroosh: @hakunamatata dzięki!

KandyKroosh: 6000 żetonów i są twoje :)

globglob: a są naturalne?

Me_llamo_llama: I'm so horny horny horny horny right now!

KandyKroosh: kochani, my tu gadu gadu, a w pokoju gorąco

KandyKroosh: pomóżcie, bo się ugotuję
Me_llamo_llama podarował ci 10 żetonów!
Me_llamo_llama podarował ci 10 żetonów!
Hakuna_ma_tata podarował ci 20 żetonów!
KandyKroosh: Tak, naturalne! Szczęściara ze mnie, co?:)
Globglob podarował ci 200 żetonów!
Badman&Robbin' podarował ci 250 żetonów!
...

Ding, ding, ding, sypały się kolejne żetony, chłopcy zaczęli się licytować, pokazywać sobie nawzajem, kto ma więcej, który chce jej bardziej. Hanka uśmiechnęła się, posłała buziaka do kamery, a następnie zsunęła ramiączko sukienki. Zebrała już ponad osiemset żetonów, więc zaraz wypełni się pierwszy cel: *topless*. Zastanawiała się, co ustawić jako następny. Nie była w nastroju na seks, nawet seks przez internet, ale pieniądz to w końcu pieniądz. Może taniec? Tak, pomyślała, odpinając klamerkę od stanika, niech będzie taniec.

Pierwszy cel wypełniony: *topless*
Nowy cel: taniec, 4000 żetonów. 6000: bonus, wybierz piosenkę.
bob_the_boulder: taniec?
bob_the_boulder: miałem nadzieję na coś więcej:(
KandyKroosh: cierpliwości :*
KandyKroosh: wszystko w swoim czasie
bob_the_boulder: hmhhh
bob_the_boulder: szykujesz dla nas jakąś niespodziankę?:>
KandyKroosh: no pewnie :)
globglob: o kurwa
globglob: rzeczywiście jesteś szczęściarą
globglob: zbliżysz je do kamery?
globglob: <puppy_eyes.gif>
Globglob podarował ci 500 żetonów!
KandyKroosh: skoro tak ładnie prosisz...

Hanka ścisnęła piersi w dłoniach i pochyliła się nad kamerką. Obiektyw nie łapał teraz jej twarzy, więc skorzystała z okazji i ziewnęła przeciągle. *Ding, ding, ding*, sypały się kolejne żetony. Każdy z nich miał wartość jednego centa. Jedna trzecia szła do MyGreatCams, jedna trzecia do

DreamNet za użyczenie pokoju i sprzętu, jedna trzecia – na jej konto. Niby mało, ale dodaj ziarnko do ziarnka i wychodziły z tego niezłe kwoty. Jej rekord to cztery tysiące dwieście złotych. W jedną noc.

Cisza. Monety przestały spływać, chłopcy napatrzyli się już, potrzebują nowych bodźców. Hanka usiadła na skraju łóżka, ściągnęła sukienkę jeszcze trochę niżej, tak, żeby było widać diament w pępku. *Ding, ding, ding*. Uśmiechnęła się pod nosem. To zawsze działało... A miała jeszcze w odwodzie inne kolczyki.

Badman&Robbin' podarował ci 100 żetonów!

globglob: @KandyKroosh, jaką muzykę lubisz?

KandyKroosh: zależy od nastroju

KandyKroosh: Sigur Rós, Florence and the Machine

KandyKroosh: ze starszych rzeczy Depeche Mode, Guns N' Roses

globglob: szanuję to

globglob: <thumbs_up.gif>

Globglob podarował ci 200 żetonów!

Hałas. Z korytarza. Coś upadło na ziemię. Ciężkie kroki. Naciągnęła sukienkę, założyła ramiączka.

bob_the_boulder: ejjjjj

bob_the_boulder: co jest?!

bob_the_boulder: czemu się ubrałaś?

globglob: powinna być opcja cofania napiwku :P

show_me_titties: pierdolona oszustka

show_me_titties: chuj ci w dupe

show_me_titties: szmato jebana

Użytkownik show_me_titties został zablokowany przez realgood_53

realgood_53: maniery, panowie. Bo wywalę bez ostrzeżenia.

Otworzyły się drzwi do pokoju. Stanął w nich mężczyzna w czarnej ortalionowej kurtce, skórzanych rękawiczkach i kominiarce. Teraz Hance zrobiło się naprawdę gorąco. Alex nie żartował, pomyślała. Powinna była wyjechać.

– Czego chcesz?! – krzyknęła, zrywając się z kanapy.

Mężczyzna nie odpowiedział. Wyciągnął z kieszeni kurtki stalową linkę.

– Pomocy!!! – wrzasnęła Hanka. Którędy uciec? Przez okno? Ale to trzecie piętro, nie ma nawet gzymsu, zabije się. Minąć go, pobiec do drzwi? Nie da rady, pokój jest za mały. Bronić się? Złapała lampkę nocną, uniosła nad głowę.

– Nie podchodź! Nie podchodź, bo zatłukę!

Podszedł.

Ding, ding, ding, ding.

bob_the_boulder podarował ci 500 żetonów!

bob_the_boulder podarował ci 500 żetonów!

bob_the_boulder: wow

bob_the_boulder: faktycznie jest niespodzianka

Anonymous_111 podarował ci 1000 żetonów!

Cunnilingus_master podarował ci 700 żetonów!

Lederhosen podarował ci 2000 żetonów!

globglob: fuck

globglob: ale hardcore

Badman&Robbin': nie wiedziałem, że Kandy robi BDSM!

Badman&Robbin': ostro weszła w temat

Badman&Robbin' podarował ci 1000 żetonów!

CoolCulo podarował ci 2000 żetonów!

LansMacabre podarował ci 300 żetonów!

Me_llamo_llama: I'm so horny horny horny horny right now!

hakuna_ma_tata: eee... dla mnie to już za dużo

hakuna_ma_tata: spanking, lekkie domination, złoty deszcz, spoko

hakuna_ma_tata: ale bez przesady

Użytkownik hakuna_ma_tata opuścił czat

CoolCulo: kurwa, wydrapie facetowi oczy!

CoolCulo: uff

CoolCulo: to musiało boleć

CoolCulo podarował ci 2000 żetonów!

Badman&Robbin': wow, to najbardziej przekonujący roughplay

Badman&Robbin': jaki widziałem

Badman&Robbin': <starry_eyes.gif>

Badman&Robbin' podarował ci 2000 żetonów!

LansMacabre: Ale lasce poczerwieniała gęba, hehe

LansMacabre: wygląda jak burak

anonymous_111: @KandyKroosh, dajesz czadu!

Anonymous_111 podarował ci 4000 żetonów!

Lederhosen: wow, ten koleś się nie opierdala
Lederhosen: normalnie boa dusiciel
realgood_53: CZY WYŚCIE POWARIOWALI?!
realgood_53: TO SIĘ DZIEJE NAPRAWDĘ
realgood_53: CZY KTOŚ Z WAS JEST Z POLSKI?! DZWOŃCIE NA
POLICJĘ!
realgood_53: NIE ŻARTUJĘ!
CoolCulo: haha pewnie
CoolCulo: „halo, policja, przyjedźcie do chatrooma” XDDD
LansMacabre: wyluzuj, stary, to camshow
globglob: mówiła, że zrobi niespodziankę
realgood_53: PATRZCIE PRZECIEŻ ONA SIĘ NIE RUSZA
realgood_53: NIE ODDYCHA
globglob: o kurwa o kurwa o kurwa
CoolCulo: OMG ma rację
realgood_53: CZY TU JEST KTOŚ Z POLSKI?!!!!!!
Użytkownik CoolCulo opuścił czat
Użytkownik globglob opuścił czat
Użytkownik anonymous_111 opuścił czat
Użytkownik cunnilingus_master opuścił czat
realgood_53: @KandyKroosh ŻYJESZ?! BŁAGAM CIĘ, WSTAŃ!!!!
realgood_53: POMOCY NIECH KTOŚ JEJ POMOŻE JEZU CHRYSSTE
realgood_53: DZWONIĘ NA POLSKĄ POLICJĘ NIE MÓWIĄ PO
ANGIELSKU
realgood_53: CZY KTOŚ MI MOŻE POMÓC?!!!!
Użytkownik bob_the_boulder opuścił czat
Użytkownik me_llamo_llama opuścił czat
Użytkownik gaymergate opuścił czat

Czat został zakończony. Powód: złamanie regulaminu MyGreatCams.

Kto w ogóle jeszcze ogląda telewizję, pomyślała Aneta, patrząc w monitor podwieszony pod sufitem. Filmy sprzed piętnastu lat, przerywane co chwila reklamami (żylaki, rozwolnienia, zatwardzenia i zwapnienia, plamy na obrusie, gigapakiet danych!), czerstwe kwestie czyta lektor, który brzmi, jakby lada moment miał paść ofiarą ataku narkolepsji. Teraz akurat leciała amerykańska komedia romantyczna sprzed dziesięciu lat. Główna bohaterka, całe szczęście, zrozumiała już, że kochać znaczy wybaczać, a główny bohater, że o miłość trzeba zawalczyć; całowali się

na tarasie widokowym Empire State Building, oklaskiwani przez wzruszonych gapiów, a w tle wybuchały fajerwerki: Szczęśliwego Nowego Roku! Aneta przewróciła oczami. No porzygać się można.

Otworzyły się drzwi od charakterystornia i na korytarz wyszedł jej szef, Artur; w jednej ręce telefon, w drugiej filiżanka espresso. Prezentował się super, zresztą jak zawsze. Modna fryzura została utrwalona lakierem, a pierwsze zmarszczki i nieliczne niedoskonałości gładko ogolonej cery przykryte pudrem. Do tego szyty na miarę garnitur w kolorze indygo, śnieżnobiała koszula rozpięta na opalanej klatce, a spod rękawa wystaje zegarek, drogi jak cholera – ale elegancki, żadnego złota, ani krzty ostentacji. Widać było, że Artur spędził pół życia w Rzymie i przesiąkł włoską elegancją, że wiedział, jaka jest różnica między derbami a sztybletami, pamiętał, który guzik marynarki powinien być zapięty, a który odpięty. Reprezentował ten zachodni model męskości, który nie boi się wizyt u manikiurzystki.

– No i co? – Artur spojrział na ekran, na którym przewijały się już napisy końcowe. – Zeszli się?

– A jakże.

– Dobrze. Lubię szczęśliwe zakończenia.

– E tam. – Aneta wzruszyła ramionami. – Nuda.

– No i świetnie. Nie ma nic lepszego niż nuda.

– Serio?

– Serio, serio. Cisza, spokój, nic się nie dzieje. Czego chcesz więcej?

– Bo ja wiem? Dreszczyku emocji?

– Ech, wy, młodzi. – Artur westchnął, pokręcił głową. – Ciągłe wam trzeba nowych bodźców. Dwie minuty nic się nie dzieje i już was świerzbi.

– Nie za wcześnie, żeby grać kartą wieku? – Aneta wyciągnęła z torby laptopa i położyła go na kolanach. – Ledwo ci stuknęła czterdziestka.

– Tak. Ale dużo widziałem.

– Panie pośle? – Zza drzwi studia nagraniowego wychyliła się producentka. – Zapraszamy do studia. Zaraz zaczynamy.

– Oczywiście, już idę. – Artur dopił espresso, odstawił filiżankę na stół, delikatnie, tak, żeby porcelana nie zadzwoniła o blat.

Aneta spojrzała na telewizor. Leciwały już reklamy, *Polityka w kwadrans* zacznie się za parę minut. Czas wziąć się do roboty. Aneta puściła na słuchawkach odgłos padającego deszczu – świetnie tłumił inne dźwięki, pozwalał jej się wyciszyć, skupić – a następnie otworzyła okno przeglądarki. Kilkanaście zakładek, każda z innym portalem

społecznościowym, ale profile nazywają się tak samo: *Artur Warecki, Poseł na Sejm RP*. Aneta powklejała przygotowane wcześniej wiadomości. Na Twitterze, którego używali głównie dziennikarze i inni mediaworkerzy, było krótko i do rzeczy (*Za chwilę będę gościem #Politykawkwadrans. Zapraszam do oglądania*). Z kolei na Facebooku wpis miał formę pytania (*Zapraszam do oglądania #Politykawkwadrans. Jak zawsze, będę mówił o przyszłości. Jaka powinna być Polska XXI wieku?*), bo algorytmy tej platformy promowały wpisy angażujące użytkowników. Na Instagrama, który był medium wizualnym, wrzuciła zrobione kilka minut wcześniej zdjęcie (kolory wygaszone odpowiednim filtrem, żeby nadać obrazowi nieco sznytu, Artur na zapleczu, marynarka na oparciu krzesła, rozpięte mankiety koszuli, w ręku papiery zadrukowane jakimiś cyframi i tabelami, które ściągnęła z Wikipedii, na stoliku paruje kawa, kosmyk włosów opada na zmarszczone w skupieniu czoło, *#Politykawkwadrans, #PolskaJutro, #wywiad, #przygotowania, #ekonomiagłupku, #bezkawyanirusz*, wysiłek wynagrodzony serduszkami i komentarzami), a na hipsterskiego Tumblera – animowany gif opatrzony zabawnym komentarzem.

Aneta przeskakiwała z zakładki na zakładkę, sprawdzając wykresy zaangażowania w panelach administratora. Krzywe polubień, udostępnień i komentarzy wszędzie pięły się w górę – z wyjątkiem Facebooka. To już któryś raz, pomyślała Aneta. Wyglądało na to, że gigant z Kalifornii zrealizował wcześniejsze zapowiedzi i rzeczywiście zaczął odsiewać wpisy profili publicznych, żeby dać więcej przestrzeni na aktywność zwykłych użytkowników. No nic, trzeba działać. Aneta wcisnęła guzik „Wypromuj wpis”; na ekranie pojawiło się nowe okienko, *Określ swoich odbiorców*. Pierwsze dwie opcje, wiek i płeć, zostawiła na domyślnych ustawieniach (kobiety i mężczyźni, od osiemnastego do sześćdziesiątego roku życia). Zawahała się nad miejscem zamieszkania: najłatwiej dotrzeć do ludzi z dużych miast, ale tam Artur miał już wysoką rozpoznawalność, więc zwrot z inwestycji będzie niewielki. Trudniej zaangażować mieszkańców małych miejscowości, ale tu może udałoby się pozyskać nowych wyborców. Aneta weszła na pierwszy lepszy portal informacyjny, przeleciała przez główną stronę. W województwach pomorskim, zachodniopomorskim i wielkopolskim lał deszcz, a więc była większa szansa, że ludzie siedzą przed telewizorami albo przy komputerze; tam warto sypnąć groszem. Z kolei małopolskie można było sobie darować, bo Cracovia grała z Wisłą, polityczny talk-show nie zwycięży z derbami. Aneta zaznaczała kolejne fragmenty mapy, określiła budżet. *Potencjalny*

zasięg: 3 000 000 użytkowników. Doskonale. *Klik*. Chwilę potem Aneta wrzuciła osobny wpis, w zupełnie innym tonie: *Już za chwilę w #Politykawkwadrans. Mówię, jak jest, walę prosto z mostu, bez ściemy. Oglądajcie!* Tutaj zawężyła grupę odbiorców do mężczyzn w wieku dwadzieścia–trzydzieści pięć lat, zainteresowanych sportem, samochodami i sztukami walki. Jako były piłkarz Artur cieszył się w tej grupie demograficznej ogromną popularnością, ale trzeba było do niej mówić specyficznym językiem, który nie spodobałby się innemu ważnemu segmentowi jego elektoratu – kobietom ze średnim bądź wyższym wykształceniem w wieku trzydzieści–pięćdziesiąt lat. W ich oczach Artur był elegantem o nienagannych manierach. *Klik, klik, klik*, wrzucone; Aneta przełączyła się na panel administratora. Wykresy momentalnie skoczyły do góry, huczało aż miło. Mogła chwilę odetchnąć.

Aneta uniosła wzrok znad komputera, wyciągnęła z uszu słuchawki.

– ...żebyśmy porozmawiali na inny temat – mówił prezenter. Równy przyszyty włoski ulizane na bok, biały kołnierzyk; wyglądał jak szóstkowy uczeń na rozdaniu dyplomów, brakowało tylko szkolnej tarczy w klapie marynarki. – Pana ugrupowanie, Polska Jutro, istnieje zaledwie od kilku miesięcy, ale w sondażach plasuje się na czwartej pozycji, z poparciem w okolicach dziewięciu–dziesięciu procent. Jeśli utrzyma pan taki wynik do wyborów w 2020 roku, Polska Jutro może zaburzyć balans polskiej sceny politycznej od lat zdominowanej przez dwa duże ugrupowania...

– Na to liczymy. – Artur skinął głową.

– A z kim Polsce Jutro jest bardziej po drodze? Z kim byłby pan gotów stworzyć koalicję w następnym parlamencie?

– Jest mi to absolutnie bez różnicy. Mogę współpracować i z jednymi, i z drugimi.

– Trudno mi w to uwierzyć. Nie zaprzeczy pan chyba, że Polska to kraj głęboko podzielony, pańscy wyborcy...

– Moi wyborcy nie są tymi podziałami zainteresowani. – Artur wszedł mu w słowo, ale delikatnie, bez podnoszenia głosu. – Ile można się kłócić, po której stronie stało ZOMO? Ile razy można dyskutować o Okrągłym Stole? O dziedzictwie PRL? Jakie to ma znaczenie dla przyszłości tego kraju? Żadne.

– Czy chce pan powiedzieć, że historia nie ma znaczenia?

– Ma, oczywiście. – Artur skinął głową. – Dla historyków. Proszę pana, polska polityka ostatnich lat to ciągle kłótnie o przeszłość. Żołnierze wyklęci: bojownicy o wolność czy zbrodniarze? Wałęsa: bohater czy

zdrajca? III RP: historia sukcesu czy porażki? Mnie te pytania w ogóle nie interesują.

– W takim razie co pana interesuje?

– Już panu mówię: dlaczego nie ma żadnego polskiego samochodu? Czemu Włosi mogą mieć Fiata, Ferrari, Lancię. – Artur wymienił obce marki ze śpiewnym akcentem. – A my je tylko skręcamy? Czemu to Skandynawowie wymyślili Skype’a, a Polacy używają go, żeby dzwonić do dzieci, które zostawili z babcią, bo pojechali do Holandii zrywać truskawki? Czemu eksportujemy jabłka, a nie Apple?

O, super to powiedział, pomyślała Aneta, Apple, a nie jabłka, to może chwycić. Tylko jaki hashtag do tego zrobić? „Czemujablka” jest zwięzłe, ale bez kontekstu nie bardzo wiadomo, o co chodzi, poza tym łatwo by go było wykoleić, strollować. „Czemunieapple” nieczytelne. O, #Appleniejablka, tak, to chwyci, przyklei się do mózgu. Aneta wycięła odpowiedni fragment nagrania, dodała napisy, przerobiła na animowanego GIF-a. *Klik*, poszło w świat.

– Ma pan odpowiedź na te pytania? – Prezenter położył łokcie na szklanym blacie, zaplótł palce.

– Częściową – odparł Artur. – Nam się wydawało, że skoro się skończył komunizm, to świat stanął w miejscu. Że teraz to się można wygodnie rozsiaść, jak po sutym rodzinnym obiedzie, i po raz setny pokłócić się przy wódeczce o to, komu się należał spadek po babce Stefanii. No, ale niestety, tak nie jest. Świat pędzi przed siebie szybciej niż kiedykolwiek wcześniej, a my stoimy w miejscu.

Hashtag „Appleniejablka” szedł ładnie w górę, miał szansę, żeby przebić się do pierwszej dziesiątki trendujących tematów na polskim Twitterze – a to z kolei stanowiłoby gwarancję, że rozmową zainteresują się internetowe portale, a potem prasa, że będą kolejne artykuły i wywiady; potoczy się kula śnieżna. Trzeba cisnąć temat dalej. Aneta przełączyła się z konta Artura na inne, prowadzone pod pseudonimem @KatarzynaZaLebTrzyma. Założyła ten profil dwa lata temu i starannie go kultywowała. „Katarzyna” codziennie wrzucała linki do śmiesznych filmów, ciekawych artykułów, a także skradzione z kont modelek selfiki – dość śmiało, żeby przyciągnąć uwagę nadreprezentowanych w mediach mężczyzn, ale nie na tyle, żeby mieli opory przed przeglądaniem jej tweetów w pracy. Ciężka praca się opłacała, @KatarzynaZaLebTrzyma miała blisko trzydzieści tysięcy obserwujących, była stałą częścią internetowego krajobrazu – i jedną z najgłośniejszych krytyczek Artura Wareckiego.

Katarzyna @KatarzynaZaLebTrzyma * 14.11.2018, 21:17

@Artur Warecki #Appleniejablka: kolejny pusty frazes od pana posła. Co dalej? Blackberry nie sery? :P Proszę wrócić do piłki.

– No dobrze. – Prezenter spojrział w notatki. – To jakie są warunki pańskiej formacji? Co trzeba zrobić, żeby utworzyć koalicję z Polską Jutro?

– To proste. Umożliwić nam realizację postulatów zawartych w naszym programie „Polska Przyszłości”.

Aneta uśmiechnęła się pod nosem. Udostępnienia, serduszka i komentarze łąły się szerokim strumieniem; internauci chwycili haczyk. Część broniła Artura i jego wizji, inni podjęli grę, którą zapoczątkowała „Katarzyna”. Każdy chciał zabłysnąć humorem i intelektem, zyskać cyfrowy poklask. *Google a nie szmugle. Youtuby nie Kaszuby. Amazony a nie brony. Fejsbuki a nie łuki.* Każdy tweet oznaczony był hashtagiem „Appleniejablka”, windował go w górę, wyprzedził już „WisłaCracovia” i „KandyKroosh”, cokolwiek to znaczy. Aneta zamknęła laptopa z poczuciem dobrze wykonanej roboty.

– Przypomniałby pan naszym widzom, jakie są jego główne założenia?

– Oczywiście. Zaczniemy może od zmian w ordynacji wyborczej. Po pierwsze, chcemy wreszcie wprowadzić okręgi jednomandatowe. Po drugie, głosowanie przez internet. Frekwencja wyborcza wciąż oscyluje w okolicach pięćdziesięciu procent, to przecież dramat. Szczególnie źle jest wśród młodzieży, trzeba ją jakoś zmotywować do udziału w demokracji, dotrzeć do niej. A gdzie spędzają najwięcej czasu?

– W sieci.

– Dokładnie. Takie rozwiązania stosuje się już w Belgii, Estonii, Indiach, Stanach... Pora, żebyśmy dogonili świat.

– Szczytny cel... Obawiam się, że resztę postulatów Polski Jutro omówimy następnym razem, bo kończy nam się już czas.

– Zatem do następnego. Dziękuję serdecznie – powiedział Artur, patrząc prosto w kamerę. – Dobranoc panu, dobranoc państwu.

Wadim był głodny. Zawsze tak miał po wysiłku, od razu ssało go w żołądku. Dlatego zawczasu się przygotował: pojechał do sklepu, małego wiejskiego spożywczaka, takiego ze sznurami koralików w drzwiach, lepem na muchy pod sufitem i krzywą drewnianą ławeczką przy wejściu. Kupił dwie kajzerki, kiełbasę i słoik musztardy. Skromny posiłek, prawda, ale to mu w zupełności wystarczało. Wypakował zakupy z torby, a potem

rozłożył reklamówkę na masce auta i naciął kielbasę wojskowym nożem. Obok, kilka kroków dalej, buzowało ognisko. Mężczyzna dorzucił do niego jeszcze kilka kawałków drewna – *pstryk!*, *pstryk!*, iskry strzeliły w czarne nocne niebo – a potem nadział kielbasę na patyk i zaczął ją opiekać. Był całkowicie skupiony na tym prostym zajęciu, pogrążony we własnych myślach.

Kiedy mięso zaczęło skwierczeć, Wadim wyciągnął kielbasę z ognia, wsadził ją do rozerwanej bułki i polał musztardą. A potem zaczął jeść: szybko, gwałtownie. Gorący tłuszcz ciekł mu po brodzie, z każdym kęsem parzył sobie język i podniebienie. Nie potrafił zwolnić, poczekać; tego jednego nawyku z ulicy nie był w stanie wykorzenić. Mężczyzna otarł usta, oblizał czarne od węgla palce. Następnie podszedł do samochodu, otworzył drzwi od strony pasażera i wyciągnął zwinięte w kłębek ubrania: czarną kurtkę, rękawiczki, kominiarkę. Polał wszystko podpałką do grilla i wrzucił do ogniska. Buchnęło czarnym dymem, zaśmierdziało palonym poliestrem.

Wadim poczekał, aż ubrania dobrze się zajmą ogniem, po czym otrzepał ręce i wsiadł do samochodu. Zapaliła się lampka, przez moment w lusterku widać było jego kanciastą twarz, zadarty nos, przekrwione niebieskie oczy. Kiedy zamknął za sobą drzwi, samochód znów pogrążył się w ciemności. Zaryczał silnik, zachrząścił piasek pod kołami. Wadim ruszył w stronę Warszawy. O piątej rano musiał być już na lotnisku.

Kwiecień 2020

Tutaj mamy kuchnię. – Tymek, szef działu HR, wskazał szklane drzwi. – Do waszej dyspozycji są dwie lodówki, dwie kuchenki i cztery mikrofalówki. Pamiętajcie tylko, że podgrzewającym rybożercom mówimy stanowcze nie!

Chwila ciszy, potem salwa śmiechu; tłumek nowych pracowników poprawnie zinterpretował pauzę. Tymek, zadowolony z udanego żartu, uśmiechnął się szeroko, po amerykańsku, odsłaniając zadbane zęby. Oleg stanął na palcach, żeby wznieść się ponad ramiona dopiero co poznanych kolegów i zajrzał do środka pomieszczenia. Wściekle pomarańczowa podłoga, kolorowe plastikowe krzesła, a na ścianach plakaty motywacyjne wypisane kapitalikami: CO BYŚ ZROBIŁ, GDYBYŚ SIĘ NIE BAŁ?, LEPSZE SKOŃCZONE NIŻ IDEALNE, SZCZĘŚCIE SPRZYJA ODWAŻNYM. Biło od tego wszystkiego energią, młodzieńczą werwą,

wrodzonym *cool*. Oleg nie mógł w to wszystko uwierzyć. Był na trzydziestym piętrze prestiżowego wieżowca, w samym centrum Warszawy, w oddziale jednego z największych na świecie portali społecznościowych. On, dwudziestosześcioletni chłopak z Czernawczyc pod Brześciem.

– Tym, którzy potrzebują rano nieco kofeiny, żeby się obudzić... Czyli, nie oszukujmy się, wszystkim... – Tymek posłał zebrany porozumiewawcze mrugnięcie. – Polecam nasze ekspresy do kawy. Tutaj mieli się ziarna... Macie do wyboru arabikę albo robustę, jak kto woli, niektórzy przynoszą też własne mieszanki... A tutaj są mleka, zwierzęce albo roślinne, z laktozą albo bez, czego dusza zapragnie. We wtorki i czwartki znajdziecie w kuchni skrzynki z sezonowymi owocami, wiecie, żebyście przypadkiem nie dostali szkorbutu. Warto po nie wpaść rano, bo po południu zostają już tylko poobijane grejpfruty. No dobrze... To ostatni przystanek wycieczki, papiery macie podpisane, dostaliście ulotki informacyjne. Jakieś pytania? Nie? No, to najwyższy czas zabrać się do pracy. Wasi szefowie czekają już na was w common roomie. Powodzenia!

Tymek zgiął się w głębokim ukłonie, jak śpiewak operowy, który właśnie zakończył szczególnie wymagającą arię; kosmyk włosów, mokry od potu albo od żelu, a najpewniej od jednego i drugiego naraz, opadł mu na czoło. Jeszcze jedna runda oklasków i tłumek nowych pracowników ruszył na spotkanie swoich przełożonych, mijając ścianę wymalowaną wschodnioeuropejskimi motywami: matrioszki, pierogi, żubry, czapki uszanki, a wszystko to w grubej komiksowej kresce, w jaskrawych kolorach, podświetlone LED-owymi listwami. Kiedy weszli do common roomu, pełnego ludzi w przydeptanych trampkach i koszulkach z superbohaterami, Oleg uśmiechnął się pod nosem. Przypomniała mu się wczorajsza rozmowa z rodzicami. Matka prawie że ze łzami w oczach błagała, żeby pierwszego dnia poszedł do pracy w garniturze, bo co oni tam w tej Polsce jeszcze pomyślą, że jak z Białorusi, to od razu łapserdak i że spodnie mają być w kant, a buty wypastowane, i czy nowe sznurówki kupił, bo skuwki miał przecież rozdeptane, już na weselu Arcjoma mu zwracała uwagę. Pamiętaj, powtarzał z kolei ojciec, machając palcem przed kamerką, grubym palcem człowieka, który całe życie pracował na roli, cicha świnia głęboko ryje, ty się tam nie popisuj, nie podskakuj, tylko siedź cicho i rób swoje, bo żaden szef nie lubi, żeby mu rzepki skrobać. Oleg na początku próbował im jeszcze tłumaczyć, żeby się nie przejmowali, że to firma młoda duchem, o innej kulturze pracy, ale

w końcu się poddał. To jakby opowiadać Masajom o walorach rakiet śnieżnych.

– Ty jesteś Oleg? – Męski głos wyrwał go z zamyślenia. Należał do czterdziestoletniego faceta z siwiejącymi włosami spiętymi w koczek.

– Zgadza się. A ty musisz być Maciej Borowiecki, tak? Szef działu *content moderation*?

– Oj tam, oj tam, od razu Maciej. – Mocny uścisk dłoni, uścisk kogoś, kto wspina się regularnie na ściance albo wiosłuje. – Maciek po prostu. Jak tam? Gotowy?

– Pewnie.

– No to chodź.

Biuro zespołu *content moderation* ciągnęło się wzdłuż przeszklonej ściany budynku, oświetlone tuzinami słońc odbitych w ciemnych taflach sąsiadujących wieżowców. Wsporniki oklejone były zdjęciami wschodnioeuropejskich stolic: budapeszteński parlament, most Karola, wileńska starówka. Kilka osób stało przy tablicy, dyskutowało o czymś. W rogu pokoju bosa dziewczyna siedziała po turecku na wielkim żółtym pufie; laptop na kolanach, słuchawki wetknięte w uszy.

– Hej wszyscy, to Oleg, Oleg, to wszyscy... – Maciek przedstawił go zespołowi. – Siergiej, Balazs, Andrej, Davydas, Kaśka... Tam w kącie siedzi Liina...

– Czeeeeść... – odpowiedział mu niemrawy chór.

– A tu, proszę, twoje miejsce. – Maciek wskazał biurko koło drzwi. Trzy wielkie monitory. Ergonomiczny fotel obity skórą, który miał tyle różnych wajch i pokręteł, że wyglądał jak dzieło szalonego wynalazcy. – No, siadaj, zaloguj się i trochę poćwiczmy.

– Robi się.

– Oleg, jak myślisz, co my tu robimy? W *content moderation*?

Oleg zastygł nad klawiaturą. Nie spodziewał się tego pytania. Nie spodziewał się już na tym etapie żadnych pytań. Mimo że przestudiował dokładnie materiały szkoleniowe, poczuł, jak na skroniach kropli mu się pot.

– Miałem nadzieję, że ty mi powiesz – powiedział, próbując obrócić sytuację w żart.

– Ha, ha, no, pewnie, tak. – Maciek zaśmiał się, klepnął w udo. – Ale najpierw chcę usłyszeć, co ty myślisz.

– Dbamy o to, żeby nasza platforma była bezpiecznym miejscem spotkań dla wszystkich...

– Nie, nie, nie cytuj mi ulotki od Tymka. Własnymi słowami.

– Hmm... – Oleg przełknął ślinę, szukał odpowiednich słów. – Usuwamy wpisy, które są obraźliwe albo obłeśne, albo sprośne...

– Nie, nie, nie.

Olegowi zrobiło się gorąco. Miał wrażenie, że rozmowy w pokoju przycichły, że wszyscy się na niego patrzą.

– Widzisz, operujesz językiem emocji. – Maciek przycisnął dłoń na piersi. – Kiedy mówisz, że coś jest obraźliwe, to wartościujesz. My usuwamy wpisy, które łamią postanowienia zawarte w regulaminie. Tylko tyle i aż tyle. To zajebicie ważne. Nie myśl o sobie jako o sędzi, który ocenia, co trafi na portal, a co z niego wyleci. Myśl o sobie jako mechanizmie, który wykrywa błędy. Okej?

– Okej...

– Dobra, to odpal program treningowy. To ta ikona w prawym rogu, obok... Tak, właśnie ta. Język polski jest w porządku czy chcesz zmienić?

– W porządku.

– No to jedziemy.

Witaj w programie treningowym Content Moderatora! Pokażemy ci teraz kilkanaście autentycznych wypowiedzi i obrazów umieszczonych na portalu przez użytkowników, które zostały zgłoszone do moderacji. Twoim zadaniem jest określić, czy rzeczywiście należy je usunąć – i podać zapis regulaminu, który łamią.

Uwaga! Uprzedzamy, że program treningowy zawiera treści drastyczne.

Rozpocznij // Anuluj

Oleg kliknął guzik „rozpocznij”. Na pierwszym slajdzie było zdjęcie martwego motocyklisty na czerwonym od krwi asfalcie. Urwana ręka, kość udowa przebija skórzany skafander, plecy wygięte do tyłu, daleko, za daleko, kręgosłup był złamany w kilku miejscach. Musiał uderzyć w słup albo barierkę, i to z dużą prędkością. Komentarze: *No, jeden mniej będzie hałasował. Co nagle, to po diable. Leży motorzysta koło drogi, nie ma ręki, nie ma nogi :D*

– Usuwam – powiedział Oleg, wciskając guzik z czerwonym krzyżykiem. – Treść drastyczna.

– Dobrze. – Maciek skinął głową. – Tego rodzaju rzeczy będziesz widział dość rzadko. Nasze algorytmy wyłapują większość takich zdjęć,

tak samo z pornografią, zostają wykasowane, zanim ktokolwiek je zgłosi... Ale raz na jakiś czas coś przecieknie. Dalej.

Tym razem program pokazał czyjś status. Z lewej było zdjęcie profilowe: kobieta, około pięćdziesięciu lat, szeroki uśmiech, suknia w grochy, przytula yorkshire terriera z grzywką spiętą różową kokardką. W tle zadbane ogród – kwiaty, parasol, oczko wodne z fontanną.

Beata Gronkiel

12/04/2016

Śmierdzące arabusy, ja to bym tych wszystkich wszarzy i dzieciobjebów utopiła, jak te żydki z brukseli chcą niech sami ich do siebie wezmą żeby im kobiety gwałcili albo się wysadzali, to był, jest i będzie chrześcijański kraj!

43 polubienia 12 udostępnień 3 komentarze

– Usuwam – powiedział Oleg, potem przełknął ślinę. – Mowa nienawiści.

– Mhm. Następny.

Mężczyzna około sześćdziesiątki. Zdjęcie niewyraźne, ciemne, zrobione kamerką internetową. Okulary, sztruksowa marynarka, z tyłu drzwi, nad nimi wisi szabla i portret Piłsudskiego, obok regał z książkami, jakieś stare wydania.

Romuald Bieliński

03/06/2017

Dziś ulicami Warszawy znów przeszła tzw. parada równości, będąca tak naprawdę procesją dewiantów, którzy zamiast leczyć swoje schorzenia, domagają się, byśmy im klaskali. Skoro muszą się tak obnosić ze swoją innością, to może zamiast tęczy przypną sobie różowe trójkąty? Łatwiej nam będzie ich później rozpoznać.

22 polubienia 5 udostępnień 4 komentarze

– Usuwam – powiedział Oleg. – Mowa nienawiści.

– Aha. W którym miejscu?

– No... – Oleg zawiesił głos. Jak to, w którym miejscu? Drwi sobie z niego? – Nie wiem. Wszędzie?

– *Biiiiip*. – Maciek zaskrzeczał jak zepsuty robot. – Błędna odpowiedź. Błędna odpowiedź.

– Ale... Przecież różowe trójkąty przypinali homoseksualistom naziści. W obozach koncentracyjnych.

Maciek przysunął do biurka wielką piłkę do jogi. Usiadł, przyjmując wzorową posturę: proste plecy, otwarta klatka piersiowa, ciężar wsparty na obu stopach.

– Ty to wiesz, ja to wiem. Ale skąd pewność, że pan Romuald też to wie?

– Bo inaczej nie użyłby tego zwrotu.

– Dlaczego? Może po prostu myśli, że różowe trójkąty są ładniejsze niż tęcza?

– To czemu pisze, że łatwiej ich będzie potem rozpoznać?

– Nie wiem. Może chce ich zaprosić na debatę? Wręczyć im ulotkę informacyjną?

– Mhm. Okej. Pewnie.

– Oleg. – Maciek uśmiechnął się dobrotliwie. – Ja oczywiście wiem, do czego pije pan Romuald. I, żeby było jasne, absolutnie nie zgadzam się z jego poglądami, a nasza firma była sponsorem tej parady równości. Ja sam jechałem na platformie i robiłem YMCA. Znasz, co nie? *Young man, there's no need to feel down...*

– *I said young man, pick yourself from the ground* – zanucił Oleg w odpowiedzi.

– No właśnie. Ale nie wszyscy podzielają moje poglądy, prawda? I kneblując usta ludziom, którzy się z nami nie zgadzają, na pewno nie przekonamy ich do naszych racji. Ba, utwierdzimy w nich przekonanie, że są prześladowani, wiesz, pierwsi chrześcijanie ukrywający się po katakumbach. Dlatego właśnie tak ważne jest, żeby działać w oparciu o obiektywny zbiór zasad, na który możesz się w razie czego powołać. Rozumiesz?

– Rozumiem.

Tym razem został wylosowany film. Pokój, różowe ściany, kanapa na środku. Kobieta w kusej sukience zrywa się na nogi, cofa pod ścianę. W kadr wchodzi mężczyzna w kominiarce. Ma szerokie bary, ortalionowa kurtka jest przymała, podjeżdżają mu rękawy. Wyciąga linkę z kieszeni. Kobieta próbuje się bronić, uderza go lampką, drapie paznokciami. Na

mężczyźnie nie robi to żadnego wrażenia, przewraca ją, dociska kolanem do podłogi, owija linę wokół szyi. Kobieta wybałusza oczy, wierzga nogami. Oleg nie może już tego wytrzymać, odwraca na chwilę wzrok. Kiedy znów patrzy na ekran, kobieta już nie żyje, a morderca wywraca pokój do góry nogami: wyciąga szuflady z toaletki i rzuca je za siebie, przewraca garderobę, rozpruwa nożem kanapę. Szuka czegoś. Chyba nie znajduje. Koniec.

– No? To co z tym robisz? – pyta Maciek.

– To jest treść drastyczna, więc... – zaczął Oleg, ale zaraz urwał; nie był już taki pewny swego.

– Tak, to nie ulega wątpliwości. – Maciek kiwa głową. – Ale moderator musi się też zastanowić, z jaką intencją ten materiał jest udostępniany? Co ludzie piszą w statusach? Może wrzucają go, żeby zwrócić uwagę na niebezpieczne warunki pracy sex workerek? No, przeczytaj na głos kilka opisów.

– OMG, facet dusi dziwkę na żywo, musicie to obejrzeć, wykrzyknik... – recytuje Oleg, przewijając ekran. – Ej ziomki, to fejk czy naprawdę, znak zapytania... Tym razem zupa musiała być naprawdę za słona, emotka diabełka... Wow, ale hardcore...

– Czyli co?

– No... – zawahał się na chwilę. – Usuwam.

– Dokładnie. Dobra, łapiesz już chyba, o co chodzi. Dokończ teraz to ćwiczenie, a potem zwołaj mnie i przejrzymy razem wyniki. Pamiętaj, że liczy się też czas, nie powinieneś spędzać na pojedynczym wpisie więcej niż minutę. Wszystko jasne?

Oleg skinął głową, a potem wziął głęboki oddech i nacisnął przycisk. Następny. Następny. Następny.

Lipiec 2020

Ej! – Julita szczytnęła Leona w udo. – Nie śpij!

– Wcale nie śpię – wymamrotał.

– Masz zamknięte oczy, oszuście.

– Sama jesteś oszustka. Skąd możesz wiedzieć, skoro masz głowę na moich kolanach?

– Bo odbijasz się w drzwiczkach od kredensu. Widzisz?

Leon otworzył oczy i skrzywił się, raziło go niebieskie światło bijące od ekranu laptopa. Spojrzał przez zmrużone powieki w miejsce, które mu

wskazała, na zaokrąglony przeszklony mebel po drugiej stronie pokoju. Sylwetki odzwierciedlone w wypukłej szybcie były zniekształcone, powyciągane. Sofa, na której siedzieli, zwięzała się do środka, jak przewrócona ósemka. Ona – przykryta kocem, zwinięta w kłębek – miała komicznie wielkie stopy i głowę. On – długie małpie ramiona. Julita pomachała do odbicia; jej palce wydłużały się i kurczyły, kiedy przebiegały po lustrzanej krzywiźnie.

– No tak – powiedział, tłumiąc ziewnięcie. – Zapominam, że moja dziewczyna jest dziennikarką śledczą.

– I nie lubi, jak zasypiasz, kiedy coś razem oglądamy. Przecież mogłeś powiedzieć, że jesteś zmęczony, tobyśmy dokończyli jutro.

– Nie chciałem cię odrywać...

– Dobra, dobra. – Julita odkopała się spod koca, usiadła. – Nie chciało ci się wstać z kanapy.

– Na jedno wychodzi. Wykąpiesz się ze mną?

– No nie wiem, brałam prysznic rano...

– Wyszoruję ci plecy.

– A, to chętnie.

– Dobra, to daj mi pięć minut, zaraz cię zawołam.

– Tylko napuść ciepłej wody, okej?

– Okej, okej.

Leon wstał i podreptał do łazienki, drapiąc się po głowie. Julita uśmiechnęła się pod nosem. Nawet taki jej się podobał. Ziewający, w wyciągniętym dresie, z włosami sterczącymi na wszystkie strony. Bała się, że jak się wprowadzą, jak trzeba będzie się dogadać, kto wyrzuca śmieci, a kto szoruje kibel, to czar pryśnie. Ale dzielili mieszkanie już rok – i wciąż było fajnie. Oczywiście, odkryła w nim mnóstwo malutkich rzeczy, które ją wkurzały. Za każdym razem kiedy się golił, zostawiał umywalkę upieprzoną zeschlą pianką i malutkimi czarnymi włoskami, a potem bardzo się dziwił, że tam są, bo przecież sprzątał, nie wyciskał wody z gąbki, jak skończył zmywać, i co chyba najgorsze – niczego nie odkładał na miejsce: zdarzało jej się znaleźć solniczkę w lodówce, a łyżkę do butów w koszu na gazety. No, ale po pierwsze, umówmy się, nie były to żadne wielkie przewiny, a po drugie, wiedziała dobrze, że sama nie jest bez skazy. Dość rzec, że choć Leon prosił ją już sto razy, żeby nie jadła w łóżku, okruchy pieczywka ryżowego wciąż w tajemniczych okolicznościach materializowały się w pościeli.

Powodów do prawdziwych kłótni – takich, po których siedzieli resztę wieczoru naburmuszeni na siebie, demonstracyjnie głośno przewracając

kartki książek, czekając, kto pierwszy się złamie i rozpocznie negocjacje pokojowe – było niewiele, właściwie jeden: jego praca. Do niedawna Leon miał wygodną posadkę w Diet-Polu. Po tym, jak zaprojektowany przez niego ludzik-beczka stał się niespodziewanym hitem wśród wielkowiejskiej młodzieży („Don Kiszon to ikona rozpieszczonego pokolenia Y”, ogłosiły kolorowe tygodniki), cieszył się tam statusem gwiazdy: dostał podwyżkę, nowe biuro, tablet graficzny z najwyższej półki. Gorzej, że zlecenia przychodziły coraz głębsze. Skoro człowiek-beczka okazał się sukcesem, skonkludowała z żelazną logiką dyrekcja krajowego potentata na rynku zdrowej żywności, to trzeba teraz narysować człowieka-słoik, człowieka-butelkę, człowieka-pudełko, stworzyć cały panteon ludzi-pojemników, zaludnić nimi sklepowe półki, etykiety, billboardy. Leon rysował ich zatem – i narzekał, narzekał, narzekał.

Julita nie mogła już tego znieść, więc zasugerowała, żeby zmienić pracę. Tak lubisz gry komputerowe, mówiła, a po drugiej stronie ulicy swoje biuro ma firma z tej branży, może byś do nich wpadł kiedyś w trakcie przerwy na lunch, pokazał portfolio? No i dostała za swoje: przyjęli go na stanowisko artysty koncepcyjnego i od tego czasu pracował po dziesięć godzin dziennie, w tym często również w weekendy; wracał wyżęty, nieobecny myślami, przysypiał nad talerzem. Na prośby, żeby jednak wychodził z biura wcześniej, bo heloł, ma przecież własne życie, odpowiadał mętными wywodami o jakichś deadline’ach i milestone’ach, że firma go potrzebuje, że nie mają wyboru. To ją chyba najbardziej wkurzało. Że jeszcze ich bronił.

– Juuuz! – wołał Leon, przekrzykując szum wody.

– Idę!

Julita wstała z kanapy. Wciąż nie mogła się do tego przyzwyczaić: mieszkanie na tyle duże, że trzeba się było wołać. Urządzone świeżymi nowościami meblami, a nie gratami, które nosiły na sobie rozliczne ślady po poprzednich lokatorach: zadrapania, plamy, pęknięcie przykryte taśmą. W którym nie brzydziła się chodzić na bosaka, gdzie blat w kuchni się nie kleił jak lep na muchy, a z rur nie waliło ściekiem. Tutaj, w świeżo wyremontowanym lokalu na Świętych Cyryla i Metodego 1, po raz pierwszy odważyła się pomyśleć, że jest dorosła.

Poszła do łazienki, ściągnęła legginsy i bluzę, potem bieliznę. Leon wyraźnie się ożywił. Podobało jej się, jak na nią patrzył. Może jednak coś z niego jeszcze tego wieczoru wykrzesze. Rzuciła ubrania w ką i weszła

do wanny. Musieli oboje podciągnąć kolana pod brodę, żeby się zmieścić, ale było warto.

– To powiesz mi wreszcie, jak twój dzień? – spytał Leon, mocząc włosy.

– Wiesz przecież. Siedziałam w domu.

– No tak, ale co właściwie robiłaś?

– To, co zawsze – westchnęła. – Waliłam głową w mur.

Niecały rok temu Julita dostała wiadomość z za grobu. Nadawcą był Emil Chorczyński, genialny haker, który prowadził jednoosobową krucjatę przeciw członkom pedofilskiego forum o nazwie „Plac Zabaw”. Dotąd bezkarni, chronieni przez układy i pieniądze, zaczęli ginąć w tajemniczych okolicznościach: w trakcie dializy, z powodu błędu maszyny, w kraksie, którą policja uznała za nieszczęśliwy wypadek. Julita wpadła na trop Emila i usiłowała go zdemaskować. Ten z początku próbował ją zniechęcić, potem zniszczyć, a kiedy i to nie pomogło – przeciągnął na swoją stronę. Tuż przed tym, jak na warszawskim Okęciu zabił kolejnego członka szajki, nim, otoczony przez antyterrorystów, odebrał sobie życie, udostępnił jej dziesiątki gigabajtów materiałów na temat forum. Zdjęcia, logi, zapisy rozmów. Dobrze już ją wtedy znał i wiedział, że nie odpuści, że zrobi wszystko, by prawda o „Placu Zabaw” ujrzała światło dzienne. I faktycznie, jej seria reportaży na temat pedofilskiego forum wstrząsnęła Polską, a książka, w której przedstawiła całą historię z perspektywy Emila Chorczyńskiego, stała się bestsellerem przetłumaczonym na kilkanaście języków.

I wtedy wysłał jej list. Emil. Rok po tym, jak strzelił sobie w głowę. Spisał tę wiadomość wcześniej, nim pojechał na lotnisko z plastikowym pistoletem wydrukowanym na drukarce 3D, i ustawił czasomierz, który odliczał dni, minuty, sekundy; bomba zegarowa, która wywróciła jej życie do góry nogami. List obiecywał pomoc i drugą transzę materiałów, tym razem na temat założyciela i administratora „Placu Zabaw”, który ukrywał się pod pseudonimem Xtraterrestrial1. Emilowi nie udało się odkryć jego tożsamości, miał nadzieję, że Julita dokończy to śledztwo za niego. Dał jej wybór: jeśli odpisze „tak”, dostanie link do paczki danych. Jeśli „nie” – skończą się wiadomości, a cała historia się domknie. Tak lub nie. Tak lub nie. Tak lub nie.

Zgodziła się. Oczywiście, że się zgodziła, inaczej całe życie zastanawiała by się, co było w tych plikach. Odkąd je dostała, codziennie ślęczała nad zrzutami ekranów, sprawdzała każdy trop, każdego świadka. Uczyła się rosyjskiego, żeby odczytać zapisy rozmów z darknetowych forów. Śledziła przelewy w bitcoinach, na tyle, na ile to było możliwe.

Próbowała wydobyć dane geolokalizacyjne z każdego zdjęcia, jakie kiedykolwiek udostępnił Xtraterrestrial1, znała na pamięć wszystkie siedemset dwadzieścia osiem wiadomości, które wymienił z innymi użytkownikami „Placu Zabaw”. I nic. Nie była ani o krok bliżej ustalenia jego tożsamości niż Emil. Oszaleć można.

– To co? Pora wziąć się za sprawę tej camgirl? – Leon wcierał szampon we włosy.

– No, nie wiem...

– Ale co innego ci zostało?

– Myślałam, żeby sprawdzić tę rosyjską bazę policyjną. W którymś z postów X1 skarży się, że dostał mandat, więc sprawdzę wszystkie mandaty wypisane tamtego dnia i...

– Zaraz, zaraz, to wiadomo, z którego on jest miasta?

– Nie... – westchnęła – Ale myślałam, że zacznę od Moskwy i...

Leon prychnął, pokręcił głową.

– No co? – spytała, lekko poirytowana.

– Wiesz, ile jest miast w Rosji? Pewnie tysiące. Nie rozumiem cię. Serio. Czemu nie sprawdzisz tej camgirl?

Wśród setek plików, które znalazła w folderze Emila, był jeden, który nie pasował do reszty. Dokument tekstowy z piętnastego listopada dwa tysiące osiemnastego, który zawierał dwie linijki tekstu. Link do artykułu o morderstwie jakiejś camgirl w Mińsku Mazowieckim i lakoniczny komentarz: SPRAWDŹ. I tyle. Wszystko.

– Gdyby to było coś ważnego, toby napisał coś więcej – powiedziała. – „Julita, kluczowy trop”, na przykład.

– A gdyby nie miało żadnego znaczenia, toby ci tego nie wysłał.

– A może po prostu się pomylił? Może to dotyczyło jakiejś innej sprawy? Dzień później walnął sobie w łeb. Mógł być myślami gdzie indziej.

– Ale czemu się nie upewnisz?

– Nie mówię, że tego nie zrobię, tylko zostawiam to sobie na koniec.

– Julita... – Leon położył jej dłoń na ramieniu, ścisnął ją lekko. – To jest koniec. Wszystkie inne poszlaki sprawdziłaś po trzy razy. Ten pomysł z bazą policyjną... Sorry, ale to jest szukanie igły w stogu siana.

– Dzięki.

– Mówię, jak jest. No, a poza tym, nawet jeśli rzeczywiście się okaże, że to pudło, że niczego ciekawego się nie dowiesz, to możesz napisać jakiś artykuł o usługach seksualnych w dobie internetu. Wiesz, małe

miasteczko na ścianie wschodniej, globalna sieć, moralność polskiej prowincji w kontraście do mrocznych zakątków internetu...

– No nie wiem... Brzmi... No, jak tania sensacja.

– Przypomnę ci, że pracowałaś w Meganewsach.

– Przypomnę ci, że za tym nie tęsknię.

– No, ale nie musisz przecież tego robić w tonie bulwarowym, rozpisywać się, jaki kolor miały pręgi na szyi denatki. To morderstwo może być tylko punktem wyjścia do szerszej analizy społec... Aj, cholera, wleciał mi szampon do oczu. Puść wodę, dobra? Aj, aj, nie taką zimną...

– Tak lepiej?

– Mhm. Poczekaj... – Leon wziął od niej słuchawkę od prysznicza, splukał włosy. – To co myślisz?

– Niech będzie – odpowiedziała. Bez entuzjazmu.

– Cieszę się. Dobra, obróć się, to ci wyszoruję plecy.

– A co potem?

– Hm?

– No, jak się umyjemy?

– A mamy jakieś plany?

– Mhm. – Julita wyciągnęła nogi z wody i położyła mu stopy na ramionach. – Ja mam.

Julita wyłączyła telewizor. W mieszkaniu zrobiło się cicho, słychać było tylko rżenie lodówki. Dochodziła północ, Leon już spał. Powinna wstać, umyć zęby, przebrać się w piżamę. Powinna położyć się do łóżka. Nie była w stanie. Cały dzień funkcjonowała normalnie, myślała o przyziemnych sprawach: że musi odpisać swojemu amerykańskiemu agentowi, że musi odpowiedzieć na zaproszenia od bibliotek w Raciborzu i Sokolnikach, że trzeba zrobić odczyt z wodomierza, że sól się kończy. Ale kiedy robiło się ciemno, kiedy przestawały zgrzytać tramwaje i milkły głosy na podwórku, wszystko do niej wracało.

Lotnisko. Spoczone, przerażone twarze zakładników. Pistolet przyciśnięty do skroni. Huk, smród spalonego prochu, cudza krew na swetrze, we włosach, na policzku, na ustach; czuła jej smak. Krzyki, wyważone drzwi upadają na ziemię, latarki podwieszane pod lufami karabinów rażą, oślepiają. Kiedy tylko gasiła światło, znikало zmęczenie, senność, którą w ciągu dnia musiała tłumić kolejnymi kawami, włączały się jakieś pierwotne instynkty, instynkty przerażonej małpy: każdy niespodziewany ruch, każdy głośniejszy dźwięk sprawiał, że krew uderzała do głowy, że waliło w skroniach, a paznokcie same wbijały się

w oparcie kanapy. Pod zamkniętymi powiekami odtwarzał się film, horror, w zwolnionym tempie, w pętli, klatka po klatce.

Była u lekarza, oczywiście, że była. Mówiła o napadach lęku. O tym, że czasami przez dwadzieścia cztery godziny nie jest w stanie zmusić się, żeby położyć się do łóżka, a czasami dwadzieścia cztery godziny nie może z niego wstać. Zaburzony balans serotoniny w mózgu, powiedział. Przepisał pigułki. Pigułki, po których miała wrażenie, że przestała być sobą, że gra w grę komputerową, taką, gdzie postać widzi się od tyłu, zza jej pleców; sterowała ruchami tej Julity, ale nic nie czuła, wszystko było jakby za szkłem, odczytane z pasków u góry ekranu, punkty życia dziewiętnaście na dwadzieścia, energia trzy na dwadzieścia, doświadczenie trzydzieści osiem na czterdzieści. Przestała je brać, ale wciąż stały w łazience, koło szczoteczek, tak, żeby Leon je widział. Codziennie wyciągała jedną z nich i wrzucała do kibla.

Powinna pójść spać. Przytulić się do Leona, schować twarz pod kołdrą, odmieniać rzeczowniki przez przypadki, sędzia, sędziego, sędzi, sędzię, sędzią, sędzim, to czasami pomagało, w każdym razie bardziej niż liczenie owiec. Obudziłaby się rano pełna energii, bez worów pod oczami, poszłaby do piekarni po ciepłe bułki.

Zamiast tego Julita wyciągnęła komputer. Miała na nim postawiony Qubes, system operacyjny, który dzielił komputer na przedziały, między którymi nie było żadnego połączenia: osobny do przechowywania plików, osobny do przeglądania internetu, osobny do otwierania podejrzanych załączników. W zestawieniu z Whonixem, który przepuszczał wszystkie połączenia przez sieć Tor, pozwalał na względne bezpieczeństwo i względną anonimowość. Tyle jej musiało wystarczyć.

Wpisała „camgirl”, „Mińsk”, „morderstwo”. Ułamek sekundy później wyszukiwarka wypluła rezultaty: artykuły sprzed blisko dwóch lat. Meganewsy, w których zaczynała karierę, poszły oczywiście w wielkie litery i wykrzykniki, STRIPTIZ Z PIEKŁA RODEM! ZAMIAST KOBIECYCH WDZIĘKÓW ZOBACZYLI MORDERSTWO! Julita skrzywiła się z niesmakiem. Przewinęła listę wyników w dół, otworzyła kilka tekstów z mainstreamowych tytułów. Wszystkie były związane, wszystkie podawały te same fakty: Hanna B., lat dwadzieścia dziewięć, uduszona w trakcie transmisji prowadzonej na platformie MyGreatCams, tożsamość zabójcy nieznana, policja prosi o kontakt osoby posiadające informacje na temat sprawy, do tego zrzut z ekranu z nagrania: twarz w kominiarce. Nie było za to nazwiska ani pseudonimu ofiary, adresu, pod którym dokonano zbrodni, ani namiarów na świadków, a artykuły ilustrowały zdjęcia

z bazy gotowców: zbliżenie na napis POLICJA, błyskający na niebiesko kogut na dachu radiowozu. Niewiele informacji. Dobrze, lubiła wyzwania. Może niczego się nie dowie, ale przynajmniej będzie ciekawie.

Zaczęła od tego, że weszła na forum dla mińszczan. Zaskakująco porządnie zrobiona strona, elegancka biel i błękit, półksiężyc z herbu rozpada się na pojedyncze piksele. Dział Aktualności. *Mińsk NIE dla uchodźców*, dwanaście tysięcy postów. *Komunikacja miejska – żart?*, trzysta pięćdziesiąt postów. I tak dalej, i tak dalej, bołaczki małego miasteczka, ludzkie frustracje, plotki i kłótnie o nic. Wątek, którego szukała, był na drugiej stronie: „Morderstwo na Kilińskiego!!!”. Doskonale, adres jest już w tytule. Julita przejrzała dyskusję. Szok, oburzenie, współczucie i radość z cudzego nieszczęścia we właściwych dla tego rodzaju dyskusji proporcjach; nie robiło to już na niej wrażenia. Ktoś wrzucił zrobione komórką zdjęcia: taśma policyjna, radiowozy, za nimi elegancki trzypiętrowy budynek, który pasował do reszty mińskiego krajobrazu jak pięść do nosa. Parę razy padło pytanie, kim była zamordowana dziewczyna, ale nikt nie był w stanie – albo nie chciał – na nie odpowiedzieć.

Julita weszła na Google Maps, znalazła plac Kilińskiego i przeszła w tryb Street View, żeby obejrzeć okolicę z perspektywy przechodnia. Bez trudu znalazła kamienicę ze zdjęć, chociaż tu była jeszcze w budowie, otoczona niebieskim blaszanym płótem. Wisiały na niej plakaty dewelopera, na powiększeniu widać było nazwę inwestycji i adres. Julita zamknęła mapę, weszła na stronę Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej, wyszukaj po nazwie miasta i ulicy, *klik*. „Mała Gastronomia u Gośki”, „Biuro Księgowe Joanna Bolko-Pieńkowska”, „Przedsiębiorstwo Handlowo-Usługowe Midas”... „DreamNet Platforma Filmowa”. O, to może być to. *Klik*. Zarejestrowane na Karolinę Bielską, lokal 26... Działalność rozpoczęta w 2015, zakończona w 2018... Przeważająca działalność: *60.10.Z, Nadawanie programów radiofonicznych*. Zgadzałoby się. Julita ściągnęła plany lokalu z zarchiwizowanej strony dewelopera. Osiemdziesiąt metrów kwadratowych, hol, korytarz rozchodzący się na małe pokoje. W sam raz na studia nagraniowe.

Strona DreamNetu była pusta – firma upadła – ale Julita znalazła kopię witryny na Internet Archive: różowe tło, banner z blondynką w mikroskopijnych stringach. O nas... Oferta... Dołącz... Nasze dziewczyny. Julita kliknęła w link. Zdjęcia atrakcyjnych kobiet w różnym stopniu neglizu, pończochy, koronki, stringi, Shazza91, LubeLyuba,

L0litaXXX, KandyKroosh, DarkestAngel, PinkQueen. Wrzucała po kolei pseudonimy do wyszukiwarki. Nic ciekawego, nic ciekawego, nic ciekawego... Przy „KandyKroosh” liczba wyników skoczyła gwałtownie w górę. Pierwszy link do jakiegoś forum amatorów webcammingu, „OMG, KandyKroosh nie żyje!”. Przejrzała pobieżnie dyskusję, nic ciekawego. Nie szkodzi, ma już jej nick, to powinno wystarczyć.

Julita skasowała ograniczenie czasowe, przełączyła się na wyszukiwanie obrazów. Kilkaset wyników, głównie zrzutów ekranu zrobionych w trakcie jej sesji. Dziewczyna około trzydziestki, to by się zgadzało. Farbowane włosy, kontakty, mocny makijaż; niedobrze, to może utrudnić wyszukiwanie. Z drugiej strony jest tatuaż, dość charakterystyczny, robiony chyba na zamówienie, a nie z katalogu: tygrys oplata całe ramię, jego paszcza sięga nadgarstka, a ogon ciągnie się wzdłuż obojczyka. Julita szukała zdjęcia w wysokiej rozdzielczości, na którym widać przede wszystkim jej twarz; takich rzecz jasna było niewiele, nie to przecież najbardziej interesowało jej widzów. Ale w końcu się udało, na drugiej stronie wyników znalazła fotografię, na której KandyKroosh patrzy prosto w obiektyw. Inteligentna, miła buzia. Dziewczyna, do której dosiadłaby się w pociągu.

Julita ściągnęła to zdjęcie, przycięła tak, żeby było widać tylko twarz, od brody po czubek czoła, a potem przechyliła ją do pionu i wyczyściła tło; to powinno ułatwić życie algorytmom. Kiedy skończyła, wrzuciła fotografię do wyszukiwarki obrazów Yandex, która miała wbudowany algorytm rozpoznania twarzy, przez co doskonale sprawdzała się w kwerendach typu *reverse image search*. Jeśli KandyKroosh wrzucała swoje zdjęcia do internetu jako Hanna B., wyszukiwarka powinna skojarzyć je z wgranym obrazem. *Klik*. Zdjęcie profilowe z Facebooka, konto „Hania Barania”. Dziewczyna w barze, szeroki uśmiech, przed nią margarita z kruszonym lodem, pod ramiączkiem koszulki widać ogon w czarno-czerwone paski. To ona. Chwila klikania i miała już nazwisko: Barańska. Hanna Barańska. Bingo.

Reszta była banalna: parę minut później wyszperała już jej stary adres (Topolowa 11), datę (16.03.1990) i miejsce urodzenia (Jeruzal), wiedziała, gdzie kończyła liceum (Mrozy), jaki miała numer telefonu (808-444-303), że trzy lata spędziła na emigracji w Irlandii (dzięki czemu znała dobrze angielski), że była rozwódką (od 13.05.2015), że miała syna (Jaś, teraz sześć lat, chodził do przedszkola na Tuwima, tuż koło pięknego parku Dernałowiczów; piegi, zadarty nos, wygląd urwisa, bluza z Psim Patrolem). Julita miała już wprawę w takich dochodzeniach, ale wciąż

zaskakiwało ją, jakie to wszystko proste, jak niewiele trzeba, żeby wejść komuś w życie. Przypominało jej to średniowieczne legendy o demonach, które można było poskromić, jeśli tylko znało się ich prawdziwe imię. Dziś było podobnie: zedrzyj komuś z twarzy maskę, zajrzyj pod pseudonim, a masz go w garści, jest twój.

Julita miała już wszystko – poza jednym, nagraniem jej śmierci. Zastanawiała się, czy jest jej to tak naprawdę potrzebne, czy musi je oglądać. Julita potarła piekące oczy, spojrzała na zegarek – dochodziła trzecia nad ranem. Może zobaczy na tym nagraniu coś ważnego. Coś, co rzuci światło na motyw albo tożsamość mordercy. Mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Westchnęła. No dobrze, pomyślała, miejmy to za sobą.

Wiedziała, że nie znajdzie tego nagrania na popularnych platformach – YouTube, Vimeo czy Daily Motion. Szukanie go w wyszukiwarce oznaczałoby gonienie martwych linków i przeczesywanie zawirusowanych, zaśmieconych agresywnymi reklamami stron. Zamiast tego weszła na forum o wszystko mówiącym tytule *Watch People Die*, „Oglądaj, jak umierają ludzie” – podstronę popularnego portalu Reddit. Znalazła ten uroczy zakątek internetu przypadkiem, dwa miesiące temu, kiedy przygotowywała materiał o coraz modniejszych wśród nastolatków łańcuszkach z idiotycznymi wyzwaniem (zjedz żywego ślimaka, wyskocz z jadącego samochodu, podpal się, a potem wrzuć nagranie do sieci i oznacz znajomych, którzy mają pójść w twoje ślady), które czasami kończyły się tragiczną śmiercią. Użytkownicy *Watch People Die* wrzucali linki do takich nagrań, komentowali, przyznawali punkty za styl, jak sędziowie na zawodach w skokach narciarskich, którzy kiwają z uznaniem głowami, widząc udany telemark. Wideo ze śmiercią KandyKroosh znajdowało się wśród najwyżej ocenianych nagrań w historii forum. Trudno się zresztą dziwić, cycki, krew, wrzask, czego można chcieć więcej, klasyka gatunku.

Julita poczuła, jak pocą jej się dłonie. Na przestrzeni ostatnich miesięcy widziała w sieci straszne rzeczy. Syria. Czarne zmierzwiłone włosy przyprószone pyłem, łzawiące, pełne przerażenia oczy: dzieci duszące się od sarinu; w tle szloch bezsilnych rodziców, huk eksplozji. Meksyk. Drżąca z przerażenia kobieta, zakneblowana, na klęczkach, plama moczu na spodniach, maczeta na szyi, wytatuowana ręka zaciśnięta na rękojeści: dilerzy narkotyków rozprawiają się z prokuratorką. Morze Egejskie. Noc, huk wiatru, ryk fal: tonie łódź pełna uchodźców. Unoszą w rękach dzieci w stronę osoby z kamerą, błagają o pomoc. Zbyt wiele osób na jednej

burcie. Kiedy uderza kolejna fala, łódź się wywraca do góry dnem. Krzyki, ręce, głowy nad wodą. Potem już nic, czarne morze.

Nie oglądała tych filmów dla przyjemności. Wkrótce po tym, jak zajęła się sprawą „Placu Zabaw”, dołączyła do BellBoya, międzynarodowego kolektywu dziennikarzy zajmujących się internetowymi śledztwami. Używała umiejętności, które zdobyła we własnym dochodzeniu, żeby pomóc w weryfikacji znalezionych w sieci wideo: potwierdzić datę i miejsce nagrania, ustalić, czy były manipulowane. Żeby nie zwariować, żeby to jakoś wytrzymać, zanurzała się w koszmarze stopniowo, krok po kroku. Najpierw oglądała film w najniższej rozdzielczości, z wyłączonym dźwiękiem, w pomniejszeniu, żeby oswoić się z materiałem, dopiero potem w pełnym rozmiarze, ze wszystkimi szczegółami. Jeśli musiała oglądać nagranie kilka albo kilkanaście razy, przyklejała samoprzylepną karteczkę na tę część ekranu, gdzie działy się najgorsze rzeczy, i skupiała się na drugim planie. Czuła, że teraz też będzie korzystać z tych technik.

Julita wstrzymała oddech – i kliknęła play. Dwie minuty czterdzieści dwie sekundy. Dwie minuty czterdzieści dwie sekundy, od których jeżył się włos, od których robiło się sucho w ustach, od których mdliło i dzwoniło w uszach. Kiedy nagranie wreszcie się skończyło, puściła je jeszcze raz. I znowu. Zwolnione dwa, cztery, sześć razy. Siedziała na skraju kanapy, z kolanami pod brodą, owinięta ciasno kocem.

Nie знаła go. Nie zwróciła się do niego po imieniu, nie próbowała błagać ani przeproszać. Czyli nie były mąż ani zazdrosny chłopak. Ale spodziewała się go. Kiedy tylko usłyszała ciężkie kroki na korytarzu, kiedy drzwi otworzyły się bez pukania, jej twarz natychmiast przeszła z zalotnego uśmiechu w przerażenie, bez żadnych etapów pośrednich, bez uniesionych w zdziwieniu brwi. Julita cofnęła nagranie do samego początku, pierwsze dziesięć sekund, ustawiła głośność na maksimum. *Stuk, stuk, stuk*, obcasy wałą o kamienną posadzkę. Jeszcze raz. *Stuk, stuk, stuk*. Morderca szedł prosto, pewnie, szybko, nie rozglądał się na boki, nie otwierał innych drzwi. Musiał wiedzieć, w którym pokoju znajdzie Hankę, wydusił tę informację od recepcjonistki albo miał ją już wcześniej, może włamał się do ich systemu, miał dostęp do ich grafiku. Julita przewinęła nagranie do trzydziestej sekundy, kiedy mężczyzna pojawia się w kadrze, wcisnęła pauzę. Kurtka błyszcząca od nowości, źle leży, przykrótkie rękawy. Założona na akcję. Kominiarka przylega ciasno do głowy, miał krótkie włosy. Żadnej bransoletki, naszyjnika, puste kieszenie – nie licząc stalowej linki. Puściła wstrzymane nagranie. Hanka próbuje go odgonić lampką, mężczyzna bez trudu unika ciosu, uderza dziewczynę

otwartą dłoń w tchawicę. Szybki ruch kogoś, kto robił to wiele razy, kto ćwiczył sztuki walki. Mężczyzna siada na niej okrakiem, dociska kolanem do podłogi, owija linkę wokół szyi. Żadnego zawahania, chwili wątpliwości. Oddycha przez nos, usta są zamknięte, nic do niej nie mówi, żadnego „zdychaj, szmato”, żadnego „masz za swoje”, pełen spokój. On się nie mścił, on wykonywał wyrok. Pauza. Julita skupiła się na butach. Czarne, za kostkę, ciasno zasznurowane. Podeszwa czysta, żadnego błota, piachu, kamienia utkwionego w podbiciu. Przełączyła się na Street View placu Kilińskiego. Kostka Bauma, oczywiście, że kostka Bauma, porządek w przystępnej cenie, wspólny mianownik wszystkich polskich miasteczek. Obok skwer, klony i kasztanowce. Pogoda w Mińsku? Sprawdziła dane z listopada 2018 w bazie danych WolframAlpha. Czternastego padało, na chodniku musiały być kałuże, liście. Nie przyszedł tam pieszo, bo coś by się przylepiło, przyjechał samochodem. Zaparkował pewnie pod budynkiem i czekał, aż zapali się światło w jej pokoju, a może miał na kolanach laptop i sprawdzał, kiedy zaloguje się na czat.

Kolejne piętnaście sekund do przodu. Hanka nie żyje. Napastnik przeszukuje pokój. Jest w tym coś komicznego, wielki mężczyzna w czarnej kominiarce przetrząsa sukienkę francuskiej pokojówki, wysypuje zawartość pudełka z wibratorami, rozpruwa welurowe poduszki. Nie znalazł tego, czego szukał, ale nie irytuje się, działa metodycznie, bez niepotrzebnego pośpiechu. Nagle przerywa poszukiwania, odwraca się w stronę kamery. Zdał sobie sprawę, że wciąż nagrywa. Głupi błąd. W tym momencie po raz pierwszy pokazuje jakieś emocje, widać, że jest zły. Podchodzi do stolika, wywraca go. Ekran robi się ciemny. Koniec.

Wpakowała się w coś, pomyślała Julita, sięgając po kubek z wystygłą kawą. Miała coś, czego nie powinna. Coś ważnego. Więc może jednak, może Emil nie podsunął jej tej sprawy bez powodu. Julita wyjrzała za okno. Przecierało się, złote krzyże na kopułach katedry Marii Magdaleny rozbłysnęły pierwszymi promieniami słońca. Wybiła piąta rano, zapowiadał się piękny dzień. Julita przeciągnęła się (zgięte od kilku godzin kręgi wskoczyły z chrupnięciem na swoje miejsce), roztarła obolałe nadgarstki, a potem położyła palce na klawiaturze.

– Julitaaaaa... – Podskoczyła, słysząc swoje imię. Leon. Wołał ją z sypialni.

– No?

– Chodź już.

– Zaraz! – zawołała, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Aaaa... – Stłumione ziewnięcie. – A co robisz?
- Sprawdzam rozkład pociągów.
- Dokąd?
- Do Mińska Mazowieckiego.

Piąta pięćdziesiąt osiem. Doskonale, pomyślała. Akurat zdążę zjeść śniadanie.

Cześć. – Barista się uśmiechnął. Szeroko. Wiedział, że Aneta daje wysokie napiwki. – Co dla ciebie? To co zawsze?

– To co zawsze. – Skinęła głową.

– Robi się. Sok świeży wyciskany mieszany... Średnia latte... Croissant... Muffinka jagodowa... – Chłopak nabijał ceny, stukając palcem w touchpad. – Razem będzie czterdzieści osiem pięćdziesiąt. Na wynos?

– Na wynos. – Aneta przyłożyła kartę do czytnika i wrzuciła kilka złotych do słoika koło kasy. „Na bilety na Openera”, głosił napis na żółtej karteczce przyklejonej taśmą klejącą. Nie zmienili jej od zeszłego roku, widać dobrze działała. Woleli, by klienci sieciowej kawiarni myśleli, że dorzucają się dzieciakom na fajne wakacje. Gdyby bariści napisali na karteczce „na czynsz”, „na kartę miejską”, „na nowe buty”, to byłoby krępujące, nieprzyjemne, u niektórych wzbudziłoby może nawet poczucie winy: jak to, ja tu wydaję dwadzieścia złotych na kawę, a oni ciuają grosze? Odwracaliby od słoika wzrok, stałby się niewidzialny. Aneta zdawała sobie z tego sprawę. Wiedziała też, że nie kupuje tu wcale kawy – tę mogłaby przecież zaparzyć w biurze – tylko manifestuje swój status. Nie chodziło o napój, tylko o kubek. Logo kawiarni wysyłało serię sygnałów: należę do klasy średniej, prowadzę wielkomiejski styl życia, odróżniam latte od cappuccino, mokkę od americano. Aneta była z wykształcenia antropolożką, wyćwiczono ją w identyfikowaniu tych niemych, często nieświadomych przekazów. Lubiała je odszyfrowywać, rozkładać ludzi na części pierwsze, zaglądać im w głowy. Weźmy tego baristę, który uwija się przy ekspresie. Białe słuchawki wyciągnięte spod koszulki, przewieszane przez kołnierz: może robię ci kawę, ale jestem taki sam, jak ty, to tylko praca na studiach. Przydeptane, poplamione conversy: wiem, że są *cool*, ale jeszcze bardziej *cool* jest udawać, że mi na nich nie zależy. Ręcznie pleciona bransoletka z rzemieni? Mieszkam w mieście, ale kocham naturę, umiem rozpalić ognisko jedną zapalką i określić północ, patrząc, po której stronie pnia rośnie mech.

– Potwierdzenie? – spytał chłopak, odwracając się na chwilę od ekspresu.

- Hm?
- Czy drukować potwierdzenie transakcji?
- Nie, dziękuję.
- Dobrze. – Barista mrugnął porozumiewawczo. – Lepiej dla drzew.

Aneta uśmiechnęła się pod nosem. Bingo. Posłodziła kawę, wzięła papierową torebkę z sokiem i ciastkami na wynos. Wyszła na ulicę: wyprostowana, z uniesioną brodą, wystawiając twarz do słońca. To było jak magiczne okulary. Patrzyła na człowieka i od razu widziała, co jej próbuje wcisnąć, jaką wersję siebie chce sprzedać, nieważne, online czy offline. Jak cię widzą, tak cię piszą? Raczej, jak się piszesz, tak cię widzą.

No i co z tym zrobić? Mogła się wypisać z tej gry. Przestać zaglądać na media społecznościowe, przestać się licytować, kto wrzuci lepsze zdjęcie z wakacji, kto ma bardziej kochającą żonę, a kto więcej znajomych. Wrzucić markowe ciuchy do kontenera, wyjechać w Bieszczady, pasać owce ze Stasiukiem albo uprawiać lawendę. Mogła przestać krzyczeć *zobaczcie mnie*. Albo mogła krzyczeć najgłośniej.

Aneta szła aleją Jana Pawła II, wzdłuż pawilonów (kantory, sex shop, zegarmistrz, zakłady bukmacherskie), potem skręciła w Nowolipie; musiała uważać, żeby nie zahaczyć torebką z kawiarni o lusterka stojących na chodniku samochodów. Zatrzymała się przed budynkiem na rogu. Siedziba partii Polska Jutro.

Mimo że dochodziła dopiero ósma, w biurze było już sporo ludzi: z kuchni niósł się gwar, dzwoniły telefony, stukały obcasy. Dużo się zmieniło. Dwa lata temu, kiedy się tu wprowadzili, było ich siedmioro, łącznie z Arturem. Nie mieli szafek, swoje rzeczy trzymali w kartonowych pudłach albo na podłodze. Ściany były gołe, okna bez żaluzji, a na lepkich od brudu parapetach stały doniczki z zasuszonymi paprociami po poprzednich najemcach. Wielu sądziło wtedy, że Polska Jutro podzieli los poprzednich partii odpryskowych: konferencja prasowa pełna szumnych zapowiedzi, wywiady, analizy politologów, a potem pierwszy sondaż z poparciem w granicach błędu statystycznego i szybki kurs na dno. Ekspertci twierdzili, że Artur Warecki, poseł pierwszej kadencji, były piłkarz, nie ma dość politycznego doświadczenia, by poprowadzić nową formację. No i prawda, co tu dużo mówić, Artur nie był alfą i omegą, gubił się w zawitych procedurach, nie rozumiał prawniczych dyskusji toczących się wokół konstytucji. Ale miał coś, czego brakowało innym odszczepieńcom z potężnego duopolu rodzimej polityki: był niesamowicie, niewiarygodnie wręcz medialny. Ignorancję przykrywał uśmiechem, na pytania o program odpowiadał anegdotkami z boiska,

a na ataki spokojem. Wiedział, którym profilem odwrócić się do kamery, jak rozmawiać z dziennikarzem, a jak z tłumem. I nie był to rezultat wieloletnich szkoleń pod czujnym okiem trenera komunikacji, coacha czy innego pijarowca, tylko naturalny talent, instynkt. Artur po prostu umiał nawiązywać kontakt z ludźmi. Także w internecie.

Może dlatego zdecydował się ją zatrudnić. Może dlatego to właśnie on, dyletant, poseł celebryta, sejmowy złotodziób, a nie któryś ze słynnych spin doktorów z Nowogrodzkiej czy Wiejskiej, dostrzegł w niej potencjał. Kiedy Aneta wróciła do Polski – absolwentka prestiżowej uczelni, z CV, które nie mieści się na dwóch stronach, na koncie udział w stawianej za wzór kampanii internetowej brytyjskich laburzystów – myślała, że rozwiną przed nią czerwony dywan, że będzie przebierała w ofertach. Po trzech miesiącach jadła fasolę z puszki i dorabiała, robiąc tłumaczenia etykiet dla koncernu mleczarskiego. Nikt jej nie chciał, ani ludowcy, ani hipsterska lewica. Kiedy usłyszała o powstaniu Polski Jutro, zastanawiała się, czy w ogóle warto odzywać się do Artura; nie miała siły trawić kolejnej odmowy. W końcu się jednak przemogła. Opłaciło się.

Oczywiście, prawdziwy test był dopiero przed nią, w październiku. Wtedy tak naprawdę okaże się, ile jest warta, co tak naprawdę potrafi. Wyzwanie – nie dać się zakrzyczeć dysponującej wielokrotnie większymi zasobami konkurencji, przejść przez próg, na którym wyłożyły się dziesiątki innych formacji – było ogromne. A Polska Jutro miała swoje problemy. Efekt świeżości się wyczerpał, coraz trudniej było im dojść do głosu, wepchnąć się przed kamery, a słupki poparcia zaczęły się kurczyć: z dziewięciu procent zjechali do pięciu. Żeby wejść do następnego Sejmu, potrzebowali czegoś ekstra. Asa w rękawie.

Aneta postawiła torebkę z kawiarni pod biurkiem, otworzyła laptopa. Miała jeszcze kilka godzin do spotkania, dość, żeby dopieścić prezentację. Otworzyła dokument. Tytuł, napisany wytłuszczonym drukiem, głosił: „Strategia internetowa, wybory parlamentarne 2020”.

Cicho. Gorąco. Gorąco i cicho. Czemu zrobiło się tak gorąco i cicho? Tak przyjemnie turkotało. Sucho w ustach. Zdrętwiała szyja. Na jej ramieniu zaciska się ręka. Nie za mocno, tylko tyle, żeby poczuła. Żeby się obudziła.

– Proszę pani?

– Hm? – Julita otworzyła oczy, odlepiła twarz od szyby pociągu. Pochyliła się nad nią konduktor. Szczeciniasty wąs, krzaczaste brwi, zęby pożółkłe od papierosów i kawy. Poważna mina.

– Proszę pani, koniec trasy – mówi, powoli i wyraźnie, jak do pijanej. – Proszę wysiąść.

– Ale gdzie... Co to za miasto?

– Siedlce.

– Siedlce. – Julita potarła twarz; skórę miała spoconą, tłustą. – Cholera.

– Gdzie miała pani wysiąść?

– W Mińsku. Mazowieckim.

– No ja myślę, że nie białoruskim. – Konduktorowi poprawił się humor, widać uznał, że pasażerka nie będzie sprawiać kłopotów. – Jak się pani szybko pozbiera, to złapie pani pociąg w drugą stronę, na Warszawę Zachodnią. Odjeżdża za trzy minuty, o tam, pani spojrzysz, z drugiej strony.

– Aha... Dziękuję... – Julita przerzuciła torbę przez ramię. – A bilet? Gdzie kupię bilet?

– Pani się nie przejmuj. – Porozumiewawcze mrugnięcie rzucone na odchodne, przez ramię. – Sprawdzamy dopiero po Mińsku.

Julita wyszła na peron, zakręciło jej się w głowie. Usiadła na ławce i zmrużyła oczy. Stacja, jakich w Polsce setki, tłok, gołębie, niebo przecięte kablami, trzeszczące głośniki zniekształcają głos tak, że ciężko zrozumieć komunikaty. Zapaliła papierosa, wypuściła dym przez nos. Nie pamiętała, kiedy zasnęła. To nie było tak, że sobie postanowiła, a może się zdrzemnęła, dobrze mi zrobi. Była tak wycieńczona, że odpłynęła. Wzdrygnęła się. W zeszłym tygodniu jechała w takim stanie samochodem, nocą, po Kaszubach. Żeby nie zasnąć, ustawiła radio na cały regulator, a zasięg łapało tylko Radio Maryja. Gdyby ją zmogło wtedy, gdyby nie te fałszowane godzinki ku czci Niepokalanej Maryi Panny, budziłyby ją nie konduktor, tylko ratownik medyczny. O ile.

Pociąg do Warszawy wjechał na stację. Lśniący nowością, czysty, z ciekłokrystalicznymi ekranami, nie pasował do krajobrazu, do odrapanych budynków, blaszanych bud, magazynów, ludzi o zmęczonych twarzach przepychających się do drzwi; przybysz z innej planety, z innego czasu, z wyimaginowanej wspólnoty, tu tylko przejazdem. Julita rozgniotła niedopałek obcasem i weszła do środka. O ile pociąg jadący o świcie na wschód świecił pustkami, o tyle godzinę później, w kierunku Warszawy, było już ciasno. W ruch poszły łokcie, ludzie deptali sobie po stopach. Wcisnęła się między kobietę w taniej, ale eleganckiej garsonce a dwóch młodych chłopaków, może licealistów, może świeżo upieczonych studentów; byli tak blisko, że czuła ich oddech na karku. Pociąg ruszył, Julita stanęła na palcach, żeby sięgnąć

biegnącego pod sufitem drążka. Za oknem przewijał się monotony mazowiecki krajobraz. Próbowwała skupić rozspane myśli.

Sex camming. Nie interesowała się wcześniej tym tematem. Wiedziała tyle, co każdy zajmujący się jakkolwiek internetem: że to rynek wart kilka miliardów dolarów. Że najpopularniejsze dziewczyny zarabiają dziesiątki tysięcy złotych – miesięcznie. Że większość modelek pochodzi z Europy Wschodniej, przede wszystkim z Bułgarii, Rumunii i Węgier, ale też z Polski. Niektóre pracują z domu, inne – w specjalnych studiach, jak to w Mińsku Mazowieckim, w których jednocześnie może nadawać swoje transmisje kilkanaście osób. *Shows* były różne. Z jednej strony spektrum były dziewczyny, które po prostu robiły striptiz, z drugiej – takie, które występowały wspólnie z kolegami albo koleżankami. Seks na żywo, z wzrokiem skierowanym na monitor, gdzie pojawiały się życzenia i sugestie widzów. Nie robiło to na Julicie wrażenia, nie oburzało jej. Wiedziała aż za dobrze, że w sieci można znaleźć dużo, dużo gorsze rzeczy.

Pytanie, co sprawa HANKI Barańskiej miała wspólnego z jej śledztwem. SPRAWDZIĆ. Ot, cała wskazówka. Niech będzie. Z samą zainteresowaną już nie porozmawia, pozostawali więc jej znajomi. Tych zaś nie miała wielu – przynajmniej nie na Facebooku. Siedemdziesiąt osiem kontaktów. Mało, bardzo mało. Z tego, co widziała na jej tablicy – całe szczęście, była wciąż dostępna publicznie – w regularnym kontakcie pozostawała z trójką, no, czwórką osób. Oczywiście, nie można wykluczyć, że prowadziła bujne życie towarzyskie, które po prostu nie pozostawiało śladu w sieci, ale Julicie wydawało się to mało prawdopodobne. Hanka była na Facebooku codziennie: wrzucała artykuły, zdjęcia, robiła quizy. Po prostu wyglądało na to, że – w przeciwieństwie do swojego alter ego, przebojowej KandyKroosh – była zamkniętą w sobie samotniczką.

Z czterech przyjaciół HANKI, do których Julita napisała rano, nie odezwał się jeszcze nikt. Mogła skontaktować się z dalszym kręgiem znajomych, ale wątpiła, żeby przyniosło jej to wymierne korzyści: w końcu co o śmierci HANKI mogła wiedzieć jej koleżanka z liceum, z którą ostatnio widziała się sześć lat temu? Ich wypowiedzi mogą przydać się później, jeśli rzeczywiście miałyby napisać o niej artykuł. Zresztą już teraz wiedziała, jak ją podsumują: albo „od małego była inna, wyróżniała się”, albo „kto by pomyślał, taka normalna dziewczyna”. Innych rodzajów ludzi, zdaje się, na świecie nie było.

Kolejne stacyjki, Julita myślała, że następnymi pasażerowie się już nie zmieszczą, że to fizycznie niemożliwe, ale jakoś jednak się wpychają.

Drzwi jazgoczą z pretensją, bo ktoś zasłania fotokomórkę. Ciężkie, pełne wyrzutu westchnięcia, kierowane jednocześnie do nikogo i do wszystkich naraz, szelest reklamówek, wciąganie brzuchów, wreszcie udało się, gwizd konduktora i pociąg rusza, powoli jak żółw ociężale, *tak-to-to, tak-to-to*, w pierwszym wagonie same sprzątaczkę, w drugim kasjerzy, a w trzecim praczki. Julita ma wrażenie, że zaraz ją wszyscy zgniotą, że się udusi, więc przeciska się do okna, przepraszam, przepraszam, czy mógłby pan się przesunąć, dziękuję bardzo. Na szybie ktoś wydrapał wielkiego penisa. Anonimowy artysta, widać pełen obaw, czy dzieło zostanie zinterpretowane zgodnie z jego intencją, opatrzył je na wszelki wypadek niepozostawiającym wątpliwości podpisem: HUU.

Julita wyglądała za okno między koślawymi, kreślonymi utłuczoną butelką po piwie literami; widziała już zarys miasta. Następna stacja: Mińsk Mazowiecki. Wyjęła z kieszeni kartkę. Lista nazwisk ludzi, których chciała znaleźć, z którymi chciała porozmawiać. Joanna Trzecińska, rzeczniczka prasowa mińskiej policji. Mateusz Ćmich, redaktor lokalnego portalu informacyjnego. I na końcu: PinkQueen, a właściwie Wioletta Słaby, dziewczyna, która występowała w studiu DreamNet tego wieczora, kiedy zamordowano Hannę Barańską.

Nagranie było chyba z Jemenu, przynajmniej tak mu się wydawało. Oleg naoglądał ich się ostatnio; Saudyjczycy nie próżnowali, trzeba było przecież przetestować sprowadzone ze Stanów rakiety. Sala weselna po bombardowaniu; sztuczne kwiaty wymieszane z gruzem, potłuczone półmiski, w rogu leżą eleganckie buty; może pana młodego. Oleg zatrzymał nagranie i zamknął oczy. Zjadł na lunch zimną pizzę – do mikrofalówek była kolejka, nie chciało mu się czekać – i bardzo tego teraz żałował. Na początku tylko ciążyło mu w żołądku i odrobinę mdliło, nic strasznego. Ale teraz, po godzinie oglądania trupów, czuł, jak przeżute jedzenie podchodzi do gardła, jak pali w przełyk. Powinien zrobić sobie przerwę, przejść się, wypić zieloną herbatę albo może colę, podobno pomagała w takich sytuacjach, ale czas spędzony z dala od komputera zaniżał mu średnią, która, niestety, i tak nie była świetna. Początkowy entuzjazm szybko uleciał; praca moderatora w najlepszych momentach była nużąca, w najgorszych – była wycieczką po dziewiątym kręgu piekła.

Okej, pomyślał Oleg, weź się w garść. Przełknął kwaśną ślinę i nacisnął spację; play. Kamera dokumentuje kolejne ofiary, kolejne zniszczenia, gdzieś w tle słychać czyjeś zawrodożenie. Operator wychodzi przed budynek, mówi coś po arabsku, drżącym głosem. Na ziemi leżą ciała, są

przykryte białymi prześcieradłami, ale tu i ówdzie coś wystaje: zakrwawione włosy, stopa, po której chodzi tłusta mucha, ręka bez dłoni, zwęglony strzęp mięsa. Nie mogę, pomyślał Oleg, no nie mogę, nie wytrzymam. Wstał od biurka i pobiegł do łazienki, przyciskając dłoń do ust. Wpadł do środka, puścił zimną wodę i zmoczył twarz. Raz, drugi, trzeci. Trochę lepiej. Oparł się o umywalkę, oddychał przez otwarte usta.

– Ciężki dzień, co?

Oleg podskoczył, zaskoczony; myślał, że jest sam. Z tyłu, znad drzwi zamkniętej kabinki, spoglądała na niego dziewczyna z kolczykiem w nosie. Liina. Musiała stać na sedesie, dlatego nie widział jej stóp.

– Ej, to jest męski – powiedział z pretensją w głosie; zabrzmiało to śmiesznie.

– Mhm. Zgadza się.

– To co tu robisz?

– Jaram blanty. – Liina przystawiła do ust jointa i zaciągnęła się demonstracyjnie, po czym wypuściła dym do wentylatora na ścianie obok. – W damskim kratka jest za wysoko.

– Firma... Dla firmy to jest okej?

– Że kratka jest za wysoko?

– Nie. – Oleg się uśmiechnął. – Że... No wiesz. Z trawką.

– Wyobraź sobie, że nie pytałam ich o zdanie. Co zobaczyłeś?

– Słucham?

– No, co zobaczyłeś, że cię tak przejechało?

– A... Wiesz, nic niezwykłego. Trupy. Zwykle mnie to nie bierze, mam gorszy dzień.

Liina pokiwała głową. To była najdłuższa rozmowa, jaką odbyli; Łotyszka zwykle trzymała się na uboczu, nie szukała kontaktu z resztą zespołu.

– Kojarzysz ten moment z *Mechanicznej pomarańczy*, jak naukowcy sadząją faceta przed ekranem, otwierają mu oczy hakami i każą godzinami oglądać sceny morderstw i gwałtów? – spytała.

– Pewnie. Kultowa scena.

– Puszczam ją znajomym, jak pytają, co robię w pracy.

Łotyszka zniknęła na sekundę z widoku, po czym otworzyła drzwi do kabiny i wyciągnęła jointa w jego stronę.

– Masz.

– Wiesz, dzięki, ale...

– Bierz – powiedziała. – Dobrze ci zrobi. Zobaczysz.

Oleg rozejrzał się wokół, jakby chciał się upewnić, że nikt im się nie przygląda; idiotyczny odruch. A, pomyślał, raz się żyje. Wziął skręta od Liiny i zaciągnął się, mocno, aż poczuł dym w płucach.

– Ho, ho... Widzę, że to dla ciebie nie pierwszozna...

– A, wiesz... – Wypuścił z ust słodkawy dym. – Korzystało się z życia na studiach. Jak długo tu jesteś?

– W moderacji?

– No, nie w kiblu przecież.

– Ha, ha. – Liina pociągnęła ostatniego bucha, po czym zawinęła niedopałek w papier toaletowy, wrzuciła do toalety i spuściła wodę. – We wrześniu będzie dwa lata.

– I zdarzają ci się... No wiesz. Zdarza się, że nie wytrzymujesz?

– Zdarzało się na początku. Teraz mam swoje sposoby. – Dziewczyna mrugnęła porozumiewawczo. – Chodź, wracamy. Zgłoszenia same się nie przeklikają.

– Okej – zgodził się Oleg. Na ustach wykwitł mu szeroki uśmiech.

Wyszli na korytarz. Jaskrawe ściany były jeszcze bardziej jaskrawe, łagodna muzyka jeszcze łagodniejsza. Oleg usiadł przy biurku, obejrzał nagranie z Jemenu do końca, tylko musiał wyłączyć dźwięk, bo arabski nagle zaczął go śmieszyć. Postanowił, że nie będzie usuwać filmu, uznał, że był udostępniony w dobrej wierze, żeby zwrócić uwagę na okropieństwa ignorowanej przez świat wojny. Następne w kolejce były wpisy bez zdjęć ani filmów. Dobrze, pomyślał, po pierwsze – mniejszy hardcore, po drugie – szybciej się je przerabia, poprawi sobie średnią. Zobaczmy, co tam mamy.

Ala Bońkowska

18/07/2020

Wczoraj w klubie startował do mnie czarnuch. No halo, w dupach się chyba poprzewracało :) W polu bawełnę zrywać dla białego pana, a nie z łapami do polskich lasek.

72 polubienia 12 komentarzy

Proste, pomyślał Oleg, sięgając po kawę. „Czarnuch” to inwektywa na tle rasistowskim. Do wywalenia. 1,2 sekundy. Oby tak dalej. Następny.

Ludwik Zając
18/07/2020

Pamiętajcie! Jak tylko POpaprańcy wrócą do władzy, otworzą granice dla robactwa ze wschodu. Zamiast kościołów będą meczety i cerkwie. Będziemy walczyć jak Żołnierze Wyklęci! Polska biała katolicka!

2 polubienia 5 komentarzy

Skrzywił się. Pierwsza reakcja – skasować; kursor już powędrował w stronę czerwonego krzyżyka. Ale Oleg zatrzymał się, zawahał, przypomniały mu się słowa Maćka: żadnych emocji, myśl jak algorytm. „POpaprańcy” nie podpadają pod mowę nienawiści, to nawet nie wulgaryzm. „Robactwo ze wschodu” – nie można udowodnić, że chodzi o ludzi takich jak on, jak Oleg, a nie, dajmy na to, stonkę albo bielinka kapustnika. Żołnierze Wyklęci – wiadomo, bohaterzy bez zmayı i skazy. „Polska biała” – może lubi zimowe krajobrazy. Wedle wytycznych nie ma się do czego przyczepić. Dobra, pomyślał Oleg, nie ma co się nad tym głowić, bo tylko zaniży mi średni czas reakcji. Zostaje. Następny.

Grzegorz Berel
18/07/2020

Pamiętajcie! Jak tylko POpaprańcy wrócą do władzy, otworzą granice dla robactwa ze wschodu. Zamiast kościołów będą meczety i cerkwie. Będziemy walczyć jak Żołnierze Wyklęci! Polska biała katolicka!

4 polubienia 1 komentarz

Oleg zamrugał, lekko zaniepokojony. Cholera, co było w tym skrećie? Potarł oczy, przeczytał tekst jeszcze raz. Nie, nie wydawało mu się, tekst jest identyczny. Ciekawe. Rozwinął listę wpisów oczekujących na moderację.

Anna Wilczycka
18/07/2020

Pamiętajcie! Jak tylko POpaprańcy wrócą do władzy, otworzą granice dla robactwa ze wschodu. Zamiast kościołów będą meczety i cerkwie. Będziemy walczyć jak Żołnierze Wyklęci! Polska biała katolicka!

2 polubienia 10 komentarzy

Zbyszek Dembski
18/07/2020

Pamiętajcie! Jak tylko POpaprańcy wrócą do władzy, otworzą granice dla robactwa ze wschodu. Zamiast kościołów będą meczety i cerkwie. Będziemy walczyć jak Żołnierze Wyklęci! Polska biała katolicka!

12 polubień 11 komentarzy

Joaquin Perreira
18/07/2020

Pamiętajcie! Jak tylko POpaprańcy wrócą do władzy, otworzą granice dla robactwa ze wschodu. Zamiast kościołów będą meczety i cerkwie. Będziemy walczyć jak Żołnierze Wyklęci! Polska biała katolicka!

5 polubień 2 komentarze

Mishiko Yamagu
18/07/2020

Pamiętajcie! Jak tylko POpaprańcy wrócą do władzy, otworzą granice dla robactwa ze wschodu. Zamiast kościołów będą meczety i cerkwie. Będziemy walczyć jak Żołnierze Wyklęci! Polska biała katolicka!

7 polubień 4 komentarze

I tak dalej, i tak dalej... Oleg gapił się w ekran. Wedle instrukcji powinien wszystkie te wpisy przepuścić i wziąć się za kolejne. Kopiowanie tekstu nie podpadało przecież pod żaden paragraf, a jeśli to były fałszywe konta, powinien się tym zająć inny dział, nie jego problem.

On miał siedzieć i klikać, skasuj/zostaw, ocenić co najmniej osiem tysięcy postów w ciągu dnia, niedoskonały, powolny trybik, który istnieje tylko dlatego, że maszyny nie rozumieją jeszcze dość dobrze, co to znaczy nienawiść. To nie potrwa długo, rzecz jasna. Komputery są przecież coraz szybsze. I każdego dnia dostarczamy im nowy materiał do nauki.

– *Bliadz...* – mruknął Oleg pod nosem. A potem, zupełnie nie wiedząc czemu, się zaśmiał.

Dom, w którym mieszkała Wioletta Słaby, stał przy skrzyżowaniu Żwirki i Żwirowej. Julita zastanawiała się, czy mińscy urzędnicy nadają nazwy ulicom alfabetycznie, czy może grają ze sobą w skojarzenia. Nieforemny jednopiętrowy budynek, za dużo było w nim skosów i krzywizn, do tego każde okno w innym rozmiarze. Julita nacisnęła dzwonek. Raz, drugi. Rozległo się szczekanie, zgrzytnęła zasuwa. W drzwiach stanęła tyczkowata dziewczyna w krótkiej skórzanej spódnicy i kabaretkach.

– A ty tu czego? – spytała; dykcja zniekształcona żutą intensywnie gumą.

– Przepraszam... Wioletta Słaby?

– No?

– Dzień dobry. Nazywam się Julita Wójcicka, jestem dziennikarką. Robię materiał o Hance Barańskiej. Możemy porozmawiać?

Dziewczyna przyglądała jej się w milczeniu. Ramiona skrzyżowane na wydatnych piersiach, oczy zwięzione w szparki.

– A co ja z tego będę miała?

– No... Obawiam się, że mogę zaoferować co najwyżej pięć minut sławy.

– Pięć? Czemu tylko pięć?

– No... – Julita zawiesiła głos. – Tak się mówi... Chodzi o to, że wiesz, masz frajdę, że byłeś w mediach. Można się pochwalić znajomym.

Dziewczyna pokiwała głową, najwyraźniej zadowolona z odpowiedzi, po czym sięgnęła po dzinsową kurtkę i wyjęła z kieszeni kluczyki samochodowe, czy raczej kiść błyszczących breloczków, wśród których znajdowały się kluczyki samochodowe. *Pik-pik*, zaparkowany przed domem żółty golf zamrugał światłami.

– Pojedziemy gdzieś, dobra? W domu mam pierdolnik.

– Aha... Pewnie. Jak wolisz.

Wnętrze auta pachniało różami, czy raczej śmierdziało różami, bo w tym nateżeniu woń była już męcząca, zatykała w piersi. Julita pochyliła głowę do przodu, schowała nos w kołnierzu płaszczyka. Wiolka włączyła

silnik, golf szarpnął do przodu, wprawiając zawieszzonego pod lusterkiem pluszowego misia w ruch wahadłowy. Samochód wykręcił na rondzie, skręcił w ulicę Czarnieckiego; mijały małe domki, zadbane ogródki, kapliczki z Matką Boską. Wiolka zatrzymała się na skrzyżowaniu z Warszawską, pod przydrożnym zajazdem. CHRZTY-ŚLUBY-KOMUNIE-STYPY, zachęcał napis nad wejściem; pełen krąg życia.

Wiolka weszła do środka jak na swoje, musiała tu być stałą bywalczynią. Zajęły stolik pod oknem. W głębi sali dwie dziewczyny dmuchały pompką kolorowe balony: na chrzest, ślub albo komunię. Raczej nie na stypę. Wiolka zawiesiła torebkę na oparciu krzesła, założyła nogę na nogę; siatka kabaretek wrzynała się w kolano, zostawiając pręgi. Zamówiły napoje. Wiolka – lemoniadę. Julita – cappuccino. Na potrójnym espresso.

– No dobrze. – Julita odchrząknęła. – Pewnie się domyślasz, czemu pytam o Hanke.

– Aha. Bo nie żyje.

– Tak, można tak powiedzieć. Wiesz coś na ten temat? O jej morderstwie?

– Nie wiem. Może.

– Zaczniemy w takim razie od...

– Czeka. – Wiolka weszła jej w słowo. – Pokażę ci coś.

Wiolka wyciągnęła z torebki telefon, stuknęła parę razy palcami w szkło i podsunęła jej pod nos. Julita zobaczyła kręcące się kółeczko; ładowało się jakieś nagranie. Spięła się, zacisnęła palce na krawędzi blatu. Bała się, co zobaczy. Inne nagranie z zabójstwa? Ciało Hanki w kostnicy? Film z pogrzebu, na którym jej syn rzuca się na trumnę? Czarny ekran. Zaczyna grać rzewna muzyka. Słychać wycie, jakiś dziwny, przeciągły ryk. W kadr wchodzi Wiolka. Ma na sobie czerwone spodnie i białą koszulkę z orzełkiem. Kołnierzyk jest rozcięty, tak, żeby dekolty był głębszy. Dziewczyna kołysze się w rytm muzyki, wokalizuje.

– Co... Co to jest? – wydusiła Julita.

– Tśś. Oglądaj.

Czarne tło ustępuje miejsca grafice z galopującym husarzem. Muzyka robi się głośniejsza. Wiolka przyciska dłonie do piersi, na rozpiętym na biuście orle, i unosi natchniony wzrok ku niebu. Nie rzucim zięeemi skąd nasz róóóóód, nie daaaamy pooogrzejeeeeść moooowy, fałszuje Wiolka, a muzyka nagle przyspiesza, nabiera rytmu techno, ymc, ymc, ymc, poooolski my naróóóód, ymc, ymc, ymc, poooolski róóóód, ymc, ymc, ymc, króóólewskiii szczeep paaaaastowy! Husarz zmienia się

w powstańca. Powstaniec w papieża. Papież w samolot znikający we mgle. Wiolka kręci biodrami, macha rękami, wchodzi na coraz wyższe tony, moduluje głos, aż do brawurowego *crescendo*, którego nie udźwignęłaby nawet Whitney Houston u szczytu kariery: taaaaak naaaam dopoOOooooOOoomóóóóó Bóóóóóóóg!

Cisza. Julita gapi się to na telefon, to na Wiolkę. Ta patrzy na nią wyczekująco.

– No? Co myślisz? – spytała Wiolka zniecierpliwionym tonem.

– Ale... Co to właściwie było?

– A ty co, kurwa, do szkoły nie chodziłaś? No *Rota* chyba, nie?

– Tak, wiem... Ale jaki to ma związek z Hanką?

– O Hance to my pomówimy potem, dobra? – Wiolka schowała telefon do torby. Jej paznokcie są długie, wściekle czerwone, ostre jak pazury. – Teraz mówimy o mnie. Powiedziałaś, że możesz mi załatwić pięć minut sławy, tak?

– To jest tylko takie powiedzenie...

– Tak czy nie?

Julita przygryzła usta. Czego się nie robi dla sprawy.

– Tak. Mogę.

– No to słuchaj: dosyć mam już tego kręcenia gołą dupą przed kamerą. Kurwa, pojebani są ci faceci, wiesz? Żebyś ty wiedziała, do czego oni trzepią. Ja wiedziałam, że jedna z nas skończy kiedyś tak jak Hanka. Że któryś z tych zboków wreszcie do nas przyjdzie. No to pomyślałam, że się zajmę muzyką.

– Mhm... – mruknęła Julita. Szkoda, że jej najpierw nie spytałaś o zdanie, pomyślała.

– No i zrobiłam takie nagranie, znaczy mój chłopak zrobił...

– To ty masz chłopaka?

– A co? – syknęła Wiolka. – Coś się, kurwa, nie podoba?

– Nie, tylko myślałam, że wiesz, skoro pracujesz, wiesz, w kamerkach, to...

– To już może tyle nie myśl, dobra? Tylko lepiej powiedz, jak mi pomożesz, okej?

TRZASK! Julita podskoczyła w krzesło, wylała kawę na blat. Co się dzieje, co się dzieje, złał ją pot, zgmiotło w brzuchu, wybuch, strzał, wypadek? Rozgląda się wokół, serce wali, *tup-tup, tup-tup*, wali tak, że z każdym uderzeniem robi jej się ciemno przed oczami, ścisła ją w klatce, zatyka gardło, nie może oddychać.

- Ej, spokojnie. – Wiolka złapała ją za dłoń. Julita dopiero teraz poczuła, że cała drży. – To tylko balon.
- Ba-balon?
- No, dziewczynom pękł.

Julita spojrzała na drugi koniec sali. Na ziemi leżały kawałki niebieskiej gumy. Jedna z kelnerek uniosła dłonie w przeproszającym geście. Oddychaj. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Zamknęła oczy, zdusiła napływające łzy.

– Hej, laska, wszystko z tobą okej? – spytała Wiolka. Dziewczyna wyjęła z kieszeni kurtki kosmetyczkę (wielkie, różowe litery układały się w napis *LUSH!*), podała jej chusteczki.

- Tak... Ja... Miałam ciężki rok.
- Chcesz iść do łazienki?
- Nie, nie... Dzięki... Już... Ufff... Już jest okej. – Julita wytarła stół; cerata lepiała się jeszcze bardziej niż wcześniej. – Co do twojej piosenki... Ile masz wyświetleń?

- Coś koło trzystu.
- Aha. A fanów na Facebooku?
- Stu piętnastu.
- Mhm. Słuchaj, mam paru przyjaciół w prasie brukowej, jak ich ładnie poproszę, to wypromują to nagranie, ale... – Julita urwała głos.

- No?
- Mogę być szczerą?
- Pewnie.
- To nie będzie pozytywny przekaz. Nikt nie napisze, że jesteś nową Urszulą Dudziak. To raczej będą nagłówki w stylu „Dresiara wyje jak kot w rui! Nie wytrzymacie do końca!” albo „Rota w wykonaniu glonojada! Lepiej zatkać uszy!”.

– No i? – Wiolka wzruszyła ramionami. Udawała, że nie jest urażona. Ale trochę była.

– No i na twoim miejscu zastanowiłabym się, czy naprawdę tego chcę. Bo okej, zarobisz trochę na odsłonach, zaproszą cię do telewizji śniadaniowej, ale...

- Do telewizji?!
- Tak, ale...
- Pewnie, że chcę! Ale gdzie? Do TVN? Czy Polsatu?

Julita miała poczucie, że powinna jej przemówić do rozumu, wytłumaczyć, ile kosztuje internetowa sława. Opowiedzieć, jak to jest

dostawać setki mejli dziennie z życzeniami śmierci. Stać się pośmiewiskiem dla całego kraju. Ale wiedziała, że odbije się od ściany, więc dała sobie spokój.

– To się jeszcze okaże... A na razie porozmawiajmy o Hance. Okej?

– Okej.

– Jak długo się znałyście?

– Ze dwa lata chyba... Tak. Zaczęła nagrywać u Karoli w dwa tysiące siedemnastym, tak w lato właśnie.

– Lubiliście się?

– No, niespecjalnie, wiesz? – Wiolka zmarszczyła nos. – Ona jakaś taka wyniosła była, jakby myślała, że jest od nas lepsza. Nie gadała z nami, nie przychodziła na imprezy. I ściągała najlepsze portfele.

– Portfele?

– Tak nazywamy koleśki, co dobrze płacą. Bo większość to wiesz, rzuci żeton albo dwa, i myśli, że będziesz się do nich wypinać do świtu. No i Hanka jakoś potrafiła te portfele ściągać.

– Pewnie trochę jej zazdrościłaś, co? – Julita odwróciła się w stronę baru, poprosiła o drugą kawę. Kelner skinął głową, wyciągnął spod lady filiżankę.

– Trochę tak... Ale wiesz, ci, co tyle siedzą na tych kamerkach, to nie są do końca normalni, nie? Bo rozumiesz, oni noc w noc ślinią się do komputera i jeszcze bulą za to kilka stów. No przecież trzeba mieć nasrane pod kopułą, żeby tak robić.

– No i czym ich Hanka ściągała? Była najładniejsza? Spełniała dziwne życzenia?

– Nie. Wiesz, gadane miała.

– A to ważne w tym fachu?

– No właśnie w chuj ważne! – stwierdziła Wiolka z emfazą. – No bo co, cycków to w internecie nie brak, co nie? Oni sobie zawsze chcą pogadać, wiesz, poczuć, że to niby taki, kurwa, flirt. Że co tam lubisz jeść, a gdzie na wakacje... A czasem to chcą opowiadać, co u nich w pracy albo że im pies zdechł, takie tam pierdololo... Hanka mówiła, że czasami jak robiła prywatne show, to całą godzinę nawet się nie rozbierała, tylko gadała.

– Mhm. – Julita podziękowała kelnerowi skinieniem głowy za kawę. – Czyli taka trochę randka, a trochę terapia.

– O, to, no właśnie, dobrze mówisz. Traktowali nas jak psychiatryki.

– Psychiatrów?

– Zwał, jak zwał. No i Hanka dobra w tym była. Niektórzy kupowali u niej prywatne sesje każdego tygodnia... A taki jeden to przez jakiś czas

chyba codziennie.

– Codziennie? Ile go to kosztowało?

– Cztery–pięć koła miesięcznie, co najmniej. Ale wiesz, dla tych facetów to są śmieszne pieniądze, oni wszyscy są z zagranicy przecież. Różnie, Ruskie, Arabusy, Chinole, Żydki...

– Aha. – Julita przerwała rasistowską wyliczankę. – Słuchaj, a coś się zmieniło w zachowaniu Hanki w ostatnich dniach przed śmiercią...?

– No... – Hanka podrapała się pazurami po brodzie. – No była taka markotna jakaś, nawet jak na nią.

– Mhm. A czemu?

– Nie wiem. Może przez tego jej lowelasa?

– Tego, co się z nią codziennie łączył?

– No. Bo właśnie przestał dzwonić, wiesz? Tak nagle.

– Może gdzieś wyjechał? – myślała na głos Julita. – Poznał jakąś prawdziwą dziewczynę?

– No też tak myślałam. – Wiolka pokiwała głową. – Ale byli umówieni. No i poza tym...

– Tak?

Wiolka rozejrzała się wokół, jakby obawiała się, że ktoś je podgląda albo podsłuchuje. Ale byli same. Jeśli nie liczyć kelnerów i coraz większej liczby balonów.

– On jej musiał coś powiedzieć... Coś dziwnego, wiesz? Bo któregoś razu... Tak z tydzień wcześniej, zanim, no wiesz... Wyszła z pokoju błada jak ściana. Myślałam, że może chciał, żeby się podduszała czy coś, bo wiesz, są takie pojeby, ale nie, powiedziała, że tylko rozmawiali. I wyszła z biura, chociaż dopiero co zaczęła nagrywać. Powiedziała, że musi coś załatwić.

Julita się nie odzywała. Przyswajała nową informację. W końcu otworzyła torbę i wyciągnęła z niej notatnik.

– Wiolka, wiesz, jakiego pseudonimu używał ten facet?

– Mhm. Wiem.

– Proszę. – Podała jej długopis i zeszyt. – Zapisz.

Aneta była sfrustrowana. Uważała się za inteligentną dziewczynę – i miała ku temu podstawy. Studia ukończone z wyróżnieniem. Świetne wyniki w pracy. Testy IQ, które kwalifikowałyby ją do Mensy. Ale jak obsługiwać klimatyzator w partyjnym biurze – tego za cholere nie potrafiła rozgryźć. Był tu już, kiedy się wprowadzili do lokalu. Białe blaszane pudło podwieszone pod sufitem, pilot z wytartymi guzikami.

Instrukcja oczywiście gdzieś się zgubiła, więc trzeba było to ustrojstwo rozpracować metodą prób i błędów. Na razie Anecie udało się odkryć dwa tryby: dmuchanie gorącym powietrzem oraz dmuchanie gorącym powietrzem i kapanie.

– Jak tam? – Artur wszedł do pokoju konferencyjnego, zamknął za sobą drzwi. – Gotowa?

– Tak, tylko... Cholera jasna... – Wcisnęła wszystkie guziki po kolei. – Wiesz, którym się ustawia temperaturę?

– Myślałem, że tym z góry? W kształcie strzałki?

– Nie, to regulacja kąta nawiewu...

– Dobra, nieważne. – Artur zdjął marynarkę, podwinął rękawy. Powyżej prawego nadgarstka miał tatuaż z wilczycą karmiącą Romulusa i Remusa. – Jakoś przeżyjemy. Pokaż, co tam dla mnie masz.

– A może otworzymy okno?

– Nie, nie, jest okej. Nie przejmuj się. No, lecis, bo za godzinę muszę wychodzić.

Aneta włączyła projektor: przynajmniej on działał bez zarzutu. Na ścianie naprzeciwko stołu wyświetlił się pierwszy slajd prezentacji. Był na nim człowiek gapiący się tępo w ekran.

– Zacznijmy od dobrych wieści – powiedziała. – Około osiemdziesiąt procent internautów czerpie wiadomości z mediów społecznościowych i na ich podstawie wyrabia sobie zdanie o bieżących wydarzeniach. Ponad dziewięćdziesiąt procent nie weryfikuje tych informacji. Jak możemy to wykorzystać? – *Klik*, następny slajd. – Zacznijmy od podstaw. Po pierwsze: wynajmuje się studenciaków, żeby pisali w sieci pochlebne komentarze i atakowali przeciwników. Widać to było podczas ostatnich wyborów prezydenckich w Warszawie, podczas których najaktywniej udzielali się internauci z Sanoka. Po drugie: kupuje się followerów i fanów, żeby sztucznie podbić sobie statystyki. No i po trzecie: płaci się Facebookowi za wyświetlanie materiałów promocyjnych, używając podstawowego mikrotargetowania. Z tych metod korzystali wszyscy już w dwa tysiące szesnastym, w trakcie kampanii przed wcześniejszymi wyborami.

Klimatyzator, nie wiedzieć czemu, zaczął nagle dmuchać lodowatym powietrzem, od którego cierpła skóra na karku. Aneta przeszła na drugą stronę pokoju.

– Oczywiście, my też to będziemy robić, tylko że lepiej. Jak wynajmiemy farmę trolli, to będziemy wymagali od nich maskowania adresu IP, żeby nie było widać, skąd piszą. Jak kupimy followerów, to nie

z Indii i Bangladeszu. A jak będziemy robili mikrotarget, to z głową, nie tylko w oparciu o geografie. Ale, tak jak mówiłam, to absolutne podstawy. Przejdźmy do ciekawszych rozwiązań.

Klik. Następny slajd. Polak przy grillu. Skwierczą kiełbaski, na stole puszki z piwem.

– Jak wiesz, nam, Polakom, nie chce się głosować. Przekonywać ludzi, którzy nie uczestniczą w życiu politycznym, żeby jednak poszli do urn, to orka na ugorze. Dużo łatwiej jest przekonać elektorat przeciwnika, żeby sobie odpuścił. To możemy osiągnąć niewielkimi kosztami, za pomocą tych trzech zagrań.

Aneta rzuciła okiem na Artura. Siedział w skupieniu, nie wyjął nawet telefonu. Dobrze.

– Metoda pierwsza – ciągnęła – negatywne targetowanie. Do perfekcji opanował to sztab Trumpa w dwa tysiące szesnastym. Wiedzieli, że Afroamerykanie nigdy go nie poprą, więc zamiast przekonywać ich do siebie, zniechęcili ich do oddania głosu na Clinton. Jak? Zidentyfikowali czarnoskórych wyborców na Facebooku i przez cały miesiąc przed wyborami bombardowali ich nagraniami sprzed dwudziestu lat, gdzie Clinton mówi, że czarni to przestępcy. W Polsce używa się tej metody od jakichś dwóch lat, ale w ograniczonym stopniu, my możemy zrobić to lepiej: przypominać wyborcom PO o ośmiorniczkach, a zwolennikom PiS do znudzenia puszczać taśmy o Srebrnej. W efekcie i jedni, i drudzy będą mniej skłonni pofatygować się do urn.

– Metoda druga. – Aneta przewinęła slajd. – Wykolejenie debaty. Popularne na Zachodzie, ale na krajowym rynku się z tym jeszcze nie spotkałam. Kupujemy kilka tysięcy sztucznych profili na Facebooku, ale takich dobrze utuczonych, założonych kilka lat temu, aktywnych, ze zdjęciami i znajomymi. Na miesiąc przed wyborami nakładamy im na zdjęcie profilowe partyjną ramkę, a potem wrzucamy prowokacyjne wpisy. Na przykład fejkowy profil przypisany do Razem proponuje legalizację zoofilii, inny, z logo PiS, nawołuje do wyjścia z Unii Europejskiej, a ten od PO dowodzi, że eksmitowanie ludzi na bruk jest okej, bo służy gospodarce. W efekcie robi się gównoburza, ludzie skaczą sobie do oczu, a wyborcy danej partii mają problem, bo czują, że powinni jej bronić, ale nie zgadzają się z ekstremalnymi poglądami głoszonymi przez rzekomego współtowarzysza. Wtedy słabnie identyfikacja z własnym obozem politycznym i spada motywacja do jego poparcia.

– Metoda trzecia. – Robiło się coraz zimniej. Aneta próbowała wyłączyć klimatyzator, ale bez skutku, pilot chyba się zepsuł. No nic, pomyślała,

rozcierając zgrabiące palce, jakoś wytrzymam. – Fake newsy. Badania pokazują, że ludzie lajkują i udostępniają artykuły bez czytania treści, na podstawie samego nagłówka. A tam można wsadzić wszystko, największą bzdurę. Tak długo, jak długo będzie rezonować z poglądami użytkownika, będzie skłonny w nią uwierzyć. Przykład: parę lat temu ktoś założył fejkowy profil Morawieckiego, a potem wypisał peany na cześć premiera z tego samego konta. Wyglądało to tak, jakby Morawiecki sam siebie wychwalał, bo zapomniał się przelogować między profilami. Ściema ewidentna, ale to nikomu nie przeszkadzało, dziesiątki tysięcy ludzi dało się nabrać, bo chcieli w to wierzyć. Kancelaria premiera oczywiście wydała dementi, ale sprostowania docierają do jednej setnej odbiorców fałszywej wiadomości, no bo, umówmy się, są nudne. Więc co robimy? Zakładamy pięć portali informacyjnych, za kilka stów sztuka, i każdego dnia wypuszczamy jakiegoś fejka. A to, że prezydent wysłał swoje nagie zdjęcia Ruchadełku Leśnemu na Twitterze, a to, że prezes nie jest wcale chory, tylko przechodzi operację zmiany płci. Najlepsze jest to, że nawet jeśli ktoś się domyśli, że to wysrane z palca, to podminuje to jego zaufanie do mediów w ogóle, więc kiedy później pojawi się jakaś niekorzystna dla nas historia, zawsze możemy ją podważyć jako...

– Oj, Aneta, Aneta... – Artur pokręcił głową, wstał od stołu.

– Tak?

– To wszystko jest bardzo ciekawe, no i jestem pod wielkim wrażeniem twojego otrząskania w temacie, ale... Nie o to chodziło.

Aneta skrzyżowała ręce na piersiach. Po trochu dlatego, że była urażona. A po trochu dlatego, że było jej cholernie zimno.

– Nie będziemy tak robić polityki – ciągnął. – To jest walenie się pałami po łbach.

– Do tego właśnie służy internet. I ten, kto wali mocniej, wygrywa.

Poseł Artur Warecki uśmiechnął się, odwrócił wzrok w stronę okna. Ktoś wieszał pranie na balkonie po drugiej stronie dziedzińca, gołębie tańczyły tańce godowe koło śmietnika, zamiatając skrzydłami po splekanym asfalcie.

– Opowiem ci coś – powiedział po chwili. – Kiedy piętnaście lat temu wyjeżdżałem z Polski, miałem oferty od dwóch klubów. Pierwszy był West Ham, wtedy jeszcze w Premier League, a drugi Hellas Verona, który grał w Serie B. Wybrałem Włochów, mimo że grali ligę niżej i dawali mniej pieniędzy. Wiesz, dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– Bo wtedy angielski futbol oznaczał kopanie się po kostkach, a włoska piłka to była sztuka. No i koniec końców i tak wylądowałem w Romie. To, co tu zaproponowałaś... – Artur wskazał palcem wyświetlony na ścianie slajd. – To jest ordynarne. Prędzej czy później wyjdzie na jaw i będą z tego kłopoty.

– Aha.

– Aneta, nie zrozum mnie źle... Jesteś świetna w swoim fachu. Fantastycznie zarządzasz moimi profilami, obecnością w mediach społecznościowych...

– Ale tym wyników nie zrobisz. To za mało. Widziałeś ostatnie sondaże?

– Oczywiście, że widziałem – zachnął się Artur. Im bliżej było do wyborów, tym bardziej malało poparcie dla Polski Jutro. Respondenci, którzy wcześniej wyrażali chęć zagłosowania na ich ugrupowanie, teraz wycofywali poparcie, uciekali do dużych ugrupowań. Bali się, że Polska Jutro wyląduje pod progiem, a ich głosy w koszu. – Dlatego chciałbym, żebyśmy się spotkali z taką zewnętrzną firmą, która pomoże nam opracować nieco bardziej wyrafinowaną strategię działania w sieci.

– Rozumiem. – Aneta skinęła głową. Czyli zwąchał się z kimś. Za jej plecami. W tym samym czasie, kiedy pracowała nad prezentacją. Świetnie. – Jak się nazywa?

– Net Solutions.

– Nie słyszałam.

– Bo to nowa rzecz. Zaproszę ich do nas. Okej?

– Okej.

– *Tutto bene?*

– *Tutto bene.*

– Zuch dziewczyna. – Artur spojrział na zegarek. – Słuchaj, muszę lecieć. Do jutra.

– Do jutra.

Artur wyszedł z pokoju, zamknął za sobą drzwi. Aneta stała chwilę bez ruchu; przygryzione usta, ręce zaciśnięte w pięści. A potem podniosła pilota od klimatyzacji i cisnęła nim z całej siły o ścianę.

CZYM JEST DLA CIEBIE WSPÓLNOTA?, pytał napis u góry tablicy. „Rodzina”, napisał ktoś wielkimi kulfonami na środku. „Przyjaciele”, dodał ktoś obok. „Solidarność ponad podziałami”, dopisał ktoś inny poniżej, różową kredą. Reszty odpowiedzi nie było widać, bo zasłaniał je

Maciek. Usiadł na szafce i założył nogę na nogę; sznurówki rozwiązanych trampek opadały ku ziemi.

– Tak, Oleg? O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

– Sorry, że zawracam głowę, ale... Zauważyłem serię dziwnych wpisów – odpowiedział Białorusin. – Trafiły do moderacji w tym samym czasie, opublikowano je wszystkie w kilkanaście minut.

– Aha. I co w nich było?

– Treści nacjonalistyczne, antyimigranckie... Ale napisane tak, żeby nie złamać naszego regulaminu. Jakby ktoś go znał i wiedział, których granic nie można przekroczyć.

– Mhm.

– Wrzuciłem potem treść tych postów do wyszukiwarki... I znalazłem jeszcze w paru innych miejscach. W komentarzach na WP, Interii. W sumie kilkaset wyników. Parę profili, z których poszły te wpisy – kontynuował Oleg – było do tej pory prowadzonych w innych językach, pod obco brzmiącymi imionami. Joaquin Perreira na przykład. Albo Mishiko Yamagu.

– Rozumiem. – Maciek pokiwał głową, oczy uciekły mu w bok, jakby nad czymś intensywnie myślał, obracał coś w głowie. – I?

– No, wygląda mi to na fejkowe profile, których ktoś używa, żeby...

– Tak, tak, ale czy te wpisy łamały nasze zasady?

Chwila ciszy. Oleg potarł brodę, podrapał się po uchu.

– Same wpisy nie – powiedział – ale problem w tym, że pochodziły chyba z kont prowadzonych pod fałszywym imieniem albo wręcz przez boty. A tego regulamin zabrania, prawda?

– Prawda – zgodził się Maciek. – To poważny problem. Dlatego mamy osobny dział, który się tym zajmuje. Dwa piętra wyżej.

– Oczywiście, zdaję sobie sprawę, tylko...

– Oleg. – Przełożony wszedł mu w słowo. – Wiesz, ile osób zatrudniamy?

– Nie.

– Ponad trzydzieści tysięcy. W blisko sześćdziesięciu biurach. Na wszystkich kontynentach, z wyjątkiem Antarktydy. – Maciek zawiesił na chwilę głos, żeby Oleg to sobie wyobraził, żeby przyswoił ten ogrom. – No i pomyśl, co by się stało, gdyby tak każdy każdemu chciał pomóc. Księgowość by nam doradzała, które wpisy usunąć, kreatywni sprawdzaliby, czy księgowości sumują się tabelki, pijarowcy by analizowali, czemu programistom nie kompiluje się kod, a programiści

wymyśliliby w tym czasie nową kampanię reklamową. Niezły by wyszedł z tego burdel, co?

– Mhm.

– No właśnie. Dlatego, Oleg, trzymamy się swojej działki.

– Rozumiem, oczywiście. Po prostu pomyślałem, że wiesz, w świetle tego, co się działo w Stanach w dwa tysiące szesnastym, firma będzie bardziej wyczulona na... – Białorusin urwał w połowie zdania. Maciek ściągnął brwi, z ust zniknął mu uśmiech. Do tej pory wysłuchiwał Olega z dobrotliwą miną rodzica, któremu przejęty trzylatek relacjonuje, kto komu zabrał foremkę w piaskownicy: w świecie dorosłych to nie ma żadnego znaczenia, ale skoro to dla ciebie ważne, to proszę, wygadaj się. Teraz wyglądał, jakby trzylatek powiedział mu właśnie, że wysuszył chomika w mikrofalówce.

– Tak, firma jest bardzo wyczulona – powiedział Maciek. – I robi, co może, żeby rozwiązać ten problem, nie naruszając jednocześnie naszego modelu biznesowego.

– Okej.

– Gdybyśmy automatycznie kasowali każde konto, które wygląda na fałszywe, usunęlibyśmy przez przypadek również prawdziwe profile. A na to nie możemy sobie pozwolić. Mniej profili to mniej interakcji między użytkownikami, mniej interakcji między użytkownikami to mniej wyświetleń, mniej wyświetleń to mniej przychodów z reklam, a mniej przychodów z reklam, to mniej pieniędzy na pensję dla Olega. Jasne?

– Jasne.

– Świetnie. To wszystko?

– To wszystko.

– Dzięki za rozmowę.

Oleg wrócił do biurka, usiadł przed komputerem. W kolejce czekało kilkaset kolejnych wpisów do moderacji. Selfie trzynastolatki, na którym było widać zbyt wiele. Zdjęcie z komory gazowej opatrzone zabawnym, w zamierzeniu autora, komentarzem. Animowany GIF, na którym widać, jak ktoś przywiązuje psa do drzewa, a potem oblewa go benzyną i podpala. Czternaście lajków, dwa serduszka.

„Czym jest dla ciebie wspólnota?”, pomyślał.

Dobre pytanie.

Julita otworzyła szufladę z przyprawami – i kichnęła. Mielony pieprz wysypał się z niedomkniętej saszetki. Zrobię tu kiedyś porządek, pomyślała, wycierając nos, na święta, no, na Wielkanoc najpóźniej. Cztery

różne torebeczki z cynamonem, wszystkie otwarte. Egzotyczne przyprawy do curry – kurkuma, kardamon, kmin rzymski – które kupiła, jak miała fazę na gotowanie z książki kucharskiej, i użyła ich tylko raz. Skamieniała gałka muszkatołowa, pusty słoiczek po ekstrakcie wanilinowym. Wreszcie znalazła to, czego szukała – saszetkę z napisem „Oregano”. Oczywiście była pusta. Trudno, będzie bez oregano.

Drrr, drrr, zawibrował wyciszony telefon na kuchennym blacie. Piotrek Miąsek, jej kumpel z czasów, kiedy jeszcze pracowała w Meganewsach. Julita przeciągnęła zieloną słuchawkę na bok, przycisnęła komórkę ramieniem do ucha i wróciła do gotowania.

– Halo? Tak, tak, dzwoniłam... – powiedziała, wrzucając cebulę na rozgrzaną patelnię. – Co słytać? Aha... Aha... No, mam prośbę do ciebie. A, widziałeś mojego mejla? Brzmi jak pawian na torturach? No, tak, wiem... Aj! – Olej prysnął jej na skórę. – Nie, nic... Powiedzmy, że pracuję wielozadaniowo... Nazywa się Wiolka... Wioletta Słaby... Wrzuciłbyś ją do „Rozrywki”? Nie... Do „Nekrologów”? – Dołała przecier pomidorowy; zaskwierczało, para buchnęła jej w twarz. – Czemu? Ha, ha, bardzo śmieszne... Skoro muzyka przeżyła Ich Troje, to udźwignie jakoś Wiolettę Słaby. Dobra, bardzo ci dziękuję. Jesteś kochany. Pa!

Julita odłożyła telefon – i zauważyła, że dostała SMS-a.

Leon

18/07/2020, 19:41

Przepraszam, muszę dzisiaj zostać dłużej w pracy. Zjedz beze mnie, ok?

Jeszcze raz sorry.

Do zobaczenia.

Który to już raz w tym miesiącu?, pomyślała, wsypując makaron do garnka. Łatwiej byłoby policzyć, ile razy zjedli razem. Super, po prostu super. Julita dołała oliwę do gotującej się wody, mimo że dowiedziono już ponad wszelką wątpliwość, że to nic nie daje, a makaron i tak się pozlepia – niektórych nawyków nie sposób się oduczyć – i wzięła się do zmywania.

Rzeczniczka prasowa mińskiej policji nie miała wiele do powiedzenia – sprawa jest wciąż otwarta, badamy wiele wątków, na razie nie możemy wykluczyć żadnej hipotezy, nie mogę udzielić więcej informacji ze względu na dobro śledztwa. Lokalny dziennikarz był przeuroczym człowiekiem, który sypał anegdotami jak z rękawa, ale o Hance

Barańskiej wiedział niewiele: pogrzebano ją na cmentarzu miejskim przy Kościelnej, synem opiekuje się babcia, wywiozła go z miasta. Więc pozostawał trop, który dostała od Wiolki: nick stałego adoratora Hanki, faceta, z którym przez długie miesiące łączyła się dzień w dzień. Który powiedział jej coś niepokojącego na kilka dni przed tym, jak została uduszona stalową linką.

Julita wymieszała makaron z sosem i posypała serem – parmezanem, prawdziwym parmezanem z wybitym na skórce stemplem, kupowanym we włoskich delikatesach na Saskiej Kępie, tak jej się powodziło. Usiadła przy kuchennym stole, rozłożyła gazetę. Próbowała przeczytać wywiad z jakimś medioznawcą, ale nie mogła się skupić, była myślami gdzie indziej. W końcu poszła po laptopa i postawiła go po drugiej stronie stołu. Czekała, aż się uruchomi, wciągała pospiesznie nitki gorącego makaronu. Był niedogotowany i niedosolony. Nie zwracała na to uwagi.

„Alexxander12”. Dość charakterystyczny pseudonim, to dobrze. Ludzie często korzystali z tego samego nicka na kilku różnych platformach – jeśli adorator Hanki też tak robił, powinna móc go odszukać. Julita nawinęła na widelec makaron i wpackowała go sobie do ust, po czym wklepała nick do wyszukiwarki. Enter.

Dwa miliony czterysta tysięcy wyników. Julita gapiała się w ekran komputera; z ust zwisały jej czerwone nitki makaronu. Dwa miliony? Dużo. Bardzo dużo. Może prowadził pod tym pseudonimem jakiś popularny kanał na YouTube albo streamował gry na Twitchu? Julita przeglądała linki. Profil we wszystkich istniejących mediach społecznościowych, łącznie z niszowym Gabem i regionalnymi Odnoklassnikami, VKontaktie czy Sina Weibo. Komentarze na wszystkich portalach informacyjnych, od „New York Times” po rumuński „Evenimentul Zilei” i islandzki „Fréttablaðið”. Tyle że profile były puste – bez zdjęć, bez wpisów, bez kontaktów – a komentarze zawierały losowe ciągi wyrazów, bełkot. Julita otarła tłuste od sosu usta. Ciekawe. Zaczęła grzebać w ustawieniach wyszukiwania. Wyglądało na to, że zdecydowana większość wpisów i kont pojawiła się na przestrzeni ostatnich dwóch lat. Jakby ktoś próbował zatrzeć ślad, ukryć prawdziwego Alexxandra12 w gąszczu pustych linków.

Julita знаła ten wybieg. Zwykle korzystały z niego firmy zajmujące się tak zwanym *online reputation management*, „zarządzaniem internetową reputacją” – czyli, mówiąc wprost, przywracaniem normalnego życia ludziom, którzy zostali zlinczowani w sieci. Za co? Za cokolwiek. Wrzuciłeś na swój profil głupi żart, który inni wzięli na poważnie?

Obraziłeś czyjś ulubionego celebrytę? Nagrali cię, jak dłubiesz w nosie w metrze? Jeśli z jakiegoś powodu algorytmy uznały, że ten materiał warto eksponować, jeśli zaczął się klikać, to twoje imię przestaje być twoje, zostaje przypisane do tego jednego zdjęcia, jednego wpisu, jednego filmu, rzucone na żer milionów. Nagle stajesz przed całym globem. A potem, wiadomo. Głuche telefony, żarty, pogrożki. Tysiące, każdego dnia. Niektóre tylko nieprzyjemne, inne – niepokojące. Zdjęcie twojego domu, twojego auta, twoich dzieci. Wiemy, gdzie mieszkasz. Ofiary internetowych samosądów czasem traciły pracę, czasem rozpadały im się związki. A czasem było jeszcze gorzej. I co z tym zrobić? W Europie można było chociaż skorzystać z prawa do bycia zapomnianym, wymóc na Google’u, żeby usunął z wyników wyszukiwania toksyczne materiały. Ale to trwało miesiącami, poza tym można było spotkać się z odmową. Co więc pozostawało? Zapłacić komuś, żeby zalał internet milionami bezwartościowych linków z twoim imieniem, przez co kompromitujący materiał zostanie wprawdzie rozwodniony – a w końcu, poprzez zręczną manipulację algorytmów wyszukiwania, pójdzie na dno. Julita rozważała, czy nie skorzystać z tej opcji po tym, jak do sieci wyciekły jej nagie zdjęcia. Ale ceny zaczynały się od dziesięciu tysięcy dolarów.

Po odfiltrowaniu plew zostało sto siedem wyników. Internauta o pseudonimie „Alexxander12” miał profil na portalu MyGreatCams i na Reddicie – gdzie udzielał się na forach o zabarwieniu pornograficznym („drobne dziewczyny”, „dzikie Azjatki”, „większe niż myślałeś”) oraz, o dziwo, ogrodnictwie. W sumie kilkadziesiąt wpisów, w większości krótkich, dwa-trzy słowa, jakiś emotikon, tylko parę razy wdał się w jakieś dłuższe wymiany zdań – niechętnie wchodził w interakcje z innymi internautami. Ostatnia aktywność dwa lata temu, zamilkł po śmierci Hanki. Ciekawe.

Julita wysłała do niego wiadomość z prośbą o rozmowę, chociaż nie spodziewała się, żeby odpisał. Wyszła na balkon, zapaliła. Pięć minut, dziesięć. Nic. Wróciła do środka, wyciągnęła notatnik i znów czytała jego wpisy, ale tym razem powoli, słowo po słowie. *Colour* pisane przez „ou”, *centre*, a nie „center” – brytyjski angielski. Brak błędów ortograficznych, skrótów, przekleństw, do tego poprawna interpunkcja. Godziny, w których pojawiały się komentarze, sugerowały, że mieszka w jakiejś europejskiej strefie czasowej – albo poza nią, ale ma zaburzony cykl dnia i nocy. Prawie wszystkie wpisy były edytowane, co sugeruje kompulsywną osobowość. Mężczyzna, być może Brytyjczyk, wyższe wykształcenie, około trzydziestu–czterdziestu lat, samotnik.

Znajdę cię, pomyślała Julita. Kimkolwiek jesteś.

Aneta obudziła się za pięć szósta, nim zadzwonił budzik. Wstała z łóżka, założyła sportowy stanik, oddychającą koszulkę i legginsy. Szybkie śniadanie – surowe płatki owsiane z jogurtem naturalnym, popite czarną kawą – i chwilę później była już na dworze. Pięć minut na rozgrzewkę i rozciągnięcie mięśni, łyk izotoniku, potem ruszyła truchtem w stronę Parku Dreszera.

Aneta nie lubiła biegać. Ale nic tak nie oczyszczało głowy, nie dawało kopa – a dziś tego potrzebowała, dziś musiała być ostra jak brzytwa. Wieczorem w siedzibie Polski Jutro miało się odbyć spotkanie z przedstawicielem Net Solutions w sprawie prowadzenia kampanii wyborczej w sieci. Dlatego robiła okrążenie za okrążeniem, czerwona i zdyszana, ignorując klucie w boku.

Niewiele znalazła na temat tej firmy. Elegancka strona domowa, jakieś wywiady, profil na LinkedInie. Kilkunastu pracowników, wszyscy z doświadczeniem w branży, chociaż nie kojarzyła ich nazwisk, wszyscy wyglądali jak modele: doskonale ubrani, świetnie sfotografowani, nienaganne fryzury, szerokie uśmiechy. Siedziba pod prestiżowym adresem, Nowy Świat 63. Nie wiadomo, z kim do tej pory pracowali, nie chwalał się – ale to nic dziwnego, klientom pewnie zależało na dyskrecji, w końcu korzystania z tego rodzaju usług się nie reklamuje.

Aneta minęła plac zabaw, który już powoli wypełniał się nadaktywnymi dziećmi i ich szurającymi nogami matkami, odbiła w boczną alejkę. Biegący z naprzeciwka jogger skinął jej głową w braterskim pozdrowieniu. Aneta nie odpowiedziała. Patrzyła prosto przed siebie, zaabsorbowana własnymi myślami, skupiona na celu. Wiedziała, że musi pokazać na tym spotkaniu, kto tu rządzi, kto gra pierwsze skrzypce. Nie po to wyciągnęła się sama za uszy z wypizdowa na Podlasiu, nie po to harowała po nocach, studiując i pracując przy kasie, żeby teraz ktoś ją rozstawiał po kątach. Artur chce, żeby im pomogli? Proszę bardzo. Tylko żeby było jasne, kto tu jest szefem. Kto prowadzi tę kampanię.

Dokończyła okrążenie i pobiegła w stronę domu; ostatnia prosta, sprint. Emerytka schowała się w bramie wraz z kraciastym wózkiem na zakupy, żeby zejść jej z drogi, chłopiec, który wyprowadził na spacer tłustego

mopsa, aby jak co rano wysrał się na środek chodnika, szarpnął za smycz, odciągając psa na bok. Aneta wbiegła po schodach do mieszkania, zrzuciła z siebie przeпоcone ciuchy i weszła pod prysznic. Puściła wodę, lodowatą, aż bolało, aż chciało się krzyczeć, i zaczęła szorować się gąbką, raz za razem, do czerwoności.

O godzinie ósmej wsiadała już do autobusu. W środku był tłok, wszystkie siedzenia zajęte. Stała naprzeciwko czterdziestoletniego mężczyzny, który zajął fotel przy oknie, spojrzała mu w oczy. I patrzyła. Wytrzymał trzy sekundy. Potem ustąpił jej miejsca, mamrocząc przeprosiny, choć sam nie wiedział, czym właściwie zawinił.

Julita obudziła się w łóżku, co było dziwne, bo nie pamiętała, żeby się do niego kładła. Co jeszcze dziwniejsze, miała na sobie piżamę – a spodnie były założone tył na przód. Uniosła się na łokciach, przetarła oczy. Druga strona łóżka była pusta, pościel wygnieciona. Dopiero teraz usłyszała szcęk naczyń i plaskanie bosych stóp na kafelkach. Spojrzała na zegarek. Ósma dwadzieścia. Dziwne. O tej porze Leon był już zwykle w drodze do pracy.

Julita poczłapała do kuchni. Stolik był zastawiony, i to elegancko, z serwetkami i w ogóle. Na środku parował dzbanek z kawą, obok stała miska z twarożkiem i koszyk ze świeżym pieczywem. Leon szukał czegoś w lodówce – od pasa w górę zasłaniały go drzwi, widać było tylko nogi, chude i włochate. Na kolanie wciąż miał strupy po tym, jak miesiąc temu poszli na rolki. Ona jeździła od dziecka, on drugi raz w życiu, ale uparł się, że będą się ścigać. No to się ścigali. Pięć metrów, bo potem wyrznął o chodnik. Leon robił dobrą minę do złej gry, dowodził, że nic takiego się nie stało, że będzie ćwiczył i następnym razem wygra. Ale następnego razu nie było. Bo nie miał czasu.

– A ty nie w pracy? – spytała, kiedy wyłonił się zza lodówki z kartonem mleka.

– Ja też się bardzo cieszę, że cię widzę, kochanie – odparł Leon.

– Przepraszam, śpię jeszcze... Cześć. – Stała na palcach, pocałowała Leona w policzek. Był świeżo ogolony, pachniał mydłem i wodą kolońską, szczyphał w usta. Lubiła to.

– Cześć.

– Ponawiam pytanie.

– Wiesz, wczoraj zostałem do późna, więc wynegocjowałem, że dziś przyjdę dopiero na jedenastą.

Julita pokiwała głową. Próbowała ugryźć się w język. Naprawdę próbowała. Ale nie wyszło.

– Aha – powiedziała. – No, to gratuluję sukcesu w negocjacjach.

– O co ci chodzi?

– Nic, nic, jestem pod wrażeniem, że tyle ci się udało wyszarpać. Od trzech miesięcy pracujesz po dziesięć godzin dziennie, łącznie z weekendami, a w zamian raz możesz przyjść na jedenastą do biura, moje gratulacje. Może jeszcze sprzedasz im Manhattan za szklane koraliki?

– A ty znowu o tym? – Leon odstawił mleko na blat. – Serio?

– Tak, ja znowu o tym. Bo wiesz, nasze poprzednie rozmowy jakoś nie przyniosły rezultatów.

– Mówiłem ci, że mamy deadline i...

– A ja ci mówiłam, że w dupie mam ten deadline – weszła w mu słowo.

– Poprzedni zresztą też. I następny, z góry ci powiem. Całą tę grę mam w dupie, o, taka jest pojemna, wyobraź sobie.

– Miło, że masz takie zdanie o mojej pracy.

– Mam zdanie, że jest jej za dużo.

Leon chciał coś powiedzieć, otworzył już nawet usta, ale prychnął tylko i machnął ręką.

– No co? – spytała.

– Nic.

– Wiem, że nie nic.

– Nie chce mi się o tym gadać.

– To też wiem. A ty wiesz, że nie znoszę, jak tak ucinasz rozmowy. No, dalej. Powiedz.

– Daj mi spokój.

– Powiedz.

Leon oparł się o blat, skrzyżował ręce na klatce piersiowej. Obok, na kuchence, smażyły się jajka.

– Skoro nalegasz... – westchnął. – To zabawne, że akurat ty mi dajesz lekcje o tym, jak godzić pracę z życiem osobistym. Bo jak wróciłem wczoraj o drugiej nad ranem, to spałaś z twarzą na klawiaturze. Musiałem cię zanieść do łóżka.

– To nie fair.

– Bo?

– Bo wiesz czemu mam kłopoty ze snem.

– Wygodna wymówka.

– Słucham?

– Wygodna wymówka. Julita... – Leon potarł czoło. – Tak, przeszłaś straszne rzeczy. Ale to nie tłumaczy, czemu każdej nocy siedzisz przed komputerem, aż padniesz na pysk.

– Mhm. A co tłumaczy?

– Masz problem. Moim zdaniem to jest jakaś forma uzależnienia.

– Ciekawa diagnoza, doktorze Nowiński.

– Chcesz słuchać czy chcesz sobie ze mnie drwić?

– Ależ słuchać, oczywiście, że słuchać. Proszę kontynuować wywód.

– Siedzę długo w pracy, to prawda. Ale przynajmniej z niej kiedyś wychodzę. A ty... Tkwisz w tym cały czas. Non stop. Jak wpadasz w te swoje ciągi, zapominasz o wszystkim, nie jesz, nie pijesz, nie śpisz. To nie jest normalne.

– Kurde, ale by było fajnie, gdybym miała coś, co by mnie mogło wybić z tych moich obsesji... – Julita uniosła oczy ku niebu, czy raczej ku sufitowi, i ciągnęła rozmarzonym tonem – ...albo wiesz, kogoś. Chłopaka na przykład... Z którym bym mogła zamieszkać. Chodzilibyśmy na spacery nad Wisłę i do knajpek, do kina... Oczywiście, gdyby znalazł na to czas. Hm? Co myślisz?

– No nie wiem.

– Nie wiesz?

– Nie wiem, bo nawet jakby ci ten hipotetyczny chłopak zrobił śniadanie, to zamiast powiedzieć dziękuję, zrobiłabyś mu opierdol. I mogłoby mu się odechcieć.

– Ach, przepraszam. – Julita złożyła ręce jak do modlitwy. – Facet zrobił śniadanie! Grajcie anieli! Klękajcie narody!

– Nie mówię, że to od razu jakieś wielkie halo, ale...

– Alleluja! Poszedł do sklepu! Pokroił chleb!

– Przestań.

– Ludzie świętują na ulicach! Ogłaszają dzień wolny od pracy!

– Przestań!!!

Stali naprzeciw siebie, czerwoni na policzkach, źli. Mierzyli się wzrokiem. Dopóki nie zaczęło zalatywać węglem.

– Jajka się palą – powiedziała Julita.

– Cholera... – Leon zdjął czym prędzej patelnię z ognia, próbował ratować sytuację, ale było już za późno. Zgarbiony nad kuchenką, w starych bokserkach i wyciągniętej koszuli, wyglądał rozczulająco. Co oczywiście nie zmieniało faktu, że Julita nadal była na niego zła.

Leon zdrapał spalone jajka szpatułką, cisnął brudną patelnię do zlewu i zalał ją gorącą wodą.

– Nie chcę się z tobą kłócić – powiedział, nie odwracając się w jej stronę.

– A co, myślisz, że ja chcę?

– Szczerze? Czasami to tak.

Spokojnie, pomyślała Julita. Nie wściekaj się. To nic nie da.

– Leon... – zaczęła. – Nie robiłabym afery, gdyby nie to, że mi na tobie zależy. Chcę z tobą spędzać więcej czasu. No i wiesz, mam nadzieję, że to uczucie jest odwzajemnione.

– Jest.

– No to co z tym zrobisz?

Leon wziął głęboki oddech, jak zwykle, kiedy nie wiedział, co powiedzieć, bębnił palcami o blat. Wreszcie odwrócił się do niej.

– Wytrzymaj do końca miesiąca – powiedział w końcu. – Do tego deadline’u, co go masz w dupie. Potem pogadam z szefem. Okej?

– Okej.

Julita podeszła do niego, złapała w pasie i przytuliła.

– Przepraszam, że nie podziękowałam za śniadanie.

– Nie, spoko... Nie gniewam się.

– Lubię cię za to.

– Za co?

– Że jesteś taki... – Julita szukała odpowiedniego słowa. – No, niepogniewalny. Że się nie burmieszysz. Nawet, jak ci zrobię z rana opierdol.

– No proszę, nawet ja mam jakieś zalety.

Stali chwilę w ciszy, przytuleni, mocno, aż trudno było oddychać.

– To co... – Leon bawił się jej włosami, głaskał jej plecy. – Zjemy? Miały być jajka, no ale... Chyba że chcesz, żebym skoczył do sklepu?

– Nie, nie, daj spokój.

Usiedli do stołu. Leon nalał kawę do kubków, Julita posmarowała chleb masłem. Unikali swojego wzroku. Drętwa, niewygodna cisza dzwoniła w uszach. Jak to po kłótni.

– To... Na czym stanęło z tą camgirl? – spytał w końcu Leon.

– Mhm. – Julita przełknęła kęs pieczywa, po czym zaczęła mówić, szybko, wdzięczna, że może zmienić temat. – Wiesz, sprawa faktycznie jest ciekawa. Wyobraź sobie, że miała takiego, no, stałego korespondenta czy adoratora, z którym odbywała regularnie prywatne sesje. Na kilka dni przed morderstwem powiedział jej coś, co ją mocno zaniepokoiło... A potem przestał się odzywać.

– To pewnie nie był przypadek.

- Pewnie nie. Znalazłam wczoraj jego konto, wysłałam parę wiadomości... I nic, nie odpisuje. Cisza.
- Dziwne, skoro miał na jej punkcie taką obsesję...
- Niekoniecznie. Może po prostu się wystraszył i przestał używać tego konta.
- Racja. No to co teraz?
- Muszę się jakoś dowiedzieć, o czym rozmawiali. Co jej takiego powiedział.
- Będzie chyba ciężko?
- Mhm. – Julita nałożyła sobie twarożek. Z cebulą, czosnkiem, szczypiorkiem, taki, jak lubiła. – Logi tych rozmów miało na bank MyGreatCams, wiesz, ta platforma, ale na pewno mi ich nie udostępnią. Może być, że nagrywali też kopie tych czatów lokalnie, w biurze DreamNetu, tam w Mińsku Mazowieckim. Ale ich komputery zarekwirowała policja.
- Czyli też ślepy zaułek.
- No właśnie nie do końca.
- Jak to? Myślisz, że cię dopuszczą do tego sprzętu?
- Mnie nie. – Julita popiła twarożek czarną kawą. – Ale od czego są znajomi.

Oleg stanął na palcach i uniósł ręce, gotowy do skoku. Napastnik oszukał obrońcę prostym zwodem, minął go jak tyczkę i wbiegł w jego pole karne. Zawodnicy z obu drużyn zaczęli ryczeć przed siebie:

- Podaj!
- Strzelaj!!!
- *Biehczy za im!*
- Wyjdź do niego! No wyjdź!
- Kurwa!

Oleg nie zwracał na te wrzaski uwagi, wiedział, że tylko go rozproszą. Skupił wzrok na piłce, czekał na strzał. Napastnik odchylił się do tyłu, wziął zamach. Lewo. Górne lewo. Oleg wzbił się w powietrze, jeszcze zanim but dotknął piłki. Sięgnął jej końcówkami palców, odbił od bramki – i upadł na ziemię; astroturf drapał kolana i łokcie. Gwizdek sędziego, czyli piłka wyleciała za linię autu, może odetchnąć, nie będzie dobitki. Oleg podniósł się, skrzywił, roztarł dłoń. Bolała, mimo że miał na sobie rękawice. Strzał był cholernie mocny.

- *Brawa, Oleg! Pawaha!*
- Dalej, dalej, panowie! – Oleg wytarł rękawice o dresy. – Gramy!

Napastnik pobiegł do narożnika. Ostatnia minuta meczu, ostatnia akcja. Oleg ustawił obrońcę przy słupku, a sam stanął na linii bramki. Gwizdek, kopnięcie, podkrecona piłka szybuje w pole karne. Wybił się z palców, najwyżej jak potrafił, i złożył dłoń w pięść; byle wybić, daleko, jak najdalej, a sędzia odgwizdże koniec, urwą chociaż jeden punkt. Ale tym razem nie sięgnął. Zabrakło centymetrów. Napastnik uderzył piłkę głową, posłał ją do siatki. Ryk tryumfu, gwizdek, oklaski nielicznych kibiców. Przegrali.

– Nie przejmuj się. – Paweł, obrońca, podał mu dłoń, pomógł podnieść się na nogi. – Świetnie grałeś.

– Wzajemnie. – Oleg poklepał go po plecach.

Tak, Oleg grał świetnie. Jak zawsze. Niestety, to nie wystarczało. Miał doskonały refleks, pewny chwyt, umiał się ustawić na boisku, zarządzać obroną. Ale był za niski. Pieprzone metr sześćdziesiąt dwa. Był taki czas, że był najwyższy w klasie, górował nad kolegami. A potem, kiedy stuknęło mu trzynaście lat, kiedy trener wróżył mu międzynarodowe sukcesy, przestał rosnąć. Ot tak, po prostu. Nikt nie wiedział czemu. Chodzili z matką od lekarza do lekarza, a z ojcem do wiejskich znachorek. Pigułki, zastrzyki, gorzkie jak cholera napary z babki, rumianku i czort wie czego jeszcze. I nic. Kreski na framudze drzwi jego pokoju, gdzie odmierzali wzrost, nachodziły na siebie, w końcu przestali je rysować. Skończyły się sny o stadionach, o sławie, o Złotej Piłce. Pozostawały ligi podwórkowe.

Oleg napił się wody i ruszył do szatni. Ich przeciwnicy, Szatańskie Pięty, wygrali 1:0 i na dwa mecze przed końcem kolejki zapewnili sobie awans do wyższej ligi. Jego drużyna, FC Kresowiaki – zbieranina chłopaków ze wschodniej Polski, Białorusi i Ukrainy – wciąż była w strefie spadkowej. I wszystko wskazywało na to, że się w niej utrzyma do końca sezonu. No nic, pomyślał Oleg. Przynajmniej jak spadną do czwartej ligi, to niżej już nie zlecą.

Wszedł do szatni. Zaduch, smród potu, mokre gacie i getry przewieszane przez drzwiczki od szafek, para buchająca spod pryszniców. Oleg rozsznurował buty, ściągnął dresy i poobijane nagolenniki. Pasowały jak ulał. Kupił je w dziale dziecięcym. Były w promocji, w zestawie z piłką w Batmany; ŚWIETNY PREZENT NA KOMUNIE!, podpowiadał napis na plakacie.

Ktoś zasłonił mu światło, ktoś nad nim stał. Oleg uniósł wzrok. Napastnik z przeciwnej drużyny, zdobywca jedyne go gola, Marek czy Marcin. Cały uśmiechnięty.

– Dobry mecz, mały. – Marek czy Marcin uniósł dłoń do piątki.

Niezręczna cisza. Oleg siedzi, jak siedział. Uśmiech napastnika zniknął, ręka opadła.

– Masz jakiś problem? – spytał.

– Odczep się – warknął Oleg.

– Weź się, kurwa, naucz przegrywać, kurdupłu.

Oleg cisnął nagolenniki na ziemię, zerwał się na nogi. Sięgnął Markowi czy Marcinowi do piersi; musiał zadrzeć głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Jak mnie nazwałeś?

– Weź zluzuj.

– Jak mnie, kurwa, nazwałeś?! – Oleg pchnął chłopaka z całej siły, dość, żeby ten zrobił krok do tyłu. Niektórzy piłkarze zastygli bez ruchu, z nogawkami naciągniętymi do połowy uda, z koszulkami podwiniętymi pod brodę, inni wstali z ławek, żeby zainterweniować.

– Oleg. – Paweł, kolega z drużyny, złapał go za ramiona. – Nie warto.

– Startujesz do mnie, gnojku? Co? Startujesz?

– Marek, daj mu spokój – zawołał kapitan Szatańskich Pięt, blondyn z dwudniowym zarostem.

– Sam zaczął, kurwa.

– Chuj z tym, kto zaczął. No, już, koniec sceny.

Oleg poszedł pod prysznic, ignorując ciekawskie spojrzenia i uśmieszki. Umył się, ubrał, pożegnał z kolegami z drużyny i chwilę później wsiadł do tramwaju. Jechał przez Bemowo, dzielnicę pozbawionych charakteru blokowisk, z rozgrzanym czołem opartym o szybę.

Kiedy okazało się, że o karierze piłkarza może zapomnieć, nie wiedział, co ze sobą zrobić. Skończył liceum z przyzwoitymi ocenami, niczym się nie wyróżniając. Przez rok pracował jako kelner, a wieczorami grał na basie w rockowej kapeli. Nazywała się Bezdapamożni. No i faktycznie byli *bezdapamożni*: wokalista próbował rykiem przykryć fałsze, gitarzystka nie potrafiła nawet nastroić gitary, a perkusista, który jako jedyny w zespole przejawiał jakikolwiek talent muzyczny, albo w ogóle nie stawiał się na próbach, albo wpadał nawalony jak szpadel. Rodzice wierceili mu dziurę w brzuchu, żeby poszedł na studia, bo się marnuje, bo jednak co dyplom, to dyplom, bo bez wyższej edukacji ani rusz. Żaden kierunek go nie pociągał, nic go nie interesowało. W końcu wybrał anglistykę na Uniwersytecie Puszkina w Brześciu, bo angielski już trochę znał, więc myślał, że się nie narobi. Wykładowcy szybko wyprowadzili go z tego błędu, katowali gramatyką – *non-finite verb complements* śniły mu się po nocach – ale wytrzymał, pozdawał egzaminy, odebrał dyplom.

Potem jakieś fuchy z tłumaczeniami, korepetycje, dryf donikąd. Aż znalazł ogłoszenie, że warszawskie biuro przodującego portalu społecznościowego szuka ludzi z polskim, białoruskim, rosyjskim i angielskim. Gwarantowali pomoc w załatwieniu formalności i przenosinach, pakiet socjalny, perspektywę zagranicznych wyjazdów, niezłą pensję. Praca marzeń. Tak się wydawało.

Oleg wysiadł na rondzie ONZ, które wyglądało, jakby przeszczepiono je do Warszawy z Nowego Jorku albo innego San Francisco: wieżowce, szkło, neony, metro, pochyleni nad komórkami ludzie z krawatami szarpanymi przez wiatr. Wszedł do biurowca, przyłożył kartę magnetyczną do kołowrotu, potem do czytnika w windzie. Poszedł jeszcze zaparzyć sobie kawę – zwykłą, sypaną; profesjonalne ekspresy, które tak zachwalał Tymek, wciąż go onieśmiały – i usiadł do komputera. Pora wziąć się do pracy, czas start.

Łukasz Borek
20/07/2020

Ja nie mogę, co ta pizda odpierdala ;) Język jej trzeba wyrwać...
„Rota” w wersji turbo! Wiolka Słaby podbija polski internet
www.meganewsy.pl/wiolka-slaby-czyli-wyjec-z-minska

12 polubień 2 komentarze

Nawoływanie do przemocy, inwektywy, jednoznaczne złamanie regulaminu. Skasować.

Janina Kryszka
20/07/2020

Jak to, nie musi? Bolszewickie gnidy, komuchy, razem z Tuskiem zabili nam profesora Kaczyńskiego! Za mało ich Hitler wytłukł!

Nowy prezydent Estonii: Europo, Rosja nie musi być naszym wrogiem
www.poprzek.pl/Jaagup-Sokk-prezydent-Estonii-przyjacielem-Rosji

12 polubień 5 komentarzy

Mowa nienawiści, Hitler, skasować, następny.

Zbyszek Dembski

20/07/2020

Dzisiaj Ukraińcy udają niewinne owieczki, wołają o pomoc. A Wołyń? A Małopolska Wschodnia? My wam tego, chochoły, nie zapomnimy!

4 polubienia 0 komentarzy

Oleg poczuł się nieswojo. Mieszkał na dawnych Kresach, wiedział, ile krwi wsiąkło w tę ziemię. Jak chętnie ją kiedyś przelewano, a dziś mierzono. Dlatego perspektywa dochodzenia sprawiedliwości przez żądania i groźby go przerażała. Przejechał dłonią po nieogolonej twarzy. Nad wydzwiękiem i intencją wpisu nie ma się co rozwodzić, to nie było jego zadanie. Skupił się na słowie „chochoły”. Kojarzył, że to pejoratywne określenie na Ukraińców, ale czy kwalifikowało się do mowy nienawiści? Sprawdził w materiałach instruktażowych. *Polaczek, Ruski, Szwab, Żydek* były dozwolone, *Czarnuch, Asphalt i Bambus* były zakazane. „Chochoł”, jako inwektywa wymierzona w określoną narodowość, ale nie w grupę etniczną, należał chyba do pierwszej grupy, więc nie łamał regulaminu. Dobra, pomyślał Oleg, w takim razie...

Zamarł z dłonią na myszce. Zbyszek Dembski. Widział już ten profil. Przedwczoraj, kiedy nagle zaroilo się od identycznych wpisów o „POpapańcach” i „robactwie ze wschodu”. Nie twoja sprawa, powtarzał sobie, słyszałeś, są całe zespoły, które zajmują się fałszywymi profilami, masz dniówkę do wyrobienia, tysiące kliknięć do wyklikania.

Ciekawość jednak zwyciężyła – wszedł na profil Zbyszka Dembskiego. Był otwarty, widoczny dla wszystkich. Dwunastu znajomych. Jedno zdjęcie profilowe: przystojna twarz w okolicznościowej biało-czerwonej ramce. Codziennie po kilka, kilkanaście wpisów, wszystkie bez wyjątku o zabarwieniu politycznym. Oleg kliknął w zakładkę „Informacje”, sprawdził polubione strony. Siedem tysięcy wyników. Wśród nich fankluby militariów, grupy rekonstrukcyjne, portale informacyjne podejrzanej proveniencji, profile polityków: Gilbert Collard, sekretarz Rassemblement bleu Marine, think-tanku wspierającego Front Narodowy Marine Le Pen. Matteo Salvini, Włoch, prezes eurosceptycznej i secesyjnej Lega Nord. Nigel Farage, były lider United Kingdom Independence Party,

jeden z czołowych zwolenników brexitu. Strony w języku polskim, rosyjskim, niemieckim, arabskim, hiszpańskim, francuskim, portugalskim. Oleg cofnął się do poprzedniej strony, powiększył zdjęcie profilowe. Wyglądało znajomo. Jesse Williams, aktor z *Grey's Anatomy*.

Zamknął profil Zbyszka Dembskiego i wrócił do moderowania wpisów, ale robił to niedbale, bez wczytywania się w ich treść. Nie wiedzieć czemu ścisnęło go w brzuchu.

Julita spojrzała w lewo, spojrzała w prawo, potem jeszcze raz w lewo – po tym, jak dwa lata temu prawie zabił ją rozpędzony samochód, wołała dmuchać na zimne. Nic nie jechało. Przeszła na drugą stronę Cyryla i Metodego, w stronę Kameralnej. Na rogu był bar; kolorowe litery, w środku szlifowany beton, odnowione meble z czasów PRL-u, gołe żarówki na czarnych kablach. PO 20:00 WSZYSTKIE KANAPKI ZA PÓŁ CENY, kusił napis w witrynie. Fajnie, pomyślała Julita, wpadnę, jak będę wracała, kupię ze trzy, to będzie na jutro.

A potem przypomniała sobie, że ma pieniądze. Że nie musi już ciuć każdego grosza, kupować jedzenia z przeceny. Był taki okres, po tym, jak Magda wyrzuciła ją z mieszkania, że było ciężko, naprawdę ciężko. Żywiła się bułkami z serkiem topionym na śniadanie, obiad i kolację. Nie stać jej było na bilety, więc jeździła na gapę, ustawiona strategicznie tuż przy wyjściu, wypatrując wsiadających kanarów (zawsze wchodzili parami, jeden przednimi drzwiami, a drugi z tyłu, niezależnie od pogody w zapinanych na suwak bluzach albo skórzanych kamizelkach, pod którymi ukrywali identyfikatory). Po akcji na lotnisku było już lepiej, gazety biły się o jej artykuły i, rzecz niesłychana, płaciły w terminie. A potem wyszła jej książka – *Zemsta 2.0. Sprawa Emila Chorczyńskiego* – i przez bite pół roku nie schodziła z listy bestsellerów. Do tego doszły jeszcze tłumaczenia, płatne spotkania, nagrody... Spłaciła wszystkie długi, które pozaciągała u przyjaciół, umeblowała mieszkanie, które wynajęli razem z Leonem, dorzuciła się rodzicom do remontu – i jeszcze zostało. Sporo.

Odkryła wtedy, że można też się stresować tym, że ma się za dużo pieniędzy. No bo co z nimi zrobić? Zainwestować na giełdzie? Nie znała się na tym, bała się, że wszystko straci. Trzymać na koncie? A co, jeśli nagle skoczy inflacja? W takim razie może warto zaciągnąć kredyt, dorzucić oszczędności i kupić kawalerkę pod wynajem? Nie, ostrzegali znajomi, ceny nieruchomości będą spadać, stracisz na tym. Do tego wszystkiego dochodziło jeszcze poczucie winy. Była przecież

dziennikarką, wiedziała, co się dzieje na świecie. Że jak ona raczy się w kawiarni bezą śmietanowo-malinową, to gdzieś ludzie umierają z głodu. Ba, nie trzeba było szukać tak daleko. Wystarczyło przejść się po starej Pradze, pozaglądać do bram, w okna sypiących się kamienic. Więc co, oddać wszystko jakiejś organizacji charytatywnej? Tylko co, jak wyschnie kurek z pieniędzmi?

Bo kiedyś wyschnie, tego była pewna. Pierwszą książkę napisała w jakimś dziwnym transie, w stanie totalnego skupienia, po kilka tysięcy słów dziennie. Nic nie było w stanie jej rozproszyć, odciągnąć od klawiatury. W kilka miesięcy po premierze – po tym, jak spłynęły pierwsze dane sprzedażowe – wydawca podsunął umowę na kolejny tytuł, i to na gwiazdorskich warunkach: gruba zaliczka, dwadzieścia pięć procent od egzemplarza, termin za rok. Podpisała bez zastanowienia. Zaczynała wtedy śledztwo nad Xtraterrestrial1, tajemniczym moderatorem pedofilskiego forum, uznała, że to będzie dobry temat. Tyle że szybko utknęła w martwym punkcie. Dzięki materiałom Emila udało jej się odkopać post sprzed kilku lat, gdzie ktoś pisał o nim per Pietia, znalazła pustą stronę, zarejestrowaną na adres Xtraterrestrial1@mail.ru – i to wszystko, cały efekt. Zresztą jak mogłoby być inaczej? Skoro Emil nie dał sobie z tym rady, czemu jej miałoby się udać?

Tyle o książce. A artykuły? Świetnie. O czymkolwiek by napisała, rozchodziły się po internecie jak burza. Tyle że nie wiedziała, czy to zasługa jej, czy sieci botów, które generowały pod tekstami sztuczny ruch. To był pośmiertny prezent Emila, przeprosiny za to, co jej zrobił, i pomoc na przyszłość. Darmowa, niewidzialna promocja, jak się okazało – równie przydatna, co deprymująca. Julita straciła do siebie dystans, nie potrafiła powiedzieć, co jest faktycznie dobre, a co powinno wylądować w koszu. Czuła się jak oszustka, jak wtedy, kiedy jako mała dziewczynka zwędziła paczkę gum ze sklepu i była święcie przekonana, że wszyscy, WSZYSCY o tym wiedzą, podejrzliwie jej się przypatrują, śledzą każdy jej ruch. Na widok tysięcy komentarzy, udostępnień i polubień pod swoimi tekstami paliły ją ze wstydu uszy – a granicząca z pewnością obawa, że ktoś ją w końcu zdemaskuje, w dużym stopniu przykładała się do problemów ze snem. Oczywiście, w każdej chwili mogła te boty wyłączyć – wystarczyło wysłać jedno słowo na wskazany przez Emila adres. Wtedy okazałoby się, ile jest warta, ile z tych wszystkich sukcesów zawdzięcza sobie. Nie potrafiła się na to zdobyć.

Szła Kameralną, mijala szeregi trzypiętrowych bloków z białej cegły, które różniły się między sobą jedynie balkonami: na jednym ktoś urządził

sobie składzik narzędzi, na innym stały rowery, obok suszyło się pranie. Na placyku między blokami, pod trzepakiem, wróble biły się o skórki od chleba, a bezdomny wciskał rękę przez kratę grodzącą osiedlowy śmietnik, próbując wymacać puszki bądź butelki. Potem szła ulicą Borowskiego, wzdłuż długiego muru stacji kontroli pojazdów, na którym miejscowa młodzież wprawiała się w rysowaniu swastyk i celtyckich krzyży. Z tego spaceru można było wyciągnąć dwa wnioski: po pierwsze, że do polskich szkół powinny wrócić zajęcia z kaligrafii, i po drugie, że coś chyba było mocno nie tak z lekcjami historii.

Pięć minut później Julita była już na placu Hallera. Bar Alfa, w którym Janek Tran udzielał jej pierwszych lekcji z zakresu cyberbezpieczeństwa, splajtował: drzwi były zamknięte na głucho, zniknęły plastikowe krzesła ogrodowe i parasolki z logo warszawskiego browaru. Janek mieszkał gdzieś w tej okolicy – mówił wtedy, że przyszedł na piechotę. Kiedy rozmawiali później przez telefon, słyszała tramwaje, więc musiał mieć okna gdzieś od strony Jagiellońskiej. Oczywiście, mogłaby zadzwonić i spytać o dokładny adres. Tyle że Janek wciąż odrzucał jej połączenia. Wciąż jej nie wybaczył.

Julita spojrzała na zegarek. Dochodziła dziewiętnasta, Janek pewnie był już w domu – przed komputerem. Skręciła w ulicę Skoczylasa i weszła na podwórko bloku, który stał najbliżej Jagiellońskiej. Może gdzieś tutaj? Tylko jak go znaleźć... Budynek był spory, miał z dziesięć, może dwanaście klatek. Nawet jeśli przy wejściach wiszą listy nazwisk lokatorów, Janek na sto procent się wypisał. Więc może po nazwie Wi-Fi? Ludzie zwykle nadają swoim sieciom proste nazwy: „Aladom”, „Mój_internet” albo „Somsiad_nie_kradnij_neta!”, ewentualnie zostawiają nazwę z ustawień fabrycznych. Janek wybrał pewnie jakiś losowy ciąg symboli, „x463_832r^d0029” albo coś takiego. Mogłaby chodzić z komórką w rękę i czekać, aż złapie podobną sieć, nie ma gwarancji, że się uda, ale... Nie, pomyślała, bez sensu, on jest takim paranoikiem, że na pewno wyłączył emisję identyfikatora SSID, żeby się ukryć. Jak znaleźć kogoś, kto ma obsesję na punkcie swojej prywatności...

Olśniło ją. Wyciągnęła komórkę, uruchomiła Google Maps i przeszła w tryb Street View. Ustawiła kamerę na fasadę narożnego budynku i powoli przewijała zdjęcia. Tak jak podejrzewała – fragment domu, blisko skrzyżowania z ulicą Szanajcy, był zamazany. Ktoś, kto tam mieszkał, musiał złożyć do Google'a wnioski o usunięcie zdjęć lokalu. Większość ludzi nie wiedziała nawet, że ich dom jest fotografowany. Ci, którzy zdawali sobie z tego sprawę, nie mieli zwykle pojęcia, że mogą

zażądać usunięcia fotografii, a tym, co mieli, nie chciało się tego robić. Ktoś jednak zadał sobie trud. Julita miała silne podejrzenie co do tego, kto to mógł być.

Podeszła do narożnej klatki, wcisnęła pierwszy z brzegu guzik na domofonie.

– Halo? Kto tam? – odezwał się po chwili czyjś głos. Starsza kobieta.

– Poczta – odpowiedziała Julita.

Bzzzt, otwarte. Co z tego, że dochodzi dwudziesta, jak poczta, to poczta. Julita weszła na klatkę, sprawdziła skrzynki na listy. Były stare, kanciaste, z grubej blachy, z małymi szparkami w drzwiczkach, żeby można było sprawdzić, co przyszło. Tyle że jedne drzwiczki, te od lokalu numer jedenaście, były od środka zaklejone czarnym kartonem. Julita uśmiechnęła się pod nosem. To już się robiło zbyt łatwe.

Jedenastka, czyli ostatnie, trzecie piętro. Stare budownictwo, szeroka klatka schodowa, wysoki sufit; Julita weszła na górę zasapana. Oj, pomyślała, trzeba się będzie w końcu za siebie wziąć, odkleić od biurka, zapisać na jogę albo inną zumbę. Może od Nowego Roku.

Stała przed jedenastką. Miała świadomość, że to nie będzie przyjemna rozmowa. To znaczy, o ile się w ogóle odbędzie. Zapukała. Cisza, potem kroki, coraz bliżej. Oko wizjera zrobiło się ciemniejsze; ktoś przesłonił światło. Julita uśmiechnęła się najszerszej, jak umiała. Nic. Żadnej odpowiedzi. Tylko kroki oddalające się od drzwi.

– Janek, wiem, że tam jesteś! – zawołała.

Cisza.

– Janek! Otwórz, do cholery!

Nic.

– Będę tu stała, aż otworzysz!

Odpowiedziało jej echo. No dobra, pomyślała, sam sobie chciałeś.

– Widziałam oooooorła cieeeeeń!!! – zaintonowała, najgłośniej jak potrafiła; jej śpiew niósł się po całej klatce. – Do góóóóry wzbiiiiiił sięęęę niczym wiaaatr... Nieboooo to jegoooo świaaaaat...

Szczęknięły zasuw, drzwi się uchyliły. Na łańcuchu. W ciemności błysnęły czyjeś oczy. Rozpoznała je.

– Naprawdę chcesz, żebym zadzwonił po policję? – warknął Janek.

– Przecież ty jesteś z policji.

– Powiedziałem, że nie chcę z tobą więcej rozmawiać.

– Tak, pamiętam.

– No to po co tu przyszłaś?

– Przekonać cię, żebyś zmienił zdanie.

– Mhm. – Pauza; miała wrażenie, że jego oczy wiercą w niej dziurę. – Niech zgadnę. Potrzebujesz pomocy.

– Zgadza się.

– I czemu miałbym ci jej udzielić? Co?

– Słyszałeś o tej dziewczynie z Mińska? Camgirl uduszona na oczach całego świata?

Chwilę nie odpowiadał. Potem skinął głową.

– Mam trop – powiedziała.

– Gratuluję. To idź z nim na komisariat.

– Janek... – westchnęła. – Z ręką na sercu: wierzysz, że coś z nim zrobią?

– Nie moja sprawa.

– Zginęła dziewczyna. Zginęła w straszny sposób.

– No pewnie – prychnął Wietnamczyk. – Dlatego się nią zainteresowałam.

Zabolało ją to. I wkurzyło. Odwróciła twarz, żeby tego nie zobaczył, ale na próżno.

– Widzę, że trafiłem w czuły punkt. – Zęby Janka błysnęły w ciemności.

– Kawał z ciebie dupka, wiesz?

– Dlaczego? Bo powiedziałem prawdę?

– Nie – syknęła. – Bo bardziej zależy ci na tym, żeby utrzyć mi nosa, niż żeby złapać faceta, który udusił błagającą o litość dziewczynę. Bo bardziej...

– Nie wiem, czemu ci się wydaje, że tylko ty...

– ...bo bardziej zależy ci na tym – kontynuowała Julita, nie dając sobie wejść w słowo – żebym to ja została ukarana niż on.

Cisza. Nie odpowiadał. Może nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Ty też mnie okłamałeś, Janek – ciągnęła – i to w naprawdę brzydki sposób. Ale ja jakoś potrafiłam schować dumę do kieszeni i o tym zapomnieć. Bo wiedziałam, że są ważniejsze sprawy. Szkoda, że ty tego nie potrafisz.

Janek przygryzł usta – i zatrzęsął drzwiami.

Żeby zdjąć łańcuch.

Nudny garnitur. Nudna koszula. Nudny krawat. Nudna fryzura. Daniel Królak, przedstawiciel firmy Net Solutions, wyglądał jak ożywiony magia manekin sklepowy, który na noc nie kładzie się do łóżka, tylko wchodzi do tekturowego pudełka i owija się folią bąbelkową, żeby się przypadkiem nie zakurzyć. Nie była nawet w stanie powiedzieć, ile ma

lat, może trzydzieści, może pięćdziesiąt. Aneta uścisnęła jego dłoń. Była chłodna i wilgotna. Jak pierś z kurczaka wyciągnięta dopiero co z lodówki.

Usiadła przy stole konferencyjnym. Poza nią w pokoju był rzecz jasna Artur, Tomek, szef sztabu, Lena, rzeczniczka prasowa, i Staszek, prawnik. W biurze było cicho, większość ludzi rozeszła się już do domów. Aneta położyła na blacie zeszyt, długopis i trzy flamastry-podświetlacze. Wołałaby robić notatki na laptopie, ale uzgodnili wcześniej, że wchodzi do sali bez jakiegokolwiek elektroniki. Tak na wszelki wypadek.

Daniel Królak wsunął zewnętrzny dysk do komputera prezentacyjnego, grzebał w ustawieniach projektora. Tomek rzucił jakiś średnio śmieszny żart, żeby wypełnić ciszę, Artur chrupał słone paluszki, bo nie miał czasu zjeść wcześniej kolacji, a Lena gapiała się w okno, zapewne spisując w myślach listę rzeczy, które wołałaby robić w ten lipcowy wieczór, zamiast kisić się w dusznej sali konferencyjnej. Szkoda, że pilot od klimatyzatora się popsuł.

– Dobry wieczór państwu. – Daniel Królak włączył pierwszy slajd. – Chciałbym przedstawić państwu strategię kampanii internetowej dla Polski Jutro przygotowaną przez Net Solutions. Nasz projekt nazywa się „Twoja Polska, Twoja Przyszłość”.

Bardzo oryginalne, pomyślała Aneta. Zdjęła skuwkę z długopisu, zaczęła notować.

– Według naszych badań – ciągnął Daniel Królak na tle kolorowych słupków – największym problemem, przed jakim stoją dzisiaj partie, jest niechęć wyborców do szeroko rozumianej polityki i utrata wiary w proces demokratyczny. Innymi słowy, polski elektorat nie ufa politykom, nie lubi ich, a nade wszystko nie wierzy, by byli w stanie zmienić cokolwiek na lepsze. Aby osiągnąć dobry wynik, aby pokonać magiczny próg pięciu procent, wasza partia musi przekonać do siebie wyborców. Jak to osiągnąć?

Na następnym slajdzie było zdjęcie ze studia którejś ze stacji informacyjnych. Dwóch polityków. Dynamiczne pozy, ekspresyjny język ciała (palec wyprostowany w oskarżycielskim geście, dłonie uniesione w geście niewinności), dramatyzm sceny podkreślony kontrastami; kompozycja jak z renesansowego obrazu.

– Na pewno nie kopiąc się z koniem. – Daniel Królak odpowiedział na własne pytanie. – Polska scena polityczna jest zdominowana przez dwie partie i ich konflikt. Pomniejsze ugrupowania próbują włączyć się w tę narrację, wepchnąć się na scenę, ale z niewielkim sukcesem. Nikt nie

zauważy pojawienia się kolejnego głosu w tym chórze: zakrzyczą was, a wy tyle z tego będziecie mieli, że zedrziecie sobie gardło. Naszym zdaniem zdecydowanie lepsze rezultaty przyniesie pozytywny przekaz. To pozwoli...

– Zdajemy sobie z tego sprawę – wtrąciła się Aneta. – Nasz ruch przecież się na tym opiera. Mamy to w nazwie: nie mówimy o przeszłości, tylko o przyszłości.

– Zgadza się – odparł Królak. – Tyle że mało kto was słucha. Poseł Warecki ma rozpoznawalność na poziomie siedemdziesięciu procent, ale Polska Jutro wciąż nie może przebić pułapu trzydziestu procent, co wam źle wróży. Pytanie, jak dotrzeć do ludzi, których polityka nic nie obchodzi? Do ludzi, którzy nie czytają gazet i przełączają telewizję na inny kanał, kiedy lecą *Wiadomości*? Rozwiązaniem tego problemu jest właśnie projekt „Twoja Polska, Twoja Przyszłość”.

Efektowna pauza, potem następny slajd.

– Krok pierwszy – powiedział Daniel Królak. – Założenie niezależnego instytutu, który nie jest w żaden sposób powiązany z waszą partią, w związku z czym nie podlega ograniczeniom narzuconym przez PKW. Nazwijmy go roboczo Instytutem Polska Przyszłości, w skrócie IPP. Wszelkimi formalnościami związanymi z rejestracją tej organizacji zajmuje się Net Solutions. Rzecz jasna, robimy to ze stosowną dyskrecją.

– Krok drugi. – *Klik*, zmiana slajdu. – Ogłaszacie, że zamówiliście w IPP wielkie badanie demograficzne, żeby lepiej poznać swoich wyborców.

– Niech zgodnę – wtrącił Tomek – „Twoja Polska, Twoja Przyszłość”.

– Dokładnie. – Daniel Królak skinął głową. – Przekaz jest prosty: czemu to politycy mają wam mówić, jak chcą naprawiać Polskę? Może to my, Polacy, powinniśmy powiedzieć politykom, co jest dla nas ważne? W końcu to oni pracują dla nas, za nasze pieniądze, z naszych podatków. W normalnej firmie to szef mówi pracownikom, co mają robić, a nie na odwrót, prawda?

Zebrani pokiwali z uznaniem głowami. Przeciętny Kowalski da się przekonać.

– Krok trzeci – kontynuuje Królak. – Zakładamy stronę internetową, www.twojapolska.pl. Adres jest już zarezerwowany na wasze potrzeby. Na tej stronie umieszczamy ankietę. Trzydzieści pytań: co jest dla pani/pana w życiu ważne, czego pani/pan się obawia, jaki powinien być nasz kraj. Ankieta w stylu Latarnika Wyborczego.

– I co, w oparciu o te odpowiedzi zbudujemy program? – spytała Lenka, rzeczniczka prasowa.

Cisza. Wszyscy zebrani obrócili się w jej stronę, kpiące spojrzenia, uśmieшки, jaki program? Lenka wybąkała coś pod nosem i wróciła do gapienia się za okno.

– Mnie zastanawia co innego – odezwała się Aneta. – Jak niby przekonamy ludzi, żeby poświęcili kilkanaście minut swojego życia na wypełnianie kwestionariuszy? Badania pokazują, że większość...

– Dobre pytanie – odparł Królak tonem zadowolonego nauczyciela, co tylko ją wkurzyło. – Zaczniemy od tego, że maksymalnie uprościmy procedurę rejestracji. Zamiast tworzyć nowe konto, podawać adres e-mail i tak dalej, i tak dalej, respondent będzie mógł zalogować się przez Facebooka. Jedno kliknięcie. Dodatkowo, ankietę zakończymy efektywnym wizualnie podsumowaniem, namawiając użytkowników, by umieścili je na swoim wallu, co zachęci do udziału ich znajomych. Poza tym potrzebna będzie rzecz jasna właściwa promocja. To nasz krok czwarty.

Klik, następny slajd. Aneta napiła się wody. W pokoju robiło się naprawdę gorąco, twarze i ramiona lśniły od potu. Daniel Królak, w pełnym garniturze, z krawatem ściągniętym jak pętla szubienicy, zdawał się nie zwracać uwagi na rosnącą temperaturę.

– Przede wszystkim musimy zrobić wokół naszego badania duży szum – powiedział. – Zrobimy to niewielkim kosztem, zapraszając do akcji celebrytów klasy C i D.

– A oni nie będą chcieli za to kasy? – Tomek uniósł brew.

– Na pewno, ale załatwimy to przede wszystkim na zasadzie barteru: wy wyrazicie poparcie dla naszej akcji, namówicie swoich fanów do udziału w badaniu, a my w zamian będziemy eksponować wasze wpisy i linkować do waszych stron w naszej ogólnopolskiej kampanii. Promocja w zamian za promocję, *win-win*.

Tomek pokiwał głową, najwyraźniej usatysfakcjonowany odpowiedzią.

– Akcję „Twoja Polska, Twoja Przyszłość” można określić trzema słowami kluczami: nowoczesność, optymizm, technologia. – Daniel Królak złożył dłonie w trójkąt. – Agencja pijarowa, która z nami współpracuje, przygotowała już listę trzystu osób, które można opisać tymi słowami.

– A nie będą się bali wiązać z określoną partią? – Staszek, do tej pory cichy, zgłosił wątpliwość.

– Nie, bo badania nie prowadzi przecież Polska Jutro, tylko niezależny instytut, z którym współpracujecie. – Królak się uśmiechnął. – Dodatkowo, za wypełnienie kwestionariusza respondenci otrzymają bon zniżkowy do jednego z dyskontów. Konkurencja w tym sektorze jest

bardzo ostra, sieci nie mogą już bardziej schodzić z cen, więc powinny entuzjastycznie podejść do takiej promocji, zwłaszcza że pomoże im to w trudnej kampanii zmiany wizerunku. Dyskonty wciąż bywają kojarzone z towarami gorszej jakości, tanimi, przeznaczonymi dla osób starszych, dlatego asocjacja ze słowami kluczami „nowoczesność”, „ optymizm”, „technologia” będzie dla nich atrakcyjna. Oczywiście, za te bony trzeba będzie coś zapłacić, ale myślę, że uda się wynegocjować dobrą stawkę. Te rozmowy bierze na siebie Net Solutions.

– Okej, no i gdzie nas to wszystko prowadzi? – spytał Tomek. Wyglądał na zmęczonego, pod pachami wykwitły mu mokre plamy, szkła okularów były brudne.

– Zyski są wielorakie – odparł Daniel Królak. – Po pierwsze, podnosimy rozpoznawalność partii. Po drugie, pokazujemy wyborcom, że jesteście inni od reszty polityków, że słuchacie, zamiast się mądrzyć. Po trzecie, i to jest oczywiście najważniejsze, zyskujemy dostęp do ogromnej ilości przydatnych danych. Jako że respondenci logują się przez Facebooka, otrzymamy wgląd do części udostępnionych na kontach informacji. Na stronie umieszczamy tak zwane *tracking cookies*, śledzące ciasteczka, które pozwolą nam obserwować dalszy ruch respondentów w sieci: jakie strony odwiedzają, jak długo na nich pozostają. A sam kwestionariusz, jak być może pamiętacie, zawiera pytania osobowościowe, która pozwolą nam umiejscowić respondenta na tak zwanej siatce OCEAN. Nazwa to akronim badanych cech, czyli *Openness to experience, Conscientiousness, Extraversion, Agreeableness* oraz *Neuroticism*, to znaczy: Otwartość na doświadczenia...

Znamy angielski, chciała powiedzieć Aneta. Ale ugryzła się w język.

– ...Sumiennosc, Ekstrawersja, Ugodowosc oraz Neurotycznosc. Dzięki temu możemy określić, na jakiego typu reklamy jest podatny dany respondent. Do kogoś, kto jest otwarty na nowe doświadczenia, możemy przemówić językiem aspiracji, z kolei ktoś, kto jest na nie zamknięty, z pewnością zareaguje na zagrożone poczucie bezpieczeństwa. Osobom ugodowym łatwiej narzucić nasz przekaz, sumiennych namówić do działania, a ekstrawertyków do udostępniania waszych statusów na własnych profilach. Do każdego typu osoby kierujemy inne reklamy, sprofilowane dokładnie pod niego: pod jego problemy i nadzieje.

Zrobiło się cicho. Słyszał tylko, jak Artur chrupie paluszki.

– Krótko mówiąc – odezwał się Staszek, a w jego głosie słyszał było obawę – chcecie nam tu zrobić drugie Cambridge Analytica.

– Bynajmniej – powiedział Królak z uśmiechem. Czekał na to porównanie. Był na nie przygotowany. – Cambridge Analytica weszło w posiadanie danych użytkowników z naruszeniem zasad korzystania z platformy, poprzez ordynarne oszustwo. My to zrobimy całkowicie legalnie.

– Mówiąc wprost ludziom, że wykorzystamy podane informacje, żeby nimi manipulować?

– Tak. W warunkach uczestnictwa w programie. Na szóstej stronie. Respondenci dobrowolnie przekazują swoje dane.

– Ja mam inną wątpliwość – powiedziała Aneta.

– Mianowicie?

– Ilu ludzi weźmie udział w tej ankiecie? Jakie są wasze prognozy?

– Mamy nadzieję, że uda nam się zebrać kwestionariusze od przynajmniej dwudziestu tysięcy respondentów. Może pięćdziesięciu.

– No właśnie. – Aneta skrzyżowała ramiona na piersiach. – A uprawnionych do głosowania jest ponad trzydzieści milionów. Oczywiście, miło byłoby mieć tak dokładne dane na temat pięćdziesięciu tysięcy ludzi, ale powiedzmy sobie szczerze, w szerszej perspektywie to nie ma znaczenia. Targetowanie demograficzne, które robiliśmy do tej pory, w zupełności...

Daniel Królak nie czekał, aż skończy mówić. Włączył następny slajd. Były na nim jakieś wykresy, siatki, diagramy i Bóg jeden wie, co jeszcze.

– Znów ma pani rację. Gratuluję przenikliwości – powiedział. – Chcemy wszakże stworzyć obraz całego polskiego elektoratu, a nie jego wąskiego wycinka. Tu z pomocą przychodzi nam analiza *big data*.

– Czyli? – spytał Tomek.

– W wielkim skrócie i wielkim uproszczeniu – odparł Królak – ludzie są do siebie podobni. Załóżmy, że jeden z naszych respondentów lubi na Facebooku profil Dawida Podsiadło, ustawił sobie zdjęcie z ramką Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, a nowe wpisy publikuje średnio pięć razy w tygodniu. Istnieje wysokie prawdopodobieństwo, prawdopodobieństwo graniczące wręcz z pewnością, że wszystkie osoby, które współdzielały te cechy, mają bardzo podobny profil psychologiczny. To się fachowo nazywa efektem sobowtóra, *doppelganger effect*. Mając pięćdziesiąt tysięcy respondentów, zbierzemy dość danych, żeby, poprzez ekstrapolację, uzyskać szczegółowe rysy psychologiczne milionów polskich wyborców. I do każdego z nich będziemy w stanie dotrzeć z wysoce spersonalizowaną reklamą, pomimo tego, że nie wypełnili naszej... Tak, chce pani coś powiedzieć? – Daniel zwrócił się do Anety.

Aneta nie chciała niczego powiedzieć. Po prostu opadła jej szczęka. Pokręciła głową, uciekła wzrokiem. Miliony. Profili. O, kurwa. Ile z tym można zrobić, ile da się z tego wyciągnąć.

– Ciężko mi w to wszystko uwierzyć. – Tomek odchylił się w krzesło, skrzyżował ramiona na piersiach. – Brzmi zbyt dobrze, żeby to była prawda.

– Rozumiem pana sceptycyzm i szczerze mówiąc, oczekiwałem go. – Królak był wciąż pewny swego. – Dlatego pozwoliłem przygotować sobie kilka przykładów, żeby pana przekonać. Proszę spojrzeć na ten slajd. Z lewej ma pan zbiór profili, które lubią markę odzieżową Red is Bad i wrzuciło na Facebooka zdjęcie zrobione w Warszawie w dniu jedenastym listopada w latach dwa tysiące szesnaście, dwa tysiące siedemnaście bądź dwa tysiące osiemnaście. Z prawej ma pan zbiór profili lubiących fanpage Młodzieży Wszechpolskiej. Korelacja wynosi ponad dziewięćdziesiąt siedem procent.

Cisza. Skupienie. Nawet Lena odwróciła rozmarzony wzrok od okna.

– No dobrze... – Tomek usiadł prosto. – Ale Młodzież Wszechpolska to organizacja skrajna, a przez to bardzo wyrazista, i z pewnością...

– W takim razie proszę spojrzeć na następny slajd. – *Klik*, nowy obrazek; Królak był przygotowany na wszystko. – Z lewej profile, które wrzuciły kiedykolwiek wpis bądź zdjęcie otagowane hashtagiem „maraton”, lubią więcej stron z kategorii popkultura w języku angielskim niż w języku polskim i choć raz wgrały zdjęcie zrobione za granicą. Z prawej profile lubiące profil PO bądź któregoś z czołowych polityków PO. Korelacja na poziomie dziewięćdziesięciu trzech procent. – Daniel Królak odłożył laserowy wskaźnik na pulpit, splótł palce. – Mógłbym tak jeszcze długo... Ale podejrzewam, że nie ma już takiej potrzeby.

Rzeczywiście, nie było.

– To... – Staszek zdjął okulary, zmrużył zmęczone oczy. – To wszystko jest legalne?

– Zgodne z literą prawa – odparł Królak. – Choć, przyznaję otwarcie, nie zawsze z jego duchem.

– Pieprzyć ducha. – Szef sztabu, Tomek, machnął ręką. – Ile to będzie wszystko kosztować? Bo tanio nie brzmi.

Po raz pierwszy Królak nie odpowiedział od razu, zbierał myśli.

– Powiem państwu szczerze – powiedział w końcu – Net Solutions widzi w Polsce Jutro partnera strategicznego. Państwa sukces będzie też naszym sukcesem, bo będzie stanowić najlepszą reklamę naszych umiejętności i możliwości. Dlatego jesteśmy gotowi iść na pewne

ustępstwa w wycenie naszych usług. Jestem przekonany, że osiągniemy porozumienie.

Gdzieś na zewnątrz zaryczały motory, *wrrr, wrrr*; na Jana Pawła II zaczynały się nocne wyścigi.

– Ja nie mam więcej pytań. – Artur odezwał się po raz pierwszy. – Wy? Cisza. Oczy jak spodki.

– Doskonale. – Artur skinął głową. – Panie Danielu, dziękujemy za arcyciekawą prezentację. W tym tygodniu zrobimy walne zebranie i zdecydujemy, co dalej.

– Oczywiście. Dziękuję, dobranoc państwu.

Królak zabrał swoje rzeczy, Tomek odprowadził go do wyjścia. Reszta została jeszcze chwilę w pokoju. Wszyscy byli podekscytowani, chcieli na gorąco podzielić się przemyśleniami. Wszyscy, poza Anetą. Aneta była w szoku. Znokautowana. Spodziewała się, że Królak, mydłek w garniturze, będzie kolejnym pozerem próbującym zerować na tym, że mało kto w sztabach wyborczych rozumie świat social mediów, że będzie snuł jakieś bajki o milionach odsłon reklam i przyroście fanów na profilu partii. Wyobrażała sobie, że go wypunktuje, zarzuci żargonem, ośmieszy przed Arturem, udowodni, że jest najlepsza w swoim fachu. Tymczasem okazało się, że oni nawet nie grali z Królakiem w tej samej lidze. Że Aneta mogłaby mu czyścić buty. Skąd Artur go wytrzasnął?

Lena wyszła z biura pierwsza, chwilę potem Tomek, po nim Staszek. W siedzibie partii zostali tylko poseł Artur Warecki i Aneta. Usiedli w kuchni, bo tylko tam dało się zrobić przeciąg. Artur podał jej wodę z lodem, po czym usiadł na krześle – tyłem do przodu, kładąc ręce na oparciu. Wyglądał, jakby pozował do zdjęcia. Czyli jak zawsze.

– I co myślisz? – spytał.

– Wiesz, co myślę.

– Oho. Kiedy moja żona tak mówi, to znaczy, że mam kłopoty.

Patrzył na nią, wyczekująco. Nie zaśmiała się.

– Okej... No to naprawdę spróbuję. Jesteś zła. Bo nie powiedziałem ci wcześniej, że z nimi rozmawiam. I jesteś zaniepokojona. Bo do tej pory nie miałaś konkurencji, grałaś do pustej bramki, bez...

– Błagam, tylko nie kolejna piłkarska analogia.

– No dobra. Ale wiesz, co chcę powiedzieć?

– Mhm.

– Ci ludzie z Net Solutions są dobrzy w swoim fachu, tyle jest jasne... Ale to będą nasi podwykonawcy. Ty będziesz szefową naszej kampanii internetowej. Jasne?

– Jasne.

– No to super. Chodź, zbieramy się. Pogadamy jeszcze jutro.

Zamknęli drzwi na klucz, wyszli na klatkę. Zalatywało tanim płynem do mycia podłóg.

– Artur? – spytała, kiedy schodzili po schodach.

– No?

– Ty wiesz, że to, co oni proponują... To nie jest wcale bardziej eleganckie od tego, co ja chciałam zrobić. Wręcz przeciwnie.

– Mhm.

– Nie masz z tym problemu?

– Szczerze? – Przytrzymał jej drzwi na ulicę. – Nie. A ty?

– Nie, w ogóle, ale to nie ja dopiero co pieprzyłam o tym, że chcę grać *fair play*.

– Nie zrozumiałaś mnie – powiedział z uśmiechem. – Powiedziałem, że nie chciałem grać w Anglii, bo tam kopali się po kostkach. To nie znaczy, że we Włoszech nie faulowali, bo faulowali.

– To jaka jest różnica?

Pik-pik, Artur otworzył zamek swojego porsche i wsiadł do środka. Perłowy lakier opalizował w świetle latarni.

– Robili to tak, żeby nikt nie widział – powiedział, a potem zatrzasnął drzwi.

Julita myślała, że oderwie Janka od komputera. Widziała tę scenę oczami wyobraźni: siedzi przy biurku, ze słuchawkami na uszach, czarno-niebieskie *chiaroscuro* pokoju oświetlonego jedynie ekranem laptopa, palce stukają w klawiaturę. Nagle słychać pukanie do drzwi. Janek sięga po pistolet, odciąga bezpiecznik, przywiera do ściany – może któryś z bandytów, których wsadził za kratki, postanowił złożyć mu wizytę? Dopiero kiedy widzi w wizjerze znajomą twarz, chowa gnata za pasek od spodni; dotyk chłodnego metalu studzi emocje.

Tymczasem okazało się, że Janek właśnie prasował. Koszulę. W błękitne prążki. Deska stała na środku pokoju, przed telewizorem, w którym leciał jakiś film przyrodniczy („...wielkie uszy fenka pozwalają mu dosłyszeć ukryte pod ziemią zwierzęta, a także pomagają w chłodzeniu organizmu wystawionego na pustynne słońce...”). Obok, na krześle, wisiały spodnie od garnituru, złożone tak, żeby nie zagiąć kantów na nogawkach, i rozwiązany krawat.

– A ty co, ślub bierzesz? – spytała Julita.

– Nie.

– Nie, serio, co to za okazja?
– Żadna. To ubrania do pracy.
– Do pracy? – Julita przyjrzała się koszuli. Mankiety na spinki, kołnierzyk typu *button-down*. – To wy tam na komendzie macie taką rewie mody?
– Nie pracuję już w policji.
Julita puściła mu zdziwione spojrzenie: rozdziawione usta, brwi w górę.
– Podobno masz do mnie jakąś sprawę – zachnął się.
– O nie, nie, nie tak szybko. Jak to, nie pracujesz już w policji? To gdzie? W ABW? CBA? CBS?
– PCW.
– PCW? Czeka, czeka... Tej... – Julita się zawahała. – Tej firmie konsultingowej?
– Mhm.
– Jako kto? Doradca podatkowy?
– Nie, starszy specjalista do spraw cyberbezpieczeństwa.
Julita usiadła z wrażenia na kanapie.
– Pierdolisz. Ty? W korpo?
– Tak, ja, w korpo, możesz skończyć z tym przesłuchaniem?
Janek wyłączył żelazko i wyciągnął kabel z kontaktu z takim rozmachem, że wtyczka uderzyła w nogę od stołu. Był zły. Julita nie wiedziała tylko, czy na siebie, czy na nią.
– Co... Co się stało? – spytała po chwili, już delikatniej. – Czytałam, że dostałeś awans, nawet widziałam jakiś wywiad...
– Mhm. Bał trwał miesiąc. A potem wróciliśmy do robienia statystyk.
– Czyli?
– Daj spokój, nie będę tu teraz prał swoich brudów.
– Racja, przecież już prasujesz – powiedziała Julita, po czym spuentowała suchara, uderzając w niewidzialną perkusję. – *Badum-tss!*
Janek walczył ze sobą, żeby się nie uśmiechnąć. Nie do końca mu wyszło.
– No, dalej, opowiadaj. – Julita założyła nogę na nogę, rozciągnęła ramiona na oparciu kanapy. – Ja mam czas.
– Wiedziałem, żeby cię nie wpuszcząć. Tak w ogóle to jak mnie znalazłaś?
– Nie zmieniaj tematu. Mów. Robienie statystyk.
Janek podniósł szklankę z wygazowaną colą, siorbnął, otarł usta. Julita przyglądała mu się z ciekawością. Wcześniej widywała go w płaszczach,

skórzanych kurtkach, workowatych bluzach. Teraz miał na sobie bawełniany dres i koszulkę bez rękawów. No proszę, pomyślała, możliwe, że więcej czasu niż przed komputerem spędza jednak na siłowni.

– Kiedy nam sprawdzają wyniki – powiedział Janek – to liczy się tylko liczba rozwiązanych spraw, a nie ich kaliber. Czyli bardziej opłaca się zatrzymać siedmiu leszczy, którzy robią wałki na Allegro, niż kogoś, kto wyrządza prawdziwe szkody.

– Słabo.

– Mhm. Próbowałem robić poważne sprawy... Ale wiesz, jak to jest. Czasami mijają miesiące, nim pojawią się jakieś rezultaty.

– O ile się pojawią – powiedziała Julita. Gorzko.

– Właśnie. No więc po jakimś czasie zaczęły się naciski, żebym zajął się, cytuję, „bardziej wynikowymi” sprawami. Już wtedy byłem wkurzony... A potem dostałem podwyżkę.

– To chyba dobrze?

– Zależy od wysokości. Moja była taka, że czułem, jakby mi ktoś napluł w twarz. No, to trzasnąłem drzwiami. Ot, cała historia.

– Smutno.

– Bo ja wiem. – Janek wzruszył ramionami. – W PCW mamy ciekawe sprawy.

– A... Spotykasz się z klientami?

– Tak, bo co?

– Nic, nic. – Julita machnęła ręką. Niesamowite, pomyślała. Z jego manierami... – No, to słuchaj... Ta moja sprawa...

– No?

– Potrzebuję logów z czatów tej dziewczyny. Komputery z DreamNetu są na komendzie w Mińsku, myślę, że są na nich kopie tych rozmów. Da się to załatwić?

– Pewnie, że się da. Tyle że z pogwałceniem prawa.

– To jest ważne.

– Nie wątpię. Reklamy same się nie klikną.

Powiedzieć mu czy nie powiedzieć, wahała się Julita. Może lepiej powiedzieć. Kiedy ostatnio coś przed nim zataiła, niespecjalnie mu się to spodobało.

– Janek... – Zawiesiła głos. – W tę sprawę może być zamieszany X1. Xtraterrestrial1.

Drgnął. A potem odwrócił się w jej stronę.

– Niby jak? – spytał. Nonszalancko, tak jakby go to nic nie obchodziło.

– Tego jeszcze nie wiem. W notatkach Emila znalazłam tylko link do artykułu o morderstwie tej dziewczyny z dopiskiem „sprawdź”.

– I to wszystko?

– Mhm.

– To może być ślepy zaułek.

– Może – zgodziła się Julita. – Ale nie musi.

Janek chodził po mieszkaniu w kółko, drapał się po brodzie, burczał coś pod nosem, demonstrując niezadowolenie. A potem wyciągnął telefon.

O piątej rano zadzwonił budzik. Wadim wstał z łóżka, ogolił się elektryczną maszynką i przebrał w szorty i czarną wiatrówkę. Wyszedł z hotelu tylnym wyjściem, obok przesypujących się śmietników, bo tam nie było kamer. Potem skręcił w Boulevard Féart i chwilę później był już na plaży. Morze było wzburzone, wiał silny wiatr; po zatoce niosło się metaliczne dzwonienie want bijących o maszty. Dobrze, pomyślał Wadim, naciągając kaptur. Mniejsza szansa, że będą świadkowie.

Josh O'Brien. Długo go szukali. Facet przepadł bez śladu – razem z pieniędzmi inwestorów, którzy wykupili udziały w Gooldenie, stworzonej przez niego kryptowalucie. Dwadzieścia jeden milionów dolarów bez paru centów, tyle tego było. Ponoć nie musiał się nawet specjalnie starać, żeby zebrać tę kasę. Wystarczyło powiedzieć „blockchain”, a chętni walili drzwiami i oknami. Każdy chciał zarobić na tej gorączce złota, każdy marzył o kilkunastokrotnym zysku. A tam, gdzie marzyciele, wiadomo – pojawiają się oszuści.

Za takie pieniądze można kupić nowy dom, nowe papiery, nową twarz. Słowem, można zniknąć. Z początku wydawało się, że Joshowi się to udało, i to mimo że rozesłano za nim międzynarodowy list gończy, a kilku bogatych i bardzo, ale to bardzo poirytowanych ludzi obiecało sowitą nagrodę za pomoc w jego ujęciu. Nic, choćby tropu, kierunku.

Zgubił go jogging. A konkretnie – aplikacja, za pomocą której rejestrował, a następnie publikował w sieci swoje osiągnięcia. Anonimowo, rzecz jasna. Ale kumpel, który biegał z Joshem, zdradził jego pseudonim; cokolwiek by mówić o Wadimie, był mistrzem perswazji. Konto było wciąż aktywne. Może Josh zapomniał się wylogować, może nie wiedział, że domyślne ustawienia aplikacji zezwalają na automatyczne udostępnianie zebranych danych. Znaleźli na jego profilu kilkanaście starych tras, wszystkie z San Francisco, i jedną nową, uczęszczaną prawie codziennie: w nadatlantyckim Dinard, we Francji.

Zaczynała się pod jedną z willi na Pointe de la Malouine, a kończyła po drugiej stronie zatoki, przy Pointe du Moulinet. Start piąta, piąta piętnaście rano, a finisz koło siódmej, nim do miasteczka zjadą turyści.

Wadim potruchtał na koniec plaży, a potem wbiegł po kamiennych schodkach na betonową ścieżkę wylaną wzdłuż podnóża wysokiego skalistego brzegu. Z jednej strony miał pionowy klif, z drugiej – spienione morze. Podeszwy sportowych butów klaskały o mokrą nawierzchnię, wiatr szarpał ortalionową kurtkę. W uszach miał słuchawki, jak każdy szanujący się jogger. Tyle że nie sączyła się z nich muzyka.

– Cel dwie minuty na zachód od ciebie – zatrzeszczało.

Ich trasy przecięły się dokładnie tam, gdzie planował, w załomie poniżej Rue des Marettes. Ten odcinek był schowany między skałami, nie było go widać ani z jednej, ani z drugiej strony. Na morzu też było pusto; zadbał o to, przecinając kilka godzin wcześniej przewody paliwowe w rybackich kutrach zacumowanych w porcie. Josh miał na sobie odbłaskowo żółtą koszulkę. Opalony, uśmiechnięty, długie kręcone włosy zebrane w koczek. Widząc biegnącego z przeciwka Wadima, nawet nie zwolnił, skinął tylko lekko głową w niemym powitaniu. Ścieżka miała półtora metra szerokości, dość, żeby się bezpiecznie minąć. Tyle że nim to by się stało, Wadim pchnął Josha na skały. Amerykanin uderzył o klif i osunął się na ziemię.

– *Fuck...* – jęknął przez rozbite, krwawiące usta. – Co ty... – Nie dokończył.

Wadim kopnął go w brzuch. Nie za mocno, tak, żeby nie było sińca, żeby patolog, który za kilka godzin będzie robił sekcję, nie doszukał się śladów uderzenia, ale wystarczająco, żeby Josh stracił oddech. Wadim był wirtuozem spuszczenia wpierdolu. Tyle razy go bito, że wiedział dokładnie, co, gdzie i jak boli. Teraz wykorzystywał te doświadczenia, żeby wymierzyć siłę ciosu co do dzuła. *Reverse engineering*, tak to się chyba nazywało. Wadim kucnął przy wijącym się z bólu Joshu, szarpnął go za lewą nogę – i rozwiązał mu sznurówki.

– Czekaaj, czekaaj! Chodzi o kasę, tak? – spytał Amerykanin. W jego głosie słyhać było strach, ale też nadzieję. Nadzieję, że go przekupi. Ze wyjdzie z tego cało.

– Nie – odparł Wadim. A potem obrócił stopę o dziewięćdziesiąt stopni w prawo. Dość, żeby skrócić kostkę, nie aż tyle, żeby ją złamać. Josh zawył z bólu. Kolejny kopniak w brzuch i zamilkł. Wadim zepchnął bezwładne ciało na chłostane morzem skały kilka metrów niżej. Odczekał minutę, a potem ruszył z powrotem w stronę plaży. Co za tragiczna

historia, napiszą wieczorem lokalne portale informacyjne. Życie młodego człowieka przekreślone przez rozwiązane buty. Przydepnął sznurówkę, potknął się, poleciał na skały. Nie było nikogo, kto wezwałby pomoc.

Trzy godziny później Wadim był w kawiarence przy plaży. Jadł już drugie *pain au chocolat* i nie bez satysfakcji obserwował wozy policyjne pędzące po Rue de la Malouine. Nie spieszył się do odjazdu. Kolejna dobrze wykonana robota, już siedemnasta. Tylko dwa razy poszło coś nie tak, tylko dwa razy miał sobie potem coś do zarzucenia.

Jedną wpadkę zanotował w dwa tysiące osiemnastym, z tą Kandy. Kiedy wchodził do budynku, internet miał już być odcięty, ale coś poszło nie tak i zamiast załatwić sprawę po cichu, zrobił show na cały świat. Pewnie, nie jego wina, ale i tak powinien był się wcześniej zorientować, że coś nie gra, i odłączyć tę pieprzoną kamerkę. No, ale tak to jest, jak się trzeba spieszyć, nie mogli dopuścić, żeby wyszła stamtąd żywa, żeby zdążyła na spotkanie.

Druga obsuwa miała miejsce nieco wcześniej. Banalna robota, wydawałoby się: młoda, nikomu nieznana dziewczyna, dziennikareczka. Nie miała powodów, żeby cokolwiek podejrzewać. Wystarczyło poczekać w aucie, aż wyjdzie na ulicę, przejechać ją, a potem zwiać. Ale to właśnie uśpiło jego czujność, ta pozorna prostota. W ostatniej chwili ktoś dziewczynę ostrzegł, w ostatniej chwili odskoczyła. Tylko ją potracił, skończyło się na paru złamaniach. Nie mógł sobie tego wybaczyć, zwłaszcza że dziennikarka potem im nabruździła; gdyby nie ona, nie byłoby tej całej afery z Broniarkiem i Buczkiem.

Trudno, pomyślał, ładując do ust resztę ciastka.

Mimo wczesnej pory (dochodziła siódma) w narożnym sklepiku była kolejka. Ludzie, którzy w niej stali, dzielili się na dwie grupy – jedni mieli koszyki, a drudzy nie. Koszykowcy przyszli kupić jedzenie do biura: serki wiejskie, kajzerki albo gotowe obiady, blade kotlety i zdębiałe ziemniaki obleczone folią. Bezkoszykowcy przyszli po wódkę. Oleg rozpoznawał już ich twarze – wpadał tu codziennie przed pracą, sklepik był niedaleko jego wieżowca; kawałek prawdziwej Warszawy ukryty za szklaną pierzeją. Pieniądze trzymali w zaciśniętych dłoniach, wyliczone co do grosza. Ciężka garść miedziaków: cztery pięćdziesiąt jeden, trzy dziewięćdziesiąt dziewięć, trzy dwadzieścia osiem. Dość, żeby kupić setkę wódki smakowej, porzeczkowej czy gruszkowej: małe pękate buteleczki z kolorowymi etykietami, jak z serwisu dla lalek, które walały się potem na chodniku pod sklepem albo błyszczały wetknięte jedna na drugą w szpary betonowych latarni; pijackie witraże. Bezkoszykowcy wypijali te wódeczki duszkiem, na pusty żołądek. Dawały chyba wtedy większego kopa, dłużej można było na nich jechać.

– Następny proszę – rzuciła ekspedientka.

Oleg postawił koszyk na ladzie, poszedł w ruch skaner kodów kreskowych. Paczka kabanosów, *bip*, bułka, *bip*, sałatka z selera, *bip*.

– Będzie osiem dwadzieścia.

– Zapłacę kartą – powiedział Oleg, otwierając portfel.

Ekspedientka rzuciła mu spojrzenie spode łba. No tak, pomyślał Oleg, uciekając wzrokiem. Mimo starań jego „ł” wciąż brzmiało jak zmiękczone wileńskie „l”. A to wystarczyło, żeby go zdekspirować, żeby ze swojego stał się onym, obcym, i to obcym szczególnie podejrzanym i niepokojącym, bo na pierwszy rzut oka wyglądał przecież jak trzeba: biały, krótkie włosy, normalnie ubrany, nie w jakieś metroseksualne rurki, no zwykły chłopak z osiedla. Oleg miał ochotę wyjąć nie kartę debetową, tylko Kartę Polaka, POTWIERDZAJĄCĄ PRZYNALEŻNOŚĆ DO NARODU POLSKIEGO, jak głosił dumnie napis obok godła, i podsunąć ją kasjerce pod nos, patrz, powiedziec, zadowolona? Zamiast tego zapłacił i wyszedł bez słowa. Chętnie trzasnąłby jeszcze drzwiami, ale były automatyczne.

Nienawidził tego skrzywienia, tego zaskoczenia malującego się na twarzy, kiedy coś źle wymówił, popełnił jakiś błąd. Może lepiej byłoby udawać, że nie zna polskiego, mówić po angielsku. Rzecz jasna, wtedy też byłby postrzegany jako cudzoziemiec, ale jednak lepszej klasy, taki, co tu przyjechał na wakacje, zobaczyć Wieliczkę albo Auschwitz, wycieczka dwie w cenie jednej, a nie truskawki na czarno zrywać.

Najśmieszniejsze w tym wszystkim było, że w domu, w Czernawczycach, drwili z niego, że jest *poljaciszka*, *pszek*, *ljach*, leniwy *polskij pan*, co nic nie wie, a się mądrzy, nic nie umie, ale myśli, że jest lepszy od wszystkich, chodzi z pawim piórem wetkniętym w dupę. Kiedy miał dwanaście lat, chłopaki z klasy chodzili za nim i wołali: „Kto ty jesteś, Polak mały, twoje ojce dwa pedały”. Jednemu z tych

cwaniaków tak dał wtedy w zęby, że dyrekcja zawiesiła go na miesiąc w prawach ucznia. Tłumaczył rodzicom ze łzami w oczach, że musiał bronić honoru ojczyzny. Tu Rusek, tam Polaczek, a tak w ogóle to jeszcze Białorusin; Oleg siedział okrakiem na granicznym płocie i czuł, jak sztachety uwierają go w tyłek.

– Hej! Oleg!

To była Liina. Od czasu spotkania w kiblu trzymali się razem, zaczynali dzień od wspólnej kawki, razem brali przerwę na lunch. Oleg miał z początku nadzieję, że będzie z tego coś więcej niż przyjaźń, ale szybko okazało się, że nic z tego: Liina miała w Rydze dziewczynę. Cóż. Mówi się trudno.

– Hej – przywitał się. – A ty nie brałaś wczoraj nocki?

– Brałam.

– To nie powinnaś leżeć teraz do góry brzuchem?

– Poprosiłam o dodatkową zmianę. Wiesz, kasa na wakacje sama się nie zarobi.

I na skrzyty, pomyślał Oleg. Z tego co widział, Liina jarała przynajmniej raz dziennie. Znalazła lepsze lokum: kibel dla niepełnosprawnych piętro wyżej. Nikt z niego nie korzystał, ale być musiał, bo regulacje; idealna kryjówka. Ale miłość do trawki nie przeszkadzała jej w pracy, kto wie, może nawet pomagała. Liina miała najlepsze wyniki w zespole, najwięcej moderacji dziennie i najwięcej trafnych decyzji, na poziomie dziewięćdziesięciu ośmiu procent. Klikala tak szybko, że w tydzień rozwalala myszkę; istny internetowy rewolwerowiec.

– A ty? – spytała Liina. – Na co zbierasz?

– Dobre pytanie. W sumie... W sumie to na nic.

– To co, nie masz żadnych szalonych marzeń? Podróż dookoła świata? Czerwone ferrari?

– Kiedyś chciałem być piłkarzem... – powiedział Oleg. Wyszli z Twardej, stanęli na światłach; ich cienie padały na pasy. Cień Liiny był dłuższy. – Potem grać w kapeli rockowej...

– Ho, ho, widzę, że mierzyłeś wysoko.

– Mhm. No, ale wyszło, jak wyszło.

Światło zmieniło się na zielone. Ruszyli przed siebie, wymijając ludzi idących z naprzeciwka. Chwilę później byli w budynku; sześć wind, sześć identycznych metalowych drzwi, w których odbijały się ich rozmyte sylwetki.

– Niezbyt ci się tu podoba, co?

– Szczerze? No, niezbyt. – Oleg się zawahał. – Wyobrażałem sobie... Wiem, że to głupie, ale...

– Tak?

– No, wyobrażałem sobie, że to my będziemy decydować, które wpisy powinny zostać, a które nie. Rozpatrywać każdy przypadek osobno, a nie robić wszystko wedle wzoru.

– I do tego na czas.

– Mhm. A ty? W sumie właściwie to czemu tak długo tu siedzisz?

– Bo ja wiem... Łatwe pieniądze. Poza tym... Mam satysfakcję, wiesz? Nie z samej roboty, tylko z tego, że daję radę. Moderatorzy wykruszają się zwykle po trzech, czterech miesiącach. Ale nie ja.

Oleg skinął głową. Sam pracował w zespole niecałe pół roku i już zastanawiał się, jak się z niego katapultować. Winda wjechała na wybrane piętro, do biura. Neutralna korporacyjna szarość biurowca ustąpiła miejsca jaskrawym kolorom: czerwony! żółty! zielony! Recepcjonistka przywitała ich szerokim uśmiechem, z głośników sączyła się przyjemna dla ucha muzyka.

– Mamy jeszcze dziesięć minut. – Oleg spojrzął na zegar, którego ramiona zwieńczone były dłońmi z uniesionymi kciukami. – Zjemy razem śniadanie?

Usiedli przy ladzie pod oknem, na wysokich barowych stołkach. Liina jadła jaglankę na mleku kokosowym, a Oleg suchą bułkę i sałatkę z selera. Kabanosy postanowił zostawić sobie na później; Łotyszka była weganką, nie chciał jej drażnić.

– Słuchaj... – powiedział między kęsami. – A często widzisz fejkowe konta?

– Trudno powiedzieć... Ciężko je chyba odróżnić od prawdziwych, nie?

– Hm. Mnie się wydaje, że na kilka trafiłem.

– O? A jak?

– W sumie przez przypadek.

– No proszę... Mów dalej.

Nie trzeba było go dwa razy prosić. Temat fałszywych kont go męczył, czuł potrzebę, żeby z kimś o nich porozmawiać, a parę, z którą wynajmował mieszkanie, niezbyt to interesowało. Opowiadał więc: o wysypie wpisów o identycznych treściach, o profilu Zbyszka Dembskiego, o jego wszechstronnym wykształceniu językowym i zainteresowaniach politycznych. Kiedy skończył, wskazówki z kciukami pokazywały siódmą trzydzieści. Czas siadać do komputerów.

– Ciekawe, czy te profile są ze sobą jakoś połączone – powiedziała Liina, wkładając brudną miskę do zmywarki.

– To znaczy?

– Wiesz, czy się nawzajem lajkują, czy mają wspólnych znajomych.

Tak, pomyślał Oleg, chowając jedzenie do lodówki. Bardzo ciekawe.

Julita pracowała z domu. To znaczy leżała w szlafroku na kanapie, z laptopem na brzuchu, chrupiąc pociętą w słupki marchewkę (na zdrowie) i popijając czarną kawę (stary nałóg). Wiedziała, że to nie powinno tak wyglądać. Kiedy przeszła na *freelance*, doświadczeni w tym polu znajomi ostrzegali: musisz wyznaczyć sobie jedno miejsce do pracy, najlepiej przy biurku, trzymać się określonych godzin, ubierać tak, jak byś szła do biura, bo inaczej całkiem zdziczejesz, będziesz się chować przed listonoszem, chodzić przez tydzień w tych samych majtkach, wyjadać okruchy o niewiadomej proveniencji znalezione w połach piżamy.

I na początku się starała, naprawdę się starała, siedziała prosto jak ludzik z ulotki instruktażowej o prawidłowej postawie (łokcie i kolana zgięte pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, obie pięty na podłodze, monitor na wysokości oczu), zawsze w dżinsach, broń Boże nie w dresie, robiła sobie półgodzinną przerwę na obiad, zawsze o dwunastej trzydzieści. Aż któregoś dnia lekko się przeziębiła i powiedziała sobie, że raz, tylko ten jeden raz, słowo honoru, poleży w piżamie. Okazało się, że to droga bez powrotu, że kto raz zazna słodczy kitłaszenia się cały dzień w miękkich ciuchach, ten już nie zawróci, jest dla cywilizacji stracony. Od tej

pory Julita przebierała się w zwykłe ubrania dopiero wieczorem, kiedy Leon wracał z pracy. Gdyby nie on, pewnie całymi tygodniami siedziałyby w wyciągniętej polarowej bluzie w kotki, którą dostała od babci na czternaste urodziny, jedząc wyłącznie płatki zbożowe, no bo komu by się chciało schodzić do sklepu.

Julita pracowała teraz nad tekstem o dziennikarstwie śledczym w dobie internetu. Ciekawy paradoks: z jednej strony, przez upadek prasy papierowej i pogoń za klikami, mainstreamowe tytuły przeznaczały coraz mniej pieniędzy na porządne dochodzenia. Z drugiej, w sieci znajdowały się tak ogromne ilości ogólnodostępnych danych, że każdy, kto miał komputer, determinację i trochę wolnego czasu, mógł przeprowadzić własne śledztwo. Czasami rezultaty były niesamowite: okazywało się, że kilku amatorów potrafi obnażyć machinacje obcego wywiadu, ustalić tożsamość zakonspirowanych agentów na podstawie pozornie niewinnego selfie, gdzie w szkłe okularów odbija się strona paszportu, czy wyszperać zdjęcia satelitarne stanowiące dowód na nielegalny handel bronią. Często było jednak mniej różowo: fani teorii spiskowych ustalali w swoich „śledztwach”, że masakry w amerykańskich szkołach były tak naprawdę rządowymi prowokacjami mającymi ostatecznie doprowadzić do konfiskaty prywatnej broni palnej, i zaczęli wysyłać pogróżki pogrążonym w żałobie rodzinom ofiar, żądając, by przyznali się do udziału w spisku. Ale choć temat był fascynujący, praca nad tekstem szła jak po grudzie: Julita godzinę zbierała się, żeby w ogóle zacząć pisać, potem pół godziny cyzelowała pierwsze zdanie, żeby je potem...

Ding. Nowy e-mail. Julita aż podskoczyła, przez co zakrztusiła się marchewką – musiała wstać z kanapy i zgiąć się wpół, żeby odzyskać oddech. To on? Już? Niemożliwe. Ale może jednak? Otarła usta z pomarańczowej papki, położyła laptopa na kolanach. Wiadomość była zaszyfrowana. *Klik*, bełkotliwy ciąg liter, cyfr i symboli zmienił się w zwykły tekst.

od: Janek <rfg4dndn@yandex.ru>

do: Ja <teodozja.ambrozja@protonmail.com>

data: 25 lipca 2020 09:23

temat: nasza umowa

Przesyłam logi czatów.

DreamNet trzymał dane z sesji przez miesiąc, a potem je kasował, więc nie ma rozmów starszych niż trzydzieści dni przed zamknięciem biura.

Oczekuję dyskrecji.

Janek

Julitę aż kusilo, żeby kliknąć w załącznik już, teraz, natychmiast, ale nauczona bolesnym doświadczeniem, najpierw przeskanowała spakowany plik dwoma programami antywirusowymi, a potem przeniosła go na zewnętrzny dysk, na którym miała postawiony oddzielny *sandbox*, czyli izolatkę dla podejrzanych plików. Niby jej system operacyjny, Qubes, domyślnie zapewniał tę funkcjonalność, ale lepiej dmuchać na zimne, strzeżonego Pan Bóg strzeże, itede. Może ktoś przejął skrzynkę Janka. Może Janek dostał zainfekowany plik i się nie zorientował. Może

ktoś, jakimś cudem, przeprowadził *man in the middle attack* i podmienił załącznik, nim ten dotarł na komputer Julity. Ale nie, chyba wszystko w porządku. Uff. Julita rozpakowała plik i otworzyła folder. Zapis z piętnastu prywatnych czatów. Rzeczywiście często ze sobą rozmawiali. Kliknęła w najstarszy plik, zapis z dwunastego października.

KandyKroosh: długo cię nie widziałam

Alexxander12: przepraszam, praca

KandyKroosh: pomóc ci się rozluźnić? :)

Alexxander12: nie, chcę po prostu pogadać

KandyKroosh: okej

Alexxander12: co dzisiaj robiłaś?

KandyKroosh: szczerze mówiąc, to nic ciekawego

KandyKroosh: dom, praca, ple, ple, ple

Alexxander12: opowiedz

KandyKroosh: pamiętasz, że płacisz pięć dolarów za minutę?

Alexxander12: opowiedz

KandyKroosh: hmmm

KandyKroosh: rano odstawiłam syna do przedszkola

KandyKroosh: była afera, bo miał skarpetki w roboty

KandyKroosh: jego ulubione

KandyKroosh: i kapcie zastaniały roboty

KandyKroosh: więc nie chciał ich założyć

Alexxander12: haha

Alexxander12: i co? jak go przekonałaś?

KandyKroosh: przekonałam?

KandyKroosh: widać że nie masz dzieci

KandyKroosh: musiałam mu zmienić skarpetki

Alexxander12: :)

KandyKroosh: no, a potem pedicury, manicury, solaria, inne takie

KandyKroosh: ble

Alexxander12: ble?

KandyKroosh: wolałabym po prostu posiedzieć w domu, obejrzeć coś, poczytać

KandyKroosh: ale wiesz

KandyKroosh: przez tych wszystkich napalonych facetów

KandyKroosh: dla których się muszę odstawić

KandyKroosh: ;*

KandyKroosh: nie mam czasu

Alexxander12: serdecznie przepraszam

Alexxander12: w imieniu wszystkich napalonych facetów tego świata

KandyKroosh: wybaczam

KandyKroosh: w końcu płacicie

Alexxander12: a co ostatnio czytałaś?

KandyKroosh: instrukcję zdalnie sterowanej wyścigówki

Alexxander12: haha
KandyKroosh: a z książek
KandyKroosh: Heban Kapuścińskiego
KandyKroosh: to taki polski reporter
Alexxander12: znam
KandyKroosh: serio?
Alexxander12: w oxfamie koło mojego domu
Alexxander12: widziałem jego książkę
Alexxander12: jak ona się nazywała...
Alexxander12: Imperator?
KandyKroosh: chyba Cesarz
Alexander12: a tak tak
Alexxander12: zastanawiałem się, czy nie kupić
KandyKroosh: kup!!!

...i tak dalej, i tym podobnie, kolejne dziesięć stron rozmowy. Zwykłej rozmowy. O książkach, o pracy, o pogodzie, o rodzinie. Rozmowy między starymi znajomymi, która równie dobrze mogłaby się toczyć w kawiarni, w pociągu, na imprezie. Czekala, aż zaczną świntuszyć, ale nie, nic z tych rzeczy, nie tym razem. Łatwo było zapomnieć, że ona siedziała w trakcie tej rozmowy w samej bieliźnie, a on płacił. *Klik*. Następna rozmowa. Osiemnasty października.

KandyKroosh: witam mojego ulubionego klienta
KandyKroosh: jak zdrowko? Dopisuje?
Alexxander12: bywało lepiej
Alexxander12: cholerne alergie
KandyKroosh: to w Londynie są jeszcze jakieś rośliny?
KandyKroosh: myślałam, że to sto kilometrów kwadratowych
KandyKroosh: jednorodzinnych domków i supermarketów tesco
Alexxander12: haha
Alexxander12: blisko
Alexxander12: ale ja akurat mieszkam obok parku
Alexxander12: większość roku to fajna sprawa
Alexxander12: zwłaszcza w zimie
Alexxander12: robią wtedy tu taki zimowy park rozrywki
Alexxander12: winter wonderland
KandyKroosh: chodzisz?
Alexxander12: co ty, znasz mnie
Alexxander12: za dużo ludzi
Alexxander12: ale oglądam z okien
Alexxander12: i wiesz, fajnie się zasypia
Alexxander12: do dźwięku kolęd i gwaru rozmów
KandyKroosh: brzmi cudownie
Alexxander12: przyjeźdź kiedyś

KandyKroosh: kiedyś :*

KandyKroosh: na co masz dzisiaj ochotę?

Alexxander12: mogłabyś się rozebrać i położyć

Alexxander12: tak jakbyś spała?

KandyKroosh: pewnie

KandyKroosh: nic mi tak dobrze nie wychodzi jak spanie

KandyKroosh: mam się rozebrać zupełnie do naga?

KandyKroosh: czy coś zostawić?

KandyKroosh: np. pończochy? <smileydevil.gif>

Alexxander12: nie, nie, nic

Alexxander12: chciałbym sobie wyobrazić

Alexxander12: że wracam w nocy do domu

Alexxander12: i ty już śpisz

Alexxander12: i kładę się koło ciebie

Alexxander12: nie chcę cię budzić

Alexxander12: tylko głaszczę cię po włosach

Alexxander12: po plecach

KandyKroosh: pewnie

KandyKroosh: jesteś uroczy:*

KandyKroosh: może chcesz, żebym założyła koszulę nocną?

KandyKroosh: mam tu taką ładną

KandyKroosh: satynową

Alexxander12: mogłabyś?

KandyKroosh: pewnie

Potem przez kilkanaście minut nic, żadnych nowych wiadomości, na koniec życzą sobie dobrej nocy, żegnają się. Można się domyślać, co się działo w trakcie tej przerwy. Julita odsunęła na chwilę komputer, sięgnęła po kolejną marchewkę, i zajadając, porządkowała w głowie fakty. Londyn, *chrup, chrup*, to wzmacniało jej hipotezę, że Alexxander12 był Brytyjczykiem. „Za dużo ludzi, nie wytrzymałbym tego” – o co dokładnie chodziło? Jakaś forma fobii społecznej? Z rozmowy można było wywnioskować, że temat pojawił się już wcześniej, *chrup, chrup*, że KandyKroosh – Hanka – wiedziała, o co chodzi. Co jeszcze można było powiedzieć o jej adoratorze? Że był samotny. *Chrup, chrup*. Przejmująco samotny.

Klik. Następna rozmowa. Dwudziesty siódmy października.

Alexxander12: cześć, moja piękna

KandyKroosh: na co masz ochotę?

Alexxander12: uhhmm

Alexxander12: wszystko w porządku?

KandyKroosh: tak

KandyKroosh: na co masz ochotę?

Alexxander12: widzę przecież, że coś jest nie tak

Alexxander12: co się stało

KandyKroosh: ughhhh
KandyKroosh: przed tobą
KandyKroosh: połączył się ze mną taki debil
KandyKroosh: szkoda gadać
Alexxander12: ale co zrobił?
KandyKroosh: długo by pisać
Alexxander12: powiedz
KandyKroosh: daj spokój
KandyKroosh: płacisz za to
KandyKroosh: wiesz, może lepiej się rozłączmy
KandyKroosh: zrobię sobie przerwę, ochłonę
Alexxander12: nie nie
Alexxander12: nie zostawię cię w takim stanie
Alexxander12: powiedz, co się stało
KandyKroosh: Alex, jesteś słodki, naprawdę
KandyKroosh: ale to nie fair, żebyś ty płacił
KandyKroosh: żebym ci wylewała moje żale
Alexxander12: załóżmy, że to mój fetysz
Alexxander12: okej? ;)
KandyKroosh: hahah
KandyKroosh: Alex, kochanie, naprawdę źle się z tym będę czuła
Alexxander12: nie przejmuj się pieniędzmi
Alexxander12: no, dalej, mów
KandyKroosh: serio?
Alexxander12: serio
KandyKroosh: echhhhh
KandyKroosh: jak chcesz
KandyKroosh: tylko pamiętaj, że ostrzegałam
KandyKroosh: połączył się ze mną na prywatną sesję
KandyKroosh: koleś o nicku RockHardDick
KandyKroosh: już to powinno było mi dać do myślenia
KandyKroosh: powiedział, że mam sobie włożyć
KandyKroosh: ech
KandyKroosh: że mam wziąć największy wibrator i wsadzić go sobie do dupy
Alexxander12: romantyk
KandyKroosh: tja
KandyKroosh: powiedziałam mu, że przepraszam, ale nie
KandyKroosh: że nie robię takich rzeczy, że to jest w opisie
KandyKroosh: i czy mogę coś zaproponować w zamian
KandyKroosh: zaczął mnie wyzywać
KandyKroosh: od kurew
KandyKroosh: od dziwek
KandyKroosh: od suk
KandyKroosh: pisał, że mnie znajdzie, wylupie mi oczy, odetnie cycki

Alexxander12: o matko
KandyKroosh: wtedy go rozłączyłam
KandyKroosh: czuję się jak kawał gówna
Alexxander12: bardzo mi przykro
KandyKroosh: Alex, serio, rozłączmy się, marnuję twój czas i pieniądze
Alexxander12: nie
Alexxander12: nie chcę, żebyś była sama
Alexxander12: pogadajmy po prostu
Alexxander12: o czymś przyjemnym
KandyKroosh: na przykład?
Alexxander12: gdzie byś chciała pojechać
Alexxander12: gdybyś mogła pojechać w jedno miejsce na świecie?
KandyKroosh: w jedno?
Alexxander12: aha
KandyKroosh: Disneyland Tokio
Alexxander12: hahaha
Alexxander12: czemu akurat tam?
KandyKroosh: bo chciałabym kiedyś pojechać do Japonii
KandyKroosh: i do USA też
KandyKroosh: ale powiedziałaś jedno miejsce
KandyKroosh: to pomyślałam, że załatwię dwa tematy naraz
Alexxander12: haha
Alexxander12: byłem kiedyś w Tokio
KandyKroosh: w Disneylandzie?
Alexxander12: na konferencji
Alexxander12: tak ze dwa lata temu

Rozmawiali jeszcze długo, prawie godzinę, aż Hanka się uspokoiła, aż zapomniała o przykrym incydencie. Żadnej wzmianki o seksie. Ciekawe, pomyślała Julita, poprawiając sobie poduszkę pod głową. Nie spodziewała się tego. Ciepła. Wsparcia. Banałów. Po lekturze tego czatu trudno było nie zapalać sympatią do Alexa. Jeszcze trudniej – nie wracać myślami do tego okropnego nagrania, do wierzgającej nogami Hanki, do stalowej linki zaciśniętej na szyi, wybałuszonych, przerażonych oczu. Julita zamrugła, potrząsnęła głową, jak gdyby ten upiorny obraz był czymś dotykającym, niby pajęczyna, na którą wpadło się w lesie, którą chce się jak najszybciej zedrzeć z twarzy.

Następna rozmowa. Trzeci listopada.

KandyKroosh: Cześć
Alexxander12: Hej
KandyKroosh: Jak twój dzień?
Alexxander12: ojej
Alexxander12: źle, bardzo źle
Alexxander12: w skali od zera do stu

Alexxander12: dałbym minus trylion
KandyKroosh: ojej :(co się stało?
Alexxander12: miałem dać odczyt na drugim końcu miasta
KandyKroosh: myślałam, że wzięłeś wolne z uczelni?
Alexxander12: bo wzięłem
Alexxander12: ale pomyślałem
Alexxander12: chłopie, weź się kurwa w garść
Alexxander12: od trzech miesięcy nie wychodzisz z domu
Alexxander12: z nikim nie rozmawiasz
Alexxander12: jesz zupki z proszku i tosty
Alexxander12: więc jak dostałem zaproszenie na gościnny wykład
Alexxander12: to pomyślałem, raz się żyje
KandyKroosh: i co się stało?
Alexxander12: od dwóch dni nie spałem
Alexxander12: bo co jeśli zapomnę kluczy
Alexxander12: co jeśli zostawię włączoną kuchenkę albo odkręcony kran
Alexxander12: co jeśli będzie awaria metra i się spóźnię
Alexxander12: co jeśli bramka przytnie mi torbę
Alexxander12: najgorsze jest to
Alexxander12: że ja wiem, że to wszystko jest idiotyczne
Alexxander12: że te lęki są irracjonalne
Alexxander12: ale to nie sprawia, że są mniej realne
Alexxander12: zdaję sobie sprawę, jak to brzmi
Alexxander12: że dla ciebie to śmieszne
KandyKroosh: przestań
KandyKroosh: nie
Alexxander12: nie musisz zaprzeczać
KandyKroosh: jak myślisz, że mnie to bawi, to się bardzo mylisz
KandyKroosh: żal mi cię
KandyKroosh: strasznie mi cię żal
KandyKroosh: strasznie
KandyKroosh: gdybym mogła zrobić coś, żeby ci pomóc
KandyKroosh: zrobiłabym to bez wahania
Alexxander12: robisz
KandyKroosh: proszę cię
KandyKroosh: klepię się przed kamerą po tyłku
KandyKroosh: i jeszcze każę ci za to płacić
KandyKroosh: to nie jest pomoc
Alexxander12: terapeutcie też płaciłem
Alexxander12: i szczerze mówiąc
Alexxander12: lepiej byśmy obaj spędzili ten czas
Alexxander12: gdyby też klepał się po tyłku
KandyKroosh: haha
Alexxander12: :)

KandyKroosh: to

KandyKroosh: to co się stało?

Alexxander12: echhh

Alexxander12: wyszedłem z domu cztery godziny wcześniej

Alexxander12: mimo że wykład miałem godzinę od domu

Alexxander12: torbę miałem spakowaną, jakbym się wybierał na K2

Alexxander12: peleryna, gdyby padało

Alexxander12: sweter, gdyby się zrobiło zimno

Alexxander12: chusteczki do nosa, pięć paczek

Alexxander12: papierowa torebka, gdyby mi się zrobiło niedobrze

Alexxander12: power bank, gdyby padł telefon

Alexxander12: no, wyobrażasz sobie

Alexxander12: godzinę wychodziłem z domu

Alexxander12: wyłączyłem korki

Alexxander12: powyciągałem wszystkie wtyczki

Alexxander12: zakręciłem wodę

Alexxander12: potem prochy

Alexxander12: najpierw pół miligrama alprazolamu, żeby trochę się uspokoić

Alexxander12: potem piętnaście miligramów inderalu, żeby zbić ciśnienie

Alexxander12: potem maxolon, żeby się nie porzygać z nerwów

Alexxander12: i na koniec

Alexxander12: szklaneczka whiskey

KandyKroosh: haha

KandyKroosh: to ostatnie też czasem stosuję

KandyKroosh: wypisują na to recepty?

Alexxander12: niestety nie, NHS nie płaci

Alexxander12: w końcu wyszedłem

Alexxander12: prawie dostałem ataku w przejściu podziemnym

Alexxander12: ale pozbierałem się, wsiadłem do wagonu

Alexxander12: stałem pod samymi drzwiami, żeby na pewno wyjść

Alexxander12: żeby się nie okazało, że nie mogę się przepchnąć

Alexxander12: dotarłem na miejsce grubo przed czasem

Alexxander12: strasznie chciało mi się pić, ale nie piłem

Alexxander12: bo co jeśli będzie mi się chciało sikać, jak zacznę mówić?

Alexxander12: zacząłem chodzić wokół budynku żeby zabić czas

Alexxander12: ale wszędzie kamery

Alexxander12: co jeśli ktoś uzna, że to podejrzane, że się tak kręcę?

Alexxander12: no to park

Alexxander12: ale wieje wiatr, jeszcze się przeziębuję

Alexxander12: w końcu wszedłem na wydział

Alexxander12: i zamknąłem się w kiblu

KandyKroosh: na 3 godziny?!!

Alexxander12: mhm

KandyKroosh: O_o

Alexxander12: na piętnaście minut przed znów
Alexxander12: Alprazolam, inderal, maxolon, whiskey
Alexxander12: wstaję i widzę, że mam mokre nogawki
Alexxander12: coś się musiało wylać na podłozie w łazience
Alexxander12: nie zauważyłem
Alexxander12: panikuję, przecież wyglądam jak krety, wyśmieją mnie, wygwizdzą
Alexxander12: próbuję wysuszyć nogawki w suszarce
Alexxander12: ale suszarka jest na fotokomórkę
Alexxander12: włącza się na pięć sekund i wyłącza
Alexxander12: więc tańczę przy tej pieprzonej suszarce
Alexxander12: w końcu się poślizgnąłem i upadłem na podłogę
Alexxander12: teraz mam też mokrą dupę, a wykład za pięć minut
KandyKroosh: o mój boże
KandyKroosh: ;(((
KandyKroosh: i co dalej?
Alexxander12: stchórzyłem
Alexxander12: chciałem uciec do domu, ale bałem się
Alexxander12: że wpadnę na korytarzu na studentów
Alexxander12: albo profesora, który mnie zaprosił
Alexxander12: więc zamknąłem się w kabinie na kolejne trzy godziny
Alexxander12: wyszedłem dopiero jak woźny zamykał budynek
Alexxander12: no i wiadomo
Alexxander12: Alprazolam, inderal, maxolon, whiskey
Alexxander12: i jakoś wróciłem do siebie
KandyKroosh: o matko
KandyKroosh: masakra
KandyKroosh: zawsze było tak źle?
Alexxander12: nie
Alexxander12: znaczy, zawsze miałem problem
Alexxander12: „zaburzenia lękowe”, tak to się nazywa
Alexxander12: tyle że jakoś sobie z tym radziłem
Alexxander12: ale
Alexxander12: tego lata miałem bardzo przykre przeżycie
Alexxander12: ogromny stres
Alexxander12: zupełnie wtedy wysiadłem
Alexxander12: i jest tylko gorzej i gorzej
KandyKroosh: co się wtedy stało?
Alexxander12: wiesz, nie chcę o tym mówić
KandyKroosh: a, okej, nie naciskam
Alexxander12: nie chodzi o ciebie
Alexxander12: po prostu nie chcę do tego wracać
KandyKroosh: rozumiem
KandyKroosh: co mogę dla ciebie zrobić?
KandyKroosh: cokolwiek na co masz ochotę

Alexxander12: mam ochotę iść spać
Alexxander12: ale dziękuję, że mogłem się wygadać
Alexxander12: zamiast ryczeć pod kocem
KandyKroosh: nie ma sprawy
KandyKroosh: jeśli chcesz jeszcze pogadać, też nie ma sprawy
KandyKroosh: tylko się ubiorę, bo mi trochę zimno
Alexxander12: nie, nie, naprawdę muszę się położyć
Alexxander12: kręci mi się w głowie od tych wszystkich prochów
KandyKroosh: rozumiem
KandyKroosh: w takim razie dobrej nocy
KandyKroosh: :*
Alexxander12: dobranoc, kochana

Julita odłożyła komputer. Musiała odetchnąć, oderwać oczy od komputera. Boże. Jeszcze niedawno, czytając zapis tej rozmowy, przewracałaby oczami, prychałaby pod nosem. Weź się, koleś, ogarnij, powiedziałyby w myślach, zmoczyłeś sobie nogawki, no wielkie mi halo, buhuhu. Ale teraz sama zmagła się z irracjonalnymi strachami: przed głośnymi dźwiękami, przed zasypianiem, przed lotniskami i lataniem. Do tego doświadczenia z zeszłego roku sprawiły, że była chorobliwie podejrzliwa wobec komputerów, wręcz paranoidalnie. Dlaczego ta strona ładuje się dłużej niż zwykle? Może właśnie odpala się jakiś złośliwy skrypt? Dlaczego laptop się zawiesił? Zwyczajny błąd czy ktoś przedarł się przez wszystkie zapory i zainstalował jej jakiś *malware*? Czemu internet zwolnił? Wina dostawcy czy ktoś podłączył się do jej sieci Wi-Fi, kradnie jej dane? Czy prośba o podanie adresu i numeru NIP rzeczywiście przyszła od zleceniodawcy, czy od kogoś, kto się pod niego podszywa? Od razu oblewał ją zimny pot, od razu serce obijało się o żebra, a mózg pisał najgorsze możliwe scenariusze. Leon mówił jej, że musi trochę wyluzować, że owszem, sparzyła się, ale nie może pozwolić, żeby to zdefiniowało resztę jej życia, żeby stała się zakładniczką własnych obsesji. Zbywała go, zamiatała problem pod dywan, przecież nie miała czasu się tym zająć, terapia to takie gadanie, pitu-pitu za sto pięćdziesiąt złotych za godzinę, a po proszkach czuła się gorzej niż bez nich. Ale może Leon ma rację. Może powinna coś z tym zrobić, póki nie jest za późno. Zanim wpadnie w panikę z powodu mokrej nogawki.

Julita wróciła do lektury. Kolejne rozmowy były krótsze, mniej ciekawe, bardziej skupione na seksie – *ubierz się, jakbyś wychodziła ze mną na imprezę, zatańcz, zrób sobie dobrze, mhm, o tak, właśnie tak*. Spomiędzy westchnień, wielokropków, emotikonów Julita wyławiała pojedyncze fakty na temat Alexa, garść puzzli z liczącej dziesięć tysięcy elementóW układanki: lubił The Roots i tajską kuchnię. Jako dziecko spędzał lato u krewnych w Blackpool. Przygnębiała go perspektywa brexitu. Mało. Chyba nie dość, żeby ustalić jego tożsamość. A wiadomość, którą mu wysłała, wciąż pozostawała bez odpowiedzi. Ostatni czat. Dwunasty listopada. Późny wieczór.

KandyKroosh: o hej

KandyKroosh: fajnie, że jesteś, miałam już kończyć
KandyKroosh: co u Ciebie?
Alexxander12: chcę się pożegnać
KandyKroosh: co?
KandyKroosh: pożegnać?
KandyKroosh: Dlaczego?
Alexxander12: nie będę mógł już z Tobą rozmawiać
KandyKroosh: o co chodzi?
Alexxander12: bardzo Ci za wszystko dziękuję
KandyKroosh: hej, o co chodzi?
Alexxander12: za wszystko, co mi dałaś
KandyKroosh: O CO CHODZI
Alexxander12: nie mogę Ci powiedzieć
KandyKroosh: nie wygłupiaj się
KandyKroosh: powiedz
Alexxander12: nie mogę
KandyKroosh: jak to nie możesz?
Alexxander12: pamiętasz, jak pisałem, że w lecie
Alexxander12: stało się coś złego?
KandyKroosh: mhm
Alexxander12: no to wygląda na to
Alexxander12: że jest ciąg dalszy
KandyKroosh: ale co to do cholery znaczy?
Alexxander12: proszę
Alexxander12: naprawdę nie mogę ci powiedzieć
Alexxander12: dla Twojego własnego dobra
KandyKroosh: porozmawiajmy prywatnie
KandyKroosh: nie tu
KandyKroosh: może mogę jakoś pomóc
Alexxander12: Kandy, to nie jest dobry pomysł
KandyKroosh: zaraz wyślę ci numer
KandyKroosh: zadzwoń
KandyKroosh: proszę

I tyle. Koniec. Wylogowała się. Musiał wtedy do niej zadzwonić. Musiał jej coś powiedzieć, w coś ją wplątać, coś jej przekazać. Coś, czego kilka dni później szukał jej morderca.

Julita ubrała się, uczesała. Była gotowa do wyjścia, stała już w drzwiach, kiedy przyszedł jej do głowy pomysł. Cofnęła się do sypialni, otworzyła szafę i zaczęła grzebać w rzeczach Leona.

Bulwary wiślane. Schody do rzeki, wiatr od wody rozwiewa spaliny, po drugiej stronie zieleń, plaża. Gra muzyka, tłum ludzi, ci aktywni na wrotkach, na deskorolkach, na rowerach, ci mniej – na leżakach. Na każdym kroku jakaś knajpka,

stragan, tu gra jazz, a tu chill, a nad głowami skrzeczą rybitwy, w tle zarys Starego Miasta, tryskają fontanny, krótko mówiąc, stolica jak z folderu reklamowego dla naiwnych turystów. Aneta zerka na ojca, szybkie spojrzenie, w przelocie, że niby chciała zobaczyć, co się dzieje po drugiej stronie deptaka, żeby się tylko nie zorientował, że mu się przygląda, bo tego nie lubi. Dłonie splecione za plecami. Ściągnięte brwi. Wąsy upieprzone keczupem. Proponowała mu, że wezmą frytki ze słodkiego ziemniaka albo falafele, żeby spróbował coś nowego, ale nie, ja tych waszych warszawskich wynalazków nie będę tykał, mówi, daj no jakieś normalne jedzenie. No to poszli do baru z grillem i wzięli kiełbasy, ale też niedobre. Gówno, nie mięso, powiedział ojciec, wyciągając zwęglone skórki spomiędzy zębów, czuć, że w sklepie kupione, w folię paczkowane, nie to, co od sąsiada.

Aneta się go wstydziła. Wstydziła się skarpet do sandałów, przykrótkich szortów odsłaniających blade uda, wstydziła się spranej koszuli w kratę, wstydziła się jego tłustych włosów ulizanych na bok. I jednocześnie chciała mu zaimponować, chciała go wbić w ziemię tą swoją warszawskością, chciała, żeby rozdziawił gębę na widok tych wszystkich wieżowców i drogich aut, żeby pokiwał z uznaniem w mieszkaniu jak z reklamy, no, córuś, udało ci się, wyszły z ciebie ludzie. Ale nie, idzie nadąsany, znów mu się coś nie podoba, może za gorąco, może za głośno, może za wietrznie, może za kolorowo, może by, kurwa, wolał, żeby Wisła płynęła w drugą stronę. Powinnam była pójść na psychologię, pomyślała Aneta, omijając szerokim łukiem ubrudzone lodami dziecko, może wtedy bym wreszcie zrozumiała, jak można kimś jednocześnie gardzić i go uwielbiać, jak można kogoś nienawidzić i ciągle, ciągle szukać jego aprobaty.

Zawsze tak było. Zawsze źle. Jej pierwsze wspomnienie, kiedy miała pięć lat: lipiec, dopiero co przestało padać. Parno tak, że jest cała mokra, w rękę trzyma wiaderko, czerwone, plastikowe, tandetne, takie, które inne dzieci brały nad morze, żeby budować zamki i stawiać babki. Ona wkłada do wiaderka ślimaki, zbiera je z mokrych liści sałaty. Ojciec ją wysłał. Oho, powiedział chwilę wcześniej, stojąc przed ociekającym wodą oknem, przeciera się, zaraz wyjdą skurwysyny, zaraz będą liście obżerać, kurwie mordy, idź, Anetka, dziecko, i wszystek je wyzbieraj. No i Anetka chodzi między grządkami i szuka ślimaków. A ślimaki są piękne, mają takie kolorowe muszle, żółto-czarne, zielone, bladoniebieskie, zakręcone w spiralki, błyszczące od deszczu, wyglądają trochę jak klipsy mamy, te, które zakłada do kościoła. Niektóre ślimaki są malutkie, jeszcze przezroczyste, jak paznokiec, chowają czułki ze strachu, kiedy wyciąga po nie dłoń. Przy nich winniczki wydają się ogromne, dostojne, budzą podziw i szacunek, czuje się w rękach ich ciężar. Aneta kuca przed grządką sałaty i mówi wierszyk, którego nauczyła ją babcia: ślimak, ślimak, pokaż rogi, dam ci sera na pierogi. Wtedy z domu wychodzi ojciec. Musiał stać na ganku, obserwować ją przez zaparowane okienko. Wysokie gumofilce rozbryzgują wodę, dłonie zaciśnięte w pięści. Wrywa jej wiaderko, wysypuje ślimaki na drogę, która biegnie tuż obok, i miażdży obcasem buta, raz, dwa, trzy, skorupki pękają na tysiące kawałków, z ślimaków wypływają śliskie wnętrzości, Aneta krzyczy, krzyczy tym histerycznym wrzaskiem, który aż dusi, a ojciec mówi, do roboty miałaś iść, a nie mi się tu wygłupiać, gnojówko. Wybiega

matka, Stefan, szepcze, bo zawsze szepcze, bo ojciec nie lubi, kiedy podnosi głos, sam wtedy podnosi rękę, Stefan, pomiluj, pięć lat ma, nie rozumie... Ojciec kopie wiaderko, wraca do domu, obrażony na nie, na ślimaki, na cały świat, trzaska drzwiami, aż mokre szyby drżą w ramach.

W polu za wolna, za słaba, niedokładnie robi. Do zwierząt w ogóle nie ma ręki, krowę doi tak, że u Kozielaków słychać, jak ta ryczy z bólu, kur do kurnika nie potrafi na wieczór zagonić, konia się boi. Bo gryzie? A dobrze, że gryzie, może się czego wreszcie nauczyć. A piątki, szeptała matka, coraz ciszej i ciszej, a szóstki, a czerwony pasek? Ojciec wzrusza ramionami. A co, włożę te piątki do garnka? Zupę z szóstek ugotuję? He? Matka spuszcza głowę, nawet nie patrzy w jej stronę, żadnego porozumiewawczego spojrzenia, chociaż spróbowałam, córuś, żadnego westchnięcia, że ech, stary znów swoje, tylko wzrok w podłogę, jakby ksiądz monstrancję podnosił, *otoooo słowoooo męęęężaaaaa, ding-ding, ding-ding*.

Oczywiście, były też miłe wspomnienia, musiała mu to oddać: kiedy uczył ją pływać w Narwi (ręka ojca trzyma ją tuż nad wodą, wodorosty łaskoczą nogi), kiedy robili razem krzyżacki zamek z tektury (sklepiła sobie palce), kiedy naprawiał jej rower (różowa rama, koraliki na szprychach, chorągiewka za siodełkiem, prezent od ciotki, która wyjechała do Holandii, cała wieś jej zazdrościła). Ale każde miało jakąś skazę, było czymś zepsute. Bo z ust zionęło mu alkoholem. Bo nie patrzył, kiedy próbowała mu coś pokazać. Bo zaraz potem warknął na matkę.

No i szedł po tych bulwarach, szedł i narzekał, smęcił i jęczał, skutecznie obrzydając jej ulubiony kawałek miasta. Sama się o to prosiła. Sama zaproponowała, żeby przyjechał. Myślała, że może teraz, kiedy odnosiła sukcesy z Polską Jutro, że może teraz będzie dumny, no, może nie dumny, ale chociaż połechce to jego próżność. Że jak będzie z kolegami siedział w barze przy piwku (dwa złote trzydzieści groszy, w tym kaucja za butelkę) i w telewizorze nad kontuarem będzie leciała konferencja prasowa Artura, i zobaczy ją gdzieś w drugim rzędzie, tuż za jego ramieniem, to powie, o patrzcie, widzicie tę blondynę, o tam? To moja córa. Gdzie tam.

Usiedli w kawiarni nad Wisłą. Ojciec wyciągnął okulary z wytartego skórzanego etui, obejrzał krytycznie, po czym nałożył na nos z namaszczeniem, jakby miał czytać zwoje z Qumran, a nie kartę dań amerykańskiej sieciówki. Widziała, jak z trudem składa litery w nieznanym słowach; czoło zmarszczone od wysiłku, usta ruszają się bezgłośnie. Aneta miała ochotę zepchnąć go do rzeki razem z krzesłem. Zgorzkniały dziad. Pijak. Nieudacznik.

– A w pracy jak? – wymamrotał, nie podnosząc wzroku.

– Całkiem dobrze – odpowiedziała natychmiast, nim wybrzmiała jeszcze ostatnia głoska pytania, świergotliwie, z idiotycznym uśmiechem. Pojawił się wbrew niej, kąciki ust uniosły się bez jej udziału, jak noga uderzona pod kolaniem gumowym młoteczką. Nienawidziła się za ten uśmiech. – Zostałam szefową kampanii internetowej do wyborów parlamentarnych.

– Internetowej mówisz?

– Tak. W sieci.

- Wiem, co to jest internet – zachnął się ojciec, odkładając kartę na rozgrzany słońcem blat. – A plakaty i te, no, bilberdy?
- Za nie odpowiada mój kolega.
- No tak. Pewnie jaki łebski chłopak, co?
- Niczego sobie.
- A, no i nic dziwnego. Patrz na niego i się ucz, to następnym razem może cię zaweźmie na praktyki.
- Tato. – Aneta z trudem opanowała głos. – Na plakaty wydamy pięć procent środków. Cała reszta idzie na internet. Dziewięćdziesiąt pięć procent. Dziś zapadła decyzja. Rozumiesz?
- Ja wezmę herbatę – odpowiedział ojciec. Stracił zainteresowanie rozmową, wzrok uciekł mu już w stronę wody.

ZUPKA JARZYNOWA	4,99
KOTLECİK Z ZIEMNIACZKAMI I BURACZKAMI	13,99
KURCZACZEK Z RYŻEM I SURÓWECZKĄ	12,99
KOMPOCIK	1,99

Janek Tran oderwał wzrok od wypisanego barokową kursywą menu, spojrzał na dania wyłożone za szklaną szybką – i westchnął ciężko. Nowa praca miała wiele zalet (prywatne ubezpieczenie zdrowotne, pieniądze na szkolenia, wyjazdy służbowe, dostęp do najlepszego hardware’u i softu, nie wspominając o obrandowanych koszulkach, długopisach, notesach, bidonach, które na początku nawet cieszyły, a teraz zalegały tylko na dnie szafy), ale kantyna była jak z koszmaru: wszystko rozgotowane, mdłe, niedosolone. Jakby tu gotował Anglik z nadciśnieniem.

– Ja bym wzięła kotlecik z buraczkami – zza pleców doszedł go kobiecy głos. Janek zamarł. Czyżby... Nie, pomyślał. To przecież niemożliwe. – I z kompocikiem. Jeśli starczy pieniążków.

Odwrocił się. To ona. Włosy spięte w sterczący kucyk, bezczelny uśmiech od ucha do ucha.

- Co ty tu, do cholery, robisz?
- Chciałam pogadać – odpowiedziała Julita, sięgając po tacę. Jakby była u siebie.
- Ale... Jak tu w ogóle weszłaś?
- Powiedziałam, że podrzucam mężowi nowy krawat, bo swój zalał kawą, a zaraz ma spotkanie z ważnym klientem. – Julita wyłowiła z kieszeni krawat w srebrne prążki z gracją prestidigitatora, który prezentuje osłupiałej widowni wyjętego z cylindra królika. – No i recepcjonistka mnie wpuściła.
- Wariatka.
- Nie, całkiem fajna dziewczyna.
- O tobie mówię – warknął Janek. – Serio, ty masz nasrane we łbie. Wiesz, co by się stało, gdyby cię ktoś przyłapał?
- No nie wiem, wyprowadziliby mnie z budynku?
- Firma traktuje kwestie bezpieczeństwa poważnie.

– Aha. Właśnie widzę.

– Halo, co będzie dla pana? – spytała lekko zniecierpliwiona kucharka.

– Hm? Momencik...

– Dla niego będzie kotlecik, ziemniaczki, buraczki i kompocik – powiedziała Julita – a dla mnie zupa. Przepraszam, zupka.

– Co? – Janek patrzył to na kucharkę, to na Julitę, zdeorientowany. W końcu ściągnął brwi i syknął. – Słuchaj, jeśli myślisz, że...

– Zapłaci pan? – Kucharka wzięła się pod boki. – Bo kolejka się robi.

Janek puścił Julicie lodowate spojrzenie (poczekaj no, zaraz ci wygarnę, kretyńko), wyszarpnął portfel z kieszeni i przyłożył kartę do czytnika z taką furją, że wyglądał, jakby chciał wymierzyć Bogu ducha winnemu terminalowi siarczysty policzek, niby dziewiętnastowieczny dżentelmen wyzywający przeciwnika na pojedynek za pomocą zdjętej właśnie z dłoni rękawiczki z cielejącej skóry. Kiedy kucharka rzuciła jej zaniepokojone spojrzenie, Julita wzruszyła tylko ramionami. No co poradzisz, zdawała się mówić. Faceci.

– Masz jakiś ulubiony stolik? – Julita sięgnęła po sztucę. – Może tam pod oknem? Nawet ładny widok.

– Ty to robisz specjalnie, prawda?

– Co?

– Wkurwiasz mnie.

– Hm. – Julita potarła brodę, zmarszczyła czoło; filozofka dumająca nad trudnym pytaniem. – Niewykluczone.

– I chcesz, żebym ci pomógł?

– Aha.

– No, to się zdziwisz.

Janek odwrócił się na pięcie, usiadł przy pierwszym wolnym stoliku. Widelcem w jednej ręce grzebał w jedzeniu, drugą wyciągnął telefon i przeglądał mejle. A mogłem wtedy udać, że mnie nie ma w domu, pomyślał, wbijając widelec w kotlet. Albo spuścić ją po drucie. Szlag by ją trafił. Julita, kurwa, Wójcicka. Najbardziej wścibska kobieta na wschód od Łaby.

Kroki. Usiadła obok. Nie unióś głowy, ale zobaczył kątem oka, że położyła coś na stole. Zadrukowana kartka papieru. Zapis czatu, kluczowe fragmenty zaznaczone jaskrawym flamastrem. Nie, nie dam jej tej satysfakcji, pomyślał, nie tym razem, nie przeczytam. Julita się nie przejmowała. Jadła zupę, siorbiąc z ostentacją.

Wytrzymał dwie minuty. W końcu westchnął, przewrócił oczami.

– Robię to tylko dlatego, żebyś się w końcu odczepiła, okej? – I sięgnął po kartkę. Czytał przez zmrużone powieki, żując raz za razem, szybko, jakby miał w ustach gumę, nie kotlet. Aż nagle przestał. *Alexxander12: Pamiętasz, jak pisałem, że w lecie stało się coś złego? KandyKroosh: Zadzwoń.*

– Sprawdź datę – powiedziała Julita.

Wzrok Janka przesunął się na górę kartki. Uniósł brew. Cztery dni przed tym, jak ją zamordowano. Przełknął jedzenie, popił przesłodzonym kompotem. Chwilę siedział w ciszy.

- Żeby było jasne – mruknął w końcu – zrobię to tylko dlatego, że to może mieć coś wspólnego z X1.
- Oczywiście.
- I pod warunkiem, że darujesz sobie te gówniarskie wygłupy.
- Tak jest, panie władzo.
- Nie jestem... Ech. Nieważne.
- O której kończysz? – Julita otarła usta serwetką.
- Janek spojrział na zegarek. Dochodziła druga.
- W sumie może być i teraz – powiedział, odkładając brudne naczynia na tacę. – Mam nadgodziny do odebrania.

Brzegi wyspy są piaszczyste, w jej sercu piętrzą się ośnieżone góry okolone gęstymi lasami, polami żyta, zielonymi pastwiskami, wśród których bielą się owcze runa. Na zachodzie gleba jest gliniasta, czerwonawa, w sam raz do produkcji naczyń czy cegieł, a tuż obok zaczyna się jałowa pustynia, którą za dom obrali sobie wszelkiej maści bandyci i...

- Ej, Łukaszenka! Twoja kolej.
- Oleg oderwał wzrok od planszy. Leszek i Ela patrzyli na niego wyczekująco.
- Wszystko okej? – spytała Ela.
- Tak, tak. Zamyśliłem się.
- I o czym tak sobie waszmość dumasz? – Leszek sięgnął po orzeszki w miodzie. – Jak wybudować dłuższą drogę niżli moja? Oszczędzę ci wysiłku: nie możesz. Z jednej strony blokuje cię moje miasto, a z drugiej osada Elki, a na eksterytorialny korytarz żadne z was nie wyda zgody, nie ma głupich.
- Mów za siebie – powiedziała Elka, oglądając swoje karty. – Ja wydam, w zamian za trzy drewnianki.
- Ej! Można handlować tylko w swojej turze!
- Tak? A gdzie to jest w zasadach?
- Nie ma, ale to ogólnie przyjęty zwyczaj.
- Ogólnie przyjęty przez kogo?

Oleg uśmiechnął się pod nosem, słuchając kłótni współlokatorów. Strasznie go z początku denerwowali. Leszek, chudy jak tyczka, z rzadkimi włosami zebranymi w kucyk, o piskliwym głosie, dla którego cienkie ściany mieszkania nie stanowiły żadnej przeszkody, i żenującym poczuciu humoru. Elka, okrągła jak piłka, wiecznie na coś chora, jak nie zatrucie żołądkowe (przepraszam, czy mógłbyś, proszę, zjeść u siebie w pokoju, bo niedobrze mi od tych zapachów), to tajemnicze migreny (przepraszam, czy mógłbyś, proszę, ściszyć muzykę, bo pęka mi głowa) albo niewidzialne katary (przepraszam, czy mógłbyś, proszę, zamknąć okno, bo jestem przeziębiona i nie chcę, żeby mnie przewiało). No, ale byli gotowi odnajdąć pokój od zaraz, i to za śmieszne pieniądze – bardziej niż na wpływach z czynszu zależało im chyba na znalezieniu trzeciego gracza do planszówek – więc postanowił, że spróbuje. Pierwsze tygodnie były ciężkie, ale kiedy już przyzwyczaił się do ich dziwactw, dostrzegł też zalety. Elka była serdeczna, troskliwa, jak starsza siostra. A Leszek... No, Leszek chętnie dzielił się piwem. Rzemieślniczym, rzecz jasna;

każdego, kto plugawił podniebienie produktami ogólnopolskich browarów, Leszek uważał za prostaka niegodnego uwagi.

– ...a poza tym moja tura kończy się dopiero, kiedy następny gracz rzuci kośćmi.

– Oleg, błagam, uratuj mnie przed tą jędzą, niechaj te *alea* będą wreszcie *iacta*, bo zaraz ocipieję.

– Już, już.

Oleg rzucił kośćmi: pięć oczek na jednej, dwa na drugiej. Siedem. Czyli może przestawić rabusia, ukraść zasoby, zablokować pole. Podniósł czarny pionek; bandyci szczyrzyli zęby, potrząsali groźnie maczugami i sztyletami. Gdzie by go postawić, któremu sąsiadowi pokrzyżować plany? Może wysłać go na pastwiska Elki? Czy może jednak do kamieniołomów Leszka?

Ping, zadzwonił rozłożony na kanapie laptop. Oleg odwrócił się od planszy, kliknął kilka razy myszką. *Pobieranie zakończone. Rozpocząć instalację? Instalacja rozpoczęta.*

– Co tam? Jakaś białołowa śle wyraził miłości?

– Nic z tych rzeczy – odpowiedział Oleg, odsuwając komputer. – Program się ściągnął.

– O? A jaki, jeśli można wiedzieć?

– Gephi. Do wizualizacji danych. Sieci połączeń, takie tam.

– Aha. Do pracy?

– Nie do końca – powiedział Oleg, kładąc rabusia na polu z kamieniołomem.

Na przystanek podjechał tramwaj. W pierwszym wagonie był tłok (spoczone twarze, okna pootwierane na oścież), drugi był prawie pusty. Wybór wydawał się oczywisty.

– Chodź do tyłu – powiedziała Julita. Janek nie protestował. W ogóle nic nie powiedział, odkąd wyszli z biura. Na początku próbowała go jeszcze ciągnąć za język, podpytywać o to i owo, ale to było jak gadanie do ściany, i to nie jakiegoś sympatycznego osiedlowego murku, na którym dziewięćlatki wypisują kolorową kredą, kto plus kto równa się wielka nieskończona miłość, tylko raczej do betonowej płyty zwieńczonej zwojami drutu kolczastego. Jak na kogoś, kto tak rzadko się odzywał, Janek miał niezwykle ekspresyjną mowę ciała: każdy włos najeżony, każdy mięsień napięty, zęby zaciśnięte tak, że bolało patrzeć. Odczep się. Daj mi spokój. Nie teraz.

Kiedy tylko Julita weszła do drugiego wagonu, od razu zrozumiała, czemu wszyscy kisili się z przodu. W powietrzu unosił się smród, smród tak gęsty i ostry, że aż brał dziw, że jest niewidoczny, że nie przybrał formy żółtawej mgiełki, jak w kreskówce. Źródłem odoru był bezdomny mężczyzna rozparty na fotelu pod oknem. Mimo upału miał na sobie gruby kozuch i wełnianą czapkę, nalana brodata twarz ginęła w zwojach szalików i szmat; rozplątana mumia. Ręce wisiały mu po bokach, sine, spuchnięte palce zwieńczone fioletowymi paznokciami z czarną obwódka; dzinsy pokrywała spękana warstwa brudu.

– Ugh... – Julita zdusiła odruch wymiotny, schowała nos pod koszulkę. – O matko, ale wali...

– Wsiadają, pijaki te, jeżdżą w tę i we w tę, zarazki roznoszą – odezwała się jedyna poza nimi pasażerka, starsza pani z kulami i włosami zafarbowanymi na wściekle czerwony kolor. Mówiła z prędkością karabinu maszynowego, ucieszona, że ma wreszcie z kim się podzielić wezbraną frustracją. – Nieroby cholerne, zasrańce. Pani nie podchodzi, kto wie, gdzie toto się szlajało. Za peerelu to tak nie było, proszę pani, o nie, pani za młoda, ale proszę mi wierzyć, porządek był wtedy, spokój na ulicach, a nie to, co teraz, że strach z domu wyjść.

– Aha... Janek, na następnym... Ugh... Na następnym wysiadamy, okej?

Ale Janek jej nie słuchał. Oczywiście, że jej nie słuchał. Podszedł do bezdomnego, kucnął przy nim.

– Halo? Słyszysz mnie pan? – spytał.

– Pan da spokój – doradziła staruszka. – Spił się, to śpi. U nas na osiedle też taki jeden przychodzi, zimą zwłaszcza, i siedzi na klatce. Zeszłego stycznia wycieraczki podpalił, bo mu zimno było, wyobraża pan sobie? Cuchnęło, jakby kto wrota do piekiel otworzył! Jak mu nie wygarnęłam, co to ma być, do cholery, mówię...

– Halo? – Janek położył dłoń na ramieniu bezdomnego. – Halo?

– Proszę pani, ten pani kolega Chińczyk to nie rozumie po polsku? Pani mu powie, żeby się trzymał z daleka, bo się czym jeszcze zarazi.

– Janek, może lepiej...

Kiedy tramwaj wjechał w zakręt, bezdomny zsunął się z krzesła i upadł na podłogę, bezwładny, jak worek, żadnego stęknienia, jęku. Nim Julita zdążyła zarejestrować, co się właściwie stało, Janek pociągnął za hamulec alarmowy. Tramwaj szarpnął, prawie ją przewracając; starsza pani uderzyła twarzą o szybę.

– Moja torba – rzucił Janek, podwijając mankiety koszuli. – Znajdź czerwone pudełeczko.

– Co?

– Aach – jęczała staruszka, trzymając się za krwawiący nos. – O Jezu... O Jezu...

– Czerwone pudełeczko – powtórzył cierpliwie. Klęczał już przy bezdomnym. – Szybko.

Julita zamrugała, otrząsnęła się ze stuporu. Otworzyła torbę. Zwinięty w rulon magazyn, okulary przeciwsłoneczne, kalendarzyk... Jest. Bez słowa podała pudełeczko Jankowi, w środku były lateksowe rękawiczki i jednorazowa maseczka w plastikowej saszetce.

– Dzwon na pogotowie. – Janek naciągnął rękawiczki, przyłożył dwa palce do szyi bezdomnego. – Jesteśmy na wysokości Jagiellońskiej 48, tramwaj linii 6, mężczyzna nie oddycha, brak tętna, rozpoczynam masaż serca i resuscytację. Będziesz potrafiła powtórzyć?

– Cholera... Tak. Tak myślę.

– O Jezusie... – Staruszka dyszała ciężko, przyciskając drżącą dłoń do klatki piersiowej. – O Boże...

– Potem zajmij się babcią. Głowa do tyłu i niech uspokoi oddech, zanim się doprowadzi do hiperwentylacji. Rozumiesz?

– T-tak.

Julita wystukała numer na komórce. Mówiła coś do słuchawki, ale nie słyszała własnych słów, miała wrażenie, że puszcza nagrany wcześniej taśmę. Janek rozpiął kożuch bezdomnego, rozerwał flanelową koszulę; spod ubrań buchnął smród zgnilizny, od którego ugięły się kolana. Skóra pełna sińców, strupów, ropiejących śladów po ugryzieniach pluskiew. Janek położył dłonie na klatce piersiowej, uciskał. Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy. Pochylił się nad jego twarzą, usta-usta rozdzielone cienką jak chusteczka maską. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Wdech, wydech. I znowu, i jeszcze raz, aż słychać było, jak trzeszczą żebra; przepocona koszula kleiła się Jankowi do pleców.

Nagle mężczyzna zgiął się wpół, rozkaszał, z ust pociekła mu zielonkawa ślina. Julita odwróciła głowę, żeby nie patrzeć, żeby nie wymiotować, skupiła się na staruszce. Wyglądało na to, że nos miała cały, nie było złamania. Julita pomogła jej wstać i wyjść z tramwaju, który był już otoczony przez wianuszek gapiów; szklane oczy, komórki w górze i nagrywają, a samozwańczy eksperci tłumaczą zajście, żywo gestykulując. Ktoś złapał staruszkę z drugiej strony, pod ramię, posadzili ją na ławce, ciągle mamrotała o Jezusie, o Jezusie, o Jezusie, ale coraz wolniej, coraz spokojniej.

Potem poszło już szybko. Jazgot kogutów, błysk świateł, ratownicy medyczni w pomarańczowych kombinezonach, szybcy, sprawni, pracujący bez zbędnych emocji, przywykli do odoru ludzkiego moczu i gówna, widoku krwi, bliskości śmierci. Położyli bezdomnego na noszach, wsadzili do karetki i odjechali; chwilę później ruszyły tramwaje, gapie się rozeszli, oj, będzie co opowiadać przy obiedzie! Wszystko wróciło do normy. Tylko Janek wyglądał jako sto nieszczęść: mokry, blade, w upięprzonej koszuli. Stał nad koszem na śmieci i płukał usta wodą.

- W porządku? – spytała Julita. Cicho, nieśmiało.
- Mhm. – Janek wypluł wodę do kosza. – W porządku.
- Słuchaj, jeśli chcesz, żebyśmy spotkali się innego dnia, to...
- Nie, spoko. Wezmę prysznic i będzie okej.

Julita podała Jankowi torbę. Wyciągnął z niej dezynfektant w żelu, wycisnął pół buteleczki na dłonie i tarł, tarł, tarł, aż jego zapach przykrył smród na wpół strawionego alkoholu.

- Janek?
- No?
- Szacun.
- Daj spokój. Skończyłem kurs pierwszej pomocy i tyle.
- Nie, nie, serio. Ja... Nawet gdybym wiedziała, co mam zrobić w takiej sytuacji... Nie przemogłabym się. Ja wiem, że to strasznie zgrane słowo, ale... No, zachowałeś się jak bohater.
- Przestań się nabijać.
- Nie, poważnie. Janek...
- No? – spytał, chowając dezynfektant do torby.
- Przepraszam, że cię tak podpuszczałam. Tam w biurze. Wiesz, że to robię, bo cię lubię, prawda?

Janek przerzucił torbę przez ramię, pokręcił głową.

– Tak jak mówiłem – powiedział, idąc w stronę przejścia dla pieszych. – Wariatka.

W koronie topoli, którą było widać z okna Janka, zbierały się ptaki. Setki, może tysiące, trudno powiedzieć, bo przesłaniały je liście. Były małe i czarnawe, chyba kosi albo szpaki, Julita nigdy nie nauczyła się ich rozróżniać. Ich świergot był tak intensywny – tyle pojedynczych głosów nachodzących jeden na drugi, po stokroć powtórzonych i zwielokrotnionych – że brzmiał nienaturalnie, jak coś mechanicznego, śnieżący telewizor na maksymalnej głośności, zacięta płyta. Nagle, bez żadnego wyraźnego powodu, ptaki zerwały się do lotu, wszystkie naraz i w jednym momencie, aż rozkołysały się gałęzie, aż przesłoniły słońce i w mieszkaniu zrobiło się na chwilę ciemno. A potem cisza, która dzwoni w uszach. Martwa.

Julita odsunęła się od otwartego na oścież okna jak oparzona, potarła skronie. Dopiero kiedy weszli do dusznego mieszkania Janka, kiedy usiadła na skórzanym fotelu, poczuła, jaka jest zmęczona; powieki lepiły się do siebie, a spocone plecy do oparcia, ogarniał ją sen, a razem ze snem przerażenie, które tak świetnie maskowała ironicznym żartem, szerokim uśmiechem, sterczącym zawadiacko kucykiem. Jakby się topiła. Jakby ktoś zamykał ją w trumnie. Zmusiła się, żeby wstać, pootwierala okna na oścież, ochlapała twarz zimną wodą. Było trochę lepiej, opanowała senność, ale został ten irracjonalny niepokój, poczucie, że zaraz stanie się coś złego, gęsia skórka, suchość w gardle. W tym stanie zwykłe rzeczy nabierały złowrogiego rysu, kuchenne noże połyskiwały groźbą, zza niedomkniętych drzwi szafy zionęło chłodem, a od ptasiego świergotu szły po plecach dreszcze. Wariatka, pomyślała Julita, łapiąc się za ramiona. Może miał rację.

Szum wody, Janek wciąż był pod prysznicem. Zajmij się czymś, pomyślała, czymkolwiek, zapchaj sobie czaszkę watą. Stała przed półką z książkami, zaczęła czytać tytuły. *Zbrodnie przyszłości*, Marc Goodman. *By zbawić świat, kliknij tutaj*, Evgeny Morozov. *Sztuka podstęp*, Kevin Mitnick. *Linux: Serwery, Bezpieczeństwo*, Michael D. Bauer. *W pustyni i w puszczy*, Henryk Sienkiewicz. Na widok ostatniego tytułu Julita uniosła brew. Ciekawe. Zdjęła książkę z półki. Wydanie sprzed jakichś dwudziestu lat, chyba nigdy nieczytane. Na pierwszej stronie była przyklejona połówka karteczka z dedykacją.

03.04.96

NAGRODA

Za II miejsce w konkursie „*Moja pierwsza strona internetowa*”

Dla

JANA KAZIMIERZA TRANA

Dyrektor: Andrzej Zębowski

Nauczyciel Informatyki: Michał Popielik

Otworzyły się drzwi do łazienki i wyłonił się Janek: w kłębach pary rozświetlonych migającą jarzeniówką, w dresie i obcisłej podkoszulce, z ręcznikiem na ramionach, wyglądał jak bokser – wagi piórkowej, rzecz jasna – który robi dramatyczne wejście w świetle stroboskopów, przez chmurę wyplutą z dymiarki. Efekt psuły niestety góralskie kapcie.

– Jak tam, Kazik? – spytała. – Miły prysznic?

Janek rzucił jej zdziwione spojrzenie, a potem, kiedy zobaczył, co trzyma w rękach, wyrwał książkę i odstawił ją na miejsce.

– Zostawić cię na chwilę samą... – mruknął.

– Ale dlaczego Kazimierz?

– Długa historia.

– Aha. A twój brat? Jak ma na imię?

– Michał – powiedział Janek, a potem, po długiej pauzie, doprecyzował – Michał Korybut.

– Nie, nie wierzę. Jaja sobie ze mnie robisz.

– Poważnie. Dobra, bierzmy się do roboty.

– Chyba żartujesz. – Janek miał już siadać do komputera, ale Julita zastąpiła mu drogę. – Dopóki mi nie powiesz, czemu macie takie odjechane imiona, nie ruszę palcem.

– Żadna wielka historia. – Wzruszył ramionami. – Moi rodzice... Bardzo chcieli, żebyśmy się tu odnaleźli, żebyśmy się tu czuli jak u siebie. Dlatego kiedy dawali nam polskie imiona, postanowili wybrać coś tradycyjnego... No i sięgnęli po poczet królów. Wiesz, ten z obrazami Matejki.

– O matko... Czyli co, mogłeś się nazywać Bolesław?

– To był ich pierwszy wybór. – Na ustach Janka pojawiło się coś, co przy dobrych intencjach i odpowiednim świetle można byłoby uznać za uśmiech. – Ale pani w urzędzie im odradziła. No, dobra, koniec pieprzenia, bierzemy się do pracy. Siadaj.

Julita skinęła głową i przysunęła sobie krzesło.

– Myślałaś, jak się za to zabrać? – spytał Janek, wpisując hasło. Oczywiście tak, żeby nie widziała. – Jak znaleźć tego Alexa-coś-tam?

– Trochę. – Skinęła głową. – W zapisie czatów nie ma żadnych przydatnych metadanych, więc musimy się opierać na tym, co sam o sobie powiedział.

– Czyli?

– Facet. Chyba Brytyjczyk. Mieszka w Londynie.

– Super. To nam zawęży wyniki do jakichś trzech milionów.

– Czekać, nie skończyłam jeszcze. Chyba jest naukowcem, w każdym razie zaproszono go na jakieś seminarium. Z okien widzi park, w którym zimą jest wesołe miasteczko. Ma koło domu księgarnię Oxfam. Był kiedyś w Tokio. Ma problemy ze zdrowiem psychicznym, jakieś stany lękowe... No, i regularnie ogląda *camgirls*. To chyba wszystko.

– Niedużo.

- No, niedużo.
- I to zakładając, że nie wciskał jej kitu.
- Wiesz... On brzmiał szczerze w tych rozmowach. Jakby Hanka była jedyną osobą, przed którą się otwierał.
- Hm, hm, hm. – Janek potarł brodę. – No dobra. Zaczniemy od tego parku, to będzie najprostsze. Londyn... Park rozrywki... Zima... Patrz, pierwszy wynik. Hyde Park Winter Wonderland.
- To musi być to.
- Musi to wiesz, gdzie jest – mruknął Janek. – Na pewno jest największy, ale może w innych dzielnicach jest coś podobnego.
- Kilka minut ciszy, Janek próbuje różnych kombinacji słów, przegląda linki, mrużąc oczy; naprawdę powinien sobie sprawić wreszcie okulary. Sprawdza do trzeciej strony wyników włącznie. Dalej są już śmieci, bełkot, internet spamu, flejmu i botów, Dzikie Pola.
- Nie, okej – powiedział po chwili. – Nie ma nic podobnego. No to jedziemy dalej. Oxfam... Londyn... Mapa... Jeden jest na Kensington High, drugi na Gloucester Road... I jeszcze jeden tu, koło Notting Hill Gate. Reszta za daleko.
- No dobra, czyli wiemy mniej więcej, gdzie mieszka. Co nam to daje?
- Poza tym, że musi mieć bogatych rodziców? Nic.
- Hmm... – Julita zabębniła palcami po blacie. – Można by sprawdzić konferencje w Tokio... Ale cholera, nie podał konkretnej daty, „jakieś dwa lata temu” to za mało. Albo... No nie wiem, szczerze mówiąc, brzmiał jak ktoś, kto musiał często korzystać z pomocy psychiatry, więc może sprawdzimy gabinety w okolicy...
- I co, myślisz, że mają wywieszane listy pacjentów?
- Nie, ale może są do znalezienia gdzieś indziej... National Health Service miał jakiś czas temu wyciek danych...
- Tylko sto pięćdziesiąt tysięcy pacjentów. Szansa, że twój Alex jest wśród nich, jest nikła.
- Okej, mądralo, to co proponujesz?
- Janek odchylił się w krześle, podrapał się po karku. Myślał.
- Spróbujmy przez Facebooka.
- To pierwsze, co spróbowałam. Ale „Alexxander12” nie zwraca żadnych wyników i...
- Janek nie słuchał. Zamiast tego wszedł na Facebooka i znalazł jej profil, założony pod imieniem „Julita Wu”. Był zamknięty, rzecz jasna. Żadnych informacji, zdjęć, postów, tylko fotografia profilowa, na której zresztą nie było widać jej twarzy.
- Spójrz tutaj. – Dotknął górnej części ekranu, tam, gdzie przeglądarka wyświetlała adres.

www.facebook.com/julita.wu

- „Julita Wu” to twój UID, unikalny identyfikator użytkownika. On ma ekwiwalent numeryczny, jego wartość można sprawdzić na kilku stronach, na przykład tu... – Janek wklepał jakiś adres, wpisał „julita.wu” do okienka. Litery

zamieniły się na ciąg cyfr, 1001649202. – No i zobacz, co się teraz stanie. Kopiuję ten ciąg cyfr... I wpiszę sobie w polu adresowym przeglądarki coś takiego, patrz.

www.facebook.com/search/1001649202/stories-by

Kiedy Janek wcisnął enter, na ekranie pojawił się napis: *posty komentowane przez Julitę Wu*. Zdjęcie jej siostry, Magdy, z wakacji w dwa tysiące piętnastym, jakieś Karaiby czy inne Borneo, „o, kurczaki, zazdroścę! Baw się dobrze, wracaj cała!:*”. Fota z imprezy wrzucona przez Karola, chłopaka, z którym wtedy flirtowała, Julita przebrana za Madonnę (ikoniczny spiczasty stanik zrobiony z posprejowanych na srebrno wiklinowych doniczek w kształcie stożka, blond peruka, pieprzyk namalowany kredką do oczu, brokat w dekolcie, wściekle czerwone usta złożone do pocałunku), *Some boys try and some boys lie, but I don't let them play, no way!* Apel o podpisanie petycji o zaprzestanie wycinki Puszczy Białowieskiej, „Ja swoje zrobiłam, teraz kolej na was!”.

– Nie rozumiem... – Julita gapiła się na ekran. – Przecież ja mam wszystkie ustawienia prywatności na najwyższym poziomie, „widoczne tylko dla mnie”...

– Ale twoi znajomi już niekoniecznie. Wyszukiwarka zwróciła ogólnodostępne wyniki, skojarzone z twoim identyfikatorem użytkownika. Żeby rzeczywiście zostały ukryte, musisz sama je znaleźć i kliknąć „ukryj na mojej osi czasu”. Kto jak kto, ale ty powinnaś była to sprawdzić.

– Sprawdzalam, tylko pewnie znów coś pozmieniali w ustawieniach. Okej, ale to wyszukiwanie... To jest legalne?

– W pełni. Są nawet strony, które to ułatwiają. No, ale wracając do Alexa...

– Nie, nie, czekaj. – Julita złapała go za rękę. – Co tu się zadziało? Co ty właściwie zrobiłeś?

– Czary-mary.

– Nie zbywaj mnie w ten sposób, nie znoszę tego.

– Wiem.

– Janek!

– Facebook nie ma szczelnie zabezpieczonego API i...

– API?

– Application Programming Interface, interfejs programowania aplikacji, czyli, no nie wiem, jak to nazwać... Taki sposób komunikowania między komputerami? Wiesz, jak w sklepie internetowym ustawiasz, jaki chcesz kolor i rozmiar buta, to twoje zapytanie do bazy danych obsługuje właśnie API i zwraca żądany wynik.

– Okej, powiedzmy, że rozumiem...

– Teoretycznie, dostęp do API Facebooka mają reklamodawcy i deweloperzy aplikacji po uzyskaniu odpowiedniego tokena uwierzytelniającego. Teoretycznie widzą tylko to, co jest ogólnodostępne... Teoretycznie. Ale jak widzisz... – Janek wskazał Julitę-Madonnę. – Ten system nie jest idealny.

– Dobra, zamknij już tę stronę.

– Dlaczego? Moim zdaniem wyszłaś całkiem, całkiem...

– Janek. – Julita weszła mu w słowo. Ostro. – Pamiętasz, jak się zaczęła moja przygoda z internetem? Wyciek nagich zdjęć? Galerie na każdej stronie plotkarskiej? Mam chyba prawo być trochę przewrażliwiona, co?

Zrobiło się cicho. Janek nie przeprosił, to nie w jego stylu. Ale zrobił to, o co prosiła. Bez słowa.

– Dziękuję. Wracając do Alexa...

– Wracając do Alexa – podjął Janek – to używając tego triku, można też robić kwerendy łączone. Pytać o miejsca, które ludzie odwiedzili, statusy, które komentują, języki, którymi mówią. No, na przykład, sam nie wiem... Poszukajmy wszystkich ludzi, którzy lubią stronę Radio Maryja i, dajmy na to, stronę Dupeczki, Dupencje. Fanpage Radio Maryja ma identyfikator 154433351246841... A Dupeczki, Dupencje 11768000345672. No to robimy tak jako ostatnio, tylko dajemy jeszcze na końcu *intersect*, żeby zasygnalizować, że zgłaszamy więcej niż jedno zapytanie...

www.facebook.com/search/154433351246841/likers/11768000345672/likers/intersect

– ...i *voilà* – powiedział Janek, wciskając enter.

Użytkownicy, którzy lubią strony Radio Maryja oraz Dupeczki, Dupencje. Lista profili. Długa. Prawie sami mężczyźni, większość po pięćdziesiątce a nawet sporo starsi, wąsaci, poważni, pozują z czerwono-białymi flagami albo krzyżykami, zapewne głęboko przeświadczeni, że ktoś gdzieś tam na górze zapisuje każdy ich zły występ, ale nieświadomi, że w królestwie ziemskim dzieje się to samo.

– Efektowne, przyznam – powiedziała Julita – ale Alexa tu chyba nie znajdziemy?

– Nie – przyznał Janek. – Ale połączmy fakty, które podałaś w ten sam sposób, i może coś wyskoczy. Na przykład... Osoby, które tagowały zdjęcia hashtagiem „Winter Wonderland”... Lubią jakieś strony związane z uniwersytetami, powiedzmy „Times Higher Education Ranking”... I księgarnie Oxfam.

[www.facebook.com/search/str/\"#WinterWonderland\"/photos-tagged/156279764411149/likers/223287104715778/likers/intersect](http://www.facebook.com/search/str/\)

Klik. Wyszukiwarka wypuła kilkadziesiąt profili. Mężczyźni, kobiety, starzy, młodzi, czarni, biali. Janek i Julita przeglądali wyniki, niepewni, czego tak właściwie szukają. Nie wiedzieli, jak „Alexxander12” miał tak naprawdę na imię ani jak wyglądał, nie mieli żadnej przesłanki, na podstawie której można byłoby go rozpoznać. Nic. Kolejna próba: użytkownicy, którzy są członkami grupy wsparcia dla osób na lekach psychotropowych... Wrzucali zdjęcia otagowane hasłami „uniwersytet”, „wykład” bądź „seminarium”... Byli w Tokio... Pudło. To z innej strony: mężczyźni w wieku dwadzieścia–pięćdziesiąt lat... Mieszkają w Kensington... Lubią strony przeciwne brexitowi... I tajską kuchnię. Znów, twarze, twarze, twarze, dziesiątki twarzy, żadna nie wygląda znajomo, żadna nie może być skojarzona z anonimowym adoratorem KandyKroosh. Janek wpisał jeszcze kilkanaście różnych kombinacji, ale w końcu się poddał, odsunął laptopa.

– Bez sensu – powiedział, otwierając puszkę z colą, *pssssyk*. – Ślepa uliczka.

- Tak, dziękuję.
- Że co?
- Tak, dziękuję, ja też się chętnie czegoś napiję.
- To idź do kuchni. - Janek wziął łyk, otarł usta. - Trafisz czy cię pokierować?
- Poradzę sobie - powiedziała Julita, po czym pokazała mu język.

Julita otwierała szafkę za szafką, szukając szklanek, wreszcie znalazła: trzy sztuki, każda obtłuczona. No tak, pomyślała, nalewając wodę z kranu, Janek raczej nie miewa często gości. Alexxander12. Co jeszcze o nim wiedziała? W którejś rozmowie wspominał coś jeszcze o The Roots, więc może by tak z tej strony, poza tym Kandy polecała mu... No tak! Jak mogła o tym nie pomyśleć! Julita odstawiła szklankę do zlewu i wróciła biegiem do Janka, o mało co nie wywracając się na zakręcie.

- Coś wymyśliłaś?

- Tak. Wyszukaj ludzi, którzy mieszkają w Kensington, wrzucali zdjęcia z Winter Wonderland i lubią fanpage Kapuścińskiego.

- Kapuścińskiego?

- Aha. Ryszarda. Sprawdź wydruk z ich pierwszej rozmowy. Kandy polecała mu *Cesarza*.

- I co, myślisz, że od razu pognał do księgarni?

- On miał obsesję na jej punkcie, więc tak, myślę, że pognał. No, rób swoje, nie gadaj.

Klak-klak, palce Janka zastukały w klawiaturę, wprowadzając nowe zapytanie. Nic. Zero wyników.

- Pudło.

- Okej, okej... To spróbujmy może... Kapuściński, Hyde Park... I mają w Londynie swoją wersję Jak Dojadę?

- Mhm. Transport for London.

- To wpisuj.

- Czemu?

- On obsesyjnie planuje swoje podróże po mieście, na pewno chciałby mieć ich stronę w swoim feedzie, żeby od razu dowiedzieć się o utrudnieniach w ruchu.

- Czekaj... Nie. Nic.

- Okej, to w takim razie Kapuściński, depresja, antybrexit, Kensington.

Janek westchnął, przewrócił oczami.

- No co? - spytała.

- Julita, to droga donikąd. Słuchaj, umówmy się tak, ja się zastanowię, co jeszcze można...

- Przesuń się.

- Co?

- Jak nie chcesz mi pomóc, to się przesuń. No, już. Sio.

Janek przesiadł się na krzesło, na którym wcześniej siedziała Julita. Ociągając się.

- Gdzie się sprawdzało te identyfikatory? - spytała Julita.

- Trzecia zakładka.

- Mhm. I wpisuję... O, tak?

– Jeszcze *intersect* na końcu. Ale mówię ci, że...

– Ha!

Użytkownicy, którzy lubią strony Kapuściński, Anxiety, Depression and Mental Health Group i Campaign to Remain oraz są mieszkańcami dzielnicy Kensington. Pięć profili. W tym Alexander McCabe, ze zdjęciem profilowym zrobionym na tle okna, przez które widać obwieszone świecidełkami koło młyńskie w Hyde Parku. Szczupły brunet z orlim nosem i zielonymi oczami. Nawet przystojny.

– To on, to on, to on! – Zerwała się na równe nogi. – Na sto procent!

– Dobra, dobra, uspokój się...

– Patrz, wszystko się zgadza: doktorant na University College London, wydział informatyki... Jako tło ma ustawione flagę Unii Europejskiej...

– Julita...

– ...a wśród ostatnio czytanych książek *Cesarza*! Ha!

– Julita.

– No co?

– Zobacz ostatni wpis na tablicy.

Heather McCabe > Alexander McCabe

17 listopada 2018

W imieniu pogrążonej w żałobie rodziny informuję, że pogrzeb Alexa odbędzie się 20 listopada 2018 w City of London Cemetery o godzinie 12. Prosimy o nieprzynoszenie kwiatów.

Może ten, pomyślał Wadim, literując opis motoru. Ponad dwieście koni mechanicznych, sześćoosiowe IMU, kontrola trakcji DTC... Tylko ta cena. No, ale przecież było go stać.

Dziwna myśl. Jako dzieciak nie miał nic, no, tyle, co nosił na sobie: trampki z odklejoną podeszwą, brudne dżinsy, dziurawy sweter. Czasem w ten czy inny sposób wchodził w posiadanie jakiegoś skarbu, na przykład zardzewiałego scyzoryka, amerykańskiego komiksu z superbohaterami – jedyne, co potrafił przeczytać, to trzyliterowe onomatopeje, *POW! PAF! GAH!* – albo blaszanego termosu. Ale ciężko było ukryć te rzeczy przed starszymi chłopcami, prędzej czy później zawsze znajdowali jego schowki i zabierali, co chcieli. Pieniędzy właściwie nie widywał, jeśli udało mu się złapać na ulicy jakąś robotę, dostawał w zamian jedzenie albo alkohol; pierwszy raz napił się wódki, gdy miał jedenaście lat, pierwszy raz trzęsło nim delirium, kiedy skończył trzynaście. Ruble dawali tylko ci faceci z dworca kolejowego, za „randki”, jak to nazywali, ale Wadim chodził do nich jedynie wtedy, kiedy naprawdę czegoś potrzebował; nienawidził ich dotyku, ich spoconych dłoni, smaku, który zostawał w ustach, kiedy już zrobił to, czego od niego chcieli. Ale pamiętał euforię, którą czuł, kiedy dostawał do ręki te tłuste, pomięte papierki; był wtedy królem świata, mógł wszystko. Chował banknoty w majtkach, tam starsze chłopaki zwykle nie szukali, i biegł do mięsnego: po szynkę, po mortadellę, po kaszanekę, ładował to wszystko do ust jeszcze w sklepie i połykał bez żucia, byle szybciej, jak pies, żeby tylko ktoś mu tego nie zabrał. Sprzedawca, pan Pierewoszkina, był sympatyczny; rumiane policzki, błysk złotego zęba. Nie przeganiał jak inni, a w zimie dawał się napić herbaty. Dopiero później, po latach, Wadim zorientował się, że Pierewoszkina go oszukiwał na reszcie. Dorabiał sobie, okradając bezdomne dziecko.

– Pan Sołochow?

Wadim uniósł głowę, słysząc przybrane nazwisko, i odłożył pismo motoryzacyjne do koszyka. Był w salonie tatuażu. Na ścianach wisały popularne wzory – smoki, motyle, sowy, truizmy spisane w obcych językach – a w głośnikach trzeszczała ciężka muzyka. Nie miał pojęcia jaka, czy to metal, czy rock. W ruderach, w których mieszkał, nie mieli

radia, nie było go też w więzieniu. Nie brakowało mu muzyki, mogłaby dla niego nie istnieć, zresztą tak samo jak film czy książki.

Wadim wszedł do gabinetu, przywitał się z tatuażystą i ściągnął koszulkę. Zobaczył się w lustrze: mięśnie obleczone pobliźnioną, pokrytą niezdarnymi rysunkami skórą. Kot w kapeluszu. Cycata Murzynka w trzcinowej spódnicy. Czołg, który zamiast lufy ma sterczącego fiuta. Nóż, narysowany tak, jakby przeszywał szyję: rękojeść z jednej strony, ostrze z drugiej. Tatuował się, bo w więzieniu wszyscy się tatuowali: z nudów albo żeby pokazać, jakie z nich zakapiory. Nienawidził tych bazgrołów. Tuż po tym, jak wyszedł, próbował zetrzeć je samemu, najpierw pumeksem, potem drucianą gąbką. Kiedy skończył, był czerwony od krwi, ale spod skóry wciąż wycierał tusz. Ktoś mu powiedział, żeby użył wybielacza; o dziwo, podziałało, ale ból był nie do wytrzymania, nawet dla niego. Ale teraz... Teraz miał pieniądze. Teraz mógł za to zapłacić, wymazać tatuaż po tatuażu, wymazać tamto życie, upokorzenia, wstyd. Wadim usiadł na fotelu i zamknął oczy.

– Czyścimy dalej cerkiew? Czy bierzemy coś innego?

– Cerkiew – mruknął Wadim. Nie lubił niedokończonych spraw.

– Dobra. Uwaga... – Tatuażysta uruchomił laser. – Będzie boleć...

Boleć. Wadim poczuł, jak w jego piersi wzbiera śmiech. Dobrze sobie. Pokazałbym ci, co to jest ból, pomyślał, jak to jest, jak masz biało przed oczami, jak wrzeszczysz tak, że tracisz głos. Zobaczyłbyś, co to jest ból.

Dring, dring. Dring, dring. Dzwonił telefon w kieszeni spodni. Niewielu ludzi miało ten numer. Żadnego z nich nie mógł zignorować.

– Muszę odebrać – mruknął, unosząc się na łokciu.

– Pewnie, żaden problem.

Wadim wyciągnął telefon. Widząc, kto dzwoni, zaklął pod nosem. To nie może być dobra wiadomość.

– Tak? – rzucił do słuchawki. A potem słuchał, od czasu do czasu przytakując. Steżały mu mięśnie twarzy, czoło przecięły zmarszczki. Bał się, że przyjdzie taki moment. Za długo się ociągali, zostawili zbyt wiele śladów.

– Kto? – wyszeptał.

Kiedy usłyszał odpowiedź, grymas ustąpił miejsce uśmiechowi.

– Mhm. Rozumiem – powiedział. – Na razie obserwacja. Tak, tak. Oczywiście.

Wadim rozłączył się i sięgnął po koszulkę.

– Dokończymy innym razem – rzucił do tatuażysty.

– Jakaś pilna robota?

– Tak. – Założył podkoszulkę. – Niecierpiąca zwłoki.

Ach, domówki. Kurtki wiszą jedna na drugiej, podłoga w przedpokoju przykryta butami, porzucone plastikowe talerzyki na parapetach, tłum ludzi w kuchni, kolejka do kibla. Ciasno, wszędzie trzeba się przeciskać, uważać, żeby kogoś nie nadepnąć, nie potrącić, nawet muzyka wydaje się ledwo mieścić w czterech ścianach: od basów aż drżą szyby, trzęsie w brzuchu. Największy ruch jest wokół drzwi na balkon, jedni właśnie wychodzą zapalić, drudzy właśnie wracają, twarze pomalowane na pomarańczowo ogniem zapalniczki, niedopałki kołyszą się w słoiku z brunatną od popiołu wodą. Olegowi przypomniały się wszystkie dzikie imprezy ze studiów: czipsy zapijane ciepłym piwem i pocałunki o smaku tytoniu, histeryczny śmiech i chóralne ryczenie piosenek, rzyganie do wazonu i pijacki sen na dywanie, ze zwiniętą bluzą jako poduszką. Ten jeden raz, jak Sława usiadł za blisko świeczki i zajęła mu się koszula, ale był tak zjarany, że tego nie poczuł, i trzeba go było potem gasić kocem. Albo jak Ksenia tańczyła na stole i złamał się pod nią blat; skleili go później taśmą i przykryli obrusem, żeby jej rodzice się nie dowiedzieli, albo raczej dowiedzieli jak najpóźniej. Albo jak którejs zimy, w środku nocy, wyskoczyli z Rusłanem po alkohol i wracając, wypieprzyli się jeden po drugim na zamrożonej kałuży. Wszystkie butelki się stłukły. Stare, dobre czasy.

Oleg rozebrał się, wyciągnął z plecaka pękatą szklaną butelkę z kryształową zatyczką i przekazał ją gospodyni, Kaśce.

– Hej, Olezka! – zawołała, całując go w policzek. – Co przyniosłeś? To jakiś magiczny eliksir?

– W dużych dawkach? Owszem.

– *Chle...bni... kow...* – Kaśka z trudem odczytała ozdobne bukwę. – To z Białorusi?

– Aha. Wódka pędzona na płatkach żyta. Z ekstraktem z rodzynek.

– Oooo... Brzmi dobrze.

– A jak smakuje...

– Chętnie się przekonam. No, wchodź, wszyscy już są.

Kaśka pracowała razem z nim w *content moderation* – do wczoraj, kiedy złożyła wypowiedzenie. Olega niespecjalnie to zdziwiło; odkąd dołączył do zespołu, Kaśka codziennie narzekała. Że od ciągłego klikania boli ją ręka, że od migających przed oczami obrazów pęka jej głowa, że jak wraca z pracy, nie jest w stanie się na niczym skupić. Szefostwo nie próbowało jej zatrzymać. Wszyscy wiedzieli, że w *content moderation* był

duży przemiał, ludzie szybko się wypalali. W innych pokojach biurka obrastały osobistymi drobiazgami: zdjęcie szczerbatego dziecka w ramce w serduszka, doniczka ze skarłałym kwiatkiem, figurka ulubionego bohatera komiksu; świadectwo upływającego czasu, jak mech porastający stary mur, jak słoje drzewa. U nich blaty były puste, klawiatura, mysz na podkładce z przydziału i tyle. Wszyscy wiedzieli, że są tu na chwilę, że nie ma co zapuszczać korzeni, będzie tylko więcej szpargałów do dźwigania w kartonie, kiedy przyjdzie czas się pożegnać.

Oleg wszedł do dużego pokoju, który duży był tylko z nazwy. Mimo że impreza dopiero co się zaczęła, już wytyczono linie demarkacyjne: kanapę zajęły koleżanki z liceum, wokół stolika z jedzeniem tłoczyła się ekipa ze studiów, a rozkładane fotele pod ścianą stały się bazą zespołu *content moderation*, skąd raz na jakiś czas wysyłano kogoś z misją uzupełnienia zapasów słonych orzeszków i ptasiego mleczka. Davydas, Andrej, Siergiej, Liina: dwudziestoparoletni strażnicy twojego feeda, arbitrzy elegancji i cenzorzy definiujący wolność słowa; tysiąc decyzji dziennie, trzy tysiące na rękę. Oleg słyszał już strzępki ich rozmów, prowadzonych do akompaniamentu rapującej Cardi B:

– ...tę nową instrukcję o emoji? Piszą, że mamy być wyczuleni na bakłażany, bo to może oznaczać seksualną agresję... A szczurek jest antysemitki. Nie, serio!

– *I went through your phone last night...*

– ...bo zobacz, skoro Lehava jest zabroniona, to czemu nie Młodzież Wszechpolska? Poglądy mają identyczne.

– *Saw some things I didn't like...*

– ...no dobrze, to powiedz, czemu siedmiolatek karmiony piersią jest jeszcze okej, a ośmiolatek podpada już pod pedofilię? Przecież to bez sensu!

– *It's killing me, killing me, killing me, oh...*

Kiedy Liina go zobaczyła, wstała i podeszła się przywitać. Na jej twarzy rysowała się ulga.

– Boże, dobrze, że przyszedłeś, bo oni ciągle tylko o pracy...

– Trzeba było zmienić temat.

– Myślisz, że nie próbowałam? Chodź, pójdziemy na balkon.

Przepchnęli się przez palaczy, stanęli przy balustradzie. Dachy najeżone antenami, biurowce chowające się za obdrapanymi blokami.

– Co tam u ciebie słychać? – spytała. – Coś ciekawego?

– Hmm... W sumie to tak, ale...

– Co?

– Miałem nie mówić o pracy.
– Też przeżywasz nowe instrukcje?
– Nie, nie. Chodzi o te fejkowe profile. Pamiętasz?
– Aha. – Liina wyciągnęła skręta z kieszeni bluzy. – Co, odkryłeś coś ciekawego?
– W sumie tak.
– No, to na co czekasz? Opowiadaj.
– Na pewno? – Oleg oparł się o balustradę. – Nie zanudzam?
– Na pewno. Mów.
– Trochę mnie zainspirowałaś... Wiesz, wtedy, jak powiedziałaś, że ciekawe, czy te konta są ze sobą połączone.
– I co? Są?
– Aha. Czekaj... – Oleg rozejrzał się wokół w poszukiwaniu jakichś pomocy dydaktycznych. Wyciągnął garść kapsli po piwie z pustej doniczki. – Wygląda to tak, że są jakby różne poziomy, wiesz? Jest kilka profili, które są naprawdę dobrze zrobione, pełna profeska. – Oleg wyłożył na ogrodowy stolik kapsle z gwiazdką Heinekena. – Mają zdjęcia, znajomych, codziennie coś wrzucają. Te konta piszą nowe statusy: że Unia niedobra, że Ukraińcy fe, że pedały demoralizują dzieci i tak dalej, i tak dalej. Potem są następne konta... – Kolejne kapsle otoczyły gwiazdki wianuszkciem. – Mają co prawda jakieś zdjęcia, jakieś pozory normalności, ale tylko na pierwszy rzut oka. Z tych profili są wpisywane komentarze. „Sama racja!”, „Dobrze mówisz!”, „Sto procent!” i tym podobne.
– A dalej?
– Trzeci krąg. – Oleg wyłożył resztę kapsli; zagrzechotały o plastikowy blat. – To ewidentne fejki, bez zdjęć, bez jakiegokolwiek normalnej aktywności. One służą wyłącznie do nagłaśniania: lajkują i udostępniają dalej.
– Grubo.
– No.
Powiał chłodny wiatr. Liina zapięła bluzę na suwak.
– Ciekawe, kto to robi – powiedziała. – I po co.
– To chyba nietrudno zgadnąć... W tym roku są wybory.
– Gdzie?
– No tu, w Polsce.
– Racja, zupełnie zapomniałam! Czyli co... – Zawiesiła głos. – Wielki, groźny niedźwiedź ze Wschodu?
Oleg chwilę milczał, zastanawiał się.

– Hmm... Twardych dowodów nie mam i nawet bym nie wiedział, jak ich szukać, ale... – Pstryknął jeden z kapsli tak, żeby uderzył w następny. – Są takie charakterystyczne błędy, wiesz? Że widać, że dla osoby, która to pisze, to nie polski jest pierwszym językiem, tylko rosyjski.

– To serio można rozpoznać? – W głosie Liiny pobrzmiwało niedowierzenie.

– No, dla mnie to akurat bułka z masłem, bo się ich naoglądałem. Rodzice posyłali mnie na polski do takiej szkółki niedzielnej, no i dla mnie to nie było wielkie wyzwanie, bo u nas się mówiło po polsku w domu... Ale miałem tam paru znajomych, którzy robili straszne byki, aż łzy leciały, jak się patrzyło.

– Na przykład?

– No, takie charakterystyczne ortografy... Że nie „dziewka” tylko „dziefka”, nie „chleb” tylko „hleń”... Ale najbardziej rzucają się w oczy nieprzetłumaczone słowa. „Skazałaś” zamiast „powiedziałaś”, na przykład. „Pokupki”, a nie „zakupy”.

– Hej, widzieliście Tomka? – wtrąciła się jakaś dziewczyna. W jej subiektywnej wersji rzeczywistości, suto podlanej alkoholem, balkon kołysał się na boki jak statek na sztormowym morzu.

– Jakiego Tomka?

– No, mojego Tomka, no.

– Hm, nie.

– A... Aha – wymamrotała, po czym wróciła do mieszkania, wymijając slalomem niewidzialne tyczki.

– Fiu, fiu. – Oleg gwizdnął przez zęby. – Nieźle. A godzina młoda.

– I co dalej?

– Na moje oko zaraz pójdzie rzygać.

– Nie, nie. – Liina zaprzeczyła ze śmiechem. – Co dalej z tymi twoimi odkryciami?

– A co ma być? Nic. – Oleg wzruszył ramionami. – Maciek dał mi jasno do zrozumienia, że mam się nie pakować w nie swoje sprawy.

– I?

– Boję się, że jak znowu do niego przyjdę, to mnie zwolni.

– Czyli co? Tak to po prostu zostawisz?

– A co ty byś zrobiła na moim miejscu?

W mieszkaniu była jakaś awantura; z porwanych słów można było wnioskować, że pijana dziewczyna znalazła swojego Tomka i nie był on sam. Liina zapatrzyła się na rozłożone na stoliku kapsle.

– To, czego nie będę potem żałowała – powiedziała.

Julita nie znośła się pakować. Zawsze czegoś zapomniała: jak nie skarpetek, to ładowarki, jak nie szczoteczki, to piżamy. Poza tym, brać przeciwdeszczówkę czy nie brać? Zajmuje pół walizki, prawda, ale jeśli jej nie weźmie, to pewnie jak na złość będzie lało cały tydzień. Mogłaby ją założyć na siebie, ale w tym upale się spoci. To może parasolka? Miała taką fajną parasolkę, w Muminki. Tylko gdzie ona była? W szafie w przedpokoju, tak, odkładała ją tam, na sto procent. A zapasowe buty? Przydałyby się, tylko jakieś lekkie, te baleriny w paski na przykład...

Zgrzyt kluczy w zamku, szcęk zasuw. W drzwiach stanął Leon. Nie ogolił się rano. Lubiała jego zarost.

– A ty już w domu? – spytała.

– Pytasz poważnie czy sarkastycznie?

– Poważnie. Myślałam, że dziś kończysz coś ważnego.

– Poszło szybciej, niż myślałem. – Leon rozejrzał się po pokoju. – Wybierasz się gdzieś?

– Aha. – Julita wrzuciła do walizki zwinięte w kulki skarpety. – Do Londynu.

– Do Londynu?

– Mam przeliterować, słonko?

– Nie, nie, po prostu... – Leon zdjął z szyi smycz z magnetycznym kluczem do biura. Ha, przeszło przez myśl Julicie, smycz, jakie to cudownie adekwatne. – No, dosyć niespodziewane to wszystko. Ale... Samolotem?

– Nie no, co ty. – Okęcie nocą. Błysk kogutów. Huk strzału. Krew na fotelu. – Brr. Autobusem.

– Aha. I kiedy ruszasz?

– Za... – Julita spojrzała na zegarek. Pokazywał dwudziestą pierwszą. – Za półtorej godziny.

– Okej... – Leon uniósł brew. – Czemu ten pośpiech, jeśli można wiedzieć? Co, rzucili nowego *Harry'ego Pottera* do księgarni?

– Pamiętasz tego stałego korespondenta Kandy?

– Mhm, tak. Alex coś tam.

– Nie żyje. – Julita dorzuciła do walizki majtki. – Oficjalnie: przedawkował leki.

– O kurwa.

– No.

– Czyli jakaś większa afera.

– Tak mi podpowiada mój dziennikarski nos.

Julita zdjęła z krzesła pelerynę, po chwili wahania ją dopakowała. Oczywiście, walizka nie chciała się teraz zamknąć.

– Daj, ja to zrobię – powiedział Leon.

– Mmm, tak – odpowiedziała Julita niskim głosem, z jazzową chrypką, mrużąc oczy. – Pokaż, jaki jesteś męski.

– Znów nie wiem, czy to sarkazm, czy...

Julita nie dała mu dokończyć. Złapała go za kark, wbijając lekko paznokcie w skórę, pocałowała w usta.

– Teraz już wiesz? – szepnęła mu do ucha. Nie musiał odpowiadać. Miała inne potwierdzenie.

– Aha.

– Świetnie.

Pchnęła go na łóżko, na którym walały się jeszcze legginsy, majtki, jakieś papiery. Usiadła na nim, zdjęła koszulkę, ściągnęła stanik; pospieszne, niecierpliwie ruchy. Mimo że byli razem od ponad roku, kiedy widział ją nago, robił zawsze tę samą minę: o Boże, mówiła ta mina, ale ze mnie szczęściarz, to się nie dzieje naprawdę. Uwielbiała to. Być pożerana wzrokiem. Doprowadzać go do gorączki. Pochyliła się, podając mu piersi do całowania, przycisnęła do niego biodra; po całym ciele rozeszło się przyjemne mrowienie, od brzucha aż po usta, któredy wydostało się jako jęknięcie. Długo się nie kochali. Za długo.

Julita nie chciała uprawiać miłości. Chciała się pieprzyć, już, teraz, mocno. Ale wiedziała, że z Leonem trzeba powoli, że potrafi się jej temperamentu przestraszyć. Więc zamiast zerwać z niego koszulkę, rozpięła mu ją guziczek po guziczku. Zamiast złapać za włosy i usiąść na twarzy, wciskając się w jego usta, głaskała go po plecach. W końcu nie mogła już dłużej wytrzymać tego miziania, pomogła mu zdjąć spodnie – szarpanie się z nogawkami, ach, ta pieprzona moda na rurki – i pociągnęła na siebie, oplotła. Oczy uciekły jej do tyłu, westchnęła. Błogość, pusta głowa, rozplynał się gdzieś człowiek z jego wszystkimi idiotycznymi pytaniami, wątpliwościami, strachami, rozplnęło się przeczulone na swoim punkcie „ja”, liczyło się tylko tu, teraz, to skrzypiące łóżko, on, ona, jego gorący oddech, zarost trący o skórę. Jego głowa to przesłaniała, to odsłaniała podwieszoną pod sufitem lampę, ciemno, jasno, ciemno, jasno, ciemno, jasno. Ciemno.

Opadł na nią, mokry od potu i wiotki. Miała ochotę na więcej, na dużo więcej, ale uważała, żeby nie dać tego po sobie poznać, żadnego zawiedzionego mruknięcia, żadnej miny. Musiała uważać, żeby nie zranić męskiej dumy; nie ma nic delikatniejszego na świecie.

– Dobrze ci było? – spytał.

– Bardzo dobrze – odpowiedziała, zresztą zgodnie z prawdą. Tylko trochę za krótko.

– Na sto procent?

– Na sto jeden. – Pocałowała go w policzek. – A teraz zapnij, proszę, walizkę, jak obiecałeś, bo zaraz muszę się zbierać.

– Pewnie. Tylko skoczę do łazienki.

Julita przeciągnęła się, ziewnęła, po czym sięgnęła po koszulkę. Leon wychylił się zza drzwi od łazienki, wyglądał jak zegarowa kukłka zwiastująca wybicie równej godziny.

– Julita?

– Tak? – spytała, zakładając koszulkę przez głowę.

– Nie spakowałaś lekarstw.

– Których?

– Seronilu.

– A, tak. – Cholera, pomyślała. Uśmiechnij się, udawaj, że to przez przypadek. – To przynieś, proszę.

Usiadł na skraju łóżka. Goły jak święty turecki. Z poważną miną. Oho, pomyślała, będzie interwencja.

– Julita... Czy ty je bierzesz?

– No pewnie. – Pokiwała z przekonaniem głową. – Na sto procent. Na sto jeden.

– Spójrz mi w oczy.

Westchnęła ciężko. Ale zrobiła, o co prosił.

– No? – spytała.

– Julita, pamiętasz, co mówiła ta lekarka. – Położył jej dłoń na ramieniu. – Masz zespół stresu pourazowego. Musisz...

– Zaraz będę mieć zespół stresu, że się spóźnię na autobus.

– Czy to na pewno jest dobry pomysł, żebyś jechała? Sama? Teraz?

– Przypominam, że to ty namawiałeś mnie, żeby przyjrzała się sprawie Kandy.

– Tak, ale nie myślałem, że... Ech. Nie myślałem, że to sprawa takiego kalibru.

– Dam sobie radę. Poza tym nie będzie mnie tylko kilka dni.

– Nie przekonam cię?

– Nie sądzę.

– No dobra – westchnął, po czym sięgnął po spodnie. – To jedziemy na dworzec.

Ubrali się już bez słowa, każde pograżone w swoich myślach. Zeszli do samochodu, pojechali w stronę Zachodniego. Chwilę później ich śladem ruszyło zaparkowane po drugiej stronie ulicy auto.

Aneta chciała sobie coś kupić. Coś, cokolwiek, jakąś nagrodę za to, że wytrzymała dwa dni z ojcem, prezent, którego od niego nie dostała. Wyjechał z samego rana, o szóstej piętnaście. Kiedy pytała, czemu tak wcześniej, mówił, że w domu sporo pracy, że najwyższy czas płot pociągnąć bejca, bo w końcu zbutwieje, że ogródek trzeba wypielić, a matka przecież sama nie da rady, z tym jej dyskiem. Ale Aneta była przekonana, że nie chodzi o żaden płotek, ogródek ani tym bardziej dysk, tylko że to taka jego ostatnia złośliwość na pożegnanie. Że wziął ten wczesny pociąg tylko po to, żeby ją zerwać z łóżka, żeby jeszcze sobie popatrzeć, jak tłumi ziewanie, jak trze czerwone oczy. Pokazać jej, że on to wstaje skoro świt, człowiek wsi, sól tej ziemi, a ją zmiękczyło miasto. Co, do południa by się pod pierzynką wylegiwało? Zapomniało się, co to znaczy prawdziwa praca?

Aneta przerzucała wieszaki z ciuchami, mocno, aż trzaskały o siebie. W końcu wybrała trzy sukienki i poszła do przebieralni. Rozebrała się tyłem do lustra; na brzuchu robiły jej się ohydne wałki, kiedy się schylała, nie mogła na to patrzeć. Przymierzyła pierwszą sukienkę, z czarnej koronki. Marszczy się, podjeżdża, nie, na pewno nie. Włożyła drugą. Gryzła. Trzeciej już nie dała szansy, nie ma czasu, nie warto. Ubrała się i wyszła ze sklepu na ulicę. Spojrzała na zegarek. Do spotkania miała jeszcze dziesięć minut.

Ach, Nowy Świat. Wąski pasek europejskiej elegancji biegnący przez centrum Warszawy. Odbijesz za daleko w jedną stronę, a trafisz na Chmielną, na posprejowane pustostany i koncert pijaków do akompaniamentu rozstrojonej gitary. Pójdiesz w drugą i zaraz spomiędzy bloków Powiśla wychyną żabki, biedronki i reszta dyskontowego zwierzyńca. Ale tu, tu na środku, gdyby tak zmrużyć oczy, och, to mógłby być i Paryż.

Aneta wzięła głęboki oddech, wypuściła powoli powietrze. Nie ma go, wyjechał, nie zobaczysz go do świąt, zresztą w święta może zamiast do domu pojedziesz do jakiegoś ciepłego kraju, matka jakoś przeżyje. Minęła grupę Hiszpanów, którzy tarasowali chodnik walizkami, odmówiła ulotki zachwalającej tradycyjne pierogi babuni i dziadunia. 69, 67, 65... Jest. Nowy Świat 63. Aneta poprawiła włosy, po czym wcisnęła guzik domofonu. *Bzzzt*, otwarte.

Daniel Królak czekał na nią w drzwiach biura. Splecione dłonie, szeroki uśmiech.

– Dzień dobry. Zapraszam do mojego gabinetu, tu na lewo. Co mogę zaproponować? Kawę? Herbatę?

– Kawę. – Aneta usiadła na skórzanym fotelu, założyła nogę na nogę. – Czarną, bez cukru.

– Oczywiście.

Korzystając z tego, że Królak krząta się przy ekspresie, Aneta rozejrzała się po pokoju. Wysokie sufity, stara dębowa klepka, ogromne okna wychodzące na reprezentacyjną ulicę, a do tego biurko i kredens z Ikei, kilka książek, tablica. Jakby się tu wprowadził wczoraj.

– Proszę – powiedział Królak, stawiając parującą filiżankę na stoliku. – Zanim zaczniemy... Chciałem powiedzieć, że bardzo się cieszę, że zdecydowaliście się państwo na współpracę z Net Solutions.

– Cóż. Oferta była bardzo atrakcyjna.

– Kiedy zależy nam na jakimś kliencie, jesteśmy bardzo elastyczni. No, dobrze... Tak, jak ustaliliśmy mejlowo, zaczęliśmy przygotowywać już ankietę, zajmie to parę dni. Wykonaliśmy też robotę papierkową związaną z założeniem fundacji.

– Świetnie.

– Ostatnio dużo mówiliśmy o reklamach na Facebooku, mam wrażenie, że na tym polu mamy zgodę... Dziś chciałbym porozmawiać o reklamach w programie Google Ads.

– A konkretnie?

– Ha... Odpowiem może pytaniem. Wie pani, jak najłatwiej można zidentyfikować w sieci osoby bezrobotne?

– Zgadywałabym, że po zapytaniach typu „urząd pracy”, „oferta pracy” albo coś podobnego.

– Mogłoby się tak wydawać. – Królak skinął głową. – Ale z badań wynika, że korelacja między tymi zbiorami jest dość słaba. Osoby trwale bezrobotne wiedzą przecież dobrze, gdzie znajduje się urząd pracy, więc nie potrzebują pytać się o niego wyszukiwarki, a ofert szukają także osoby aktualnie zatrudnione.

– No dobrze, to proszę mnie oświecić.

– Okazuje się, że najsilniejszym sygnałem jest wyszukiwanie terminów o zabarwieniu erotycznym w godzinach pracy – powiedział Królak. – Jak przeczytałem o tym wyniku, sam byłem zaskoczony. Ale jak się o tym pomyśli... Osoby bezrobotne siedzą w domu same, nudzą się, są sfrustrowane... Więc, hmm, postanawiają sobie ulżyć.

– Bardzo ciekawe. A jak to się ma do Polski Jutro? Bezrobotni to nie jest grupa demograficzna, w którą celujemy, bo nie chodzą głosować.

– Tak, tak, ma pani absolutną rację, to był tylko przykład, który wybrałem ze względu na jego, hmm, walory rozrywkowe, powiedzmy. Chodzi o to... – Zamyślił się. – Może tak. Tradycyjnie reklamy przypasowuje się do konkretnych zapytań. Ktoś wyszukuje hasło „kredyt”, to wyświetlimy mu reklamę, w której Polska Jutro mówi, jak ułatwi życie frankowiczom. Kto inny wpisuje „podatki”, to Polska Jutro mówi, że je obniży. Ale skuteczność tej metody jest ograniczona. Bo na przykład, czy osoby śmiertelnie chore wpiszą do Google’a „jestem śmiertelnie chory”? Albo czy mężczyźni zdradzający swoje żony wpisują „zdradzam żonę”? Ale przyglądając się korelacjom, możemy takie grupy...

– Moment. – Aneta weszła mu w słowo. – Chce mi pan powiedzieć, że jest pan w stanie namierzyć osoby śmiertelnie chore?

– Niektóre i owszem. I to zanim dostaną diagnozę lekarza.

– Żartuje pan sobie ze mnie.

– Bynajmniej. – Królak pokręcił głową. – Co pani robi, kiedy źle się pani czuje, ale nie wie pani, co konkretnie pani dolega?

– No... Wyszukuję symptomy.

– Właśnie, autodiagnoza, szalenie powszechny zwyczaj, nawet mówimy w żartach o „doktorze Google’u”, prawda? No, to proszę... – Królak wstał, podszedł do tablicy, narysował kółko. – Niech sobie pani wyobrazi, że to są internauci, którzy wyszukali hasło „mam raka trzustki, co zrobić”. Możemy założyć, że niedawno dostali taką właśnie diagnozę. No, to sprawdzamy, co wyszukiwali wcześniej... I okazuje się, że wielu z nich kilka tygodni wcześniej wpisywało hasła takie jak „utrata wagi, zakrzep, ciemny mocz” albo „ból po jedzeniu, ból pleców”. Możemy przypuścić, z dużą dozą prawdopodobieństwa, że kolejne osoby wyszukujące takie właśnie kombinacje słów również mają raka trzustki, choć same mogą jeszcze tego nie wiedzieć.

– A kochanki?

– A, to ciekawy przypadek. – Uśmiech Królaka rozciągnął się od ucha do ucha. – Wie pani, jaka kwerenda najczęściej poprzedzała hasła „moja żona chce rozwodu” i „moja żona przyłapała mnie na zdradzie”?

– Jaka?

– „Jak pozbyć się przykrego zapachu z ust”. Bardzo silna korelacja. Na drugim miejscu było „viagra jak dostać”. Czyli widzi pani, jak mężczyzna po latach zaniedbań bierze się za siebie, to nie jest to dobry znak. Inny przykład: Uber chwalił się jakiś czas temu, że jest w stanie zidentyfikować

klientów, którzy odbyli tak zwany *one night stand* na podstawie tego, gdzie wsiadają, gdzie wysiadają i o której wracają potem do domu. Bo widzi pani, jeśli ktoś zamawia samochód do klubu i jedzie pod zupełnie nowy adres...

– Szalenie ciekawe, naprawdę. Ale wróćmy do wyborów.

– Tak, tak, oczywiście. – Królak odłożył marker, usiadł za biurkiem. – Proszę wybaczyć, czasami mnie ponosi, kiedy mówię o statystyce. A zatem, wybory. Pani Aneto, żyjemy w takich cudownych czasach, mamy tyle wspaniałych danych, że jesteśmy w stanie zidentyfikować w sieci każdą grupę osób, właściwie co tylko sobie pani zażyczy. Samotne matki z dwójką dzieci albo kobiety, które miały aborcję, górników na rencie, dyslektyków z dolnośląskiego... *Sky is the limit*, jak mówią Amerykanie – dodał Królak z nienagannym akcentem. – I dla każdego, wiadomo, inna reklama, inne hasło: matka z dwójką dzieci zobaczy, że utrzymujecie pięćset plus, a ta po aborcji, że zliberalizujecie ustawę.

Aneta napiła się kawy. Była już zimna. Nawet tego nie zauważyła. Królak, interpretując ciszę jako zachętę, ciągnął dalej.

– No bo widzi pani, Facebook jest rzecz jasna szalenie przydatny, ale tam ludzie prezentują sztuczną, wyidealizowaną wersję siebie. Gdyby patrzeć bezkrytycznie na te dane, toby wyszło, że wszyscy ciągle jeździmy na wakacje w ciepłe kraje. Oczywiście, my i tak jesteśmy w stanie te maski z ludzi zedrzyć, ale to zajmuje czas. A wyszukiwarki... Ludziom się wydaje, że nikt nie widzi, co oni tam wpisują, więc są szczerzy. Do bólu szczerzy.

– Rozumiem. – Aneta odnalazła w końcu głos. – Porozmawiam w sztabie i określimy najważniejsze grupy, do których chcemy dotrzeć. Coś jeszcze?

– Nie, to... Aaa, oczywiście, zapomniałbym o najważniejszym. Nie muszę pani mówić, że Polska jest podzielona na dwa obozy, prawda? PiS, PO?

– Nie musi pan.

– No właśnie. Inaczej zwróci się pani do wyborcy PiS, inaczej do PO. Tylko jak ich od siebie odróżnić?

– Boję się zgadywać. Zaraz mi pan powie, że wyborcy PiS szukają obrazów Kasztanki i piosenek z Festiwalu Piosenki Żołnierskiej albo coś w tym stylu.

– Ha, ha! – Królak aż klepnął się w udo. – Wyborne. Nie, nie, tutaj sprawa jest jeszcze prostsza. Okazuje się, że jednych od drugich można odsiać wyłącznie na podstawie języka, jakiego używają.

– Czyli?

– Z naszej analizy wynika, że wyborcy PiS dziesięć razy częściej używają takich słów jak „hańba”, „polegli”, „zdrajca” czy zwrotu „komu przeszkadza”. Częściej popełniają też błędy interpunkcyjne. A wyborcy PO siedem razy częściej używają słów takich jak „apartament” czy „konstytucyjny”. Oczywiście, to tylko przykłady, tego jest więcej... No, nie muszę chyba mówić, co z tym można zrobić?

– Nie musi pan. Nie musi pan też tak często pytać, czy pan musi.

– Ha, ha, przepraszam, taka maniera. Czyli co, czekam na sygnał od pani?

– Zgadza się. Odezwę się na dniach... I dziękuję za pouczający wykład.

– Mam nadzieję, że pani nie zanutem?

– Nie – powiedziała Aneta, wstając z krzesła, zresztą zgodnie z prawdą. Raczej ją zaniepokoił.

Julita nigdy wcześniej nie była w Londynie, ale oczywiście miała w głowie jego obraz, kolaż skleiony z teledysków, filmów i zdjęć z książek: Beatlesi dziarsko kroczący po pasach, żołnierze w absurdalnych futrzanych czapach, Tower Bridge na tle zasnutego chmurami nieba. Kiedy wjechali do miasta, przykleiła nos do zaparowanej szyby i szukała tych znajomych obrazów. Ale londyńskie przedmieścia w niczym ich nie przypominały, miała przed oczami ciągle ten sam obraz: rzędy tandetnych domków, bary ze smażonym kurczakiem (chrupiący! świeży! halal!), supermarkety, i znów, i jeszcze raz, jakby ktoś przewijał jej przed oczami ten sam wycinek krajobrazu nawinięty na wałek. Dopiero po dobrej godzinie, kiedy zbliżyli się do centrum, coś zaczęło się zmieniać, budynki nabrały elegancji, mignęła pierwsza czarna taksówka.

Dwudziestoczerogodzinna podróż zleciała jej zaskakująco szybko. Na początku próbowała jeszcze skontaktować się jakoś z siostrą Alexandra, Heather, ale ta nie odbierała jej telefonów ani nie reagowała na zaczepki na mediach społecznościowych; trudno, trzeba będzie ją przekonać do rozmowy na miejscu, miała w tym wprawę. Potem autobus ukołysał ją do snu, a że na tym polu miała wielodniowe zaległości, obudził ją dopiero brytyjski celnik.

Autobus przedzierał się przez centrum, za duży na wąskie uliczki, za długi na ostre zakręty, kierownica nie po tej stronie co trzeba. Jechali pięć na godzinę i co chwilę się zatrzymywali, to szarpanie w połączeniu ze smrodem spalin przyprawiało o mdłości. Wreszcie autobus wtarabanił się na Victoria Station, dotarł do swojej zatoki. Nim kierowca wyłączył

silnik, pasażerowie już zerwali się na równe nogi, byle szybciej zebrać swoje rzeczy, byle szybciej do wyjścia. Potem kolejka po walizy, nie walizki, bo gdyby mieli walizki, toby tu przylecieli samolotem, tylko walizy właśnie, grube, pękate, dobytki ludzi, którzy postanowili w Zjednoczonym Królestwie zostać na stałe. Zresztą widać to po nich było, to zasiedzenie: dzieci – Dżessiki, Maksy, Oliwiery – odpowiadały matkom po angielsku, złotówki były przeliczane na funty, w uszach facetów świeciły kolczyki z brylancikami.

Julita, która przyjechała tylko z podręczną walizką, ruszyła od razu ku wyjściu z dworca, płosząc stadko gołębi pastwiących się nad rozmiękłymi frytkami. Miała wykupioną noc w hotelu tuż koło stacji, obleśnym i drogim; krótka rozmowa z recepcjonistą, wspinaczka po wąskich, krzywych schodach, pokój wyłożony wykładziną, łazienka tak mała, że siedząc na sedesie, nie była w stanie zamknąć drzwi. Nawet nie położyła się do łóżka, wiedziała, że i tak nie zaśnie, że będzie się tylko kotłować w pościeli, na zmianę przykrywać i odkrywać, poprawiać poduszki i drapać swędzącą nagle nie wiedzieć czemu skórę. Wyciągnęła więc komputer, napisała szybkiego mejla do Leona – wszystko w porządku, buziaczki, miłych snów – i zaczęła szukać więcej informacji na temat Alexandra McCabe'a i jego śmierci.

Urodzony w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym, w rodzinie z wyższej klasy średniej, wysłany do Wells Cathedral, szkoły z internatem, w wieku pięciu lat (na zdjęciach poważni ponad wiek chłopcy w krótkich spodenkach i krawacikach, na baczność, w równym rządku, na równo przyciętym trawniku), potem licencjat i magisterka na London School of Economics, wreszcie doktorat z informatyki na University College London. W sieci było tylko kilka jego zdjęć, na wszystkich uśmiechnięty, pogodny, trudno było połączyć tę twarz z zapisami rozmów z Kandy, z obezwładniającym lękiem, z przygniatającą samotnością. O jego śmierci było tylko kilka wzmianek: krótka notka na stronie wydziału („Z wielkim bólem żegnamy kolegę...”), wspomnienie znajomego na Twitterze („Żal człowieka...”), artykuł w prasie lokalnej („...znaleziono we własnym mieszkaniu. Mimo wysiłku ratowników medycznych...”). Krótko mówiąc, nic ciekawego, nic, co mogłoby popchnąć jej śledztwo do przodu. Próbowała zatem ustalić, co Alex robił dwa lata temu, co mogło mu się wtedy przydarzyć, ale nic nie wyskoczyło, *nul, nada*.

Doczekała jakoś świtu – książka, gazeta, chodzenie w kółko po pokoju – potem szybkie hotelowe śniadanie, jajecznicza z mikrofalówki, fasolki w bladoczerwonym sosie oraz kiełbaski, po smaku nie sposób było

powiedzieć, czy zwykłe, czy wegetariańskie. Popiła to wszystko cierpką kawą i wyszła z hotelu. Heather McCabe pracowała jako Marketing Executive w agencji pijarowej Harrow and Finch, tuż koło stacji Farringdon. Julita rozłożyła mapkę metra; platanina kolorowych kresek wyglądała onieśmielająco. Zajął jej dobrą chwilę, nim odnalazła swoją stację, Victorię, potem śledziła przebieg nitek kolejki, przesuając palec po śliskim papierze. Aha, pięć przystanków w Victoria Line, a potem jeden Hammersmith & City albo Circle... Zapisała wszystko na karteczce.

Julita zeszła do stacji metra – i osłupiała. Tłok, wszędzie, do wejścia, do wyjścia, do automatów z biletami, poruszanie się w tej rzece ludzi to nie było chodzenie, tylko kajakarstwo górskie, ciągła walka z prądem, wirami, wystającymi przeszkodami (walizka, dziecko), a do tego duszno, parno, skórę zaraz oblepił pot. Kiedy już weszła do wagonu, zaczynała rozumieć lęk Alexa przed wychodzeniem z domu. Przesiadka poszła bez problemów, ale potem pomyliła korytarze i musiała się cofać, wymijając krocących w przeciwną stronę ludzi, a na końcu jeszcze się okazało, że na Hammersmith & City są opóźnienia, więc wagony Circle były napchane tak, że do pierwszych dwóch pociągów nie była w stanie wejść; wepchnęła się dopiero do trzeciego.

Dotarła w końcu do Farringdon. Nie wiedziała, z której strony peronu jest wyjście, ale poniósł ją tłum. Stukot butów na metalowych schodach, turkot kółek, skrzeczenie w głośnikach, *mind the gap, mind the gap*, wreszcie była na powierzchni, zaczerpnęła powietrze jak pływak wynurzający się spod wody, a potem od razu skręciła w boczną uliczkę, byle uciec z tego roju. Biuro Harrow and Finch mieściło się niedaleko od stacji, w trzypiętrowym budynku z czerwonej cegły. Przez okna widać było nowoczesny *open space*, matowane aluminium, białe światelka jabłuszek. Julita wypaliła papierosa, po czym pchnęła szklane drzwi wejściowe i podeszła do recepcji.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc? – spytała recepcjonistka, po angielsku, z ledwo wyczuwalnym akcentem. Na identyfikatorze miała napisane NATALIA, więc pewnie krajanka, ale jakoś głupio byłoby przerzucić się na polski, jakoś nieprofesjonalnie.

– Chciałabym się zobaczyć z Heather McCabe – powiedziała Julita, dbając o to, żeby wypowiedzieć „th” odpowiednio miękko.

– Była pani umówiona?

– Nie.

– Przykro mi, ale w takim razie...

– To pilne.

– Nie wątpię, ale jeśli nie była pani wcześniej umówiona, to obawiam się, że nie będę mogła pani pomóc.

– Widzi pani, jestem dziennikarką i...

– Najmocniej panią przepraszam, ale nie mogę nic dla pani zrobić. Czy jest coś jeszcze?

– Nie, ale...

– W takim razie prosiłabym panią o opuszczenie budynku.

Julita zabębniła palcami po blacie.

– Słuchaj no, Natalia – powiedziała, przerzucając się na polski. – Nie wyjdę stąd, dopóki nie podniesiesz słuchawki i do niej nie zadzwonisz.

– W takim razie wzywam ochronę – odpowiedziała recepcjonistka bez mrugnięcia okiem, również w języku Mickiewicza.

Julita skinęła głową. A potem wyciągnęła telefon komórkowy i zaczęła nagrywać.

– Proszę, wzywaj – powiedziała. – Zrobię taką scenę, że będą mnie słyszeli w Buckingham. A potem wrzucę to do internetu i opiszę, jak zostałam pobita w agencji pijarowej, hashtag Harrow and Finch, hashtag przemoc, hashtag skandal, hashtag recepcjonistka Natalia.

Dziewczyna rzuciła jej spojrzenie, które mogłoby zabić. Ale podniosła telefon i zadzwoniła. Nie do ochrony.

– Dzień dobry... Tak, tak wiem, przepraszam najmocniej... – mówiła uniżonym, czołobitnym tonem. – Ale jest tu taka pani, nalega, żeby się z panią zobaczyć... Podobno dziennikarka, ale... Nie, nie wiem w jakiej sprawie. Tak, oczywiście, już pytam. – Recepcjonistka zasłoniła słuchawkę i warknęła w jej stronę. – W jakiej sprawie?

– Jej brata.

– W sprawie pani brata. Tak? Aha. Aha. Aha. Oczywiście... – Recepcjonistka puściła Julicie złośliwy uśmieszek. Nic z tego, mówił, figa z makiem. – Tak, upewnię się, że...

– Alex mieszkał w Kensington! – zaczęła krzyczeć Julita. – Trzy miesiące przed śmiercią nie wychodził z domu! Cztery lata temu był w Tokio!

Recepcjonistka zrobiła wielkie oczy. Chciała odłożyć słuchawkę, ale Julita złapała ją za rękę.

– Jeździliście na wakacje do rodziny w Blackpool! – darła się do telefonu.

– Ależ... Co pani wyprawia!

– Słuchał The Roots!

– Niech pani puszcza! Proszę w tej chwili puścić!

Recepcjonistka wyszarpnęła w końcu słuchawkę i odłożyła ją na miejsce. Miała czerwone policzki; kosmyk włosów opadł jej na czoło.

– Proszę w tej chwili opuścić budynek albo zadzwonię po policję – wycedziła przez zęby.

– Dobrze, ale czy możesz...

– Won mi stąd, ty...

Drrrrr. Drrrrr. Obie przeniosły wzrok na telefon. Recepcjonistka spojrzała na Julitę spode łba. Po trzecim sygnale podniosła słuchawkę.

– Tak? Słucham, pani McCabe... Aha... Aha... – Przełknęła ślinę. – Oczywiście, przekażę.

Klik, słuchawka wróciła na swoje miejsce. Recepcjonistka milczała dłuższą chwilę; przeżuwała porażkę.

– Będzie tu za pięć minut – powiedziała w końcu, nie patrząc w jej stronę.

Heather McCabe miała około czterdziestki, ciemne włosy spięte w ciasny kok, okulary w modnych ostatnio drucianych oprawkach. Widać było po niej pieniądze: pierścionek z gigantycznym brylantem, buty za parę stów. Widać też było, że nie przyszły łatwo: czoło przecięte bruzdą, okolone zmarszczkami oczy, czerwone z niewyspania. Usiadły w kawiarni po drugiej stronie ulicy, przy oknie. Zbierało się na deszcz. Jakżeby inaczej.

– Dziękuję, że się zgodziłaś ze mną porozmawiać – powiedziała Julita, wieszając bluzę na oparciu krzesła. Angielski to był jednak cudowny język, z każdym od razu się było na ty, żadnego „paniowania”. Julita знаła go dość dobrze, na tyle, żeby nadażyć za połykającą końcówki Heather. Nie było to bynajmniej zasługą nauczycieli z żukowskiego liceum, tylko Nirvany, Pearl Jam i Red Hot Chili Peppers. Godzinami ślęczyła ze słownikiem nad wkładkami z płyt podwędzonych starszej siostrze, żeby zrozumieć, o czym właściwie zawodzi półnagi Anthony Kiedis i czy Cobainowi chodziło o to, że coś śmierdzi jak nastoletni duch, czy może pachnie jak alkohol nastolatki. I chociaż miłość do starych idoli przeminęła, zakute słówka zostały w pamięci.

– Na razie zgodziłam się wysłuchać, czego chcesz – odparła Heather. – I skąd tyle wiesz na temat Alexa.

– Widzisz, piszę na temat pewnej dziewczyny... Ona i Alex...

– Dziewczyny, powiedziałaś?

– Tak.

– Jesteś pewna, że chodzi o mojego brata?

– Tak. Oni... Hm, jak by to nazwać... Oni mieli romans – powiedziała Julita po chwili wahania. Widząc niedowierzanie w oczach Heather, dodała szybko: – W internecie.

– Ciekawe. Jak długo to trwało?

– Przynajmniej pół roku... Podejrzewam, że dłużej.

– Ha... – Na krótką chwilę na ustach Heather pojawił się uśmiech. – To byle wiele tłumaczyło.

– To znaczy?

– Alex raz mnie poprosił, żebym mu podpowiedziała, jakie są fajne kosmetyki dla kobiet... A nie wychodził wtedy w ogóle z domu. Nie chciał mi powiedzieć, dlaczego pyta, dla kogo to... Oni się kiedyś spotkali? Przyjechała tu do niego?

– Nie żebym wiedziała... Pewnie wysłał jej pocztą.

– No, nieważne. – Heather sięgnęła po filiżankę z herbatą. Zabieloną mlekiem, a jakże. – I co z nią?

– Nie żyje.

– Nie żyje? – Mrugnięcie, niedowierzanie. – A co się stało?

– Została zamordowana.

Cisza. Heather odstawiła filiżankę, nim się napiła. Trzęsły jej się ręce.

– Wiadomo, kto to zrobił? Albo dlaczego? – spytała po chwili.

– Nie. Ale... Myślę, że to może mieć związek z Alexem. Widziałam zapis ich rozmów. Zwierzał się jej, że ma jakieś problemy, że czuje się zagrożony i... – Julita urwała. Heather zbladła, opadła na krzesło. – Wszystko w porządku?

Nie odpowiedziała. Zasłoniła usta dłonią, powstrzymując wzbierający płacz. Julita nie wiedziała, jak się zachować: pocieszać ją, przytulić, spytać, jak może pomóc? W końcu nie zrobiła nic, czekała. Heather zdjęła okulary, przycisnęła chusteczkę do kącików oczu, żeby zebrać łzy, nim rozmyją makijaż.

– Przepraszam, ja... – wydusiła.

– Nie przepraszaj. Widzę, że jest ci ciężko, jeśli chcesz...

– Mówiłam... Mówiłam, że coś było nie tak...

– Słucham?

– Z jego śmiercią... Z Alexem. Policja stwierdziła, że to było samobójstwo albo wypadek, że przedawkował leki... Ale... Coś mi nie pasowało, wiesz? Tylko nie wiedziałam co. A potem sobie przypomniałam... Powiedzieli, że znaleźli go w wannie. A on bał się zanurzyć w wodzie, nawet jako dziecko... Pamiętam, jakie były historie, kiedy rodzice go myli... Nigdy nie wszedł do basenu, nie kąpał się

w morzu, zawsze tylko szybki prysznic, woda musiała mieć temperaturę ciała, ani stopnia mniej i ani stopnia więcej...

– Powiedziałaś to policji?

– Tak, oczywiście. – Heather mówiła już spokojnie, starannie wypowiadając każde słowo, po łzach nie było ani śladu. Ach, ta słynna brytyjska powściągliwość, pomyślała Julita, pozazdrościć. – Ich odpowiedź była taka, że drzwi były zamknięte od środka, żadnych śladów włamania... A ludzie się przecież zmieniają. I wiesz, dałam się przekonać. Ale w świetle tego, co mówisz... – Urwała. Nie musiała kończyć.

Julita odczekała chwilę, dała jej się uspokoić, napić herbaty. A potem zaczęła drążyć:

– Słuchaj... Czy Alexowi przytrafiło się coś złego tak mniej więcej dwa lata temu? Latem dwa tysiące osiemnastego?

Heather uniosła wzrok znad filiżanki. Była zaskoczona.

– Tak... Skąd wiesz?

– Wspomniał o tym w rozmowach z tą dziewczyną... Ale nie wchodził w szczegóły.

– Ze mną też nie. Nigdy mi nie powiedział, co się właściwie stało.

– Po prostu powiedz, co wiesz.

– Może zacznę od tego, że Alex był bardzo... – Heather uniosła oczy, szukając właściwego słowa. – Wrażliwy? Nie... Nie, to jest eufemizm, którego używali nasi rodzice, kiedy chcieli się komuś wytłumaczyć z jego zachowania. Alex miał problemy natury psychologicznej. Stany lękowe, fobie, stany depresyjne, napady paniki.

– Rozumiem...

– W pewnym momencie było już tak źle, że musiał przerwać naukę. Rok spędził na intensywnej terapii, przepisywali mu kolejne, coraz mocniejsze leki... No i udało mu się to jakoś opanować, wiesz? Skończył szkołę, poszedł na studia... Oczywiście nie był duszą towarzystwa, ale kogoś tam poznał... Żył normalnie, przynajmniej jak na siebie. Do dwa tysiące osiemnastego.

Heather wzięła głębszy oddech, wygładziła fałdkę na koszuli.

– Pojechał wtedy do Stanów, na konferencję – podjęła po chwili. – Bardzo to przeżywał, bo dla niego przejazd przez Londyn to było nie lada wyzwanie, a tu nagle lot na drugi koniec świata. Poza tym miał po raz pierwszy prezentować tam swoje badania, mówił, że ma jakąś prawdziwą bombę, odkrył coś niesamowitego...

– Ale co dokładnie?

– Nie wiem. Nie powiedział, a ja się nie dopytywałam. Szczerze mówiąc, nie do końca wiedziałam, czym on się właściwie zajmował, te całe komputery to dla mnie czarna magia...

– Aha. Też tak miałam. No... I co dalej?

– Prezentacja się nie odbyła – odpowiedziała Heather. – A Alex wrócił wcześniej, niż planował. Odebrałam go z lotniska. Całą drogę siedział z tyłu, nie odzywał się ani słowem. A potem wszedł do mieszkania, zamknął drzwi... I już stamtąd nie wyszedł.

Zadzwoił dzwoneczek zawieszony przy drzwiach wejściowych, obie machinalnie odwróciły głowy. Wysoki, barczysty mężczyzna w czarnej kurtce podszedł do baru, wybierał kanapki. Wróciły do rozmowy.

– Myślałam... – Heather potarła skronie. – Myślałam, że po prostu nie dał rady. Że wyszedł na scenę, zobaczył tych wszystkich ludzi i nie wytrzymał stresu. Albo tak strasznie bał się, że się czymś struje i nie będzie mógł dać prezentacji, że dostał rozstroju żołądka właśnie w momencie, kiedy miał wchodzić na scenę. Wiesz, takie rzeczy zdarzały się wcześniej.

– Ale nie masz pewności?

– Nie. Pytałam go potem, co się właściwie stało, ale nie chciał powiedzieć. Szczerze mówiąc... W ogóle ciężko się z nim od tamtej pory rozmawiało. Przestał kogokolwiek wpuszczać do mieszkania. Przez jakiś czas odbierał przynajmniej telefony, ale potem i to się skończyło, można z nim było już tylko wymienić SMS-y albo mejle. No i muszę przyznać, że nie pisałam ich za często. No bo o co go mogłam spytać? Jak leci? Co słychać? Co by to dało?

Julita nie odpowiedziała. Zdawała sobie sprawę, że pytanie nie jest skierowane do niej, że Heather nie chce poznać jej opinii, tylko uspokoić sumienie. Mogła przecież zrobić więcej. Mogła częściej pisać, być bardziej dociekliwa. Może by się w końcu przed nią otworzył. Może nie rozmawiałyby wtedy z dziwną dziennikarką z Polski.

– Pamiętasz... – podjęła po chwili, kiedy wybrzmiały już te pytania. – Pamiętasz, jak nazywała się ta konferencja, na którą pojechał?

– Coś... Hm. Wybacz, nie przypominę sobie. Kojarzę tylko, że jak powiedział tę nazwę, to pomyślałam, że brzmi jak zjazd głuchoniemych.

– Czekaaj, czekaaj... DEFCON?

– O, tak, właśnie to! Co to jest?

– Największy na świecie zlot hakerów.

Heather zamrugnęła, jakby coś jej wpadło do oka.

– Hakerów? – powtórzyła z niedowierzaniem. – I co on tam robił?

– Bardzo dobre pytanie – odparła Julita.

Oleg za młodu dużo grał w gry komputerowe. Szczególnie lubił te, gdzie można było wykreować swojego bohatera, wybrać mu rasę, profesję, kształt i rozmiar nosa. Tworzył czarodziei-jaszczuroludy, elfich zabójców, krasnoludzkich wojowników. Przemierzał potem w ich butach rozległe światy, gdzie każda jaskinia skrywa skarb, wilki noszą na sobie kolczugi, a każdy mieszczanin ma niecierpiące zwłoki zadanie dla śmiałka, któremu niestraszna śmierć, a miła chwała. Kiedy przychodził moment, w którym trzeba było dokonać ważnego wyboru – stanąć po stronie króla Zorymaksy czy rebeliantów pod wodzą pięknej Etriel, zniszczyć świątynię żadnego krwi Xarthasa czy stać się jego plugawym czempionem – Oleg zawsze zapisywał stan gry, a następnie testował kolejne opcje dialogowe i ich konsekwencje. Dopiero kiedy sprawdził wszystkie dostępne ścieżki, wybierał tę, która najbardziej mu się podobała, i kontynuował przygodę. Żałował, że nie może zrobić tego teraz. Sprawdzić, jak potoczą się losy, kiedy wyśle spisanego właśnie mejla, a jak, kiedy wyrzuci go do kosza i zapomni o całej sprawie.

Wiedział, że do Maćka nie ma po co iść. Szef dał mu jasno do zrozumienia, że ma przestać tracić czas na amatorskie śledztwa, że tym zajmuje się kto inny. Dlatego w polu adresowym wpisał też nazwisko dyrektora portalu na Polskę oraz szefową lokalnej jednostki do spraw bezpieczeństwa, Paulinę Jarosz. Oleg wypisał wszystko, co znalazł: fejkowe profile, ich hierarchię, błędy językowe wskazujące na inspirację ze Wschodu. Tego Maciek już nie zamiecie pod dywan. Albo coś z tym wszystkim zrobią, albo wywalą go na zbity pysk.

Oleg ze zdziwieniem stwierdził, że perspektywa zwolnienia specjalnie go nie smuci; czuł, że i tak nie byłby w stanie wytrzymać w tej pracy dużo dłużej. Miał wrażenie, że od przeklikiwania kolejnych zdjęć i wpisów rozpuszcza mu się mózg. Kiedy wychodził z biura po ośmiu godzinach, pękał mu łeb, nie mógł się na niczym skupić, a potem – zasnąć. W jednym Maciek miał niewątpliwie rację: to była robota dla komputera.

Cicha świnia głęboko ryje. Może i tak, ale Oleg nie miał ochoty już dłużej ryć. Wziął głębszy oddech, nacisnął przycisk „wyślij” i wstał od biurka. Poczł przyływ adrenaliny, krew zaszumiła w skroniach. Niech się dzieje wola nieba. Poszedł do kuchni, wstawił wodę na herbatę. Nim zdążyła się zagotować, usłyszał stukot obcasów na korytarzu. Wiedział już, że nie musi wyciągać kubka z szafki. Wypić i tak nie zdąży.

- Oleg? – W drzwiach stanęła Ewa z HR-u.
- Tak?
- Pójdiesz, proszę, ze mną?
- Mhm. Pewnie.

Ding. Czajnik zasygnalizował, że doszedł do punktu wrzenia.

Julita stała na rogu Wrights Lane i Kensington High Street, przed kilkupiętrowym budynkiem z lat siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych, który usilnie, lecz niestety bezskutecznie, próbował naśladować elegancję otaczających go osiemnastowiecznych domów: cegła miała nie ten kolor co trzeba, krawędzie były zbyt ostre, okna zbyt blisko siebie. To tu. Trzecie piętro, lokal numer osiem. Mieszkanie, w którym Alex chciał schować się przed całym światem. Okazało się, że niedawno znów wystawiono je na wynajem i wciąż było na rynku. Julita postanowiła je obejrzeć, chociaż nie do końca wiedziała po co, co tu może jeszcze znaleźć po dwóch latach, czego może się dowiedzieć, ale skoro już była na miejscu...

Plątała się po okolicy kwadrans, nim znalazła właściwe miejsce. Londyn był wyjątkowo trudnym do opanowania miastem: plątanina ulic o identycznie brzmiących nazwach, ledwie widoczne numery domów, mnóstwo ślepych zaułków. Poza tym orientowała się za pomocą mapy, tak, tak, mapy, takiej papierowej, składanej na osiem części, szarpanej przez wiatr. Na tle innych turystów, którym telefon podpowiadał, gdzie i kiedy mają skręcić, ile jeszcze i jak daleko, wyglądała, jakby przybyła z innej epoki. Oczywiście, ze smartfonem byłoby wygodniej, wiedziała o tym doskonale, kusiło ją, żeby go włączyć, ale po tym, co przeszła, wolała zachować dodatkową ostrożność.

Spojrzała w lewo, pusto. Weszła na ulicę i została obtrąbiona przez samochód, który jechał z prawej; mijając ją, kierowca popukał się wymownie w czoło. Zabiło jej mocniej serce. Uważaj na siebie, opieprzyła się w myślach, jeden raz cię potrącili i wystarczy. Stanęła przed domofonem, nacisnęła guzik z ósemką.

- Halo? – zatrzeszczał głos w słuchawce. – Na oglądanie mieszkania?
- Zgadza się.
- Zapraszam.

Julita weszła na trzecie piętro. Agent nieruchomości czekał w drzwiach: śniady, mokre od żelu czarne włosy zaczesane do tyłu, biała koszula rozpięta do mostka. Otaksował ją wzrokiem, i to dość bezczelnie, nie kryjąc się; zawiesił wzrok na biuście.

- Ho, ho. – Julita zapięła bluzę pod szyję. – Chłodno tu.
- Takie budownictwo. Anna Kowalski? Na trzynastą piętnaście?
- Mhm. – Potwierdziła skinięciem głowy.

Nie patrzyła już w jego stronę, rozglądała się wokół. Mieszkanie było małe, dwupokojowe: sypialnia, salon z kuchnią, łazienka. Kilka mebli ze sklejki ochrzczonej nordyckimi imionami i gołe, świeżo malowane ściany. W powietrzu wciąż unosił się zapach farby.

– Oglądasz z kimś? Czy sama?

– Sama.

– Mhm. – Agent uniósł brew. – Wiesz, że wynajem wynosi dwa tysiące sto funtów miesięcznie bez opłat?

Dwa tysiące sto funtów, pomyślała, czyli ponad dziesięć tysięcy złotych. Ja pierdolę.

– Tak, tak, nie ma problemu – powiedziała, siląc się na nonszalancję. – Pozwolisz, że się rozejrzę?

– A proszę. Gdybym mógł w czymś pomóc...

– Na pewno poproszę. – Weszła mu w słowo. – Dziękuję.

Agent wyciągnął telefon, oparł się o ścianę. Charakterystyczny ruch kciuka, lewo, lewo, lewo, prawo, lewo; był na Tinderze, szukał dziewczyny na randkę. Pomyślała o Leonie. Jak to dobrze, że na nią czeka. Że nie musi już chodzić na kolacje z drętwyimi kolesiami, którzy pytają o hobby albo ulubiony kolor, ani wymieniać SMS-ów z donżuanami pokroju tego tutaj.

Dobra, pomyślała, mieszkanie, skup się na mieszkaniu. Po tym, jak wynieśli stąd Alexa, zostało opróżnione, wysprzątane, na koniec odmalowane, a potem ktoś tu jeszcze mieszkał. Czy cokolwiek tu po nim zostało? Może te plamy na kuchennym blacie. Może rysa na oknie. Może ta dziura po gwoździu, na którym wisiał jakiś obrazek albo zdjęcie. Tylko co jej to daje? Nic. Weszła do sypialni, wyjrzała przez okno na Hyde Park, który w zimie zmieniał się w Winter Wonderland. Wyobraziła sobie Alexa, opartego o parapet, zasłuchanego w głosy innych ludzi. Albo tu obok, na łóżku, z laptopem na kolanach, pogrążonego w rozmowie z Kandy. Kucnęła w rogu, zajrzała pod biurko. Może jakimś cudem w kącie zachował się zwitek papieru, wizytówka, zdjęcie... Nie, nic.

– W tym pokoju jest pięć kontaktów, trzy pod biurkiem i dwa koło łóżka – zawołał agent.

– Aha. Wielkie dzięki.

Julita wstała, otrzepała kolana i poszła do kuchni. Otworzyła szafki nad zlewem, pociągnęła nosem. Nic, żadnego zapachu. W szufladach nie ma

zacieków po oleju, rozsypanej soli. Widać zarówno Alex, jak i kolejni lokatorzy ograniczali gotowanie do zalewania wrzątkiem zupek z proszku. Znów, nic zaskakującego. Pora zajrzeć do łazienki.

– W łazience jest prysznic i wanna... – Agent szedł krok za nią.

– Tak, widzę. Dziękuję.

Typowa brytyjska łazienka: dywan na podłodze, pociągnięte białą farbą gipsowe ściany bez kafelków, maskowany chemią odór pleśni. Julita stanęła przed umywalką – rzecz jasna, z dwoma kranami – i otworzyła wiszącą nad nią szafkę. Półki pokrywały dziesiątki ledwie widocznych, przecinających się okręgów, może odciski po buteleczkach z lekami, po tych wszystkich maxolonach, inderalach i innych alprazolamach, które Alex żarł jak draże. Prysznic wyglądał na często używany: wysłużona zasłonka, do odpływu prowadziły żółtobrazowe zacieki. Została wanna. Czysta, bielusienka, wyglądała, jakby dopiero co przywieziono ją ze sklepu.

– Wanna była niedawno wymieniana? – spytała.

– Słucham? Moment, sprawdzę w papierach... Nie, nie sędzę.

– Mhm. Dziękuję, to... – Urwała. Coś przykuło jej uwagę. Wgniecenie w tynku. Tam, gdzie wystawałaby głowa. Koncentryczne rysy, wgłębienie na środku. Ślad po uderzeniu.

– Mogę jeszcze w czymś pomóc?

– Mhm. Tak. – Julita skinęła głową. – Proszę wejść do wanny.

Agent spojrzał na nią zaskoczony.

– Ze co proszę?

– Do wanny. Czy mógłby pan wejść do wanny.

– Ale... Po co?

– Mój chłopak jest mniej więcej pana wzrostu. Chcę sprawdzić, czy byłoby mu wygodnie się tu kąpać.

Facet wahał się przez chwilę, przewrócił oczami. Czego to ludzie nie wymyślą, zdawał się mówić. A potem: czego się nie robi dla pieniędzy.

– Niech będzie... – westchnął agent, po czym wszedł do wanny i położył się na dnie. W eleganckiej koszuli, w obcisłych spodniach, butach z wężowej skóry. W innym kontekście byłoby to nawet śmieszne. Ale nie teraz.

– Może pan się trochę podnieść... Jeszcze trochę... O tak.

Głowa agenta wystawała kilkanaście centymetrów nad wannę. Z tyłu, tuż za potylicą, było wgniecenie. Znów zobaczyła Alexa. Jak się szarpie, próbując się wydostać, jak rozlewa wodę. Jak wali potylicą w ścianę. Jak ktoś szarpie go za włosy, przytrzymuje w miejscu. Jak w końcu puszcza.

– Dziękuję – powiedziała Julita, odkręcając się na pięcie. – To wszystko.

– Ale... Bierze pani to mieszkanie czy nie? Halo?!

Nie odpowiedziała, była już na schodach. Jeśli miała jakieś wątpliwości co do tego, czy śmierć Alexa rzeczywiście była nieszczęśliwym wypadkiem, teraz wyparowały. Zamknęła za sobą drzwi na klatkę, stanęła na ulicy. A kiedy uniosła wzrok, zobaczyła kamerę. Była podwieszona nad wejściem do budynku po drugiej stronie ulicy. I patrzyła prosto na nią. Czarne, obłe oko bez źrenicy. To przypadek, pomyślała, ignorując krew dudniącą w skroniach. Przecież w tym mieście na każdym rogu jest jakaś kamera. Niepotrzebnie wpędzasz się w paranoję.

Ruszyła w stronę najbliższej stacji metra, spokojnym krokiem, chociaż miała ochotę biec.

Całą ścianę pokrywało słowo „przyjaźń”, w różnych językach, w różnych kolorach, w różnych alfabetach. Cyrylica sąsiadowała z sanskrytem, japońskie *kanji* z hebrajskimi literami. Jedna wielka, szczęśliwa rodzina, oplatająca cały glob, każdy inny, wszyscy równi.

– Oleg?

Odwrócił wzrok ku twarzom po przeciwnej stronie stołu. Ich wyraz kontrastował z pogodnym wystrojem pokoju. Maciek, jego szef, siedział odchylony, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Ewa z HR-u miała dłonie złożone w piramidkę, a pociągnięte błyszczkiem usta zaciśnięte w kreskę. Za oknem rozpościerała się Warszawa, z perspektywy piętnastego piętra zaskakująco zielona.

– Wiesz, czemu cię zaprosiliśmy na rozmowę? – spytała Ewa.

Zaprosiliście, pomyślał, dobre sobie. Mimo że pracował tu od niedawna, pudrowany język obowiązujący w biurze już go zaczął mierzić. Helena postanowiła, że będzie rozwijać swoją karierę gdzie indziej. Kuba uznał, że chce spędzić więcej czasu z rodziną.

– Z powodu mojego mejla? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Zgadza się. – HR-ówka skinęła głową. – Z tego co rozumiem, Maciek prosił cię wcześniej, żebyś skupił się na swoich obowiązkach, prawda?

– Mhm.

– Czyli zgodziłbyś się ze stwierdzeniem, że zignorowałeś polecenie służbowe?

– No, nie, bo byłem skupiony na swoich obowiązkach, wykonywałem swoją pracę, tylko...

– Tylko wykonywałeś ją źle. – Maciek wszedł mu w słowo. – Twoje wyniki były znacznie poniżej średniej, czasami nie dochodziłeś nawet do tysiąca moderacji. Często zdarzały ci się pomyłki, mimo że...

Maciek nie dokończył myśli, rozproszyła go wibrująca komórka, tańcząca na blacie stołu. Dał znać Ewie, żeby przejęła pałeczkę, a sam odblokował ekran.

– Oleg, jest nam bardzo przykro – powiedziała, ściskając dłonie w pojednawczym geście – ale wydaje nam się, że nie realizujesz swojego potencjału w zespole *content moderation*.

Ewa odwróciła się w stronę Maćka, szukając jego wsparcia. Ale Maciek na nią nie patrzył, wzrok miał skupiony na telefonie. Brwi uniosły mu się do góry. Twarz stężała.

– Ewa.

– Hm?

Maciek pokazał jej telefon. W pokoju zrobiło się cicho, mijały sekundy, minuty. Oleg miał tak sucho w ustach, że język przylepiał się do podniebienia. Ewa odłożyła komórkę.

– Przepraszam. – Uśmiechnęła się szeroko. – Pozwolisz, że na chwilę zostawimy cię samego?

– Słucham?

– Musimy coś przedyskutować.

– Pewnie.

Wyszli na korytarz. Widział ich sylwetki po drugiej stronie mlecznego szkła, słyszał nerwowe szepty; teatrzyk cieni. O co chodzi? Wrócili po chwili. Maciek nawet na niego nie patrzył, utkwiał wzrok w oknie, przygryzł wargi. Ewa była spięta. Wyglądała jak wzorowa uczennica, która właśnie się dowiedziała, że przez pomyłkę zakuwała do klasówki nie ten rozdział podręcznika co trzeba i nie potrafi odpowiedzieć na żadne pytanie.

– Przepraszam za tę przerwę – powiedziała, zajmując miejsce za stołem.

– Nie no, nic nie szkodzi.

– Nim wyszliśmy, mówiłam, że najwyraźniej nie realizujesz się w zespole *content moderation*. Dlatego... – Uśmiechnęła się serdecznie. – Dlatego chcielibyśmy zaproponować ci przeniesienie do innego działu.

Oleg miał wrażenie, że się przesłyszał. Naprawdę to powiedziała?

– A... – Zawiesił głos. – Do którego konkretnie?

– Do zespołu do spraw bezpieczeństwa – odpowiedziała.

Julita nie mogła już wysiedzieć. Dwie dwudziestoczwierogodzinne przejażdżki na przestrzeni trzech dni to było jednak za dużo: bolał ją kark, drętwiały jej nogi, ścisnęło ją w brzuchu; czuła się jak zgnieciona aluminiowa puszka. Jakby tego było mało, godzinę temu zatrzymali się na postój koło McDonalda i teraz cały autokar śmierdział jak przesiąknięta tłuszczem tektura. Julita przycisnęła do nosa sweter, ale on też przeszedł tym smrodem, tak samo zresztą jak jej włosy. Przeciągnęła się, podciągnęła kolana pod brodę i oparła stopy o fotel przed sobą. Lepiej. Minimalnie, ale lepiej.

– Halo. – Pasażerka z wcześniejszego rzędu wychyliła się w jej stronę. – Może się pani tak nie rozpychać?

– Przepraszam... Strasznie mi niewygodnie.

– Wszystkim nam niewygodnie, proszę pani.

Mogła polecieć. Klasą biznes, gdyby bardzo chciała. Ale na myśl, że miałyby znów wejść do samolotu, jeżył jej się włos na całym ciele.

Julita usiadła prosto, zamknęła piekące oczy. Jeszcze pół godziny. Jakoś wytrzyma. Może powinna była zostać w Londynie jeszcze jedną noc albo może nawet dwie, zwiedzić British Museum i przejść się Oxford Street, zjeść *fish and chips*, wpaść do znajomych ze studiów, którzy osiedli nad Tamizą. Ale czuła, że nie byłaby w stanie czerpać z tego przyjemności, że i tak ciągle wracałyby myślami do Kandy i Alexa. Ten temat przerodził się w obsesję, tak jak wcześniej sprawa Buczka. I dobrze. Uwielbiała to. Strzał adrenaliny, totalne skupienie, jeden cel. Znikały głupie myśli, rozterki, a po co, a czemu, a czy warto, liczył się tylko kolejny fakt, kolejny element układanki.

Nim wsiadła w powrotny autobus, odwiedziła jeszcze wydział Alexa, ale choć nie brakowało chętnych do rozmów, niczego się nie dowiedziała. Mało kto w ogóle go kojarzył, a ci, z którymi miał jakiś kontakt, nie mieli pojęcia, jakiego odkrycia dokonał, o czym miała być jego prezentacja. Oczywiście, Julita szukała informacji na jej temat w sieci. Bez trudu znalazła opis w zeszłorocznym programie. Sęk w tym, że był on dość lakoniczny i nie posuwał sprawy do przodu.

JAK PRZESKOCZYĆ POWIETRZE I ZMIENIĆ BIEG HISTORII

Alexander J. McCabe, PhD

Treść abstraktu została utajniona na życzenie prelegenta.

Przeskoczyć powietrze? Co to w ogóle znaczy? O jaką historię chodzi? I co to miało wspólnego z Kandy? Z X1? Same pytania, żadnych odpowiedzi. Julita otworzyła oczy, wyjrzała za okno. Wreszcie Warszawa. Niedziela, i to niehandlowa, więc ulice były puste, w kilka minut dotarli na dworzec. Tym razem to ona wstała pierwsza, przepchnęła się przez pasażerów do wyjścia. Szukała w tłumie twarzy Magdy, siostra zaoferowała, że po nią przyjedzie. Stała pod wiatą, w kremowym płaszczku i czerwonych szpilkach, z torebką z krokodylej skóry przewieszoną przez ramię. Tak strasznie gryzła się ta jej elegancja z dworcowym paździerzem, że wyglądała, jakby pozowała do

awangardowej sesji zdjęciowej dla „Vogue’a”; brakowało tylko rozrzuconych na ziemi kartofli.

– O matko – powiedziała Magda, zawieszając wzrok na jej tłustych włosach. – Wyglądasz strasznie.

– Też cię kocham.

– Znowu masz fazę na punk? Myślałam, że z tego wyrosłaś.

– Wiesz, co mówią. *Punks not dead*.

– A szkoda. No dobra, chodź, bo zaparkowałam tak nie do końca legalnie.

– Mhm. – Julita zarzuciła torbę z laptopem na ramię. Czyli jak zawsze.

– Co słysząc?

– U mnie? Nuda. Praca, dzieci, tragiczne randki. Powiedz lepiej, co ty właściwie robiłaś w tym Londynie? Bo w SMS-ach byłaś strasznie enigmatyczna.

– Gdybyś zainstalowała sobie Signal, tak jak cię prosiłam...

– Daruj sobie. – Magda otworzyła samochód. Ogromny SUV stał pod znakiem „NIE PARKOWAĆ”. – No, mów. Słyszałam od Leona, że zajmujesz się tą camgirl z Mińska?

– Kojarzysz tę sprawę?

– Mhm. Aż za dobrze.

– O? To znaczy?

Nim Magda zdążyła odpowiedzieć, do samochodu doskoczył wściz w poplamionym swetrze.

– Co jest, czytać paniusia nie potrafi?! – ryknął. – Towaru nie mogę wyładować!

– Grzeczniej proszę!

– Co grzeczniej, co grzeczniej? W dupie się poprzewracało! Jedź pani stąd, bo na policję zadzwonię!

– A dzwoń se, chamie! – warknęła Magda, po czym trzasnęła drzwiami. Julita, zażenowana, odwróciła wzrok. Oczywiście, już ktoś im robił zdjęcia, jakiś facet w czapce z daszkiem. Przynajmniej miał tyle przyzwoitości, żeby to robić ukradkiem, tak niby mimochodem, a nie wyjeżdżać im komórką w twarz. Julita już widziała nagranie na YouTube: PYSKÓWKA BOGATEJ PINDY Z TYPOWYM JANUSZEM. Hit dnia na Wykopie.

Zaryczał silnik, samochód ruszył z piskiem opon.

– Wiesz, że to on miał rację? – zapytała Julita, zapinając pasy.

– A chcesz wracać do domu na piechotę?

– Nie, nie chcę.

– No to się nie mądrzyj.

Wrrrr, wrrr, Magda docisnęła pedał gazu, szybko przerzucała biegi, aż doszła do piątki. Jak była w stanie tak prowadzić w pięciocentymetrowych szpilkach, tego Julita nie była w stanie zrozumieć.

– Czyli mówisz, że słyszałaś o tej Kandy? – spytała.

– Aha. Widziałam nawet nagranie.

Julita puściła jej zdziwione spojrzenie, ale Magda patrzyła przed siebie. Może i dobrze, zważywszy na styl jazdy.

– Nie myślałam, że oglądasz takie rzeczy.

– Bo zwykle nie oglądam. Ktoś mi pokazał.

– Kto?

– Saszka – powiedziała Magda, dociskając gazu, żeby zdążyć na żółtym.

Julita poczuła, jakby ktoś uderzył ją w brzuch.

– Czekał... Twoja Saszka?

– Aha. – Siostra skinęła głową. – Kolega ze szkoły wysłał link całej klasie.

– Ja pierdolę.

– No.

Takie nagrania nigdy nie giną, pomyślała Julita. Na jakiś czas znikają, usunięte z popularnych platform, z portali społecznościowych. A potem wracają, jak niedoleczona choroba, znów rozlewają się po kablach. Nie wiadomo czemu, nie wiadomo po co, z czeluści sieci po prostu wybija gejzer szlamu.

Przejechały przez plac Zawiszy, za oknem mignęła tęczowa fasada Sobieskiego. Julita zrozumiała, czemu Magda zaoferowała, że ją odbierze. Czemu specjalnie umówiła nianię, żeby sama mogła wyjechać po nią na dworzec.

– Co ja mam zrobić? – spytała. – Jak to mam wytłumaczyć dziewięciolatce?

– Nie wiem. Przepraszam, Magda, chciałabym pomóc, ale to są pytania dla psychologa.

– Nie ma komórek, które by blokowały to gównno?

– Nie. Znaczący możesz zainstalować jakiś filtr rodzicielski...

– Ale?

– One są średnio skuteczne. Poza tym kolega i tak może jej to pokazać na własnym telefonie, jeśli zechce.

Jechały chwilę w milczeniu. Magda włączyła radio, skakała ze stacji na stację, nic jej się nie podobało.

– Czyli co? – spytała. – Nic nie można zrobić?

– Ja bym na twoim miejscu porozmawiała ze szkołą... Z innymi rodzicami...

– I co? Co mam im powiedzieć?

– Hm. Nie wiem... – Samochód wjechał na most Poniatowskiego. Na schodach przy Wiśle tłumy ludzi, na piaszczystym praskim brzegu pikniki i grille; brudnozielona zwykle woda skrzyła się na złoto w promieniach zachodzącego słońca. Sielanka. – Może trzeba by dla tych dzieci zrobić jakieś warsztaty na temat bezpieczeństwa w sieci. Jak chcesz, mogłabym...

– Warsztaty! – prychnęła Magda. – Dla dziewięciolatków! Czy ty siebie w ogóle słyszysz? Te szczyły dopiero co się nauczyły porządnie podcierać!

– Wiem. Wiem.

Jechały chwilę w milczeniu. Koła podskakiwały na nierównym asfalcie.

– Jak Saszka? – spytała Julita.

– Źle. Wrzeszczy w nocy. Zaczęła moczyć łóżko.

– Boże...

– To jest porąbane, Julita. Ja tego nie ogarniam. W jej wieku to ja miałam koszmary z wilkami z *Akademii Pana Kleksa*... A ona widziała, jak facet dusi wierzgającą kobietę. Przecież to jest nienormalne.

– Rozumiem.

– Gównu tam rozumiesz – zachnęła się. – Musiałabyś mieć własne dziecko, żeby zrozumieć.

Jeszcze kilka skrzyżowań, kilka złamanych przepisów i były na miejscu. Magda zaparkowała auto, krusząc pod kołami butelkę po piwie.

– Przepraszam, że na ciebie naskoczyłam – powiedziała. Ręce wciąż trzymała na kierownicy, wypielęgnowane paznokcie wpijały się w kremową skórę.

– Nie musisz.

Wyszły na ulicę. Julita stanęła na palcach, wzięła siostrę w ramiona i uścisnęła z całej siły.

– Chcesz wejść na górę? – spytała.

– Nie, nie. Jesteś zmęczona, będziesz chciała wziąć prysznic...

– Mogę poczekać.

– Nie powinnaś. Wierz mi.

– Aż tak źle?

– No, jak mnie przytuliłaś, to powiem ci... – Magda zmarszczyła nos, powachlowała powietrze przed twarzą dłonią. – Uuuuch.

– Okej. Rozumiem.

Magda otworzyła drzwi auta. Ale nie wsiadała.

– Słuchaj...

– No?

– Odezwę się w sprawie tych warsztatów, dobra?

– Pewnie.

SUV zjechał z chodnika, zniknął za zakrętem. Pierwszy raz, pomyślała Julita. Moja starsza siostra pierwszy raz poprosiła mnie o pomoc.

Sala była pełna po brzegi. Wszystkie miejsca zajęte, do ostatniego. Do miasta zawitał w końcu celebryta z okładek kolorowych magazynów, bywalec studiów telewizyjnych, najślynniejszy polski piłkarz, ikona męskiej mody, a także, nie zapominajmy – poseł na Sejm RP i lider ruchu Polska Jutro, Artur Warecki.

Dla mieszkańców Konina było to najważniejsze wydarzenie miesiąca. Oto znany każdemu gwiazdor ciekłokrystalicznych ekranów nabiera ciała i zstępuje tu właśnie, do tego miasta zapomnianego, które wciąż żyje wspomnieniami dawnej chwały, kiedy w kopalniach pracowało się na dwie zmiany, kiedy elektrociepłownia buzowała tak, że wody Jeziora Ślesińskiego, które ją chłodziły, nagrzewały się do tropikalnych temperatur, kiedy na mapach administracyjnych widniało województwo konińskie, o powierzchni pięć tysięcy sto trzydzieści dziewięć kilometrów kwadratowych, pomalowane na kolor musztardowy. Żywy dowód na to, że Polska A i Polska B to jednak ten sam kraj, że można przedostać się przez dzielącą go membranę.

Artur wyszedł na scenę. Cienkie wełniane spodnie w kolorze akwamaryny, wąski pasek, śnieżnobiała koszula odbijająca światło reflektorów, uśmiech, od którego kobietom miękły nogi. Uniósł ręce w pozdrowieniu. Odpowiedziała mu burza oklasków.

– Halo, Konin!

Oklaski jeszcze przybrały na sile, wypełniły halę, wylały się przez okna na ciche, puste ulice.

– Poprzedni raz byłem u was w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym – powiedział Artur. – To był mój ostatni sezon w Śląsku Wrocław, graliśmy tu mecz wyjazdowy z waszym Górnikiem, tylko on się wtedy jeszcze nazywał Aluminium Konin... Ktoś pamięta?

Z widowni odpowiedziało kilka głosów.

– Ja myślę, że pamiętacie... Dostaliśmy niezły łomot. Trzy do zera, jeśli dobrze pamiętam. Obrona mnie blokowała tak skutecznie, że w ogóle nie widziałem piłki. Skończyliście sezon na drugim miejscu, byłem

przekonany, że w następnym przebijecie się już do ekstraklasy, że będziecie jak Groclin Grodzisk. Ale zabrakło pieniędzy. Poodchodzili dobrzy piłkarze, na ich miejsce wzięli samych młodzików. No i się skończyło.

Pauza, Artur przechadza się po scenie ze zboląłą miną.

– A czemu? Bo Huta Aluminium miała kłopoty finansowe, więc przestała sponsorować zespół. A potem, w... w...

Zapomniał. Aneta uniosła wzrok znad rozłożonego na kolanach komputera. Siedziała tuż obok sceny, po to właśnie, żeby mógł w takiej chwili szybko odnaleźć ją wzrokiem. Dwa tysiące dziewiąty, powiedziała powoli, bezgłośnie, tak, żeby mógł odczytać słowa z ruchu warg.

– ...w dwa tysiące dziewiątym – podjął Artur – huta zakończyła produkcję aluminium. Dwieście osób straciło pracę. W dwa tysiące czternastym upadł Fugo-Odlew, zwolniono wtedy ponad sto osób. W zeszłym roku zamknięto elektrownię, posady straciło prawie dwieście osób. Teraz przyjdzie czas na kopalnie: Adamów, Ościszewo, pewnie też Kleczewo. To kwestia czasu. Pytanie: co dalej? Gdzie pójdą ci wszyscy górnicy? Czy jest na to jakiś plan, czy ktoś się na to przygotowuje? Ministerstwo udaje, że nie ma problemu, mówi, że poziom bezrobocia w Koninie jest najniższy od roku dziewięćdziesiątego dziewiątego. Cóż, może dlatego, że z miasta wyjechało za pracą dwadzieścia tysięcy ludzi? Coś z tym trzeba zrobić. Skoro stary przemysł upada, co zamiast?

Aneta odetchnęła z ulgą. Najtrudniejszą część przemowy Artur miał za sobą, teraz już tylko stała gadka: że kraj musi się zmodernizować, że Polsce potrzebne są innowacyjne, konkurencyjne na światowym rynku przedsiębiorstwa, że to politycy powinni słuchać wyborców, a nie wyborcy polityków; na pewno pojawi się też kwestia głosowania przez internet, do której Artur wracał z obsesją godną Katona Starszego. Problemem zawsze był wstęp, odwołujący się do spraw lokalnych; trzeba było zapamiętać nazwy, fakty, liczby, a to nie przychodziło Arturowi z łatwością. Potrzebne były ściągki, mnemotechniki, suflerzy. Opierali tę część przemowy na popularnych w regionie wyszukiwaniach. W przypadku Konina, Aneta zwróciła uwagę na liczne zapytania związane z kopalniami: „kopalnia zwolnienia”, „kopalnia zamknięcie”, „kopalnia co dalej”, „kopalnia restrukturyzacja” i tym podobne. Górnicy, wciąż stanowiący znaczący odsetek mieszkańców, najwyraźniej przeczuwali, że nad ich głowami zbierają się czarne chmury. Można to było wykorzystać. Skapitalizować.

Aneta uznała, że sytuacja jest pod kontrolą, więc przeniosła wzrok ze sceny na ekran komputera. W przeglądarce miała otwartego Facebooka, gdzie jako Artur prowadziła równoległe kilkanaście konwersacji z jego fanami. Miała zasadę, że odpisuje każdemu, niezależnie od tego, czy śle komplementy („dziękuję za wyrazy wsparcia, serdecznie pozdrawiam!”), czy inwektywy („czy mógłby pan napisać, czym wywołałem u pana tak ostrą reakcję?”), czy porusza kwestie polityczne („znakomity postulat, z pewnością dołączę do programu!”), czy zgoła inne („ciekawa propozycja, ale jako osoba żonata muszę odmówić”). Każdy rozmówca musiał poczuć, że ma z nim osobisty związek, że gdyby tylko Artur nie był taki zabiegany, z pewnością by się zaprzyjaźnili, zrobili razem grilla. Aneta codziennie prowadziła kilkaset takich rozmów – i każda była nieco inna. Dla nastolatków, którzy mieli na ścianie sypialni plakat Artura z czasów świetności w AS ROMIE (rozwiany włos, muskularna noga składa się do woleja, trybuny szaleją), był chłopakiem z boiska, z którym fajnie byłoby wypić piwo. Wobec zadurzonych w nim kobiet był nieco zalotny – nigdy jednak nie przekraczając granic dobrego smaku – a w stosunku do osób starszych uprzejmy i szarmancki, pytał się o wnuki i zdrowie. Niektórzy pisali tylko raz, inni regularnie, zwierzali się Arturowi z problemów, prosili o radę. Na początku Anecie zdarzały się błędy, mieszała wątki, myliła osoby, ale z czasem nabrała wprawy. Myślała jak procesor, szybko, wielowątkowo – i bez emocji.

Kiedy uporała się z korespondencją Artura, przełączyła się na prywatne konto. Tu było spokojniej, tylko dwie wiadomości – koleżanka pytała, jak weekend z ojcem („zajebicie, nikt nie potrafi mnie tak zdołować jak stary”), kuzynka wysłała zaproszenie na chrzest kolejnego dzieciaka, chyba już siódmego; mieszanica katolickiej edukacji seksualnej i polityki pięćset plus przynosiła piorunujące efekty („wybacz, ale nie mogę, będę wtedy w trasie”). Teraz jeszcze tylko sprawdzić mejle i będzie można odetchnąć. Siedemnaście nieodebranych wiadomości, pierwsza – od Królaka.

Od: Daniel Krolak <daniel.krolak@netsolutions.pl>

Do: Ja <aneta.bielinska@polskajutro.pl>

data: 30 lipca 2020 12:20

temat: Ankieta

Droga Pani Aneto,

przesyłam link do projektu naszej ankiety.

<http://tinyurl.com/e84fhHu>

Będę wdzięczny za ew. uwagi. Po ich uwzględnieniu chcielibyśmy zrobić tzw. soft launch – udostępnić ankietę wybranej grupie użytkowników, a następnie przetestować na nich skuteczność targetowanych reklam metodą A/B testing.

Następnym krokiem będzie ogólnopolski release.

Serdecznie pozdrawiam,
Daniel Królak
CTO, Net Solutions sp. z o.o.

Szybcy są, pomyślała Aneta. Bardzo szybcy. No dobrze, sprawdzimy. Kliknęła w link. Strona załadowała się błyskawicznie, wyskoczyły okienka z informacją na temat prywatności, ciasteczek, RODO i tak dalej; akceptuj, akceptuj, akceptuj. Zobaczyła białe tło, a na nim – Polska, ale jakaś dziwna, rozlewająca się na Czechy, bez Mazur, chyba z czasów Mieszka I. Chwilę później zaczęła się rozrastać, jak atrament rozlewający się na kartce, na wschód, na południe, a potem kurczyć, żeby chwilę później rozpaść się na kilka kawałków, następnie się scala, znów rośnie, rośnie, rośnie, wypełnia cały ekran, a potem maleje, kawałek po kawałku, aż zupełnie znika, by pojawić się znów, wpierw w granicach z czasów II RP, wreszcie – tych znajomych, powojennych, opartych na Odrze i Bugu. Wtedy animacja się zatrzymała, na środku pojawił się znak zapytania, a pod nim napis:

==== TWOJA POLSKA, TWOJA PRZYSZŁOŚĆ ====

Wypełnij ankietę, aby przekonać się, jaka jest Twoja Polska przyszłości!
Każda osoba, która wypełni ankietę, otrzyma bon zniżkowy o wartości 50 zł do zrealizowania w sklepach sieci Motylek.

Instytut Polska Przyszłości
<Zaloguj się przez Facebooka>

Nieźle, pomyślała Aneta, przyciąga uwagę. Tylko to pierwsze zdanie powinno być bardziej zachęcające. No, coś się wymyśli. Zobaczmy, co dalej.

Najważniejsze dla mnie jest, aby w Polsce panował porządek.
ZGADZAM SIĘ NIE MAM ZDANIA NIE ZGADZAM SIĘ

Polska powinna być w centrum wydarzeń.
ZGADZAM SIĘ NIE MAM ZDANIA NIE ZGADZAM SIĘ

Polska powinna okazywać współczucie potrzebującym.
ZGADZAM SIĘ NIE MAM ZDANIA NIE ZGADZAM SIĘ

Polska powinna nawiązywać dialog ze swoimi sąsiadami.
ZGADZAM SIĘ NIE MAM ZDANIA NIE ZGADZAM SIĘ

I tak dalej, i tak dalej. W sumie dwadzieścia pytań. Przeklikanie ich zajęło Anecie niecałe pięć minut. I dobrze, gdyby zajęło to choć chwilę dłużej, większość ludzi straciłaby cierpliwość. Aneta wysłała swoje odpowiedzi, sekundę później załadował się wynik. *Twoja Polska przyszłości to: AMBITNY SAMOTNIK. Stawiasz na sprawy wewnętrzne, rozwój w obrębie własnych granic. Kontakty z sąsiadami oraz polityka zagraniczna mają dla ciebie znaczenie drugorzędne. Podziel się wynikiem ze znajomymi!*

Burza oklasków; Artur skończył mówić. Aneta zamknęła laptopa i dołączyła do aplauzu.

Spomiędzy skał wyszedł niedźwiedź. Na początku przyglądał się obojętnym wzrokiem turystom tłoczącym się po drugiej stronie balustrady, ale kiedy zaczęły błyskać flesze, odwrócił się do nich tyłem i położył na rozgrzanym cemencie. Przez tłum przeszedł jęk zawodu.

– Ej, misiek! – zawołał ktoś. – No nie bądź taki, pokaż pyska!

– Miś jest baaardzo grzeczny dziś – zadeklamował z dumą jakiś przedszkolak.

– Może mu coś rzucić? – Kobięcy głos. – Marek, no rzuć mu coś.

– Ale co?

– No herbatnika mu rzuć, to się odwróci.

– Czeka, tylko...

Julita nie usłyszała, co było dalej, rozmowę zagłuszyły przejeżdżające obok samochody. Wybieg dla niedźwiedzi był przy samej ulicy; żywa reklama warszawskiego zoo. Leon, który był stałym darczyńcą Greenpeace’u, przyglądał się scenie z niesmakiem.

- Przynajmniej nie każą mu tańczyć... – powiedziała Julita.
- Faktycznie, postęp.
- Jak chcesz, to możemy im coś powiedzieć...
- Eee. – Machnął ręką. – Autobus jedzie.

Stosześdziesiątka wjechała na przystanek. Weszli do środka; było przyjemnie chłodno, klimatyzacja wiała po spoconej skórze. Mimo że było kilka wolnych miejsc, Julita usiadła Leonowi na kolanach. Otaczały ich ekrany: z przodu, z tyłu, pod sufitem, na każdym leciały reklamy.

– To jak ten Londyn? – spytał Leon. – Wczoraj nie bardzo była okazja pogadać.

Prawda, pomyślała Julita. Kiedy usiedli wczoraj do kolacji, zasypiała nad talerzem. A Leon tak się postarał: upiekł pizzę, kupił dobre wino (czytaj: tanie i słodkie), udawał, że niczego w życiu nie pragnął tak, jak ciasteczek w blaszanym pudełku z Big Benem, które mu kupiła w sklepie z pamiątkami na Victoria Station.

– Bo ja wiem... – Wzruszyła ramionami. – Duży.

– Pff.

– No co?

– Tyle masz do powiedzenia?

– Wiesz, byłam tam nieco ponad dobę...

– Zapraszamy na nowy program podróżniczy gwiazdy polskiego reportażu, Julity Wójcickiej – powiedział Leon barytonem. – Stolice świata w sekundę. Londyn: duży. Madryt: gorący. Paryż: ładny.

– Ha, ha, bardzo śmieszne.

– Praga: tłoczna. Berlin: hipsterski.

– No już, przestań. – Julita szczyknęła go w ramię. – Bo zacznę gryźć.

– To się bardziej postaraj. Londyn. No, proszę. Opowiadaj.

– Bardzo elegancki... I bardzo drogi... Architektura fajna, tylko straszny miszmasz...

– A Tower Bridge? Widziałaś Tower Bridge?

– Nie. W ogóle nie byłam nad Tamizą.

– Mhm. No nic, będziemy musieli kiedyś pojechać razem.

– Trzymam za słowo – powiedziała, a potem pocałowała go w policzek. Jechali chwilę w milczeniu, przytuleni. Autobus zbliżał się do Starówki.

„MIŁO CIĘ WIDZIEĆ”, głosił neon na moście Gdańskim.

– A co z twoim dochodzeniem? – spytał Leon. – Amerykanie odpisali?

Julita napisała do organizatorów DEFCONU jeszcze z Londynu. Dzień dobry, nazywam się tak i tak, zajmuję się sprawą Alexa McCabe'a,

prosiłabym o udostępnienie jego abstraktu albo skontaktowanie z osobą, która zna jego treść, serdecznie pozdrawiam.

– Mhm. – Skinęła głową. – Odpisali.

– I co?

– Nic, niestety. Powiedzieli, że po pierwsze, nie udzielają takich informacji, po drugie, dawno już skasowali materiały z zeszłego roku, bo prywatność i bezpieczeństwo, bla, bla, bla, a facet, który organizował sesję, na której miał mówić Alex, przepadł bez śladu.

– O matko, też go ktoś zabił?

– Nie. – Pokręciła głową. – Stworzył jakąś nową wersję elektronicznej waluty opartej na blockchainie, zebrał od inwestorów miliony dolarów, po czym zniknął. Pewnie wyjechał gdzieś na fałszywych papierach.

– Fiu, fiu. Nieźle.

– No.

– To co ci pozostaje?

– Nie jestem pewna... Dlatego umówiłam się z Jankiem.

– Fajnie, że ci tak pomaga.

Autobus się zatrzymał. Kiedy otworzyły się drzwi, do środka wlała się kakofonia dźwięków: muzyczka turystycznego pociągu-traktora, przewodnik skrzeczący coś przez przenośny głośnik, stukot kopyt na kocich łbach.

– Leon...

– No?

– Na pewno nie masz mi za złe, że tak znikam w noc po przyjeździe?

– Nie, spoko. Rozumiem, to ważne. Zresztą wiesz, umówiłem się z Bartkiem i Mateuszem.

– Niech zgadnę, znowu będziecie grali w *Heroes of Might and Magic*?

– No raczej. Musimy w końcu rozstrzygnąć, kto zostanie panem Erathii.

Autobus zbliżał się jej do przystanku. Julita wstała, zarzuciła torbę z komputerem na ramię.

– Dzięki, że mnie tak wspierasz. Jesteś kochany.

– Wiem – odpowiedział z uśmiechem. – Jak myślisz, o której wrócisz?

– Nie mam pojęcia, ale raczej na mnie nie czekaj.

Autobus zjechał do zatoki, otworzyły się drzwi. Szybki całus na pożegnanie i każde z nich ruszyło w swoją stronę.

O, dzień dobry. – Recepcjonistka uśmiechnęła się na widok Julity. – I jak, udało się pani wtedy?

– Słucham?

– No, z krawatem dla męża? Przed tym ważnym spotkaniem?
– Przed tym ważnym... Aaaa, tak, dziękuję. Mhm, zdążyłam.
– Cieszę się. – Dziewczyna się rozpromieniła. – Wpuścić panią do środka?

– Nie, nie, nie trzeba. Poczekam na... – Słowa nie chciały przejść jej przez gardło. – Poczekam na męża w lobby.

– Jak pani woli.

Julita usiadła na skórzanej kanapie, założyła nogę na nogę. Ups.

Chwilę później z windy wylali się ludzie. Garsonki, garnitury, skórzane aktówki; wszyscy rozgadani, wymieniali się biurowymi ploteczkami, cieszyli zbliżającym się weekendem. Janek wyszedł ostatni. Miał słuchawki w uszach i ręce w kieszeniach.

– Cześć – powiedziała Julita.

– Hej.

– Czego słuchasz?

– Muzyki. – Janek schował słuchawki. – Chodź, tu niedaleko na Waryńskiego jest taki bar, możemy tam usiąść.

– Mhm. Słuchaj...

– No?

– Może być, że wasza recepcjonistka myśli, że masz żonę.

– Aha? – Skrzywił się. – Niech zgadnę, ciebie?

– No, niewykluczone...

Nie skomentował. Nie licząc przewracania oczami.

Poszli do baru mlecznego. Pachniało kapustą, rozgotowaną kaszą, skwarkami, kłęby pary buchały z garnków, mokre, skręcone włosy kleiły się kucharkom do skroni. Usiedli w kącie, przy stoliku w biało-czerwonej kratce.

– Czytałeś mojego mejla?

– Czytałem.

– I co myślisz?

– Ciężka sprawa. Organizatorzy DEFCONU mają cię w dupie... Zresztą wcale mnie to nie dziwi, byłem tam w zeszłym roku, oni mają obsesję na punkcie prywatności. – Janek siorbnął kompot. – Nie masz dostępu ani do komputerów Alexa, ani tej Kandy...

– Mhm. Mów dalej.

– No, nie wiem, czy mam coś ciekawego do powiedzenia. Możesz uderzyć do ludzi, którzy byli na tej konferencji, może ktoś z nim rozmawiał, coś zapamiętał...

– Ej, ej... – Julita się zapaliła. – Mam pomysł.

– No?

– Ten trik, który mi pokazałeś z Facebookiem... Można tak robić z miejscami?

– Mhm.

– No to może by wyszukać wszystkie filmy i zdjęcia wrzucone z Las Vegas w dniach, kiedy Alex tam był...

– Aha. To dostaniesz same kasyna i striptizerki. Wierz mi, byłem tam, widziałem na własne oczy.

Julita rwała serwetkę na strzępy, a potem zgniatała je w kulki.

– No dobra – powiedziała po chwili. – A jeśli jeszcze damy warunek, żeby były otagowane hasłem DEFCON? Może Alex gdzieś się tam przewija, jest w tle... Wiesz, ktoś sobie robi selfie, a on tam stoi w kolejce po kawę...

Janek odchylił się w krześle, splótł dłonie za głową.

– Mhm – mruknął po chwili. – Można spróbować.

– No dobra, to poczekaj chwilę...

Julita wyciągnęła z torby laptopa. Nim go włączyła, upewniła się, że nie jest w polu widzenia żadnej kamery, że ekran jest tyłem do okien i obsługi. Potem połączyła się przez przenośny modem. Janek otaksował wzrokiem jej komputer: zaklejona kamera, filtr prywatyzujący na ekranie, nieużywane porty USB zasłonięte blokerem, i pokiwał głową z uznaniem.

– Robisz postępy.

– Dziękuję, *sensei*.

– Tylko jeszcze zasłoń diodkę od SSD.

– Bo?

– Bo za jej pomocą ktoś ci może wykraść dane.

– Niby jak?

– Jest taki *malware*, który po zainstalowaniu na dysku przesyła pliki za pomocą tego światełka. Wiesz, jak szpieg, który nadaje alfabetem Morse'a za pomocą latarki. – Jankowi zapaliły się oczy. Technologia to był jedyny temat, na który potrafił się rozgadać. – Wystarczy, że ktoś zarejestruje kamerą miganie diody i może odszyfrować, co się dzieje na twoim komputerze, nawet jeśli nie jesteś akurat podłączona do sieci.

– Cholera. Cwane.

– No.

– Masz taśmę klejącą?

– Nie.

– To zrobię to, jak... A czekaj. – Julita zdarła etykietę z butelki wody i nakleiła ją na diodkę. – Coś jeszcze?

- No, jest jeszcze kwestia emisji elektromagnetycznej. Jak ktoś jest uparty, to mógłby z tego odczytać wyświetlane dane.
- Cholera, racja... I co, można coś z tym zrobić?
- Hm. Są tak zwane sakiewki Faradaya, takie pokrowce na telefony i laptopy, które blokują pole elektro...
- Wiem. Ile kosztuje coś takiego?
- Jak ja kupowałem, chodziły po sto dolarów.
- Hm, to nie tak źle. Zapiszę sobie, żeby kupić. Dobra, jestem na Facebooku... Mam ID Las Vegas, ID DEFCONU... Tak będzie okej?
- Tak, tylko trzeba inaczej zapisać daty, oni używają takiego nietypowego formatu. Moment... Teraz powinno zadziałać. – Janek obrócił monitor w stronę Julity.

www.facebook.com/search/photos-in/108081209214649/between/aug/8/2018/date-3/aug/13/2018/date-3/tagged/90487656655/intersect

– Okej... – Julita wstrzymała oddech. – Klikam.

Strona wypluła wyniki. Mnóstwo wyników. Zdjęcia, statusy. Nagrania wideo, niektóre trwały kilkanaście sekund, inne kilkanaście minut. Na niektórych było widać tylko kilka twarzy, na innych rzekę ludzi. Główny deptak w nocy, pijani faceci śpiewają coś do kamery, mijają ich żółte taksówki. Sala konferencyjna, stoiska, plakaty, ktoś z kimś dyskutuje, ktoś się śmieje. Kasyno, rzędy migających maszyn, tłum, podwojony przez odbicia w lustrzanym suficie. Klub, stroboskop, lasery, pełen parkiet. Julita wypuściła powietrze z płuc. I zupełnie oklapła.

– Nie, bez sensu... – jęknęła. – Potrzebowalibyśmy rok, żeby się przez to przekopać... Znaczący można by zapostować te filmy na Twitterze i poprosić ludzi o pomoc, ale... No co się tak śmiejesz jak głupi do sera?

Janek potarł brodę, uniósł wzrok.

- Kojarzysz ten program inwigilacji w Chinach?
- Że identyfikują ludzi na nagraniach z kamer ulicznych i przyznają im punkty za dobre zachowanie?
- Aha.
- Pewnie. Wszędzie się o tym mówiło.
- Możemy zrobić to samo. Znaczący bez punktów.

– Czekaj, czekaj... Czyli co, jest jakiś program, który rozpoznaje twarze na nagraniach?

– Aha.

– Ale kto go zrobił? Jakies służby?

– Nie, nie. Amazon. Ten od książek.

– No przecież wiem, że nie od rzeki w Brazylii – prychnęła Julita. – Przejdź lepiej do rzeczy.

– Wypuścili takie narzędzie, nazywa się Rekognition, przez „ka”.

– I masz do niego dostęp?

– Ja nie, ale PCW tak. – Janek otworzył plecak, wyciągnął swój komputer. – Możemy wykorzystywać Rekognition w naszych aplikacjach, płaci się od przetworzonego obrazu. Masz gdzieś zdjęcie tego Alexa?

– Pewnie.

– To daj mi i zacznij zgrywać te filmy z Facebooka.

– Okej. Ale... Nie będziesz miał problemów, że robisz prywatę na firmowym koncie?

– A ty masz problemy, jak drukujesz bilet na biurowej drukarce?

– Pracuję z domu.

– Wiesz, o co mi chodzi – zachnął się. – Przy ilości danych, jakie przepuszczamy codziennie przez usługi Amazona, to będzie niezauważalne. No, dalej. Do roboty.

Cisza. Klikanie, klikanie, klikanie, szum wiatraczków, terkotanie twardech dysków. Minęło pół godziny. Godzina. Półtorej. Dwie. Kupili sobie kolację, zjedli bez słowa, wpatrzeni w monitory komputerów. Na dworze zrobiło się ciemno.

– Dobra, ja jestem gotowa – powiedziała Julita. – Tu masz dysk ze wszystkimi filmami i zdjęciami. Tysiąc dwieście jednaście pozycji.

– Mhm. Daj.

Janek uruchomił program; na ekranie pojawił się pasek postępu. Wypełnił się w kilka minut. Pięć wyników.

– Ładnie. Czekaj... Jeszcze szczytamy metadane, żeby ułożyć to wszystko w kolejności chronologicznej... Dobra, gotowe. Puszcząć?

– Puszcząć.

Pierwsze nagranie. Upalna noc rozświetlona neonami. Hotelowy balkon, widok na ulicę. Palmy. Samochody. Kasyna wielkie jak piramidy. Gdzieś w oddali łupie muzyka.

– Heeej, jak widzicie, już dotarłam do Las Vegas. – Z offu słysząc głos młodej dziewczyny. – I chciałam wam się pochwalić moim zajebistym apartamentem, który...

Nagranie się zatrzymuje. Pod hotelem stanęła taksówka, właśnie wysiada z niej pasażer. Jego twarz jest obramowana zielonym kwadracikiem. To Alex McCabe. Ma na sobie bawełniany dres i bluzę z kapturem. W rękę trzyma torbę na laptopa. Charakterystyczną, z czerwoną klapą.

– Ożesz, ja pierdołę – jęknęła Julita. – Wow. Wow, kurwa.

– Mhm.

– Sorry, Janek, ale ja po prostu... – urwała. – Brak mi słów...

– Za pierwszym razem też tak zareagowałem. Następny?

– Aha. Dajesz.

Drugie nagranie. Hotelowa restauracja, śniadanie. W kadrze widać dwóch facetów, jeden gruby, brodaty, z bejsbolówką założoną daszkiem do tyłu, drugi w hawajskiej koszuli, z kolczykiem w nosie.

– Hej, ziomeczki, patrzcie, na kogo wpadłem – mówi ten w czapce. – To Ben, mój kumpel z Penn State. Ben, powiedz coś do kamery, niech...

Pauza. Prawy górny róg, tuż nad głową Bena. Stolik, trzy krzesła. Na jednym z nich siedzi Alex McCabe. Na talerzu ma tylko tost i garść kolorowych pigułek. Naprzeciwko niego siedzi jakaś kobieta. Zafarbowane na fioletowo włosy spięte w kucyki, kolczyk w brwiach, koszulka z piracką flagą. Alex wygląda na stremowanego, skubie rękę, patrzy w bok. Ale rozmawiają ze sobą.

– Ta dziewczyna... Widziałaś ją wcześniej? – spytał Janek.

– Nie.

– Hm.

– Alex nie wygląda na kolesia, który szukałby nowych przyjaciół w hotelu – powiedziała Julita. – Więc albo to ona się do niego dosiadła, albo znali się wcześniej. Kurde, żeby tak usłyszeć, o czym mówią... Da się jakoś zmiksować dźwięk, żeby wyciszyć tego palanta w czapce i odsłuchać ich rozmowę?

– Czeka, puszcze jeszcze raz... – *Klik*, chwila skupienia, Janek grzebie w ustawieniach odtwarzacza. – Nie, nie da rady.

– Cholera.

– Ale... Nie ma tego złego. Puśćmy to przez LipNet.

– To ten program do czytania z ruchu ust?

– Mhm. Używałaś go?

– Nie.

– To zacznij. Możesz ściągnąć za darmo z GitHuba. Dziewięćdziesiąt trzy procent poprawnego odczytu, prawie dwa razy lepiej niż najlepszy specjalista.

Janek odpalił program, oznaczył twarz Alexa i jego rozmówczynie. Kiedy znów wcisnął play, na dole ekranu, jak za dotknięciem magicznej różdżki, pojawiły się podpisy.

POCZĄTEK NAGRANIA

KOBIETA: ...naprawdę ciekawe! Sam nad tym pracowałeś?

ALEX: Mhm. Tak.

KOBIETA: Niesamowite. I co, publikowałeś to gdzieś już?

ALEX: Nie, tutaj *NIECZYTELNE* *NIECZYTELNE* pierwszy.

KOBIETA: To kiedy jest twój talk?

ALEX: Jutro.

KOBIETA: *NIECZYTELNE* sto procent.

ALEX: W takim razie będę

KONIEC NAGRANIA

Julita gapiła się na ekran z rozdziawioną buzią.

– Niezłe, co? – Janek uśmiechnął się. – Szkoda tylko, że dużo się nie dowiedziałaś.

– Mało też nie. – Julita dziabnęła widelcem wystygnięty ziemniak. – Mamy potwierdzenie, że jest przynajmniej jedna osoba, której Alex powiedział o swoim odkryciu.

– W sumie racja... Trzeba jej będzie później poszukać.

– Koniecznie. No dobra, puszczaj następne.

Trzecie nagranie. Kadr wypełnia kartka z napisem NA CZAS DEFCONU HOTELOWE Wi-Fi ZOSTAŁO WYŁĄCZONE. Słychać głos mężczyzny, który nagrywa.

– Wygląda na to, że dorobiliśmy się złej reputacji – mówi, wyraźnie rozbawiony. Kamera się przesuwa, ukazuje hotelowe lobby. – Cóż, nie mogę powiedzieć, żeby było to całkiem niezasłu...

Nagranie się zatrzymało. W lobby stoi Alex. Spogląda na zegarek. Czeka na kogoś. Może na taksówkę.

– Nic ciekawego, przynajmniej bez kontekstu. – Julita ledwo powstrzymała ziewanie.

– Mhm. Następne czy oglądasz jeszcze raz, na wypadek gdyby...

– Nie, następne.

Czwarte nagranie. Korytarz w centrum konferencyjnym. Ludzie stoją w grupkach, mają smycze z wejściówkami. Telefon trzyma jakaś kobieta. Kamera przesuwa się powoli, od lewej do prawej, omiatając wnętrze.

– Zaraz idę do Wioski Dronów na demonstrację – mówi – ale najpierw chciałam wam wszystkim pokazać, jak...

Pauza. W głębi korytarza pojawia się Alex. Ma na ramieniu torbę z laptopem. Wchodzi do toalety.

– Znów nic ciekawego – powiedział Janek. – Gotowa na ostatnie nagranie?

– Nie, nie, czekaj. Puść ten film do końca.

– Co, chcesz zobaczyć, jak długo siedział w kiblu?

– Po prostu puść, dobra?

– ...jak dużo jest w tym roku dziewczyn – ciągnie kobieta. Do toalety wchodzi dwóch mężczyzn. Wyglądają inaczej niż wszyscy. Łyse głowy. Szerokie bary. Czarne kurtki. – To naprawdę budujące. Pierwszy raz nie czuję się tu jak kosmitka. No, to na razie tyle, kończę. Pamiętajcie, żeby polajkować i szerować mój status, wszystkie relacje z DEFCONU znajdziecie pod adresem... – Dwaj mężczyźni wychodzą z toalety. Jeden z nich trzyma w ręku torbę na komputer. Torbę Alexa.

– O cholera... – Julita zasłoniła usta. – Widzisz to?! Widzisz?!

– Widzę.

– Niesamowite... Chyba nie dał im swojego laptopa w prezencie, co?

– Chyba nie.

– Cholera, to zaczyna się składać do kupy... Okej... Puszczamy ostatnie?

– Mhm.

Piąte nagranie. Ulica. Wieczór. Ogródek barowy. Okrągłe stoliki, czerwone parasole, ogromne kieliszki wypełnione alkoholem. W kadrze widać faceta, na jego kolanach siedzi dziewczyna w kusej spódniczce. Całują się. Ręka mężczyzny ściska jej pośladek. Na palcu pobłyskuje złota obrączka.

– Kyle! Kyle! Kyle! – skandują męskie głosy, w tym głos osoby trzymającej telefon. – Iiiiha! Co dzieje się w Vegas, zostaje w...

Stop. Po drugiej stronie ulicy, na ławce, siedzi Alex. Dygocze. Łka. Z nosa cieknie mu krew, ma pękniętą wargę, napuchnięte oko. Przechodnie omijają go szerokim łukiem. Koniec nagrania.

Obsługa baru szykowała się do zamknięcia lokalu. Kasjerka przeliczyła pieniądze, chłopak w poplamionej koszulce polo zmywał podłogę. Ucichło bulgotanie, skwierczenie, szcęk naczyń. W ogóle zrobiło się cicho.

– Trzeba to przekazać angielskiej policji – powiedziała w końcu Julita.

– Mhm. Zajmę się tym.

Siedzieli chwilę w ciszy, wpatrzeni w ekran komputera.

– Wiesz... Są takie momenty... – szepnęła. – Są takie momenty, kiedy przypominam sobie, że to nie jest zabawa w podchody. Że... Cholera, że zginął człowiek.

– Mhm.

– Też tak masz?

– Nie. – Janek pokręcił głową. – Bo ja o tym nigdy nie zapominam. Zaskoczył ją tym. Nieprzyjemnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała.

– Wiesz, co chcę przez to powiedzieć.

– Janek, przysięgam, nie robię tego po to, żeby mieć głośny artykuł, tylko...

– Nie o to mi chodzi. – Machnął ręką.

– No to o co?

Oczy uciekły mu na bok, podrapał się po policzku.

– No? – Szturchnęła go w ramię. – No mów.

– To nie jest gra, Julita. Zginęło już dwoje ludzi – odparł po chwili. – Chcesz być trzecia?

– Że co?

– Zastanów się chwilę. Alex coś odkrył. Coś dużego. Na tyle dużego, żeby go okraść, żeby go zabić, żeby zabić dziewczynę, której o tym powiedział. Jesteś na dobrej drodze, żeby dowiedzieć się, co to było... I pójść w ich ślady. – Janek uniósł wzrok i spojrzał jej w oczy. – Na twoim miejscu zadałbym sobie pytanie, czy warto.

– Warto – odparła bez wahania.

– Tak? Bo?

– Bo może doprowadzi mnie to do X1.

Ktoś nad nimi stanął. Kasjerka.

– Przepraszam bardzo, będziemy zamykać...

– Tak, tak, już kończymy.

Kobieta skinęła głową, po czym zaczęła gasić światła, na wypadek, gdyby jednak nie dotarło. Janek złożył komputer, schował go do torby. Uśmiechnął się pod nosem.

– No co? – spytała lekko poirytowana Julita. – Z czego się śmiejesz?

– Miałem takiego kolegę jak ty, wiesz? W szkole policyjnej. Zawsze do przodu. Zawsze do celu. Tam, gdzie jest akcja. Wzięli go do antyterrorystów.

– Aha. – Julita otworzyła drzwi, wyszła na ulicę. Parny letni wieczór; przybierający na sile wiatr zwiastował nadejście burzy. Szukała w torebce papierosów. – I co z nim?

– Nie żyje – powiedział Janek. A potem poszedł w stronę metra, bez słowa pożegnania.

Julita długo nie mogła się ruszyć.

Orzeł w koronie – ogolona na jeża dziewczyna unosi w stronę kamery nadrukowane na karton godło. Przed nią stoi blaszana beczka, z której bucha ogień. Z tyłu widać las. – To symbol tysiąca lat opresji patriarchy. Pod tym znakiem kobiety były porywane jako łup wojenny. Sprzedawane jak zwierzęta. Bite. Gwałcone. Dlatego my, Bojówka Feministyczna, go odrzucamy. To nie było nasze godło, to nie jest nasze godło, to nie będzie nasze godło! – Dziewczyna wkłada karton do beczki. Papier momentalnie gnie się, czernieje, zaczyna kopcić. – Pol-ska to ko-bie-ta! – skanduje dziewczyna, jej głos odbija się echem od drzew. – Pol-ska to ko-bie-ta!

Koniec nagrania. Oleg odwrócił się od monitora.

– Na tobie to pewnie nie robi wrażenia, co? – spytała Pola. Siedziała na biurku. Machała nogami.

– W moderacji widziałem gorsze rzeczy.

– Wyobrażam sobie.

Nie, pomyślał Oleg, nie wyobrażasz sobie. Tego sobie nie można wyobrazić. Może widziałaś jakieś nagranie, którego nie powinnaś była oglądać. Może ciekawość wzięła górę i puściłaś film, na którym ISIS pali żywcem jordańskiego pilota uwięzionego w klatce. Może ktoś ci pokazał klip z morderstwem Adamowicza. Ale nie wiesz, jak to jest oglądać to dzień w dzień, osiem godzin dziennie. Nie wiesz, co to robi z głową.

Pola, jego nowa szefowa, zrobiła doktorat z *computer science* na Uniwersytecie Stanforda, dwa lata pracowała w dużym banku. Pisała tam algorytmy, które zajęły miejsce brokerów: w ciągu tysięcznej części sekundy sprzedawały bądź kupowały akcje warte miliony dolarów. Na amerykańskich giełdach nie było już przekrzykujących się nawzajem facetów w szelkach i koszulkach z podwiniętymi rękawami, nie dzwoniły wściekle telefony. Liczyło się tylko to, kto miał szybszy program, znaczenie miała każda mikro-, nano- i pikosekunda. Dlatego banki płaciły góry złota za dostęp do światłowodów, które oferowały minimalnie krótszy czas przepływu danych – i dlatego gwarantowały sześciocyfrowe pensje programistom prosto po studiach.

Ale to nie było dla mnie, opowiadała mu Pola na lunchu („Hej, Paulina jestem, ale wszyscy mówią na mnie Pola, fajnie cię mieć w zespole”).

Faktycznie, w legginsach w pikselowate koty i tęcze, w workowatej bawełnianej bluzie z wielkim napisem *YA BASIC, BITCH!* nie wyglądała na kogoś, kto pasowałaby do poważnej instytucji finansowej. Czy jakiegokolwiek innej.

– Ten film – podjęła Pola – dobił do miliona wyświetleń w jeden dzień. Miał blisko cztery tysiące komentarzy...

– Wow.

– Co nie? A kolejne pięć tysięcy trzeba było skasować, bo łamały nasze *terms and conditions*. W przeciwieństwie do samego nagrania.

– Czekał, przecież jest zakaz znieważania symboliki państwowej...

– Teraz jest, ale wtedy jeszcze nie było – powiedziała Pola. – Dodaliśmy tę zasadę niedługo potem. Straszna się wtedy zrobiła gównoburza, że nie bronimy godności barw i godła, jakiś poseł wydzwaniał tu do nas z groźbami, słał listy do ambasady... Trzeba było coś zrobić, żeby się uspokoił. Ale nie to jest w tej historii najciekawsze. – Pola urwała na chwilę, napiła się z bidona wypełnionego czymś, co wyglądało jak świeżo ścięta trawa wymieszana z mazurskim mułem. – Nasz algorytm uznał ten film za potencjalną manipulację.

– Czemu?

– Z kilku powodów. – Pola nie przestawała machać nogami. Oleg zaczął się zastanawiać, czy to nerwowy tik, czy jakaś forma biurowego fitnessu; może opaska monitorująca aktywność użytkownika naliczała wtedy dodatkowe kroki. – Po pierwsze, został wgrany o trzeciej nad ranem, czyli o nietypowej jak dla polskiego internetu porze. Po drugie, metadane klipu nie pokrywały się z adresem IP, z którego go wysłano, co budziło podejrzenie, że ktoś maskował swoją lokację za pomocą połączenia VPN. Po trzecie, profil, którego użyto, „Bojówka Feministyczna”, zmienił nazwę w ciągu ostatnich trzydziestu dni. Wcześniej, wyobraź sobie, nazywał się „Mokre Azjatki”.

– Serio?

– Mhm. To częsta praktyka. Faceci, bez urazy, łapią się na cycki jak muchy na lep. Jeśli chcesz szybko napompować jakąś stronę, wrzucasz najpierw przez kilka tygodni gołe baby, a potem, jak masz już kilkanaście tysięcy śliniących się fanów, sprzedajesz ją za parę stów. No i wtedy hokus-pokus, abrakadabra. – Pola machnęła wyimaginowaną różdżką. – Gołe panienki znikają, a zamiast tego mamy fanpage jakiegoś muzyka albo nie wiem, smażalni ryb czy co tam nowy właściciel sobie wymyśli.

– Ale, ten... – Oleg podrapał się po karku. – Ludzie nie odłajkowują wtedy strony?

– Niektórzy tak. Średnio piętnaście procent. Reszcie się nie chce, za dużo roboty.

– Przecież wystarczy tylko jedno kliknięcie...

– Jedno... aż. – Pola wzruszyła ramionami. – Kwestia względna. No, więc ten profil wydał nam się mocno podejrzany, wzięliśmy go pod lupę. Łączono się z nim zawsze spod jednego adresu IP, z Rudy Śląskiej... Z małym wyjątkiem. Jeden jedyny raz, pięć miesięcy wcześniej, ktoś połączył się z nim z Sankt Petersburga.

– No tak, gdzieżby indziej... Ale czekaj, gdybym chciał być adwokatem diabła, powiedziałbym, że ten ktoś mógł pojechać do Rosji na wakacje...

– ...i pojechał prosto na ulicę Sawuszkina, gdzie swoją siedzibę miała wtedy słynna Internet Research Agency?

– Aha. – Oleg uniósł dłonie w przeproszającym geście. – Nie mam więcej pytań.

– No właśnie. Wygląda na to, że jakiś biedny troll popełnił błąd i zapomniał odpalić VPN-a. Trzeba mu oddać, że szybko się zorientował, że spieprzył sprawę, bo połączenie trwało tylko trzy sekundy.

– I tyle wystarczyło...?

– Tyle wystarczyło. Potem, hokus-pokus, abrakadabra, administrator strony teleportował się z powrotem do Rudy Śląskiej.

– Niesamowite.

– Czekaj, czekaj, to jeszcze nic. – Pola zeskoczyła z biurka i kucnęła koło jego krzesła. Oleg podniósł się, żeby ustąpić jej miejsca.

– Siedź – powiedziała.

– Ale...

– Siedź, to polecenie służbowe. Gdzie to było... Nie, nie... O, mam. – Na ekranie komputera pojawiło się kolejne nagranie. – Z tego samego fałszywego adresu IP, z Rudy Śląskiej, wrzucono ten filmik.

Pokój spowity w półmroku. Twarz dziewczyny na tle gołej ściany. Ma podbite oko, z rozbitej wargi cieknie jej krew.

– Widziałeś to? – spytała Pola.

– Chyba nie...

– No, to trzymaj się. Niezła jazda.

Pola wcisnęła play. Obraz był ziarnisty, dźwięk zniekształcony kompresją.

– Dzisiaj na przystanku zaczepiło mnie dwóch czarnoskórych chłopaków – powiedziała dziewczyna z nagrania. – Spytali, która godzina... I... i... – Dziewczyna przygryzła wargi, żeby zdusić szloch. – Kiedy wyciągnęłam telefon z torby, wyrwali mi go. Powiedzieli, że

oddadzą... Że oddadzą, jeśli pójdę z nimi do samochodu... Że tylko ze mną pogadają... Ale... Jak zamknęły się drzwi, jeden wykręcił mi ręce... A drugi rozpiął spodnie... Zaczęłam się szarpać... Wtedy uderzyli mnie po raz pierwszy. I...

– Przejdziemy do finału, okej? To trwa ładnych parę minut. Momencik... – Pola przewinęła nagranie; pięciokrotnie przyspieszona, dziewczyna ruszała bezgłośnie ustami jak dusząca się ryba. Po policzku spływały jej łzy jedna za drugą, szybko, jak krople wody na szybie rozpędzonego samochodu. – Chyba tu...

– ...że nic nie może zrobić... – powiedziała zapłakana dziewczyna.

– Aj, za daleko. – Pola znów zatrzymała nagranie. – Czekaj... O, teraz.

– ...dało. Policjant powiedział, że nic nie może zrobić. Że to uchodźcy, więc przysługuje im szczególna ochrona, że takie są europejskie wymogi... Jak ich wypuszczali... Tych chłopaków... Oni się ze mnie śmiali. Ten, który mnie bił mocniej, jak stał w drzwiach, powiedział, że jeszcze się zobaczymy... I... i...

– Pomysłowi są, co? – Pola nacisnęła spację. Pauza. Twarz wykrzywiona w szloch, policzki brudne od rozmazanego tuszu. – Ten film – dodała po chwili – wrzucił profil Uchodźcy won z Polski. No i muszę im pogratulować, *viral* jak się patrzy. Dwa miliony wyświetleń puknęło w pierwszą dobę. Pokazywali to nawet w *Wiadomościach*. To, że dziewczyna nie podaje miejsca ani czasu zdarzenia, nikogo specjalnie nie interesowało, podobnie jak dementi Komendy Głównej. Dzień później na przystanku w Piasecznie trzech dresików skatowało studenta z Algierii. Złamana noga, wstrząs mózgu, krwotok. Z zeznań wynikało, że inspirowali się właśnie tym nagraniem. Bronili białej rasy.

Oleg pokręcił głową.

– Ja pierdołę... – wyszeptał.

– Nom. Akcja, reakcja.

– Czekaj, ale... – Zawiesił głos. Pytać, nie pytać? Bał się, że wyjdzie na głupka.

– No? – Pola szturchnęła go w ramię. – Co chciałeś powiedzieć?

Okej, pomyślał Oleg, no to teraz nie ma odwrotu.

– Właściwie to po co oni to robią?

– Jak to, po co?

– Wiesz, w sensie... Co Rosjanie z tego mają? Przecież nagłaśniają sprzeczne ze sobą komunikaty.

– Proste. Chodzi o to, żeby rozhuścić nastroje. Ludzie się radykalizują, okopują w swoich pozycjach. Ciężiej się wtedy dogadać, wiesz, znaleźć

kompromis.

– Aha, czyli oni nie promują jakiegoś konkretnego światopoglądu...

– ...tylko chcą, żebyśmy na siebie wrzeszczeli. Do czego, umówmy się, nie trzeba nas specjalnie długo namawiać. O, przepraszam, już panią puszczam.

Pola odsunęła się od stojącej w kącie pokoju palmy, żeby zrobić miejsce sprzątacze. Ta wybąkała podziękowania i zanurkowała między rozłożyste liście. *Psik, psik, psik*, spryskiwacz pracował raz za razem; przez moment biuro zapachniało jak tropikalny las po deszczu, ale już po chwili znów czuć było tylko gumowaty swąd wykładziny dywanowej.

– Ale... – zaczął Oleg. – Firma ma zamiar coś z tym zrobić, prawda?

– No przecież, że tak, chłopie! W dwa tysiące szesnastym, co tu dużo mówić, daliśmy dupy na całej linii, wzięli nas z zaskoczenia. Ale teraz jest czerwony alarm i wszystkie ręce na pokład. Prowadzimy bazę stron i profili, które sieją ferment albo wyglądają na boty, monitorujemy ich aktywność, rejestrujemy podejrzane adresy IP. A za jakiś tydzień, dwa... – Pola przerwała, żeby spojrzeć na wibrującego smartwatcha. – *Fuck*, znów się rozgadałam. Za dziesięć minut mam spotkanie, a nawet ci nie powiedziałam, co właściwie masz robić. To teraz będzie tak na szybko, a potem najwyżej dopytasz się o szczegóły, okej?

– Pewnie.

– No to tak: to, co napisałeś o tych błędach językowych, było superciekawe. W ogóle nie przyszło mi do głowy, żeby na to zwracać uwagę, a to rzeczywiście jest dobry trop. Piątka, chłopie.

– Dzięki. – Oleg przybił dłoń z nową szefową.

– Problem w tym, że ty jesteś jeden, a postów, które trzeba by było pod tym kątem sprawdzić, od cholery i ciut, ciut.

– Zdaję sobie sprawę. Myślałem, że mógłbym zrobić szkolenie dla content moderatorów, jak wyłapywać takie...

– Nie, nie, nie, no co ty. – Pola machnęła ręką z wyraźnym zniecierpliwieniem. – Totalna strata czasu. Trwałoby to kilka tygodni, a potem ludzie by poodchodzili i trzeba by było zaczynać od nowa. Zrobisz szkolenie, owszem. Ale dla mojego algorytmu.

– Co? – Oleg zamrugał, zdziwiony. – Ale jak?

– Nic prostszego. Przygotowałam tu dla ciebie bazę wpisów od trolli pracujących dla naszego wschodniego sąsiada. Jest tego jakieś siedemnaście tysięcy, jeśli dobrze pamiętam. Kiedy zobaczysz te charakterystyczne błędy, o których mówiłeś, oznaczysz je, i klik, następny, aż dojedziesz do końca.

– Hmm... No dobra, ale trzeba chyba jeszcze jakoś wytłumaczyć, dlaczego oznaczyłem dane słowo?

– No właśnie nie trzeba. Na tym polega piękno *machine learning*. Wystarczy, że stworzysz zbiór błędów, a algorytm sam określi, co je łączy. A potem będzie je wyłapywał równie dobrze, co ty. Ba, nawet lepiej.

– Serio?

– Serio, serio. Dobra, słuchaj... – Pola znów spojrzała na smartwatcha. Oleg mimochodem podążył za jej wzrokiem i odczytał nazwę spotkania – ...naprawdę muszę już iść, nie mogę tego przegapić. Jacek, mój wice, odpali ci program i pokaże, jak go używać, ale nie przejmuj się, to megaproste. Średnio ogarnięty szympanś by to ogarnął. No, to leczę, baj, baj.

Pola miała rację. Program był banalnie prosty: jeśli w tekście nie było błędów, Oleg naciskał guzik z uśmiechniętą buzią. Jeśli w tekście były błędy, które sugerowały, że dla piszącej go osoby pierwszym językiem był rosyjski, oznaczał je podwójnym kliknięciem i naciskał smutną buzią. Już po kilku wpisach pracował jak automat. *Klik klik, klik klik, klik klik*, myśli uciekały od monitora, mózg wypełniał powstałą próżnię. Co na kolację? Niewygodny ten fotel. Średnio ogarnięty szympanś. Chyba wpiszę to sobie do CV. Do mamy trzeba zadzwonić. Długo nie dzwoniłem. Ciekawe, o czym było to spotkanie. „Botnety czystka”. Brzmi intrygująco.

Park Skaryszewski był jak z bajki. Mostki ukryte za zielonymi kurtynami wierzbowych gałęzi, odlane z brązu i mosiądzu tancerki z ramionami wzniesionymi ku niebu, gęsty zapach czekolady z pobliskiej fabryki Wedla mieszący się z wonią świeżo skoszonej trawy. Efekt nieco psuły pety i kapsle po piwie wdeptane w błotnistą ścieżkę.

– O, chodź, usiądziemy tam nad jeziorkiem – powiedziała Julita. – Będzie trochę cienia.

Piotrek skinął głową i poszedł jej śladem. Powoli, patrząc uważnie pod obute w śnieżnobiałe trampki stopy. Sprzątanie po psach jeszcze nie wszystkim weszło w nawyk.

– *Min niet!* – zawołała Julita, która rozsiadła się już na ławce i zdejmowała właśnie sandały. – Droga wolna!

– Dzięki. No, to opowiadaj dalej.

– Gdzie ja... Aha, już pamiętam. I on wtedy mi powiedział, pomyśl, czemu w ogóle... – Urwała w pół słowa.

– Tak? Czemu w ogóle co?

– Czekaj, czekaj... – Julita przekrzywiła głowę, zmrużyła oczy. – Słyszysz to?

Po drugiej stronie jeziora był piknik, po wodzie niosła się muzyka. Mocny, regularny rytm. I kobiece zawodzenie.

– O nie... – Piotrek złapał się za głowę. – Nie mów mi, że to...

– Tak, tak. *Rota* w wykonaniu Wiołki Słaby.

– O Boże... Co ja najlepszego zrobiłem...

Jakiś czas temu, za namową Julity, Piotrek wrzucił na Meganewsy.pl stosownie szydrczy artykuł na temat aspirującej piosenkarki i jej debiutanckiego utworu. Tekst klikał się jak szalony, kilka dni nie schodził z głównej, więc temat podłapały inne tytuły. Wiołka spełniła swoje marzenie i wystąpiła w telewizji śniadaniowej. Wzięła ze sobą dwie koleżanki: stały za jej plecami, w obszytych cekinami kowbojkach i kusych szortach, i brzdękały tipsami po strunach niepodłączonych do prądu gitar elektrycznych.

– Może w przyszłym roku poślą ją z tym kawałkiem na Eurowizję? – Julita wydeła usta i zaczęła podrygiwać w rytm skocznej muzyki. – Tylko słabo, jeśli będzie akurat w Niemczech.

– Dłaczego?

– Bo nie będzie Niemiec pluł nam w twarz?

– A, racja. – Piotrek zdjął okulary przeciwsłoneczne i otarł twarz z potu. – To wszystko twoja wina, wiesz?

– Och, nie bądź taki skromny, ja ci tylko podszeptałam temat.

– Weź mnie nie denerwuj... Dokończ lepiej tę historię z Jankiem.

– A, tak, zapomniałam. I on wtedy powiedział... – Julita przybrała groźną minę: zmarszczyła czoło, ściągnęła brwi. – Po cholere to w ogóle robisz? Chcesz, żeby ktoś cię zabił?

– Aha. Zasadne pytania. I co mu powiedziałaś?

– Nic.

– Nic? Julita Wójcicka zapomniała języka w gębie? Nie wierzę.

– A jednak.

Na pikniku po drugiej stronie jeziora zaczęli rozpalać grilla. W powietrze buchnął dym, zaśmierdziało spalenizną.

– Tak zupełnie szczerze – powiedział po chwili Piotrek – to nie było głupie pytanie. Naprawdę sporo ryzykujesz.

– Wiem, wiem.

– To może warto na nie odpowiedzieć. Tak samej sobie. Po co?

Julita długo się nie odzywała. Skubała źdźbło trawy, rzucała ziarenka do wody.

– No? – Piotrek trącił ją w ramię. Delikatnie.

– Boże, nie wiem. Bo to mi daje kopa. Bo nie umiem się oprzeć ciekawości. Bo chcę dorwać X1. Bo naprawdę żal mi tej dziewczyny. Bo... A, nieważne.

– No?

– Nie, to brzmi jak wynurzenia egzaltowanej licealistki.

– Obiecuję, że nie będę się śmiał.

Julita uniosła wzrok, spojrzała mu w oczy.

– Słowo harcerza? – spytała.

– Mhm.

– Jak by to... Hm. Chcę udowodnić, że jestem dobra... Tylko nie wiem komu. Rozumiesz? Nie wiem, po co mi to. Ale czuję, że muszę. Że inaczej to wszystko... – Zawahała się. – To wszystko nie ma w ogóle sensu.

– Ale nie boisz się, że...

– Pewnie, że się boję. Boję się tak, że nie śpię po nocach. Szczerze mówiąc, to od czasów tamtej historii z Buczkim w ogóle mam straszego doła. Ale... No, nie potrafię inaczej. Bo inaczej... Inaczej jestem nikim.

– Nikim? Ty, gwiazda polskiego reportażu?

Prychnęła, otrzepała ręce. Palce miała zielone od trawy.

– Jaka gwiazda? – spytała. – Pierwszy duży temat dostałam na talerzu od Emila. A to, że to tak wystrzeliło, że te teksty były tak popularne... To nie była moja zasługa. Rozumiesz? Te wszystkie zachwyty... Ja na to nie zasłużyłam. Ja na to dopiero muszę zasłużyć. Inaczej będę zwykłą oszustką.

– To czemu tego wszystkiego nie rzucisz?

– I co wtedy? Wróć do Żukowa? Żeby ludzie kręcili głowami i wzdychali, ta Wójcicka, taka obiecująca, mogła wszystko, ale sobie nie poradziła. Nie wytrzymała. Nie ma mowy.

Piotrek nic nie mówił. Po prostu ją objął.

– Jak to jest – westchnęła, kładąc głowę na jego ramieniu – że geje tak świetnie słuchają?

– Echolokacja.

– Słucham? – Julita się wyprostowała.

– No, a myślisz, że jak poruszamy się po dark roomach? Jak wchodzę do środka, robię *pi, pi, pi*, tak cichuteńko...

– Ha, ha! Boże, Piotrek, ale ty jesteś głupi...

– ...i wtedy te dźwięki się odbijają od ścian i od razu widzę, gdzie...

Dring, dring. Dring, dring. Telefon komórkowy.

– Zaraz wrócimy do twojej fascynującej historii – powiedziała Julita, sięgając do torby. Spojrzała na ekran. Uśmiech zniknął jej z ust.

– Kto to? – spytał Piotrek.

– Janek.

– Ho, ho, o wilku mowa. Daj go na głośnomówiący.

– Nie, co ty...

– No już, odbieraj.

Julita przeciągnęła zieloną słuchawkę w bok ekranu i wcisnęła guzik z głośnikiem.

– Hej, Janek, co tam? Udało ci się znaleźć tę babkę z nagrania?

– Nie.

– Serio? Żadnego wyniku?

– Żadnego. Na tym klipie siedzi profilem, więc ciężko zrobić *reverse search*.

– Okej... To co teraz? Jesteśmy chyba w martwym punkcie?

– Trochę tak – powiedział Janek; słychać było jakiś szelest, jakby przerzucał papiery. – Ale jak będę na DEFCONIE, mogą się za nią rozejrzeć. Może w tym roku też przyjedzie.

Piotrek i Julita spojrzeli po sobie.

– Czekaj, czekaj, hola... – Dziewczyna zmarszczyła czoło. – Lecisz na DEFCON?

– W delegację. Tak jak w zeszłym roku.

– Czemu mi nic nie powiedziałaś?

– A mam obowiązek ci mówić o swoim życiu prywatnym?

Pauza. Julita zacisnęła usta.

– Kiedy wylatujesz? – spytała po chwili.

– Za trzy dni.

– To tak niedługo?

– Mhm.

– Aha. Rozumiem. No dobra, to miej oczy szeroko otwarte.

– Okej.

– Pa.

Julita odłożyła telefon do torby, zabębniła palcami po ławce. Długo uspokajała oddech.

– No dobra – zwróciła się do Piotrka z promiennym uśmiechem. – Przywieź ci coś z Las Vegas?

W mieszkaniu śmierdziało klejem: gryzący, duszący odór. Wadim potarł nos wierzchem dłoni. Dobrze znał ten zapach. Przed oczami stanęły

wspomnienia, o których wolałby zapomnieć. Kanały, rury z ciepłą wodą: tylko tam dało się przetrwać zimę. Foliowy worek, który lepi się do palców, z którego cuchnie tak, że ciekną łzy. Roześmiane, szczerbate, spocone gęby, zaszklone oczy. Wadim bierze do rąk worek, pierwszy odruch to odwrócić głowę, zatkać nos, uciec. Ale w końcu przystawia go do twarzy, bo wszyscy to robią, bo tylko tak idzie wytrzymać. Bierze jeden wdech, drugi, trzeci, aż głowę wypełnia ciepła chmura, głosy rozciągają się jak guma, pulsują kolory. Przez chwilę jest nawet przyjemnie. Ale potem ktoś wyciąga nóż, a ktoś inny łapie go za rękę. Ostrze nacina skórę, kreska obok kreski, jak szczebelki drabiny. Bez powodu, po nic, po chuj, żeby tylko coś się działo. Śmiech. Wrzask. Płacz. A potem pusto, potem nie wiadomo co, dziura, czarna noc, i znów trzyma worek, który lepi się do palców, znów zwalcza odruch wymiotny, bierze głęboki wdech, i wszystko się powtarza. Cała zima to takie chwile zlepione klejem, przetkane głodem, skute mrozem.

Wadim wstał od stołu i otworzył okno na oścież. Lepiej. Mieszkanie śmierdziało klejem, bo było nowe, a właściwie to w trakcie remontu: ze ścian sterczały druty, w kuchni nie było jeszcze blatów, a w łazience w dalszym ciągu stał obtłuczony sedes po robotnikach. Zapłacili ekstra, żeby właściciel wpuścił ich do lokalu już teraz. Bo po drugiej stronie ulicy, dosłownie okno w okno, mieszkała Julita Wójcicka.

Kiedy pod blokiem zatrzymał się samochód Leona Nowińskiego, Wadim włączył mikrofon kierunkowy i założył słuchawki. Robił to po ciemku. Nigdy nie zapalał w tym mieszkaniu światła, żeby nie zwracać na siebie uwagi; nie przeszkadzało mu to, był przyzwyczajony do ciemności. *Pstryk*, sprzęt zaczął łapać dźwięki. Obrót klucza w zamku, szcęk zawiasów, szelest ubrań. Kroki, trzask drzwiczek od szafki, szcęk naczyń. Cały czas w milczeniu. Musieli się pokłócić. Nie byłby to pierwszy raz.

– Julita... – Nowiński przerwał w końcu ciszę. – Wiem, że to bez sensu, ale... Proszę cię. Nie jedź.

– Kupiłam już bilety.

– No to je zwróć.

– Po pierwsze, chyba nie mogę. – Wójcicka otworzyła drzwi od lodówki. – A po drugie, nie chcę.

– Pamiętasz, co się stało, kiedy ostatnio...

– Oczywiście, że pamiętam. Pamiętam doskonale.

– Jaką masz gwarancję, że teraz będzie inaczej? Że się nie posypiesz?

– Żadnej. – Drzwi od lodówki zamknęły się z trzaskiem. – To co według ciebie mam zrobić? Nigdy więcej nie wsiąść do samolotu?

– Ależ proszę, wsiadaj. Tylko może za pierwszym razem weź lot do Rzeszowa, a nie do Las Vegas.

Wadim gwizdnął przez zęby. Las Vegas. Wyciągnął z kieszeni telefon i zaczął wystukiwać wiadomość. Robił to powoli, przyglądając się dokładnie każdej literze. Przez słuchawki wciąż sączyła się rozmowa; z każdym kolejnym słowem miarka na panelu mikrofonu pokazywała więcej decybeli. „Nie zgadzam się. Nie potrzebuję twojej zgody. Chyba w ogóle mnie nie potrzebujesz. Nie mów tak”.

Wysłane. Wadim, nie przerywając nasłuchu, otworzył puszkę pasztetu drobiowego i zaczął wyjadać go łyżką, jak jogurt. Kłótnia doszła do *crescendo*, potem się rozeszli. Wójcicka się spakowała i poszła pod prysznic. Nowiński krzątał się po pokoju. Wyjął coś z szafy, zaszeleściła rozrywana folia, zgrzytnął rozpinany suwak.

Ding! Wadim odczytał odpowiedź. Bardzo go ucieszyła.

Płatność będzie gotówką czy kartą? – spytała kelnerka. Była młoda, chyba prosto po liceum. Długie czarne włosy, wielkie brązowe oczy.

– Kartą. – Artur otworzył portfel.

– Może być zbliżeniowo?

– Muszę pani wyznać, że to mój ulubiony sposób.

Kelnerka zaśmiała się nerwowo. Zaczerwieniła. Przyjęła płatność, wydała rachunek, po czym dygnęła i odeszła od stołu.

– Oj, Artur, Artur... – westchnęła Aneta.

– No co?

– Rozmawialiśmy już o tym. Flirtowanie z kelnerkami nie jest *cool*.

– Mój Boże, żartować już nawet nie można?

– Można, ale nie z podtekstem.

– Ech, to twoje pokolenie jest przewrażliwione – odpowiedział, zarzucając marynarkę. Jak on to robi, pomyślała Aneta, że nawet w taki upał nie ma mokrych plam pod pachami? – Co będzie dalej? Trzeba będzie patrzeć w dół, jak się będzie mówiło do kobiety, żeby jej przypadkiem nie uprzedmiotowić?

– Wystarczy nie w cycki – odparła Aneta. – Chodź, bo się spóźnimy na spotkanie.

Wyszli na ulicę. Zanosilo się na burzę: zerwał się wiatr, na niebie kłębiły się coraz gęstsze i ciemniejsze chmury. Goście restauracji przenosili się z ogródków do wnętrza, uliczni sprzedawcy pospiesznie przykrywali stragany brezentem.

– Może weźmiemy taksówkę? – Aneta zadarła głowę do góry.

– E tam. Zdążymy, zanim się rozpada.

– Łatwo ci powiedzieć... Nie masz obcasów.

– *Cara mia*, przecież nie patrzyłem, co masz na sobie. To by było nieprofesjonalne – powiedział Artur z udawanym oburzeniem, po czym ruszył w stronę siedziby partii.

Aneta przewróciła oczami. Artur był niepoprawnym *macho*. Strasznie ją to drażniło – to demonstracyjne przytrzymywanie drzwi, wyrywanie z rąk ciężkich siatek, odsuwanie i podsuwanie krzeseł. Na początku ciągle się o to ścierali. Na pytanie, czemu się częściej nie uśmiecha, odpowiadała mu spojrzeniem, które zmroziłoby gejzer, a kwiatuszki, które jej dał z okazji Dnia Kobiet, włożyła do słoika po kawie i postawiła w biurowym kiblu. O dziwo, Arturowi nie przeszkadzały te demonstracyjne gesty ani to, że Aneta bezlitośnie wytykała mu seksizm. Choć zwykle był bardzo czuły na krytykę – tygodniami potrafił wracać do niepochlebnego komentarza na swój temat, który przeczytał gdzieś w internecie – to jej docinki przyjmował z uśmiechem, wręcz ją podpuszczał. Ich relacja w ogóle wykraczała dość mocno poza zwyczajowe stosunki szef-podwładna: Artur potrafił do niej wysłać w środku nocy SMS-a z głupim żartem, prosił o radę, co kupić synkowi na urodziny, kiedy tylko miał czas, zabierał ją na lunch. Aneta wiedziała, że po biurze chodzą plotki, jakoby mieli romans, ale nie było w tym za grosz prawdy. Po prostu się lubili. Na swój dziwny sposób i mimo różnic.

Faktycznie, zdążyli przed deszczem, ale ledwo. Kiedy Aneta wpisywała kod do domofonu, na chodnik spadały już pierwsze krople, duże, ciężkie, jakie widuje się tylko w czasie upalnego lata. Nim weszli na drugie piętro, za oknem zaczęły walić błyskawice; ich ostre światło raz po razie oblewało klatkę schodową.

– Królak już jest – powiedział Tomek na ich widok. – Posadziłem go w dużej konferencyjnej.

– O, super. Poprosisz Iwonę, żeby przyniosła nam kawę?

– Pewnie.

– Skarb jesteś, nie człowiek. Chodź, Aneta.

Królak siedział w pokoju sam, wpatrzony w okno, za którym szalała burza. Przed nim, na stole, leżał laptop.

– Dzień dobry, panie Danielu. – Artur podał mu dłoń. – Mam nadzieję, że długo pan nie czekał?

– Nie, nie, skądże, ledwie parę minut.

– No, to proszę, zaczynajmy. Co pan dla nas wyczarował tym razem?

– Ha, ha, panie pośle. – Królak zaśmiał się. – Żaden tam ze mnie magik.

– Dobra, dobra. Niech pan lepiej pokaże, co pan ma w tym kapeluszu.
– Kapeluszu, wyborne! Ha! – Ubawiony Królak aż odrzucił głowę do tyłu. – Ech... Reklamy mam dla państwa. Wszystko gotowe. Jak tylko dacie państwo zielone światło, możemy zaczynać.
– Ile tego wyszło? – spytała Aneta.
– Reklam? Proszę poczekać, już sprawdzam. – Królak otworzył laptopa, kliknął parę razy myszką, wyciągnął szyję jak żółw wychylający się ze skorupy. – Ponad siedem tysięcy wariantów.
Artur i Aneta wymienili zdziwione spojrzenia.
– Przepraszam, ile? – spytał Warecki.
– Ponad siedem tysięcy – powtórzył Królak. – Siedem tysięcy sto osiem, dokładnie rzecz ujmując.
– Aha... – Aneta poprawiła się w krześle. – Można zobaczyć jakiś przykład?
– Ależ proszę. – Królak obrócił komputer w ich stronę. – Czym chata bogata.
Aneta wzięła myszkę, kliknęła w coś na chybił trafił. Na ekranie pojawiło się zdjęcie, które wrzuciła kiedyś na Instagrama: Artur w okularach (zerówki, drań miał wciąż sokoli wzrok), zgarbiony nad biurkiem przykrytym papierami, za nim, na tablicy, przyczepiony magnesem wydruk z jakimś wykresem, już nie pamiętała, skąd go wzięła. Artur jest skupiony na lekturze, w rękę trzyma ołówek, obok leży kalkulator. Pod zdjęciem wyświetlało się kilka linijek tekstu:

Podpis: POLSKA JUTRO – EKONOMIA, GŁUPKU!

Kolor: #0000FF

Wariant guzika: Kciuk 27/B/v3

Determinanty:

PŁEĆ

Męczyzna

WIEK

25–35 lat

ORIENTACJA SEKSUALNA

Heteroseksualny

STATUS CYWILNY

Samotny

W związku nieoficjalnym

POGLĄDY

Anarchokapitalizm

Libertarianizm
Monarchizm
WYKSZTAŁCENIE
Niepełne wyższe
Wyższe
MIEJSCOWOŚĆ, WIELKOŚĆ
>500 tysięcy
ZAINTERESOWANIA
Gospodarka
Fantastyka, fantastyka naukowa
Erotyka
WYNIKI TESTU
Neurotyczność >80
Sumienność >45
Ugodowość <30
Otwartość na doświadczenia >40
Ekstrawersja <40
KWERENDY
„zaorał lewaka”
„TV Republika”
„Ayn Rand”
„seks wideo”
„Polaki biedaki cebulaki”

Artur potarł gładko ogoloną brodę, zmarszczył czoło – słowem, robił, co mógł, żeby wyglądać na pogrążonego w myślach. Co, jak Aneta zdążyła się już nauczyć, oznaczało, że nie ma pojęcia, na co patrzy.

– Może opatrzy pan to komentarzem reżyserskim? – zwróciła się do Królaka, oszczędzając szefowi konieczności zadania pytania.

– Oczywiście, służę państwu. Każda z tych reklam kierowana jest do jakiejś kategorii, a właściwie subkategorii internauty. Definiujemy ją w oparciu o wiele czynników, z których tutaj wylistowane mamy tylko te najważniejsze. Akurat w tym przypadku mamy do czynienia, hm...

– Z przyszczatym korwinistą – dokończyła za niego Aneta.

– Ha, ha! Tak, można tak to ująć, faktycznie.

Do pokoju weszła Iwona, sekretarka. Postawiła na stole dzbanek z kawą, filiżanki, ciasteczka. Aneta podziękowała jej skinieniem głowy.

– Okej, ale to hasło? „Ekonomia, głupku”... – Artur się skrzywił, skrzyżował ramiona na piersiach. – No nie wiem, niespecjalnie mi się

podoba, szczerze mówiąc. Zgrane takie. Dlaczego je wybraliście?

– A widzi pan. – Królak poprawił krawat. – Sęk w tym, że to nie myśmy je wybierali.

– A kto?

– Ludzie. Każda reklama była testowana w kilkunastu wariantach. W różnym kolorze. Z różnym tekstem, różnym zdjęciem. Jednej grupie ludzi pokazywaliśmy wersję „A”, a innym wersję „B”. Kiedy okazywało się, że w wersję B klika więcej ludzi, odrzucaliśmy wersję A i zastępowaliśmy ją C, i tak dalej, aż została ta, która przyciągała uwagę największego odsetka użytkowników.

– Brzmi jak strasznie dużo roboty.

– To jest w pełni zautomatyzowane. Wystarczy kliknąć i leci samo.

– Mhm. – Artur potarł nos. – No dobrze, ale czemu to hasło działa najlepiej?

– No właśnie w tym rzecz, że nie wiemy. Ale ta wiedza jest nam zupełnie niepotrzebna do osiągnięcia celu, jakim jest zmaksymalizowanie zaangażowania internauty. Rozumie pan?

– Tak, tak, oczywiście... Hm... Zobaczmy następne...

Klik. Inne zdjęcie. Artur na boisku, w stroju piłkarskim, w trakcie jakiejś imprezy charytatywnej. Kuca przy zapłakanej dziewczynce, siedmio-, może ośmioletniej, która trzyma się za zdarte, krwawiące kolano. Musiała się przed chwilą przewrócić. Artur położył jej dłoń na ramieniu, mówi coś. Wygląda na przejętego, próbuje ją pocieszyć.

Podpis: POLSKA JUTRO NIE ZOSTAWI CIĘ W POTRZEBIE

Kolor: #008080

Wariant guzika: Strzałka 45/C/v1

Determinanty:

PŁEĆ

Kobieta

WIEK

25–55 lat

ORIENTACJA SEKSUALNA

Heteroseksualna

STATUS CYWILNY

W małżeństwie

W związku kohabitacyjnym

W separacji

Po rozwodzie

POGLĄDY

Centrowe

Centroprawicowe

Prawicowe

WYKSZTAŁCENIE

Podstawowe

Średnie

MIEJSCOWOŚĆ, WIELKOŚĆ

5–20 tysięcy

20–100 tysięcy

ZAINTERESOWANIA

Sport

Wychowanie

Zdrowie

Wyroby domowe

WYNIKI TESTU

Neurotyczność >60

Sumienność >65

Ugodowość >30

Otwartość na doświadczenia >40

Ekstrawersja >55

KWERENDY

„niebieska linia”

„mąż bije co zrobić”

„mąż bije dzieci”

„obdukcja gdzie zrobić”

„podbite oko jak zakryć”

Za oknem gruchnęło, szarpane wiatrem gałęzie waliły w okna. Nikt nie zwracał na to uwagi, wszystkie oczy skupione były na monitorze.

– Czy... – Artur urwał na chwilę, odchrząknął. – Czy ja dobrze rozumiem, ta reklama, ona...

– Tak – potwierdziła Aneta. – Jest przygotowana pod ofiary przemocy domowej.

– *Clickrate* w tej grupie targetowej wynosi ponad siedemdziesiąt procent – powiedział z dumą Królak. – Bardzo dobry wynik.

– Mhm. – Aneta założyła nogę na nogę. – A wie pan, jaki *clickrate* będą miały artykuły, że Polska Jutro targetuje swoimi reklamami gwałcone i bite kobiety? Bo ja myślę, że jeszcze wyższy.

– A ktoś miałby się o tym dowiedzieć? I jak? Te reklamy wyświetlą się przecież tylko określonej grupie. I nikomu innemu.

– Okej, ale jeśli komisja wyborcza każe wam pokazać, jakie... – zaczął Artur.

– Panie pośle Warecki, naprawdę, proszę się nie przejmować komisją. Komisja jest w epoce kamienia łupanego. – Królak wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. – Proszę pana, to wszystko jest legalne. Rozmawiamy ze sobą, za zamkniętymi drzwiami, między przyjaciółmi. Myślę, że możemy sobie wszyscy obiecać dyskrecję. Skuteczność naszych metod jest bardzo wysoka, za to ręczę panu osobiście. A wy potrzebujecie naszej pomocy, bo bez niej wylądujecie poza Sejmem.

– Tak, rozumiem. Hm. Koszty takie, jak ustaliliśmy wcześniej, tak?

– Zgadza się.

– Rozumiem. Aneta, masz jeszcze jakieś pytania?

Aneta miała mnóstwo pytań. Ale nie do Królaka. Pokręciła przecząco głową.

– W takim razie dziękujemy panu. – Artur wstał od stołu. – Odezwiemy się na dniach.

– Oczywiście. – Królak uśmiechnął się szeroko, zdjął płaszcz z oparcia krzesła. – Będę oczekiwał sygnału z niecierpliwością.

Drzwi się otworzyły, do pokoju wpadły urwane strzępki rozmów, dzwonki telefonów, skrzypienie podłogi. Potem znów zrobiło się cicho, tylko deszcz walił o szyby.

– I? – Artur rozparł się w krześle, położył nogi na stole.

– I co? – odpowiedziała pytaniem Aneta.

– I co myślisz?

Chwilę milczała, zapatrzona na szybę ociekającą wodą.

– Szczerze? – powiedziała w końcu. – Nie podoba mi się ten koleś.

– Oj, nieładnie. – Pogroził jej palcem. – Przecież nie oceniamy ludzi po wyglądzie, sama mi...

– Artur, przestań. To nie jest śmieszne. To, co on proponuje... To nie jest śmieszne.

Poseł Warecki uniósł oczy ku sufitowi, splótł dłonie za głową.

– Nie jest, zgoda – przyznał. – Polityka w ogóle nie jest śmieszna.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ja wiem... – Wzruszył ramionami. – Widać tak się dzisiaj robi kiełbasę. Dziwne, że akurat tobie to trzeba tłumaczyć.

– Aha. Bo co, ja nie mam żadnych oporów?

– Do tej pory nie miałeś.

– Do tej pory nie myśleliśmy, jak manipulować bitymi kobietami.

– O matko, od razu manipulować. – Zniecierpliwiony Artur walnął dłonią w blat, aż zadzwoniły łyżeczki. – I co jeszcze? Przecież w tej reklamie mówimy, że nie zostawimy ich w potrzebie. No i nie zostawimy, więc w czym problem?

– Ciekawe... – Aneta przełknęła ślinę. – Ciekawe, czy „bijący mężowie” to osobna kategoria. Ciekawe, co im chce wyświecić Królak. Jak myślisz, hm?

Artur nie odpowiedział. Odwrócił wzrok.

– Słuchaj... Skąd ty go w ogóle wytrzasnąłeś, co? – spytała Aneta po chwili. – Tego Królaka?

– Znajomy mi polecił.

– Który znajomy? – Aneta oparła łokcie o stół.

– *Che cazzo è?* Jakieś przesłuchanie?

– Po prostu ciekawa jestem.

– Nie znasz – powiedział Artur. A potem wyszedł z pokoju.

Wystrzał pistoletu w ogóle nie brzmi tak jak w telewizji. Nie ma potężnego huku, który odbija się echem od ścian. Tylko krótki, suchy trzask. Jak kapiszon. Albo pękający balon.

Kiedy Julita usłyszała ten dźwięk, gdy Emil pociągnął za spust pistoletu przyciśniętego do spoconej skroni wiceministra Broniarka, zdążyła jeszcze pomyśleć, uff, chyba się zaciął. W tym samym momencie bryzgnęła krew. Na kremową ścianę. Na zagłówek. Na jej policzki. Włosy. Usta. Broniarek osunął się na oparcie, nagle, jak marionetka, której ktoś przeciął sznurki. Poczowała swąd rozgrzanego plastiku i odór wnętrzości. Zapach mięsnego. Zaczęła krzyczeć. Nie „ratunku”, nie „pomocy”, nie. To był wrzask przerażenia, gardłowy, zwierzęcy, który sam wyrwał jej się z piersi, bo inaczej by ją rozsadził. Krzyczeli wszyscy, cały samolot. Wtedy Emil przystawił lufę do własnej skroni. Drżały mu usta. Z oczu ciekły łzy.

Trzask.

– Halo. – Taksówkarz przywołał ją do tu i teraz. – Mogłaby się szanowna panienska trochę pospieszyć? Bo jak będę tu dłużej niż siedem minut, policzą mnie na trzydzieści złotych. I kto to zapłaci, hę? Pani zapłaci?

– Już, już. – Julita wyciągnęła portfel, wręczyła mu zmięty banknot. – Proszę. Reszty nie trzeba.

– A dziękuję. Udanej podróży.

Julita otworzyła drzwi samochodu, wysiadła, taksówkarz podał jej walizkę i torbę. Okęcie. Nie była tu od tamtego czasu. Nie chciała tu być. Waliło jej serce, rwał się oddech, cierpła skóra; całe jej ciało mówiło: uciekaj! Włożyła dłoń do kieszeni płaszczyka, zacisnęła ją na plastikowej buteleczce. Seronil. Wzięła podwójną dawkę. Może powinna była wziąć potrójną. Weszła do strefy odlotów. Wypolerowane na błysk posadzki, turkot ciągniętych walizek, chłód klimatyzacji. Wszędzie powidoki: tam stali policjanci, tam odbijało się światło kogutów, tamtędy ewakuowali ją po strzelaninie. Na noszach. Nie była w stanie sama iść. Zacisnęła oczy, mocno, aż pod powiekami zaczęły wykwiatać fantazyjne kształty, ciągnące się w nieskończoność fraktale. Dasz radę, przekonywała się w myślach, wytrzymasz, byle usiąść w samolocie, zapiąć się pasami, skulić w fotelu, i będzie dobrze. Niestety; wszystkich potrafiła okłamać, tylko nie siebie.

Pół roku temu dostała zaproszenie na prestiżową konferencję na temat nowych mediów. Organizatorzy płacili za hotel i loty, „Poprzek” obiecało wypłacić jej diety. Szkopuł w tym, że konferencja była w Nowym Jorku. Tydzień się zastanawiała, deliberowała, dzwoniła po znajomych, wałkowała temat z Leonem, pytała o zdanie terapeutę. W końcu postanowiła, że to zrobi, że się przełamie. Wyrobiła sobie wizę. Załatwiła bilety. Spakowała się. A potem, w dniu wylotu, nie była w stanie podnieść się z łóżka. Leżała na brzuchu, wczepiona paznokciami w materac, jakby broniła się przed tym, żeby nikt jej nie zawlókł na lotnisko siłą. Bała się, że teraz będzie tak samo, że w którymś momencie pęknie. To, że w ogóle tu była – że zdobyła się, by przekroczyć próg terminalu – zawdzięczała jednemu. Urażonej dumie.

Przeszła przez kontrolę bezpieczeństwa (O Boże, żeby tylko bramka nie zapiszczała).

Przeszła przez kontrolę paszportową (O Boże, żeby tylko nie zadawali żadnych pytań).

Sprawdziła tablicę odlotów (O Boże, żeby tylko nie było opóźnień).

Kiedy dotarła pod bramkę, już zaczynał się *boarding*. Większość pasażerów ustawiła się w kolejce, ale kilku siedziało wciąż na ławkach. W tym Janek. Czytał gazetę, mrużąc oczy. Julita ruszyła w jego stronę. Z uśmiechem na ustach.

– Cóż tam, panie, w polityce? – spytała. – Chińczyki trzymają się mocno?

Drgnął. Opuścił powoli gazetę.

Warto było, pomyślała Julita, uśmiechając się od ucha do ucha. Choćby dla tej głupiej miny.

– Co... Co ty tu robisz? – wydukał.

– To jakieś podchwytliwe pytanie? Lecę do Los Angeles. A stamtąd do Las Vegas. Na DEFCON.

Janek złożył gazetę, odłożył ją na bok. I pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Wiem. – Usiadła obok niego, położyła sobie torbę na kolanach. – Jestem wariatka.

– Mogłaś mi powiedzieć.

O tak, pomyślała, nie dowierzając własnemu szczęściu. Podłożył się. Podłożył tak, że lepiej nie mógł. Tylko żeby teraz tego nie spalić.

– A mam obowiązek ci mówić o swoim życiu prywatnym? – powiedziała Julita, tak nonszalancko jak tylko potrafiła.

– Bardzo śmieszne.

– Mnie śmieszy.

Siedzieli w ciszy. Obok ktoś drzemał, za oknem lądowały i startowały samoloty.

– Janek, słuchaj, jestem wdzięczna za twoją pomoc i w ogóle...

– Mhm.

– Ale to jest moja sprawa. Nie zostawię jej. I nie oddam.

– Aha.

– Weźmy się za nią razem. Po partnersku, jak równy z równym. Ty mi nie wycinasz więcej takich numerów, ja ci nie robię więcej niespodzianek. Dochodzimy wspólnie do tego, co się stało z Kandy i Alexem, a potem *puff!*, znikam z twojego życia. Co ty na to?

Janek się nie odzywał. Długo.

– Pod jednym warunkiem – powiedział w końcu.

– No?

– Słuchasz się mnie. Robisz, co mówię.

– Przepraszam bardzo, a co z partnerskimi warunkami? Janek, ja naprawdę się podszkoliłam, jestem...

Nie słuchał jej. Wyciągnął z kieszeni wibrujący telefon, odblokował ekran.

– Halo, halo, ziemia do Janka, ziemia do Janka, mówi się...

– Kupiłaś te sakiewki Faradaya? – zapytał, nie odrywając wzroku od komórki.

– Słucham?

– Kupiłaś czy nie?

– Tak, kupiłam. Na komórkę i na laptopa. Ale dlaczego...

– Telefon? Gdzie masz telefon?

- Tu. – Poklepała się po kieszeni płaszcza.
- Twoja torba – powiedział.
- Co moja torba?
- Daj mi ją.
- Ale po co?

Zamiast odpowiedzieć, Janek po prostu zdjął jej torbę z kolan i rozpiął suwak.

– Eee... – Julita podrapała się po głowie. – Można wiedzieć, co robisz?

– Mam na telefonie aplikację, która mierzy emisję fal elektromagnetycznych. – Janek wyciągał z torby kolejne przedmioty: paczkę orzeszków, chusteczki, sztyft do ust. Każdemu się przyglądał, potem odkładał na bok. – Kiedy odnotowuje nagły skok w moim bezpośrednim otoczeniu, wysyła alert. Tak jak teraz. Masz tu jeszcze jakiś sprzęt elektroniczny? Czytnik e-booków? Tablet?

– Hmm... Nie, chyba nie.

– To. – Janek wyciągnął jej saszetkę na lekarstwa. W środku, na samym dnie, był breloczek. Malutki, czarny, płaski. Widziała go pierwszy raz w życiu.

– O Boże... – Zasłoniła usta. – Czy to jest...?

– Mhm. Pluskwa.

Julita poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Opadła na ławkę.

– Ale... Kto...

– Może taksówkarz. – Janek odpiął breloczek. – Może ktoś w kontroli bagażowej. A może zrobił to ktoś inny, wcześniej. Wczoraj wieczorem, dajmy na to. Nieistotne.

– Ostatni pasażerowie podróżujący do Los Angeles rejssem Polskich Linii Lotniczych LOT LO23 proszeni są o pilne przejście do bramki dwadzieścia „F” – obwieścił kobiecy głos. – *Last passengers travelling to Los Angeles...*

– Jak to, kurwa, nieistotne?! – warknęła Julita. Zeszklify jej się oczy. Ze złości. Ze strachu.

– Szansa, że się dowiesz, kto to był, jest bliska zeru. Nie to jest w tej chwili ważne – odpowiedział Janek. – Julita, powiem ci, co ja bym na twoim miejscu zrobił. Na twoim miejscu wziąłbym swoje manatki, wrócił do domu i zajął się innym tematem. Nie wiem, napisz, jakie kostiumy kąpielowe będą modne w tym sezonie. To nie jest twoja liga. Szczerze mówiąc, to nie jest też moja liga.

– Czyli co, odpuszczamy? Tak po prostu?

– Przekazałem kumplom z policji to, co do tej pory ustaliliśmy. To powinno im wystarczyć, żeby pchnąć sprawę do przodu.

– Tak jak je pchnęli wtedy z Buczkiem? Z Xtraterrestria1?

– Słuchaj, ja będę miał oczy szeroko otwarte, może czegoś jeszcze się dowiem. Ale ty...

– ...ale ja mam siedzieć na dupie? To jest twój genialny plan?

Janek westchnął. Spojrzał najpierw na zegarek, potem na elektroniczną tablicę nad bramką.

– Zrobisz, jak uważasz – powiedział, wstając. – Tak jak zawsze.

Nie czekał na jej odpowiedź. Pokazał paszport i bilet obsłudze, chwilę potem zniknął w rękawie.

Julita siedziała bez ruchu, jak słup soli, ze wzrokiem skupionym na czarnej pluskwie.

A potem zrzuciła ją na ziemię, rozdeptała obcasem i ruszyła w stronę bramki.

– Życzę miłego lotu – powiedziała pracowniczka obsługi, oddając jej dokumenty; jej uśmiech był równie szeroki, co sztuczny. Julita wybąkała coś w odpowiedzi i weszła, a właściwie wbiegła do rękawa; chciała mieć to jak najszybciej za sobą, być już w środku, usiąść, zamknąć oczy i nie otworzyć ich, dopóki nie wylądują. Ale im bliżej była samolotu, tym wolniej szła, gięły jej się kolana, oddech robił się coraz płytszy, jakby dostała choroby wysokościowej. Na kilka kroków przed drzwiami musiała się zatrzymać. Wracały wspomnienia, które przez ostatnie dwa lata próbowała zagrzebać, wymazać, wykreślić. Wrzask. Huk. Dym. Krew.

– Wszystko w porządku, proszę pani? – spytał stojący przy wejściu steward.

– Tak, tak, dziękuję. – Zrobiła kilka chwiejnych kroków; wyminęli ją inni spóźnieni pasażerowie: biznesmen ze skórzaną aktówką, dziewczyna w dresach i japonkach, z nadmuchiwanym kołnierzem na karku, ostrzyżony na jeża osiłek w bluzie z kapturem.

– Pani miejsce?

– Dwanaście „C”.

– Pierwszy korytarz i na prawo – powiedział steward. – Spokojnej podróży.

Drugie życzenie, które się nie sprawdzi, pomyślała kwaśno Julita, idąc w stronę swojego miejsca. Patrzyła pod nogi, opierała się o wezglowia mijanych foteli. Waliło jej w skroniach, pot spływał po karku. Jeszcze trochę. Jeszcze kawałeczek. W końcu dotarła na miejsce, schowała bagaż, opadła na fotel. Udało się. Dam sobie radę, pomyślała, dam sobie radę.

A potem stewardesy zaczęły zamykać luki bagażowe.

Trzask. Trzask. Trzask. Trzask.

Julita poczuła, jak zaczynają jej tężeć mięśnie. Wszystkie. Nogi. Ręce. Szyja. Oddech znów się rwał, miała wrażenie, że się dusi, chciała otworzyć usta, ale nie mogła, szczęki były ściśnięte tak, że bolały zęby, nie była w stanie rozprostować dłoni zwiniętych w pięści. Zaczęła się trząść. W piersi wzbierał krzyk. Zwierzęcy krzyk przerażenia.

– Proszę pani, wszystko dobrze? – usłyszała pytanie, ale nie mogła odpowiedzieć, nie mogła nawet się odwrócić. – Proszę pani, halo, proszę pani...

– Niech ktoś zawoła stewardesę...

– Atak ma chyba...

– Weź głęboki oddech. – Szept Janka. Tuż obok, niespodziewanie. – Powoli.

Spierdalaj, chciała mu powiedzieć, spierdalaj z tymi dobrymi radami, po prostu mnie stąd zabierz, teraz, w tej chwili, już! Ale nie mogła. Więc spróbowała zrobić to, co mówił.

– Mhm. Aż wypełnisz całe płuca. Okej... A teraz przytrzymaj... Raz, dwa, trzy... I wypuść przez nos. Pomału, pomału. I znów. Wdech... Raz, dwa, trzy... Wydech.

Jej ciało zaczęło się rozluźniać. Powoli. Bardzo powoli.

– Rób tak dalej – powiedział Janek. Była teraz w stanie spojrzeć w bok. Kucał przy jej fotelu. Widziała też inne twarze. Gapili się na nią. – Zamknij oczy. Mhm. Nic ci się nie dzieje. To atak paniki, który za chwilę przejdzie. Wszystko w porządku. Wdech. Raz, dwa, trzy... Wydech...

Rozprostowała palce. Otworzyła usta, rozrywając zlepione wargi.

– Przepraszam, czy ma pani jakiś problem? – Przy jej fotelu stanęła stewardesa. W jej głosie pobrzmiwał niepokój.

– Nie, nie... – zdołała z siebie wydusić.

– Na pewno?

– Koleżanka trochę boi się latać – powiedział Janek z uśmiechem. Dziwnie z nim wyglądał. Nieswojo. – Ale już jest lepiej. Przepraszam, zamieniłby się pan ze mną miejscami? Mam siedemnaście „J”, przy oknie. Dziękuję bardzo...

Stewardesa przyglądała się jej przez chwilę, ale w końcu uznała, że sytuacja jest pod kontrolą, i gdzieś zniknęła.

– Masz, napij się. – Janek podał jej kubek z wodą. – Bardzo małe łyeczki. Powoli.

Nie miała ochoty pić, ale zrobiła, co mówił. Pomogło. Ochłoneła.

– Boże, Janek... – Julita otarła usta drżącą dłonią. – Gdyby nie ty, toby mnie wysadzili... Nie wiem, jak ci dziękować...

– Może nie powinnaś – powiedział, zapinając pasy.

Tok.

Tok tok.

Tok tok tok tok tok tok tok tok.

Pękające ziarna kukurydzy uderzały raz za razem o blaszaną przykrywkę. Aneta zmniejszyła ogień, potrząsnęła garnkiem, żeby popcorn się nie przypalił. Potem jeszcze odrobina soli oraz masła, i *voilà*, gotowe.

– Co będziesz pił? – zawołała, otwierając lodówkę.

– Masz piwo? – odpowiedział męski głos z salonu.

– Mam. Jasne czy ciemne?

– Wszystko mi jedno.

„Gdyby ludziom było wszystko jedno, toby dupami się całowali”. Jej ojciec tak mówił. Zawsze, kiedy padały te trzy słowa, nieważne, gdzie byli: w domu, na kolacji u ciotki czy w kościele, nieważne, czy ktoś mówił do niego, czy zasłyszał strzępek cudzej rozmowy. Po prostu musiał. Zadowolony z siebie, z błyskiem w oku, obnażone w uśmiechu zęby połyskują za wąsem, he, he, ale im powiedziałem! Matka go prosiła, Stefan, nie przy ludziach, nie wypada; szeptane drżącym głosem wyrzuty, gaszone jednym spojrzeniem.

Aneta się wzdrygnęła. Sięgnęła po pierwszą z brzegu puszkę, wzięła miskę z popcornem i poszła do salonu; czuła pod bosymi stopami chłodną posadzkę. Grzesiek siedział rozparty na kanapie, z błogim uśmiechem na twarzy. Jeszcze się nie ubrał. Szkoda. Ubrany prezentował się lepiej, widać było po nim klasę i pieniądze, okulary w grubych fioletowych oprawkach dodawały intelektu. Nago wyglądał jak zwykły facet po czterdziestce, który się zaniedbał: pękaty blady brzuch, obwisła pierś pokryta pieprzykami, z których wyrastają długie, skręcone włosy.

Poznali się dwa lata temu; zaczepił ją w restauracji, ale z klasą, żadne tam „czy bolało, jak spadłaś z nieba” albo „co taka piękna dziewczyna robi sama”. Wiedział, jak jej zaimponować: teatr, opera, wernisaże, weekendy w podmiejskich spa, gdzie częściej słyszało się angielski niż polski. Wszędzie rozpoznawany, witany wylewnie; koneser drogich win, znawca sztuki, poliglota. Potem okazało się rzecz jasna, że to w dużym stopniu poza, że chociaż *foie gras* wymawiał z nienagannym akcentem, to w Paryżu nie był już w stanie dogadać się z kelnerem, że nie rozróżnia Maneta od Moneta, że w domowym zaciszu, gdzie nikt nie patrzy, woli

sobie walnąć warkę strong niż delektować się truflowym aromatem tenuta nuova.

Miał żonę, oczywiście, że miał żonę. Dzieci zresztą też, trójkę; najstarsze miało dziesięć lat. Z początku jej opowiadał, jaki jest nieszczęśliwy w tym związku, że musi się rozwieść, zrobi to, na pewno, tylko jeszcze nie teraz, jeszcze rok, no, góra dwa, i rzuci wszystko w cholere, zabierze ją w podróż dookoła świata. Za którymś razem poprosiła go, żeby przestał pieprzyć. Nie wierzyła w te zapewnienia, nie potrzebowała ich. Chciała kogoś na tu, na teraz. Nic więcej.

– Obejrzymy coś? – spytała, stawiając miskę na stoliku.

– Czemu nie.

– Słyszałam, że *Russian Doll* jest dobre.

– Może być cokolwiek.

Włączyła laptopa. Położył jej dłoń na plecach, przejechał wzdłuż kręgosłupa. Lubiła to. Że po seksie też był czuły.

– Sprawdzę jeszcze tylko szybko Facebooka, okej?

– Praca?

– Mhm. Wiesz, teraz jest gorący okres, dopiero co odpaliliśmy taką kampanię interne...

Urwała. W jej feedzie, między czymś zdjęciem z wakacji a linkiem do artykułu, wyświetlała się reklama – reklama Polski Jutro. Na zdjęciu Artur Warecki przybija sobie piątkę z dziewczyną z ich młodzieżówki. Jest roześmiana, patrzy w niego jak w obrazek. Pod spodem był napis. Napis, od którego zjeżył jej się włos na karku.

ARTUR JEST DLA MNIE JAK OJCIEC

Polska Jutro – dowiedz się, jak dołączyć do naszej rodziny!

Nieosiągalne. To była jej pierwsza myśl. A potem przyszła druga: przecież wypełniła test, kiedy Królak podesłał go do wglądu. Była wtedy zalogowana na własne konto. A ankieta zassała nie tylko jego wyniki – jej profil psychologiczny – ale też jej wiek, płeć, miejsce zamieszkania, lajki. Ale nawet, nawet wtedy... Jak? Jakim cudem? Naprawdę tyle można było o niej wyczytać? Czy Królak miał też dostęp do wiadomości? Wiadomości, w których narzekała na starego każdemu, kto chciał słuchać?

– Aneta... – Grzesiek usiadł prosto. – W porządku?

– Musisz iść – powiedziała, zamykając laptopa.

– Nie rozumiem... Coś się stało?

– Tak. – Skinęła głową. – Coś się stało.

Polska Jutro – zawsze po stronie ojców. Tę reklamę zobaczył Karol Borkowski z Inowrocławia (odebrane prawa rodzicielskie po trudnym rozwodzie), kiedy czekał na autobus na przystanku pod sądem.

Polska Jutro: Przedmurze Europy. Ludmiła Więcek z Wyszkowa, która nie przepuściła mszy nawet wtedy, kiedy miała anginę i trzydzieści dziewięć stopni, zmrużyła oczy schowane za grubymi szklami, po czym, po chwili wahania, kliknęła w link.

Polska Jutro to Polska godnych płac, przeczytał Radosław Gralczyk tuż po tym, jak po raz kolejny wysłał swoje źle sformatowane, brzydkie CV z nieaktualnym zdjęciem legitymacyjnym.

Polska Jutro to Polska tolerancyjna, głosił banner okraszony tęczową flagą, wyświetlony na komórce Krzyśka Rybińskiego, licealisty z Ostrołęki, który nikomu jeszcze nie powiedział, że jest gejem.

Strona Polski Jutro padła tuż po dwudziestej pierwszej. Serwery nie poradziły sobie ze wzmożonym ruchem.

Julita od dawna marzyła, żeby zobaczyć wieżę Eiffla. Pocztówka z jej zdjęciem, którą dostała od ciotki w dziewięćdziesiątym dziewiątym, to był pierwszy powiew zagranicy. Pamiętała ją dokładnie, nawet dziś: pomarańczowy znaczek z Marianną za dwa franki, wytłoczony ozdobnymi kapitalikami napis *CARTE POSTALE*, lekko rozmazana okrągła pieczętka, zagięty róg. Powiesiła sobie tę kartkę nad łóżkiem, na korkowej tablicy, obok plakatów Radiohead i Metalliki, które wyrwała z „Bravo” starszej siostry (powoli, ostrożnie, tak, żeby nie było dziur po zszywkach). Wieża Eiffla kojarzyła jej się z czarno-białym filmem, z lśnięciem po deszczu brukiem, z chrypiącą piosenkarką, papierosowym dymem i gorzkim smakiem czarnej kawy. Obiecywała sobie, że przed trzydziestką pojedzie do Paryża i zobaczy go na własne oczy, ale co roku coś stawało na przeszkodzie – najpierw brak pieniędzy, potem niechęć do dalekich podróży.

Teraz jej marzenia się ziściły... W pewnym sensie. Wieża Eiffla pięła się ku górze tuż obok niej, za oknem taksówki. Nieopodal Łuku Triumfalnego, Koloseum i Pałacu Cezara. Był jeszcze hotel, który wyglądał jak typowa paryska kamienica – fasada w kolorze kremowego piaskowca, zdobione gzymsy, mansardowe okna, szaroniebieski dach – tyle że gargantuicznych rozmiarów, powiększona kilkadziesiąt razy, niezdrowo nabrzmiała. A wszystko to na tle bladoniebieskiego nieba, między szpalerami drzew palmowych, oklejone reklamami; wielkie litery drgały w stojącym pustynnym powietrzu.

– Boże, co za kicz – jęknęła.

– A czego się spodziewałaś? – odparł Janek.

– Nie wiem... Nie tego. O matko, widziałaś tę kulę? To była reklama Swarovskiego.

– Poczekaj, aż zobaczysz ją w nocy.

– Świeci się?

– Jak psu jaja. Dobra, zbierz swoje rzeczy. Jesteśmy na miejscu.

Wysiedli z klimatyzowanej taksówki na rozgrzany chodnik; od nagłego skoku temperatury aż kręciło się w głowie. Byli pod hotelem Planet Hollywood; jego długa, pofalowana fasada byłaby nawet elegancka, gdyby ktoś, kierując się typowym dla tego miasta *horror vacui*, nie okleił

jej setkami metalowych dysków, które raziły teraz przechodniów odbitym światłem słońca. Na budynku wisiało kilka plakatów, każdy rozmiaru kortu tenisowego: reklamy barów, restauracji, zbliżających się występów gasnących gwiazd. Ten, który wisiał nad wejściem, głosił: DEFCON 28.

– Chodź, idziemy – powiedział Janek.

– Czekaj... A śniadanie?

– Hm? Nie jadłaś w hotelu?

– Zaspałam – odpowiedziała Julita. Przez cały lot nie mogła zmrużyć oczu; nie pomógł ani seronil (dwie tabletki), ani wino (pięć buteleczek), ani liczenie owiec (tysiąc siedemset czterdzieści dwie). Kiedy dotarła w końcu do hotelu, była wycieńczona, rozjeżdżał jej się obraz, gięły nogi. Padła na łóżko, w ubraniu, w butach, tylko na chwilę, żeby zebrać siły. Obudził ją telefon z recepcji. Dzwonek rozsadzał głowę, przyprawiał o mdłości; dawno nie miała takiego kaca.

– Boże, jak z dzieckiem... – wymamrotał Janek pod nosem. – Tu za rogiem jest meksykańska knajpa. Może być?

– Może.

– Świetnie.

Janek ruszył przodem, przeciskając się przez tłum ludzi idących w przeciwną stronę. Za chwilę zaczynał się pierwszy dzień konferencji, do Planet Hollywood ściągali więc już uczestnicy; parada czarnych T-shirtów, kwiecistych koszul, japonki klaszczące o boscie stopy, szelest ortalionu. Większość stanowili młodzi mężczyźni, ale słychać było też kobiece głosy, tu i tam można było też dostrzec siwe włosy. Dopisywały dobre humory, było dużo śmiechu, klepania się po plecach, głośnych rozmów. Jakie to wszystko banalne, pomyślała Julita, przyglądając się mijanym ludziom, jakie zwykłe. Nie tak wyobrażała sobie światowy zlot hakerów.

Za rogiem rzeczywiście była knajpa z dużym ogródkiem piwnym: kolorowe blaszane krzesła w cieniu wielkich, oplecionych sznurami żarówek parasoli, muzyka *mariachi* sącząca się z głośników. Julita już chciała siadać, ale Janek zatrzymał się na chwilę przed witryną sklepową. Wyglądał, jakby czegoś wypatrywał. Może dobrej okazji.

– Hej, idziemy? – spytała.

– Mhm. Już.

Zajęli stolik z dala od ulicy; Julita zamówiła burrito śniadaniowe i kawę, Janek tradycyjnie colę. Kelnerka przyniosła też ogromne szklanki wypełnione wodą i drobno pokruszonym lodem.

– Który raz tu jesteś? – spytała Julita.

- W Las Vegas?
- Mhm.
- Drugi. Poprzedni raz w zeszłym roku.

Na skrzyżowaniu przed restauracją zapaliło się czerwone światło, zatrzymał się ruch. Ogromne SUV-y i pikapy o kołach jak z traktora. Jeden z nich ciągnął przyczepę z billboardem, na którym wdzięczyły się trzy kuso ubrane blondynki. **DZIEWCZYNY PROSTO DO TWOJEGO POKOJU, ZAMÓW JUŻ TERAZ.**

– Nie dziwię się, że chciałeś wrócić – powiedziała Julita, pociągając łyk lodowatej wody. – Piękne widoki.

- Aha.
- Słuchaj, Janek... Porozmawiamy o tej pluskwie? Męczy mnie to.
- Ja myślę.
- Kto mi ją założył? Jakież teorie?

– Ciężko powiedzieć. – Janek napił się coli. – W sumie... Trochę się dziwię, że ktoś ci podrzucił taki badziew. Ten sprzęt kosztuje śmieszne pieniądze, na Allegro chodzi za kilka dych...

– Serio? – Kelnerka postawiła przed nią jedzenie; średnie burrito ledwie mieściło się na talerzu. – O matko, dziękuję. Co? Nie, nie, bez sosu.

– Serio. Małe, proste w obsłudze, z wbudowanym mikrofonem... Świetnie się sprawdza do śledzenia niewiernych małżonków.

– Coś sugerujesz?

– Co? Nie. Chodzi mi o to, że na taką pluskwę stać każdego, więc sama w sobie nie jest wartościową poszlaką. Ale w świetle tego, co się stało z Kandy i Alexem... Potraktowałbym to bardzo poważnie.

– Czyli co... – Julita wzięła kęs. Jedzenie było pyszne. Ale trudno było je przełknąć. – Myślisz, że to ci sami ludzie, którzy ich... No wiesz?

– Tak bym założył. Musieli się jakoś zorientować, że zainteresowałaś się sprawą. Chcą sprawdzić, co zamierzasz, co już zdążyłaś ustalić.

– Cholera.

– Ano.

– No dobra, ale skoro znalazłeś tę pluskwę, to będzie im trudniej, prawda? Znaczący, wiedzą pewnie, że jestem w Las Vegas, ale nie będą w stanie śledzić każdego mojego kroku. Co nie?

Janek nie odpowiedział. Otarł usta serwetką, zmiął ją w kulkę i wrzucił do pustego kubka.

– Powiesz coś w końcu? – spytała.

– Wiesz, na ile wystarcza bateria takiego miniaturowego trackera przy ciągłym użyciu? – odparł. – Trzydzieści godzin.

– Mało...

– Ano, mało. Widać ta pluskwa nie była im potrzebna po to, żeby cię śledzić przez cały czas. Tylko żeby cię namierzyć, gdyby na chwilę stracili cię z oczu.

Julita zamarła nad talerzem.

– Czyli...

– Czyli ktoś tu za tobą musiał przyjechać. – Janek dokończył myśl. – Pewnie tym samym samolotem.

Julita omiotła wzrokiem restauracyjny ogródek. Może ten szpakowaty mężczyzna z gazetą. Może ta kobieta w stroju do biegania, robiąca zdjęcie swojego jedzenia. Może obściskująca się w rogu lokalu parka. A może samochód z przyciemnionymi szybami zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Mimo spiekoty przeszedł ją dreszcz.

– Dlatego zatrzymałeś się przed tamtym sklepem – powiedziała po chwili, olśniona. – Sprawdzałeś w odbiciu, czy ktoś za nami nie idzie.

– Mhm. Stara sztuczka, ale czasem działa.

– I co? Widziałeś coś podejrzanego?

– Nie.

Julita bezmyślnie rozgrzebywała stygnące jedzenie.

– Jeszcze nie jest za późno, żeby się wycofać. – Janek przerwał milczenie. – Możesz zaraz pojechać na lotnisko, złapać powrotny lot.

– Nie.

– Ale...

– Powiedziałam nie.

Janek wyglądał, jakby chciał coś dodać, ale zmełł słowa w ustach. Odwrócił się w stronę ulicy, skrzyżował ramiona na piersiach.

– W takim razie kończ jeść i idziemy – powiedział.

– Już nie jestem głodna – odparła Julita, wstając od stołu.

Nie jestem rasistą, ale spójrzmy na sprawę uczciwie – biali wymyślili żarówkę, radio, telefon, bombę atomową i internet. A czarnuchy – jak budować domy z krowiego łajna.

Klik. Brak błędów językowych. Oleg ziewnął przeciągle, przetarł piekące oczy. Następny.

Ta książka o ślimaku pokazuje, że pederaści zaczynają urabiać dzieci od najmłodszego. Właśnie w ten sposób, za żydowskie pieniondze, niszczą

wartości rodzinne.

Klik. Błędy językowe obecne, ale nie wskazują na osobę rosyjskojęzyczną. Oleg spojrział na zegar. Do spotkania jeszcze dziesięć minut; zdąży zrobić jeszcze kilka wpisów. Następny.

Każdy ma prawo decydować, kogo wpuszcza do swojego domu. To czemu Unia zabiera je Polsce? Czemu każdy może przejechać przez naszą granicę, kiedy tylko zechce?

Klik. Błąd typowy dla osoby rosyjskojęzycznej; Oleg zaznaczył słowo „doma”, a potem pociągnął łyk wygazowanego red bulla.

Siedział nad tymi wpisami już drugi tydzień, udało mu się przerobić pierwsze trzy tysiące, w kolejce czekało następnych czternaście. Praca była nudna, przeraźliwie nudna, ale po przygodach w zespole moderacji aż tak mu to nie przeszkadzało. Oczywiście, nie chciałby tego robić całe życie – o Boże, nie, ile można nurzać się w pełnej ortografów propagandzie – ale Pola od razu przecież zaznaczyła, że to zadanie miało określone ramy, że chodziło tylko o wytrenowanie jej algorytmu, że to na razie program pilotowy. Pytanie, co dalej. Podobał mu się dział bezpieczeństwa, zajmowali się tu ciekawymi kwestiami: Bartek, który siedział biurko obok, pomagał opracowywać mechanizm, który automatycznie wyłapywał pedofili szukających na ich portalu ofiar; Yusuf, który przyjechał do Polski z Turcji, testował podatność portalu na wyłudzenie haseł użytkowników. Oleg miał nadzieję, że kiedy upora się ze swoją działką, zostanie przydzielony do podobnego projektu. Problem w tym, że nie potrafił programować: „C + +” kojarzyło mu się z płatnym kanałem telewizyjnym, a „Java” z kawą. W świecie nowych technologii, jak już się zdążył przekonać, ustawiało go to z miejsca w roli proletariusza analfabety albo wręcz części wymiennej. Dlatego chłopak postanowił, że się wykaże, że zaimponuje Poli swoją pracowitością i sumiennością. Powiedziała, że przeklikanie bazy wpisów zajmie kwartał? To skończy tę robotę w miesiąc. Uprzedziła, że za nadgodziny mu nie zapłacą? Trudno, i tak będzie przychodził w weekendy i święta. Niech zobaczy, że mu zależy, że szybko się uczy, a kto wie... Może zagrzeje tu miejsca na dłużej. Następny.

Pamiętajcie! Jak tylko POpaprańcy wrócą do władzy, otworzą granice dla robactwa ze wschodu. Zamiast kościołów będą meczety i cerkwie. Będziemy walczyć jak Żołnierze Wyklęci! Polska biała katolicka!

Oleg uśmiechnął się kwaśno. Dobrze pamiętał ten wpis, powielony setki razy i wrzucony przez setki profili w tym samym momencie. Pola mu powiedziała, że to musiał być wypadek przy pracy, ktoś wydał złe polecenie i botnet, zamiast udawać normalną internetową kłótnię, przemówił nagle perfekcyjnie zsynchronizowanym chórem; przez krótką chwilę widać było sznurki, za które szarpie lalkarz. Oleg spytał ją wtedy, ile jest takich fałszywych kont, tak procentowo? Zależy od platformy, brzmiała odpowiedź. U nas mniej niż jedna dziesiąta. Na innych – nawet połowa. A kiedy przekroczy się magiczną granicę pięćdziesięciu procent, dzieją się dziwne rzeczy. Algorytmy bezpieczeństwa, które mają odsiewać podejrzany ruch, zaczynają uznawać fałszywe konta za normę, a prawdziwych użytkowników za oszustów, których trzeba usunąć z sieci. Pasożyt pochłania żywiciela.

– Hej, Oleg!

Oderwał wzrok od monitora. To był Yusuf. Wstał właśnie od komputera, zablokował klawiaturę.

– Tak?

– Za dwie minuty zaczyna się konferencja. Idziesz?

– Tak, tak, już, tylko coś zrobię... – *Klik*. Brak błędów językowych typowych dla osoby rosyjskojęzycznej. – Już.

Zeszli schodami, bo do windy była kolejka; na transmisję z konferencji dostała zaproszenie cała firma. W biurze była tylko jedna sala, w której mogli się wszyscy zmieścić, socjal na szesnastym piętrze. Kiedy Yusuf i Oleg weszli do środka, miejsca przy stołach były już zajęte, więc usiedli pod ścianą. Tymek, pocieszny HR-owiec, walczył z ustawieniami ogromnego telewizora, który potrafił zrobić tysiąc rzeczy naraz, ale za cholerę nie chciał teraz (właśnie teraz!) złapać właściwego kanału, chociaż jeszcze parę godzin temu wszystko działało jak trzeba. Mimo gnającego w wykładniczym tempie postępu, mimo że z każdym rokiem wszędzie wokół było coraz więcej megaherców, megabajtów i innych megabitów, przedmioty martwe, zwłaszcza te z przedrostkiem „smart”, wciąż psuły się w najgorszym możliwym momencie: internet padał akurat wtedy, kiedy trzeba było coś załatwić, komputer ściągał aktualizację właśnie wówczas, kiedy człowiek się spieszył. Może to była immanentna

cecha technologii, ta złośliwość, jakieś nieodkryte jeszcze prawo fizyczne, tępy opór materii, którą człowiek coraz śmieiej nagiął do swojej woli.

– No, udało się – obwieścił Tymek ze słyszalną ulgą; koszulę miał mokrą od potu. – Nie robię wstępu, bo już się zaczęło... Miłego oglądania.

Konferencja prasowa odbywała się w jakimś budynku rządowym; kolumny, marmury, kryształowe kandelabry. Przy mikrofonach stało kilka osób, jakiś urzędnik średniej rangi, wojskowy w galowym mundurze, kobieta w garsonce inspirowanej późną Margaret Thatcher. Była też tam Pola, chociaż trudno było ją poznać w formalnej czerni i bieli, bez kilkunastu kolczyków w uszach i nie tylko, bez ostrego makijażu, w koszuli zapiętej na ostatni guzik. Teraz to ona zaczęła mówić; błysnęły flesze.

– Dzień dobry, witam państwa. – Ukłoniła się, położyła notatki na pulpicie. To nie był jej styl, przemawianie z kartki, ale tu każde słowo było ważne, miało znaczenie, mogło się przełożyć na zyski bądź straty liczone w dziesiątkach milionów dolarów. – Jesteśmy świadomi, że nasza firma odgrywa coraz ważniejszą rolę w życiu swoich użytkowników. Nie służy już tylko do rozmów na tematy prywatne, stała się platformą, na której dyskutowane są kwestie fundamentalne, współczesną agorą. Czujemy z tego powodu wielką dumę, ale jesteśmy też świadomi, że nakłada to na nas ogromną odpowiedzialność. Musimy zapewnić użytkownikom przestrzeń, w której ich głosy są słyszalne, ale nikt nikogo nie zakrzykuje. W której panuje wolność słowa, ale nie ma miejsca na mowę nienawiści. Nasz zespół moderatorów pracuje w dzień i w nocy, aby...

Oleg pomyślał o Liinie; omiótł wzrokiem salę, szukając jej twarzy, ale nigdzie nie było jej widać. Już dawno nie rozmawiali. Trochę dlatego, że pochłonęła go praca w nowym dziale, a trochę dlatego, że omijał pokoje swojego starego zespołu szerokim łukiem. Naprawdę nie miał ochoty wpaść na Maćka, nie po numerze, jaki ten mu wyciął.

– ...straży demokracji – ciągnęła Pola. – Właśnie dlatego, w perspektywie zbliżających się wyborów parlamentarnych, postanowiliśmy podjąć drastyczne kroki. Dziś rano usunęliśmy blisko siedemdziesiąt tysięcy fałszywych kont, których używano do szerzenia nieprawdziwych informacji i manipulowania naszymi użytkownikami. Wzięliśmy na celownik przede wszystkim te profile, które ingerowały w dyskusje polityczne, promowały ksenofobię, szczuły na mniejszości seksualne. Nie ulega wątpliwości, że ta szeroko zakrojona kampania

dezinformacji była prowadzona w celu wpłynięcia na wynik jesiennych wyborów...

Oleg podniósł się i stanął na palcach, żeby spojrzeć nad głowami zebranych ludzi. Może coś się dzieje, może cały zespół moderacji został przy komputerach, bo gaszą jakiś pożar? Ale nie, przy wejściu stał Davydas, Balazs siedział po turecku przed samym telewizorem. Może Liina się rozchorowała? Albo wzięła wolne, bo wczoraj miała nocną zmianę?

– Co się tak wierzysz? – szepnął Yusuf.

– Rozglądam się za Liiną. Kojarzysz? Niska, kolczyk w nosie i...

– Kojarzę, pewnie. Chodzimy czasem razem na... – zawahał się – no, na papierosa.

– Aha. Widziałeś ją dzisiaj?

– Nie. – Yusuf pokręcił głową. – W sumie to nie widziałem jej od paru dni.

– Cholera... Ale...

– Ej, wy tam! Tśśś! – syknął Tymek. – Słucha się!

Oleg urwał w pół zdania i usiadł z powrotem na podłodze. Trudno było mu się skupić na konferencji. Miał złe przeczucie.

– Skasowaliśmy również tysiące kont, których używano w celach czysto marketingowych – powiedziała Pola. – Do promowania wybranych treści z pogwałceniem zasad użytkowania portalu oraz sztucznego zawyżania grona fanów. Z pomocy tych fałszywych profili, prowadzonych przez nieetyczne firmy pijarowe, korzystało wiele osób publicznych: muzyków, aktorów, kucharzy, oraz tak zwanych influencerów. Pewna młoda dziennikarka, której nie będę wymieniać z nazwiska, miała nawet kilkaset doskonale zakamuflowanych sztucznych kont na wyłączny użytek, które zgłosił nam czujny użytkownik. To się musi skończyć. Każdy, kto korzysta z naszej platformy...

Oleg wyciągnął telefon, napisał do Liiny SMS-a. Odczekał minutę, dwie. Żadnej odpowiedzi. Wysłał kolejną wiadomość, tym razem przez WhatsAppa. Nic. Schował się za Yusufem, wybrał jej numer. *Ti-ri-riii*, martwy sygnał. Cholera jasna. Teraz naprawdę się zaniepokoił.

– ...państwu za uwagę. – Pola skończyła przemowę, odsunęła się od mikrofonów.

– Okej, dziękuję wszystkim – powiedział Tymek. – Kto chce, może zostać jeszcze na pytania od dziennikarzy, ale jeśli macie coś pilnego do zrobienia, to nie zatrzymuję...

Nim Tymek skończył, Oleg był już w drzwiach. Przepchnął się przez tłum, zbiegł po schodach na piętnaste piętro, po kilka stopni naraz. W pokoju *content moderation* ziało pustką, większość osób wracała dopiero ze spotkania, ale w rogu sali siedział Andrej, weteran, w zespole od trzech lat. Oleg nie lubił z nim rozmawiać; facet tyle razy oglądał filmy, w których dowodzono, że zamachy 9/11 były przeprowadzone na zlecenie CIA, ziemia jest płaska, a samoloty kontrolowane przez globalną syjonistyczną konspirację rozpylają gazy wywołujące homoseksualizm, że zaczął w nie wierzyć.

– Hej – powiedział Oleg. – Jest Liina?

– Nie ma.

– Aha. Czemu?

– Nie wiem. – Andrej wzruszył ramionami. Nie odrywał wzroku od ekranu, palec wciąż był na myszce; *klik, klik, klik*; podzielność uwagi, nie będzie sobie przecież zaniżał średniej dla jakiejś rozmowy. – Wyszła.

– Kiedy wyszła?

– Czekał... Chyba przedwczoraj.

– Dlaczego?

– Źle się poczuła.

Oleg miał ochotę złapać go za ramiona, potrząsnąć nim, krzyknąć, ej, ej, obudź się, do cholery, spójrz na mnie! Zamiast tego podszedł bliżej, przysunął sobie fotel.

– Źle się poczuła bo? – spytał, z trudem zachowując spokój. – Coś się stało?

– Eee... – Andrej zawiesił się na chwilę, pewnie jakiś wypadek graniczny, nie był pewien, czy kasować, czy zostawić. – Sorry. Wyszły znowu te nagrania z Nowej Zelandii, z tej strzelaniny, wiesz. Cały tydzień, non stop. Cholera wie, czemu, może altrightowcy zgadali się na jakimś forum, żeby nas tym bombardować, może to robota jakichś botów. No i ten... Nie wytrzymała.

Oleg widział to nagranie raz. Ale był w stanie je odtworzyć sekunda po sekundzie, z każdym szczegółem. Najgorsze było to dziecko, trzy-, czteroletnie. Pobiegło prosto pod karabin, z rączkami wyciągniętymi do góry, jakby chciało, żeby ktoś je podniósł. Przytulił.

– Ktoś u niej był? – spytał. – Sprawdził, co z nią?

– Hm? Nie. Ale po co?

– Po chuj – warknął Oleg.

Pięć minut później stał już pod biurowcem. Chciał sprawdzić na telefonie, jak dojechać do mieszkania Liiny, ale nie mógł wpisać adresu.

Trzęsły mu się ręce.

Kod kreskowy? – spytał facet z rejestracji, czarny, z ogromnym afro, w koszulce z pikselowym kosmitą ze *Space Invaders*.

– Proszę.

– Dzięki. Tu masz wejściówkę, tu program i mapkę, a tu kupony zniżkowe do okolicznych restauracji. Jakies pytania?

Co zrobić, jeśli ktoś mnie śledzi, pomyślała Julita. Czy warto ryzykować dla tej sprawy życia?

– Nie, żadne – powiedziała z szerokim uśmiechem.

– W takim razie baw się dobrze. Następny!

Julita odeszła od lady. Janek czekał obok, przy automacie z colą. Czytał coś na komórce.

– Jakies ciekawe wieści?

– Mhm. Czystka mediach społecznościowych. Kasują fejkowe profile.

– Najwyższa pora.

– Grają pod publiczność. – Janek wzruszył ramionami, schował telefon do kieszeni. – Gotowa?

– Mhm. To jak się za to zabieramy?

– Pochodzę po ludziach, pokażę im zdjęcie tej kobiety z nagrania. Może ktoś ją skojarzy.

– Okej, brzmi sensownie. A ja? – spytała Julita. – Co ja mam zrobić?

– Nic.

Julita uniosła brwi. Wysoko.

– Eee... Przepraszam bardzo, jak to nic?

– Jesteś pod obserwacją. Lepiej, żeby nie widzieli, o kogo pytasz, trzymajmy karty blisko piersi.

– Ale...

– Poza tym – wszedł jej w słowo Janek – nie chcę, żebyś się plątała po całym hotelu. Lepiej, żebyś została w głównej hali. Wśród ludzi.

– Mhm. A o siebie się nie boisz?

– Myślę, że skupią się na tobie – powiedział. – Poza tym mi łatwiej będzie wmieszać się w tłum.

– Ach tak? Niby czemu?

Janek popatrzył na nią jak na idiotkę, potem bez słowa wskazał główne wejście. Julita spojrzała na ludzi tłoczących się w kolejce do kontroli bezpieczeństwa. Tak na oko trzy czwarte stanowili mężczyźni. W większości Azjaci.

– Okej, no dobra, może i masz rację... – przyznała z niechęcią. – Ale nie podoba mi się to. Nie chcę tak po prostu sterczeć.

– Taka była umowa. – Janek wzruszył ramionami. – Robisz, co mówię.

– Przypominam, że jej nie zaakceptowałam.

– Aha. – Skinął głową. – Nie zdążyłaś. Bo znalazłem pluskwę w twojej torbie.

Nim Julita znalazła jakąś dobrą ripostę, Janek po prostu poszedł stanąć w kolejce. Nie mając specjalnie innego wyboru, ustawiła się za nim. Byli mniej więcej tego samego wzrostu. Metr siedemdziesiąt. W trampkach z grubą podeszwą.

– Wkurza mnie to twoje odchodzenie w trakcie rozmowy, wiesz? – powiedziała.

Nie odpowiedział.

– I jak nie odpowiadasz na moje pytania też – dorzuciła.

– Myślałem, że to było pytanie retoryczne.

Janek podszedł do stolika przy bramce, otworzył plecak. Znudzony ochroniarz grzebał w środku bez przekonania, jak dziecko dziobiące widelcem niesmaczną kolację.

– No może było, ale... – Julita urwała w połowie zdania. Coś, co zobaczyła w środku plecaka, przykuło jej uwagę. – O, proszę. Ciekawe.

– Co?

– Kim ona jest?

Janek odwrócił się w jej stronę. Na jego twarzy malowało się zdziwienie.

– Słucham?

– Krem do rąk. – Wskazała małą białą buteleczkę. – Werbena i rozmaryn. Nie wierzę, że sam to sobie kupiłeś.

Janek zapiął plecak, zdjął go ze stołu.

– A wiesz, co mnie wkurza? – warknął. – Twoje wścibstwo. Idę. Masz nie wychodzić z sali „A”, rozumiesz?

– Ale...

– Gdyby coś się działo, dzwoń.

Janek odwrócił się na pięcie i zniknął w tłumie. Julita westchnęła, rozejrzała się dookoła. Sala „A” była tak naprawdę wielkim hallem, z którego rozchodziły się korytarze wiodące do pokoi konferencyjnych i seminaryjnych – wielkie, zatłoczone skrzyżowanie. Na środku stały tablice z rozpiską programową i drogowskazami, a pod ścianami stragany, na których można było kupić drobiazgi z logo DEFCONU: opaski, kubki, podkładki pod myszki. Julita przejrzała gadzety, ucięła

sobie pogawędkę ze sprzedawczynią – skąd jesteś? Z Polski? O mój Boże, to bardzo daleko! Jak ci się podoba w USA? Przepraszam za Trumpa! – po czym, znudzona, poszła obejrzeć harmonogram konferencji. Demonstracje, warsztaty, wykłady, „Sezanie, otwórz się: jak przejąć konto bankowe z użyciem edytora głosu”, „Kopiowanie kart SIM – to prostsze, niż myślisz”, „Nie taki niehakowalny: jak złamać blockchain”. Pod tytułami widniały jedynie pseudonimy: m4m1L, D0rigen, bArYn2; nikt tu nie podawał swojego imienia, o ile nie musiał. Julita pokręciła z niedowierzaniem głową. Oczywiście, słyszała wcześniej o DEFCONIE, oglądała nagrania z wykładów, ale być tutaj, zobaczyć na własne oczy, że to się dzieje naprawdę, że w kiczowatym hotelu w środku kiczowatego miasta ludzie otwartym tekstem mówią, jak wykorzystać luki w zabezpieczeniach, jak łamać hasła, to było co innego; absurd tej sytuacji bił w oczy. Oczywiście, oficjalna wykładnia była taka, że prelegenci mówią o tych błędach jedynie po to, żeby zwrócić na nie uwagę, żeby twórcy wadliwego oprogramowania, do tej pory nieświadomi istnienia problemu, mogli je naprawić, że oni sami nie wykonywali wcale takich ataków, tylko uczulają, iż są one teoretycznie możliwe. Tylko dlatego to wszystko było w ogóle legalne. I rzeczywiście, niektórzy hakerzy kierowali się szlachetnymi pobudkami. Inni chcieli się po prostu popisać swoim odkryciem przed kolegami, jeszcze inni – przyjechali się uczyć. Tajemnicą poliszynela było, że wśród uczestników konferencji jest też wielu agentów w cywilu. Kręciło się ich tu co roku tyłu, że na którymś DEFCONIE zaczęto bawić się w „Złap agenta federalnego!”; zarówno zwycięzca, jak i zdemaskowany agent mogli liczyć na pamiątkowe koszulki.

Julita podeszła do tablicy z informacjami o „wioskach”, czyli warsztatach poświęconych jakiemuś konkretnemu zagadnieniu: Wioska Internetu Rzeczy, gdzie odbywał się konkurs, kto szybciej włamie się do „mądrego termostatu” czy „mądrej lodówki”; Wioska Bezprzewodowa, gdzie można było posłuchać o dziurach w protokołach Wi-Fi albo zapisać się na zawody; *Capture the Flag*, w której dwie grupy hakerów próbują przejąć kontrolę nad maszyną przeciwnika; Wioska Włamywacza, gdzie można było pobawić się wytrychami. Julita zawiesiła wzrok na opisie Wioski Wyborczej, w której uczestnicy próbowali – zwykle z powodzeniem – manipulować maszynami do głosowania. Jej uwagę zwróciło logo: dwa skrzyżowane piszczele i biała uśmiechnięta buzia, *smiley*, z przypinką „Już głosowałem!”.

Ktoś dotknął jej ramienia. Podskoczyła.

– Hej, sorry, możesz się przesunąć? – powiedział piegowaty chłopak w bluzie z kapturem. – Zasłaniasz całą tablicę.

– Tak, pewnie – wybąkała. – Przepraszam.

Julita zrobiła krok w bok i rozejrzała się wokół, szukając w tłumie twarzy Janka. Przed oczami przepływała rzeka ludzi; dziewczyna z długimi kręconymi włosami, gruby facet z rzadką brodą, Hindus w różowej koszuli, Azjatka z tatuażem na plecach, łysy, szeroki w barach facet z zadartym nosem, sprzątaczką pchająca wózek z mopem...

Julita zamarła. Widziała go już. Tego łysego faceta. Był na jednym z nagrań z Alexem. Na tym, na którym zabrali mu laptopa, kiedy poszedł do łazienki. Nim zdążyła zareagować – schować się, krzyknąć, zrobić mu zdjęcie – już zniknął. Ścisnęło ją w brzuchu, serce waliło coraz szybciej i szybciej. Czy to na pewno był on? Przed chwilą była pewna, dałaby sobie rękę uciąć, teraz zapamiętany obraz już się rozmazywał. Może ci się wydaje, pomyślała, to z nerwów albo od tego pieprzonego seronilu, z niewyspania. Może.

– Hej. – Głos Janka. Odetchnęła z ulgą.

– Oni tu są.

Janek skinął głową. Nie musiał pytać, kogo miała na myśli.

– Nawiązałaś kontakt wzrokowy? – spytał. – Poszłaś za nimi?

– Nie.

– Dobrze. Lepiej trzymać dystans.

– A co, jeśli oni zechcą go skrócić? – powiedziała Julita. – Co wtedy?

– Trzeba się było tym martwić wcześniej – odparł. – Nie wiem. Zobaczymy.

Głos Janka był spokojny, ale znała go już dość dobrze, żeby wyczuć, że to pozory. Spod maski twarziela wyłaził stres. Może nawet strach.

– Udało ci się czegoś dowiedzieć?

– Nie. – Pokręcił głową. – Jak tylko mówiłem, o co chodzi, ludzie spuszczały mnie po drucie.

– Nic dziwnego... Nie lubią tu policjantów.

– Wyobraź sobie, że nie zaczynałem rozmowy od streszczenia mojego CV.

– Wyobraź sobie – powiedziała, patrząc krytycznie na jego koszulkę polo, zapiętą na ostatni guzik – że nie trzeba. Masz pod ręką zrzut ekranu z tą babką?

– Mhm.

– Pokaż.

Janek dał jej komórkę z otwartym zdjęciem. Julita powiększyła je, aż obraz się rozpikselował.

– Spójrz na jej koszulkę. Co tu jest?

– Flaga piracka, przecież już... – Urwał w pół zdania, zmrużył oczy. – A nie, czekaj... To nie czaszka...

– Tylko *smiley* – powiedziała, stukając palcem w przypięty do tablicy harmonogram. – Z przypinką. Logo Wioski Wyborczej. Jeżeli ta dziewczyna z fioletowymi włosami była tam w zeszłym roku, może jest i w tym.

– Mhm... Faktycznie. Okej, chodźmy tam.

– Dobra robota, Julita – powiedziała.

– Hm?

– No, skoro ty tego nie powiedziałaś, to chyba ja muszę.

Janek przewrócił oczami, potem pokazał, żeby poszła za nim. Przepisnęli się przez wzbierający tłum do bocznego korytarza. Minęli pokój, z którego raz po raz wylewało się niebieskie światło spawarek, dziewczyny z ogromnymi irokezami, potem wyjście na patio, gdzie kilka foodtrucków przygotowywało już jedzenie na zbliżający się lunch: meksykańskie, chińskie, brazylijskie, tajskie, od mieszających się w rozgrzanym powietrzu zapachów ciekła ślinka. W końcu dotarli do pomieszczenia, w którym znajdowała się Wioska Wyborcza: rozbebeszone, okablowane maszyny do głosowania, wokół nich mnóstwo ludzi; siedzieli na stołach, na podłodze, po turecku, z laptopami na kolanach. Pokój pękał w szwach, mimo chodzącej na cały regulator klimatyzacji, w środku było duszno, śmierdziało potem i rozgrzaną elektroniką. Z tyłu, na ścianie, wisiał plakat: *smiley* i skrzyżowane piszczele.

– Patrz. – Janek trącił ją w bok. – Tam.

Podążyła za jego wzrokiem. W rogu sali, przy długim stole zastawionym częściami rozkręconych maszyn, otoczona wianuszkami facetów w czarnych koszulkach, siedziała dziewczyna z nagrania: fioletowe włosy spięte w kucyki, kolczyk w brwiach. Oglądała płytę główną, skupiona, śledząc palcem przebieg układów scalonych; wyglądała jak archeolożka studiująca starożytną inskrypcję. Julita ruszyła w jej stronę, ostrożnie stawiając stopy, tak żeby nie nadepnąć nikomu na dłoń albo na klawiaturę.

– Hej – rzuciła do dziewczyny z nagrania. – Możemy porozmawiać?

– Zajęta jestem – burknęła, nie patrząc nawet w jej stronę.

– Tak, widzę, ale to jest ważne, chodzi...

- Sorry, możesz nie przeszkadzać? – wtrącił się jeden z chłopaków, Latynos ze starannie przystrzyżoną bródką. – Robimy tu coś, okej?
- Chodzi o Alexa – rzuciła Julita. – Alexa McCabe’a.
- Nie znam. – Dziewczyna wsadziła płytę główną na miejsce, sięgnęła po obudowę. – Kto ma śrubokręt?
- Brązowe oczy, haczykowaty nos. – Julita się nie poddawała. – Rozmawialiście tu dwa lata temu, przy śniadaniu. O jego prezentacji.
- Ej, laska. – Latynos był już poirytowany. – Odpieprzysz się w końcu czy mam wezwać ochronę?
- Czekaj, czekaj... – Dziewczyna po raz pierwszy oderwała oczy od rozkręconej maszyny. – No, kojarzę. Co z nim?
- Nie żyje.
- Teraz wszyscy unieśli wzrok.
- Co się stało?
- Prawdopodobnie morderstwo – powiedział Janek. – Możemy porozmawiać? Gdzieś indziej?
- Dziewczyna spojrzała na niego, potem na Julitę. Westchnęła ciężko.
- Nie czekajcie na mnie – rzuciła, wstając od stołu.

On w ogóle nie mruga, zauważyła Aneta. Wałą mu po oczach fleszami, raz za razem, a on nic, nawet się nie skrzywi, patrzy prosto w obiektyw. Niesamowite. Ciekawe, czy to jakoś ćwiczył. Może stawał przed stroboskopem i się do niego szczyrzył.

- No, chodźcie bliżej, przecież nie ugryzę – powiedział Artur do onieśmielonych dziewczyn. Zrobiły krok w jego stronę, uśmiechnięte, zarumienione, ustawiły się po jego bokach. Błysk, kolejne zdjęcie.
- Możemy zrobić jeszcze jedno? Moim telefonem?
- Ależ oczywiście.

Dziewczę zeszło z podestu, żeby wymienić aparaty. Obok stała kolejka, kilkadziesiąt osób, każdy miał w ręku jego książkę *Z ziemi włoskiej do Polski*. Znaczący nie była to tak naprawdę książka, tylko posty z profilu na Instagramie włożone między okładki, ani nie była jego, bo tekst napisała Aneta. Nie było to zresztą specjalnie trudne: kilka anegdot z boiska, które знаła już na pamięć, trochę inspirujących cytatów na tle ładnych widoczków, do tego parę ogólników o polityce. Premiera miała miejsce pół roku temu, ale do tej pory dostawali zaproszenia na spotkania z czytelnikami. Odbyli ich już kilkadziesiąt, formuła zawsze ta sama: krótka rozmowa z jakimś lokalnym dziennikarzem, pytania z sali, a potem główna atrakcja, czyli zdjęcia i autografy. Te sesje potrafiły

trwać godzinę, czasem nawet dwie. Dla innego człowieka byłaby to mordęga, ale nie dla Artura. On to uwielbiał, odzywał, kiedy był w centrum uwagi, w oku obiektywu.

– Bardzo panu dziękujemy – powiedziały dziewczyny, odbierając podpisane książki.

– Nie ma za co. Cała przyjemność po mojej stronie.

Teraz, pomyślała Aneta, nim podejdzie następna osoba. Idealny moment, połowa ludzi za nim, więc był już wkręcony, myślami gdzie indziej, a połowa jeszcze przed nim, więc będzie miała trochę czasu. Weszła na podest, kucnęła przy biurku.

– Hej, Artur... – szepnęła. – Słuchaj, strasznie boli mnie głowa... Poczekam już na ciebie w samochodzie, okej?

– Pewnie. Masz jakieś proszki?

– Nie – powiedziała. Bingo. Połknął przynętę. Wiedziała, że Artur, któremu dokuczała czasem stara kontuzja, nie wychodził z domu bez pigułek przeciwbólowych. Wiedziała też, gdzie je trzyma.

– W wewnętrznej kieszeni marynarki mam apap.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się. – Ratujesz mi życie.

Kiedy tylko odsunęła się od stolika, do Artura podeszła kolejna osoba, czterdziestolatek z grubym plikiem wydań „Piłki Nożnej” do podpisania. Doskonale, to go na chwilę zajmie. Aneta zdjęła przewieszoną przez krzesło marynarkę i zeszła z podestu. Teraz szybko, szybko, zniknąć między regałami, nim się zorientuje, nim ją zawoła. Udało się. Aneta wyszła z księgarni na korytarz centrum handlowego i ruszyła pewnym krokiem w stronę parkingu, myszkując jednocześnie w kieszeniach marynarki. Wyczuła pod palcami znajomy kształt. Telefon był w środku. Dobrze.

Galeria handlowa była ogromna, jedna z największych w Polsce, niekończące się szpalery sklepów, kawiarni i fastfoodów, wszędzie promocje, okazje, przeceny, kup dwa w cenie jednego, tylko dziś. Aneta przeszła przez placyk, na którym stały donice z niezdrowo wyglądającymi palmami, wśród których ukrywały się wróble; co jakiś czas wyfruwały spomiędzy liści, żeby porwać okruchy jedzenia z porzuconych plastikowych tacek. Teraz w lewo, za salonem manikiuru w prawo, i już była na schodach ruchomych, przepychała się między ludźmi obwieszonymi torbami z zakupami, byle szybciej, byle już być w aucie. Gdzie zaparkowali... Motylek 63 czy Żółwik 63? Chyba Żółwik. Szła między autami, rozglądając się za porsche Artura. Wreszcie dostrzegła

znajomą opływową sylwetkę w głębi parkingu, tuż przy ścianie, pod mrugającą jarzeniówką.

Aneta usiadła na fotelu pasażera i wyciągnęła komórkę Artura. Przez ostatnich kilka dni próbowała podejrzeć, jaki ma kod dostępu; kiedy tylko brał telefon do ręki, stawała gdzieś z boku, podglądała spod okularów przeciwsłonecznych. Chyba dwa, osiem, dziewięć, zero... *Spróbuj ponownie*. Cholera. Może dwa, osiem, sześć, zero... *Spróbuj ponownie*. No to może dwa, osiem, pięć, zero... *Pik*, ekran odblokowany. Zadudniło jej w uszach, zaschło w gardle. Otworzyła skrzynkę mejlową, w pole wyszukiwania wpisała adres Królaka. Pięć wyników. Kliknęła w ostatnią wiadomość.

od: Daniel Królak <daniel.krolak@netsolutions.pl>

do: Artur Warecki <artur.warecki@polskajutro.pl>

data: 10 sierpnia 2020 16:23

temat: Re: Obawy

Panie Arturze,

proszę się nie przejmować. Te profile łamały regulamin korzystania z platformy. My po prostu wykorzystujemy ich model biznesowy. Użytkownicy, którzy wypełniają ankietę, sami wyrażają zgodę na przekazanie danych osobowych w celach analitycznych(paragraf 18, ustęp 6, punkt 2). Może pan spać spokojnie.

Serdecznie pozdrawiam,
Daniel Królak
CTO, Net Solutions sp. z o.o.

Czw., 09 sierpnia 2020, 23:48, Artur Warecki napisał(a):

> Panie Danielu, oglądał Pan wczorajszą konferencję? Jak to wpływa
>na naszą kampanię?
>Pozdrawiam,
>Artur Warecki

Ciekawe, ale nie tego szukała. Otworzyła najstarszą wiadomość, z maja.

Od: Daniel Królak <daniel.krolak@netsolutions.pl>
do: Artur Warecki <artur.warecki@polskajutro.pl>
data: 23 maja 2020 12:11
temat: Współpraca

Szanowny Panie Arturze,

jak rozumiem, uzgodnił Pan już warunki współpracy z moim przełożonym – bardzo się cieszę. Jestem do pana dyspozycji, proszę o kontakt w dogodnym dla pana momencie.

Serdecznie pozdrawiam,
Daniel Królak
CTO, Net Solutions sp. z o.o.

Aneta poprawiła się w fotelu, założyła nogę na nogę. „Uzgodnił Pan już warunki naszej współpracy z moim przełożonym”, powtórzyła w myślach. Ale to było ponad miesiąc przed tym, jak Królak przyszedł do nich z prezentacją. Zanim reszta kierownictwa partii – a przynajmniej ona – dowiedziała się w ogóle o jego istnieniu. No i kim jest ten przełożony? Chodzi o szefa Net Solutions? Nigdy go nie poznali, widziała go tylko na profilu na LinkedIn. Ciekawe. Może pisał do Artura? Sprawdziła, czy w skrzynce są inne mejle wysłane z domeny netsolutions.pl. Pudło, tylko Królak. Aneta wpisała hasło „współpraca”. Nic ciekawego. „Internetowa”. Podobnie. „Marketing internetowy”. Zero wyników. Może „propozycja”. Jeden wynik. Mejl od żony Artura, Kaśki. Z dziesiątego maja.

Od: Artur Warecki <artur.warecki@polskajutro.pl>
do: Katarzyna Lubiś-Warecka <lubiswarecka@gmail.com>
data: 10 maja 2020 16:44
temat: Re: Później

Artur, słoneczko, czy na pewno powinieneś pisać o takich sprawach w mejlach...? Zastanów się czasem.

Kolacja będzie w lodówce.
K

Pon., 10 maja 2020, 16:31, Artur Warecki napisał(a):

>Cara mia,

>Będę dzisiaj później, nie czekaj na mnie. Przepraszam, ale dzwonił ten facet, o którym ci mówiłem. Nie wiem, co >o tym myśleć, ta propozycja jest trochę podejrzana, ale >myślę, że warto się spotkać. Aneta jest świetna w swojej >robocie, ale przydałoby nam się dodatkowe wsparcie. Poza tym nie prosi wcale o tak dużo, to tylko jeden postulat. No nie wiem, do przemyślenia.

>Tanti bacioni,

>Arturo

– O kurwa – jęknęła Aneta, zasłaniając usta. – O ja cię pierdołę.

Kroki, obcasy stukają o beton. Aneta знаła ten dźwięk, ten żwawy krok. Zablockowała telefon, cholera, w której był kieszeni, w lewej czy w prawej, w lewej czy prawej, szybko, szybko, chyba w lewej. Odłożyła marynarkę na półkę z tyłu auta, usiadła prosto, skupiła się na tym, żeby uspokoić oddech.

Apap!, olśniło ją nagle, nie wzięła apapu, co, jeśli się zorientuje, że nie ubyłoby pigułek? Wziąć je teraz? Ale nie, zaraz będzie w aucie, nie zdąży.

– Hej. – Artur otworzył drzwi. – Jak tam? Lepiej?

– Mhm.

– Ale marynarki to mi nie musiałaś zabierać...

– Przepraszam – wybąkała. – Nie mogłam znaleźć tych pigułek, a nie chciałam tak za tobą stać i szperać, to by źle wyglądało...

– W sumie racja – przyznał, usadawiając się za kierownicą. – To co, ruszamy? Do Warszawy kawałek.

– Mhm.

Artur przekręcił kluczyk w stacyjce; potężny silnik zawył pod maską.

– Na pewno dobrze się czujesz? – spytał, patrząc na nią z ukosa.

– Dlaczego pytasz?

– Strasznie blada jesteś.

– Nie, nie. – Aneta z trudem przełknęła ślinę. – Wszystko okej.

Całą drogę udawała, że śpi.

Kartonowe pudła, ułożone jedno na drugim, składane plastikowe krzesła poplamione kawą, stolik zawalony papierami i pękami zapasowych wejściówek, w kącie kolorowe spaghetti z kabli, wieża zużytych

jednorazowych kubków i zamoczona rolka papierowych ręczników. Chaos, tymczasowość, tandeta. Czyli pokój organizatorów.

– Sorry, tu zawsze jest burdel... Ale za to nikt nam nie będzie przeszkadzał – powiedziała Liz, dziewczyna z nagrania. Tak miała na imię. A przynajmniej tak im się przedstawiła, tu nikomu nie można było wierzyć na słowo. Przyjeżdżała na DEFCON co rok od sześciu lat, pomagała w prowadzeniu Wioski Wyborczej. Z początku niezbyt chciała z nimi rozmawiać, czuć było, że nie do końca im ufa. Całe szczęście okazało się, że czytała tłumaczone na angielski teksty Julity o sprawie Buczka. To pomogło przełamać lody.

– Dzięki, że możemy pogadać. – Julita usiadła na chybotliwym krześle.

– No, spoko. To co właściwie się stało?

– Ktoś nie chciał, żeby Alex wygłosił swoją prezentację. – Janek stał oparty o ścianę, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. – Na tyle, żeby go pobić i zabrać mu komputer. A potem... Potem musiało stać się coś jeszcze. Bo kilka miesięcy później był już martwy.

– Oficjalnie samobójstwo – dopowiedziała Julita. – Ale mamy powody sądzić, że ktoś mu pomógł.

– Matko...

– Próbujemy ustalić, o czym Alex miał właściwie mówić. Na stronie nie ma żadnych informacji, moderator sesji, na której miał wystąpić, przepadł bez śladu, nikt nie odpisuje nam na mejle... Zostałaś ty.

– Słuchajcie, ja też nie znam wszystkich szczegółów...

– To powiedz, co wiesz.

Liz naląła sobie wody z butelki, wzięła duży łyk.

– Chodziło o wybory – powiedziała. – W Estonii. Alex mówił, że znalazł sposób na to, jak je zhakować.

Julita i Janek wymienili spojrzenia. Wiedzieli, że to musi być coś poważnego. Nie wiedzieli, że aż tak.

– Aha. – Liz uśmiechnęła się, widząc ich reakcję. – To samo wtedy pomyślałam.

– No dobrze, ale... Mówił jak?

– Powiedział, że napisał *malware*, który... – Liz urwała w pół słowa. – Wiecie w ogóle, jak działa system elektronicznego głosowania w Estonii?

– Aha. – Janek skinął głową.

– Mów za siebie – powiedziała Julita. – Ja tam nie wiem.

– Jak by to najłatwiej... – Liz podrapała się po głowie. – Każdy w Estonii ma dowód osobisty, okej? To coś jak paszport, tylko...

– Wiemy, w Polsce też mamy dowody.

- Aha. Ale z kluczem RSA?
- Nie. – Julita pokręciła głową.
- Ano właśnie. Każdy estoński dowód ma przypisany unikalny klucz kryptograficzny, który może służyć do weryfikacji tożsamości w sieci. W przypadku wyborów działa to tak, że trzeba ściągnąć specjalną aplikację i podać swój klucz, żeby się zalogować. Potem oddajesz głos, który zostaje zaszyfrowany i w tej formie jest przechowywany na serwerze. Dopiero kiedy wybory się kończą, zaszyfrowane głosy są wypalane na płycie DVD... Nadążacie?
- Tak – odpowiedzieli chórem.
- Super. Gdzie ja... Aha. Zaszyfrowane głosy są wypalane na płycie i przenoszone na oddzielny, specjalnie złożony na tę okazję komputer, który jest odłączony od sieci, żeby uniemożliwić zdalny atak. Dopiero ten komputer odszyfrowuje głosy i podaje wynik.
- I co, dużo osób tak głosuje? – spytała Julita. Musiała się skupić, żeby nie pogubić się w technicznym wywodzie prowadzonym w obcym języku.
- W ostatnich wyborach? Ponad trzydzieści procent.
- I jest jakaś kopia zapasowa? Na papierze?
- Nie. Tylko zapis elektroniczny.
- Okej. Mów dalej.
- No więc Alex powiedział, że czytał artykuł takiego naukowca z Uniwersytetu w Michigan, Haldermana, który postanowił sprawdzić, na ile ten system jest odporny na atak.
- Niech zgadnę – powiedział Janek. – Nie jest.
- Brawo. A wiesz, co według Haldermana było najsłabszym ogniwem?
- Aplikacja do głosowania? – zasugerował Janek. – Gdyby ktoś włamał się na serwery komisji wyborczej i podmienił program na zainfekowaną wersję... Ludzie ściągnęliby ją na swoje komputery i już na starcie można by zmienić głos. Klikasz na kandydata Iksińskiego, a aplikacja tak naprawdę wysyła głos na Igreka i nigdy się o tym nie dowiesz.
- Niegłupie... – Liz skinęła głową. – Ale estońska Komisja Wyborcza robi regularny audyt kodu aplikacji. Nawet gdyby się komuś udało podmienić program na swoją wersję, szybko by się zorientowali.
- No dobrze, ale gdyby jeden z członków komisji był przekupiony, to...
- Komputer do zliczania głosów. – Julita weszła mu w słowo.
- Co?
- Najsłabsze ogniwo to komputer do zliczania głosów.
- W ogóle nie słuchasz – prychnął Janek. – Ten komputer jest przecież odłączony od sieci, to się fachowo nazywa *air-gapped*, więc nie ma...

– No tak, ale skąd się bierze jego oprogramowanie? – Julita znów mu przerwała. – Przecież nie z powietrza. Ktoś je musi napisać. No i co, myślisz, że też robi to na maszynie odłączonej od sieci? Jeśli uda ci się włamać na sprzęt dewelopera, który przygotowuje ten *software*, możesz go zainfekować już wtedy.

Janek otworzył usta, ale po chwili je zamknął, bez słowa; najwyraźniej nie znalazł kontrargumentu. W pokoju zapadła cisza, którą przerwała dopiero Liz. Oklaskami.

– Brawo – powiedziała. – Halderman doszedł do tego samego wniosku. Cwana z ciebie laska. Przyjdź potem do naszej Wioski. Przydałabyś nam się.

– Pomyślę – powiedziała Julita z promiennym uśmiechem.

– Okej, okej, momencik. – Janek uniósł rękę, żeby pokazać, że ma do powiedzenia coś ważnego. – Ale to nie jest wcale takie proste. Musiałabyś ustalić, kto dokładnie składa ten komputer, żeby w ogóle wiedzieć, kogo zaatakować.

– Mhm. – Liz skinęła głową. – Pozornie niemożliwe. Ale okazuje się, że estońska komisja wyborcza publikuje nagrania z pracy nad tym sprzętem, w ramach transparentności. Widać na nich deweloperów, ich komputery, są nawet zbliżenia na ekran. No i jak oglądasz te materiały klatka po klatce, okazuje się, że dość lekko podchodzą do kwestii bezpieczeństwa. Mają na dyskach foldery z pirackimi filmami. Torrenty.

– Nie. – Janek zrobił wielkie oczy. – Nie wierzę.

– Aha. Mało tego, na jednym nagraniu widać karteczkę z nazwą ich sieci Wi-Fi. I hasłem. Wisi na ścianie.

– Ja pierdolę... Przecież to...

– Ale co na to wszystko rząd estoński?

– Zabawna historia. – Liz poprawiła się na niewygodnym krześle. – Halderman pojechał do Tallina zaprezentować swoje wyniki. Wywalili go z kraju. Powiedzieli, że pracuje na rzecz opozycji.

Janek pokręcił z niedowierzaniem głową.

– No dobra, ale zboczyliśmy z tematu – powiedziała Julita. – Dość o Haldermanie. Co zrobił Alex?

– Postanowił przetestować, czy faktycznie dałoby się wykorzystać te czułe punkty, żeby zmienić wynik głosowania. I wyszło mu, że tak, jak najbardziej. Pierwsze wyzwanie to dostać się na komputer kogoś z komisji wyborczej. Można to zrobić poprzez fizyczny dostęp albo ataki spearphishingowe... Ale Alex wybrał bardziej eleganckie rozwiązanie – powiedziała Liz, z błyskiem w oku. Takim samym, który pojawiał się

czasem u Janka. – Pierwsze, co robił jego program, to skanował zawartość dysku twardego na obecność określonych słów. Mianowicie nazwisk programistów pracujących dla estońskiej komisji wyborczej.

– Aha, czyli zamiast atakować konkretny komputer, można wypuścić ten program gdziekolwiek do sieci i liczyć na to, że w końcu sam trafi, gdzie trzeba?

– Dokładnie. Wystarczyłoby go wrzucić na torrenty, skoro wiemy, że programiści z komisji z nich korzystają. Albo założymy, że udałoby ci się zhakować stronę jakiegoś dużego estońskiego dziennika albo telewizji, co nie byłoby specjalnie trudne, i zamieścić na niej zainfekowany obraz, który miałby program Alexa wszyty między piksele. Każdy internauta, który by go załadował, ściągnąłby też ten *malware*. Estonia to mały kraj, więc jest spora szansa, że tę stronę odwiedziłby w końcu ktoś z komisji... A jeśli nie, to na pewno ktoś z ich rodziny albo przyjaciół, kto potem zainfekowałby ich komputer, na przykład przerzucając zdjęcia z wakacji czy spiraconą *Grę o Tron*. Jeśli program nie wykrywa pożądanых nazwisk, pozostaje uśpiony...

– A jeśli je wykryje? Co wtedy?

– Alex użył takiego zabawnego porównania... – Liz się uśmiechnęła. – Mówił, że jego program zachowuje się jak purchawka. W momencie, w którym na niego nadepniesz, wyrzuca w powietrze chmurę zarodników.

– Fúj. – Julita się skrzywiła.

Janek i Liz posłali jej zdziwione spojrzenia.

– Sorry, mam uraz. – Julita czuła, jak się rumieni. – Grzyby są obleśne. Jak byłam mała i nocowałam kiedyś u dziadka na działce, odsunęłam tapczan od ściany, a tam było aż czarno od... – urwała w pół zdania – przepraszam. Nieistotne.

– Mhm. Faktycznie – mruknął Janek, po czym odwrócił się do Liz. – Mówiłaś o zarodnikach.

– Tak. No więc one robiły dwie rzeczy. Po pierwsze, przyczepiały się do każdego pliku na komputerze. Każdego, dosłownie. Od tej pory, kiedy programiści z komisji przenosili cokolwiek ze swojego sprzętu na ten odcięty od sieci serwer wyborczy...

– Zabierali też *malware*. Na gapę.

– Dokładnie.

– A druga rzecz?

– Program szukał bazy głosów. W momencie kiedy by ją odnalazł, miał wstrzyknąć do kodu instrukcję: do kandydata 1 przypisz taki procent

głosów. Do kandydata 2 przypisz taki procent.

– Wow. – Julita zrobiła wielkie oczy. – I to naprawdę działało?

– No wiesz, ja nie widziałam tego kodu... Ale Alex mówił, że tak. Testy wypadły pozytywnie.

– Janek? To możliwe?

– Hm... – Wietnamczyk zbierał myśli. – Teoretycznie tak. A gdybyś jeszcze dysponowała wiedzą o dziurze, przez którą można by wrzucić ten program, najlepiej jakimś zero dayu... Nikt by się nie połapał, że coś się stało.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Liz skubała sznurówki, Julita kręciła z niedowierzaniem głową, Janek tarł spocone czoło.

– Alex poszedł z tym do Estończyków? – spytał po chwili.

– Z tego co wiem, to nie. – Liz pokręciła głową. – Powiedział, że na DEFCONIE ogłosi to po raz pierwszy.

– Dlaczego tu?

– Nie wiem, nie pytałam. Może zależało mu na rozgłosie w środowisku.

– A czemu powiedział to wszystko akurat tobie?

– Pojęcia nie mam. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Dosiadłam się do niego, bo Josh, który przyjął jego abstrakt, powiedział, że skoro interesuję się e-wyborami, muszę z nim pogadać. Z początku ciężko nam szło, bo Alex gapił się głównie na swoje buty, ale jak już się rozgadał... Myślałam, że spadnę z krzesła.

– Wyobrażam sobie... Pamiętasz coś jeszcze z tej rozmowy?

– Czekałcie, niech pomyślę... Nie, to chyba wszystko.

– I co dalej? – spytała Julita.

– To znaczy?

– No, odbyliście tę rozmowę, zapowiadało się, że to będzie hit konferencji... A potem Alex nagle się wycofał i wrócił do domu wcześniejszym lotem. Nie zdziwiło cię to?

– Pewnie, że mnie zdziwiło. Od razu do niego napisałam, stary, co się stało, dlaczego zniknąłeś... Nie odpowiedział. No, a potem...

– Tak?

– Kilka miesięcy później w Estonii były wybory prezydenckie. Postanowiłam, że sprawdzę, jak poszło, wiecie, tak z ciekawości. No i okazało się, że o wyniku wyborów zdecydowały właśnie głosy oddane przez internet. Facet, który wygrał, ten Jaagup Sokk, dostał ich chyba dziesięć procent więcej niż drugi kandydat. A w głosowaniu tradycyjnym dostał o pół punktu mniej.

– Czyli gdyby nie głosy oddane online...

– Mhm. Wygrałby ten drugi.

Julita nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Nie chciała uwierzyć.

– I co, nie poszłaś z tym nigdzie? – spytała.

– Z jakim „tym”? – zachnęła się Liz. – Facet opowiedział mi o programie, którego nie widziałam na oczy. Nie mogę nawet być do końca pewna, że mówił prawdę. Może chciał mi tylko zaimponować.

Janek przygryzł usta, wsadził ręce w kieszenie. Myślał o czymś. Chyba o niczym miłym.

– Posłuchaj mnie – zwrócił się do Amerykanki. Mówił cicho, ale stanowczo. – Wrócisz teraz do Wioski Wyborczej. Weźmiesz swoje rzeczy, powiesz kolegom, że wyskoczysz na chwilę na lunch. A potem wyrzucisz telefon, wyjdiesz z hotelu tylnym wyjściem i wyjedziesz z Las Vegas. Gdzieś daleko.

– Chyba żartujesz – prychnęła. – Czekałam na tę konferencję od roku, mój zespół...

– Liz. – Janek wszedł jej w słowo.

– Co?

– Alex miał dziewczynę. Też nie żyje. A ten Josh, o którym mówiłaś, ten moderator? Nikt nie wie, co się z nim stało. Zabawny zbieg okoliczności, co? Jak myślisz, o co w tym wszystkim chodzi? Bo mi się wydaje, że ktoś postanowił przetestować program Alexa poza laboratorium. I pozbyć się każdego, kto wiedział o jego istnieniu.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała. Nie musiała, jej myśli odczytać można było z twarzy. Najpierw: nie, to nieprawda, to niemożliwe. A potem: a jeśli? Co, jeśli ma rację?

– Nie zamawiaj ubera – ciągnął Janek. Mówił powoli, jakby tłumaczył zagubionemu turyście, któredy na dworzec. Nie próbował jej przekonywać. Wiedział, że już nie musi. – Weź taksówkę, tylko broń Boże nie z postojem. Jasne?

– Mhm.

– My wyjdziemy pierwsi. Jeśli ktoś nas obserwuje, jest szansa, że pójda za nami. Oczekaj trzydzieści sekund, dopiero wtedy ruszaj. Okej?

– Okej... – Liz była blada. – A co z wami?

– Dobre pytanie – mruknął Janek, kładąc dłoń na klamce. – Julita, gotowa?

– Tak... Chyba tak.

– To chodź.

Otworzył drzwi na korytarz. W sali naprzeciwko akurat skończył się jakiś wykład, przez drzwi wylewali się ludzie. Skorzystali z okazji

i wmieszali się w tłum. Julita szła na miękkich nogach, nie czuła podłogi pod stopami. Janek coś powiedział, ale go nie słyszała, ogłuszyły ją dobiegające zewsząd strzępki rozmów i własne myśli. Sfałszowane wybory. Kilka tysięcy linijek kodu, które mogą przeskoczyć przez powietrze na odcięty od sieci komputer i zmienić los całego kraju. Rozumiała już, jak wysoka była stawka. Czemu ktoś tak bardzo chciał uciszyć Alexa i Kandy. Czemu ona mogła być następna. Wzdrygnęła się.

Wrócili do głównego hallu. Ludzie ustawiali się w kolejce do zdjęcia z facetem przebrany za Neo z *Matriksa*, obok chłopak z kozią bródką rozdawał z koszyka dyski USB z nadrukowanym napisem: CZY JESTEŚ DOŚĆ GŁUPI? Zniknęła już kolejka do wejścia, kto miał przyjść na konferencję, już tu był. Ochroniarz, który wcześniej sprawdzał ich torby, siedział teraz w kącie, na malutkim stołku, pochylony nad telefonem. Wydatny brzuch spoczywał na udach, palce waliły raz za razem w migoczący jaskrawymi kolorami ekran; grał w jakieś proste klikadło, które pomagało przewinać czas do przodu, wycisnąć endorfiny z beczynnego mózgu.

– Hej, zaczekaj. – Julita położyła Jankowi dłoń na ramieniu. – Gdzie my właściwie idziemy?

– Mówiłem przecież. Do hotelu. Niczego więcej się tu nie dowiemy.

– I co dalej?

– Nie wiem, jak ty – powiedział Janek – ale ja zmieniam rezerwację. Na następny lot do Polski.

Coś było nie tak z głosem Janka. Łamał się. Chwilę wcześniej, z Liz, był jeszcze w stanie zachować pokerową twarz, udawać, że wszystko ma pod kontrolą, że dokładnie wie, co zrobić. Teraz już nie.

– Janek, słuchaj, może powinniśmy zadzwonić na policję i...

– I co im powiemy, hm? – warknął. – *Hello*, tu turyści z Polski, odkryliśmy światowy spisek, chyba ktoś nas śledzi, czy możecie dać nam ochronę? Jak myślisz, potraktują nas poważnie? Bo ja myślę, że w najlepszym razie każą dmuchnąć w balonik.

– A nie możesz wykorzystać swoich kontaktów?

– Jakie kontakty, ja pierdołę... Dziewczyno, za kogo ty mnie masz? Komisarza Gordona?

Odwrócił od niej wzrok, zmełł w ustach słowa. Kiedy znów się odezwał, mówił już spokojniej.

– Julita, to jest poważna sprawa. Bardzo poważna. Ale masz same poszlaki. W Polsce może znajdziesz kogoś, kto ci uwierzy, kto pomoże ci

dojść po nitce do kłębka. Ale na twoim miejscu dwa razy bym się zastanowił, zanim komuś o tym opowiem. I czy w ogóle to zrobić.

Wyszli przed Planet Hollywood. Buchnęło żarem; słońce stało w zenicie, chodnik był rozgrzany tak, że aż parzył przez podeszwy. Janek próbował złapać taksówkę, ale żadna się nie zatrzymywała.

– Janek?

– No?

– Myślisz, że coś nam grozi? W sensie... Teraz?

Janek uniósł rękę, pomachał. Bez powodzenia; taksówka nawet nie zwolniła.

– Zależy, czy wiedzą, co nam powiedziała Liz – odpowiedział, osłaniając oczy przed słońcem. – Jeśli nie, zakładam, że będą grali ostrożnie, wiesz, ograniczą się do monitorowania.

Julita skinęła głową. Na usta cisnęło jej się oczywiste pytanie: a co, jeśli wiedzą? Co, jeśli jednak ich podsłuchali? Ale nie odzywała się. Wyobraźnia sama podsuwała odpowiedzi.

Wadim przesunął żetony po zielonym suknie, postawił dwieście dolarów na czerwone. Krupierka skinęła głową, a potem zakręciła tarczą. Chwilę później mała metalowa kulka zaczęła swój taniec, śledzony z zapartym tchem przez zebranych przy stole: emerytkę w czapce z daszkiem, podpitego faceta w muszce na gumkę, dziewczynę w brokatowej sukni. *Tok, tok, tok*, tak długo, jak kulka była w ruchu, każdy z nich był bogaczem, każde marzenie mogło się urzeczywistnić. To właśnie ten moment uzależniał, nie rzadkie wygrane.

Wadim grał, żeby zabić czas; w uchu miał malutką, ledwie widoczną słuchaweczkę, czekał na sygnał. Oczywiście, mógłby zająć się czym innym: usiąść przy barze ze szklaneczką whiskey albo pójść na siłownię. Ale miał sentyment do kasyn. W kasynie świętował pierwsze morderstwo, przepuszczał swoje pierwsze łupy. Oczywiście, wyglądało zupełnie inaczej niż to tu, nie było kryształowych zyrandoli, tylko goła żarówka zwisająca z sufitu, nie było tęczyowych drinków z kolorowymi parasoleczkami, tylko zmrożona wódka, pita na szklanki. Tego wieczora wszystko przepuścił, co do kopiejki. Ale i tak czuł się jak zwycięzca.

Jakie to było cudownie proste: wystarczyło wyciągnąć nóż i nagle widział w oczach nie obojętność, nie pogardę, ale strach. Jeden ruch ręką i przestał być śmieciem, a zyskał boską moc, stał się panem życia i śmierci. A kiedy już ucichły jęki, a rozlana krew zaczynała czernieć i tężeć, wszystko to, czego nie miał, a za czym tak długo wodził oczami,

nagle stawało się jego: wypastowane na błysk buty, portfel wypchany rublami, zegarek ze złotą tarczą na skórzanym pasku. Nie potrafił jeszcze wtedy odczytać, co pokazywały wskazówki, ale każdego wieczora sumiennie go nakręcał i czyścił. Ledwie słyszalne tykanie sekundnika przypominało: nie musisz już błagać, nie musisz już prosić. Możesz brać.

Pierwsze ofiary były przypadkowe: podchmielony urzędnik, który zasnął na przystanku i przegapił ostatni autobus. Sklepikarz, który odwrócił się, żeby sięgnąć po butelkę z najwyższej półki. Staruszka, najwyraźniej niedowidząca, bo poprosiła go, żeby pomógł jej wnieść do domu torby z zakupami (do tej pory pamiętał, że w szczypiorze połyskiwał czekoladowy królik owinięty w sreberko, pewnie prezent dla wnuka). Ale potem odkrył, że to, co jemu przychodziło z taką łatwością, co sprawiało taką przyjemność, innym z jakiegoś powodu sprawiało trudność. Ba, byli gotowi słono zapłacić, żeby ktoś ich w tym wyręczył. Wtedy przestał krążyć po ciemnych uliczkach, ściskając składany nóż ukryty w kieszeni kurtki. Czekał na telefon.

Kulka podskoczyła jeszcze kilka razy po stole do ruletki, ale coraz wolniej, coraz mniej zwawo. Wadim przycisnął palec do ucha, odwrócił wzrok w stronę wyjścia. Słuchał. A potem szepnął coś w odpowiedzi, cicho, pod nosem, tak, żeby nie usłyszeli go stłoczeni wokół ludzie.

– Dwanaście, czarne – oznajmiła spokojnie krupierka, obojętna na ciężkie westchnięcia i okrzyki radości. A potem zgarnęła źle obstawione żetony, w tym dwieście dolarów, które wyłożył Wadim.

– Więcej szczęścia następnym razem – powiedział stojący obok facet. Wadim nie odpowiedział, nawet nie spojrzał w jego stronę. Wstał od stołu i poprawił kurtkę. Tak, żeby nikt nie zobaczył pistoletu wetkniętego za pasek od spodni.

Julita i Janek nocowali w tym samym hotelu. Nie był to zbieg okoliczności, rzecz jasna, w Las Vegas miejsc do spania były setki, i to nie licząc rzędów moteli na przedmieściach i licznych apartamentów do wynajęcia. Julita założyła, że po pierwsze, Janek nie jest pierwszym pracownikiem PCW, który przyjechał do tego lunaparku na pustyni, i po drugie, że PCW pewnie zamawia wszystkim swoim ludziom pokoje w tym samym hotelu, bo zniżki, punkty, umowy o współpracy i tak dalej. Używając triku, który pokazał jej Janek, bez problemu namierzyła na Facebooku kilkaset ludzi, którzy pracują bądź pracowali kiedyś w PCW, a następnie zapytała o posty oznaczone hashtagem #LasVegas. Wyszukiwarka wypluła kilkadziesiąt zdjęć, z których większość zrobiono w hotelu Lancelot. Kiedy Julita zobaczyła go po raz pierwszy, na zdjęciach, zaśmiała się na głos. Disnejowski zamek zwieńczony kilkunastoma wieżami o spiczastych dachach, a każdy z nich w innym, wściekle jaskrawym kolorze; betonowy tort. Z tyłu dwa masywne kilkunastopiętrowe bloki zwieńczone blankami, wjazd trójpasmówką przez ozdobne roгатki, na których powiewają dumnie amerykańskie flagi, wielkie jak żagle galeonów, a zamiast fosy – okalający budynek parking. „Nasi goście mają do dyspozycji cztery baseny oraz kasyno o powierzchni 9300 metrów kwadratowych”, zachęcał Lancelot. Julity nie trzeba było namawiać.

Dostała pokój na dwunastym piętrze, na rogu budynku. Widok był niesamowity, zwłaszcza teraz, kiedy zrobiło się ciemno: migoczące neony, Statua Wolności na tle poskręcanych torów kolejki górskiej, przesuwający się powoli sznur aut; ich czerwone światła zlewały się ze sobą, wyglądały jak płynąca lawa. Kiedy uchyliło się okno, do pokoju wlała się kakofonia: kilka konkurujących ze sobą koncertów, klaksony, wrzaski z wesołego miasteczka, pijackie śpiewy. Julita miała ochotę przejść się ulicami Las Vegas, zagrać w pokera, wypić margaritę z kieliszka wielkości akwarium, pójść do klubu i tańczyć do rana. Ale wiedziała, że nie może. I czym mogłoby to grozić.

– Dobra, udało się przebukować rezerwację... – powiedział Janek znad komputera. Siedział przykryty kocem, na wypadek gdyby ktoś ich obserwował ukrytą kamerą. – Mamy oboje bilety na lot o ósmej

trzydzieści do Los Angeles, tam się przesiadamy do Frankfurtu, a stamtąd do Warszawy.

– No wreszcie... Strasznie długo ci to zajęło.

– Sprawdziałem jeszcze inne rzeczy.

– Mhm. Ile to wszystko kosztowało?

– Twój bilet trzy tysiące, mój cztery sto.

– Dolarów?!

– Nie, bez przesady. Złotych.

– Uff. Myślałam, że będzie gorzej.

– Powiem to mojemu szefowi. – Janek uśmiechnął się kwaśno. – Słuchaj, zamówiłem taksówkę na szóstą trzydzieści. Przyjdę po ciebie i zjedziemy razem na dół. Okej?

– Okej.

– Jak wyjdę, zamknij drzwi na zasuwę i na łańcuch, a potem zastaw krzesłem. Nie otwieraj nikomu poza mną. To dotyczy też obsługi hotelowej. Jasne?

– Mhm.

– Dobra. No, to do jutra.

Janek pomachał, wyszedł na korytarz. W pokoju słychać było tylko szum klimatyzatora. Zastaw drzwi, powtórzyła w myślach. Położyła spocone dłonie na oparciu krzesła. Było zaskakująco lekkie. W oczach stanął jej mężczyzna, którego widziała na DEFCONIE, a wcześniej na wideo z Alexem. Kwadratowa szczęka, zadarty nos, szyja zlewająca się z potężnym karkiem, klatka piersiowa, na której ledwie zapina się kurtka. Nie sprawiał wrażenia kogoś, kogo zatrzymałoby krzesło – ani nawet szafa gdańska. Ciekawe, przełknęła gęstą ślinę, ciekawe, czy to ten sam facet, który udusił Kandy. Wróciły obrazy z nagrania. Ręce zaciśnięte na szyi. Jej siniejąca twarz. Oczy, w których najpierw widać przerażenie, a potem już nic.

Julita otworzyła drzwi. Janek jeszcze był na korytarzu, czekał na windę; z ramienia zwisała mu ciężka torba.

– Hej, Janek! – zawołała.

– Hm?

– Chodź no na chwilę.

Winda się otworzyła, oblała go białym światłem. Janek westchnął, wrócił pod jej pokój.

– No?

– Słuchaj, tak sobie myślę... – Julita podrapała się po karku. – A nie mógłbyś zostać na noc ze mną? Rano byśmy tylko zeszli po twoje rzeczy.

Tak chyba byłoby bezpieczniej, co nie? No i są dwa łóżka, więc... No wiesz. I obiecuję, że nie będę dużo gadać.

Wahał się. Pora nazwać rzeczy po imieniu.

– Janek... – Wzięła głęboki oddech. – Boję się, okej? Naprawdę się boję. Jak nigdy w życiu. Proszę... Nie zostawiaj mnie tu samej, bo zwariuję do reszty.

Odwrócił wzrok, przejechał dłonią po nieogolonej twarzy.

– Okej – powiedział w końcu. Bez przesadnego entuzjazmu.

– Dzięki, naprawdę bardzo ci dziękuję, ja bym tu sama...

– Miałaś dużo nie gadać.

Minał ją w wejściu, usiadł na wolnym łóżku i zdjął buty. Julita usiadła na fotelu, założyła nogę na nogę. Wytrzymała dwie minuty.

– Zjesz coś? – spytała.

– Wolałbym niczego nie zamawiać, bo...

– Tak, tak, rozumiem. Może zobaczymy, co jest w minibarze?

– Mogę ci powiedzieć. Orzeszki za trzydzieści dolarów.

– Ja stawiam – powiedziała Julita. – Wiesz, w ramach podziękowania.

Co ty na to?

– Niech będzie.

Julita nakryła do stołu. Dwie buteleczki szampana, czekoladki, słoiczek czarnych oliwek i paczka chipsów o smaku bekonu, do tego plastikowe kubki i chusteczki jednorazowe zamiast serwetek. Najdroższa kolacja, jaką w życiu jadła.

– Puścimy sobie jakąś muzykę? – spytała. – Co lubisz? Poza Judas Priest?

– Do kotleta może być móm.

– Kierunek Islandia? W sumie czemu nie. Momencik... – Stuknęła w ekran telefonu.

– Daj głośniej.

– Czemu?

– Będzie można w miarę spokojnie porozmawiać... Tylko zasłaniaj usta, jak mówisz.

Julita odruchowo rozejrzała się po pokoju, szukając ukrytych kamer, mikrofonów. Oczywiście, to było bez sensu; gołym okiem niczego by nie zauważyła. Już prędzej pomogłaby ta aplikacja na telefonie Janka, nawet go spytała, czy nie warto spróbować. Powiedział, że nie ma co się trudzić. Jeśli chcą ich podsłuchiwać, i tak to zrobią.

Usiedli po turecku przy stoliku kawowym, na miękkiej wykładzinie. Za oknem obracał się diabelski młyn.

– No i co o tym wszystkim myślisz? – powiedziała Julita, zapijając cipsy szampanem słodkim jak oranżada.

– Po pierwsze... Wygląda na to, że ktoś rzeczywiście zhakował wybory w Estonii.

– Ale kto?

– Nowy prezydent ogłosił niedawno, że kraj powinien rozważyć wyjście z NATO. – Janek odkręcił słoik z oliwkami. – Dośpiewaj sobie resztę.

Julita wzięła do ust czekoladkę. Była obrzydliwa. Cukier, chemia, i jeszcze więcej cukru.

– O mój Boże – wybełkotała Julita. Wypluła brązową papkę w chusteczkę, wytarła usta. – Co za ohyda... Polej mi... Dzięki. Ugh, Jezusie Nazareński... Jak oni mogą jeść to gówno?

– Kwestia przyzwyczajenia. Moi rodzice tak reagują na karpia w galarecie.

– Ha... No, rzeczywiście, jak o tym pomyślisz... Ryba w stężonym tłuszczu... Chcesz te czekoladki? Czy mogę wyrzucić?

– Wyrzucić.

Julita wstała od stołu, podciągnęła zjeżdżające z bioder spodnie.

– A jaki związek ma z tym wszystkim X1? – spytała znad śmietnika. – Myślisz, że pracuje dla Rosjan?

– Tak bym zgadywał. Wielu hakerów ląduje w końcu w GRU. Niektórzy dobrowolnie... Inni nie do końca. Wiesz, dostają propozycje nie do odrzucenia.

Julita usiadła z powrotem przy stole. Kiedy ugięła kolana, trochę ją zarzuciło. Słodki szampan szybko uderzał do głowy. Niedobrze, pomyślała, nie powinnam się teraz upijać, to by było nierozsądne. No, powiedziała sobie, sięgając po kieliszek, to tylko ostatni łyček.

– Okej, a po drugie? – spytała.

– Hm?

– Powiedziałeś „po pierwsze”. No to pewnie jest jakieś „po drugie”.

– Czekaj... Nie, nie pamiętam.

– No to ja mam po drugie.

– Aha. Mianowicie?

– Alex musiał zrobić coś jeszcze... Albo czegoś się dowiedzieć – powiedziała Julita. Piekły ją policzki. Musiały być czerwone od alkoholu. – Bo zobacz... Przyjechał z tą prezentacją na DEFCON, dali mu w zęby, zabrali komputer... Ale puścili żywcem. A kilka miesięcy później wrócili, do niego i do Kandy, i nie byli już tacy litościwi.

– Faktycznie... Hm. Może znalazł twarde dowody na to, że jego *malware* został rzeczywiście wykorzystany, że rzeczywiście zaważył na wyniku wyborów...

– Mhm. Albo coś podobnego kalibru.

Janek przechylił słoiczek, wysypał oliwki na otwartą dłoń.

– Chcesz trochę?

– A chętnie.

Julita sięgnęła po oliwkę. Dotknęła jego spoconej skóry. Ścisnęła ją w podbrzuszu. Oooookeeeej, Wójcicka, powiedziała sobie w myślach, naprawdę odstaw już tego szampana.

– Jak myślisz... Do kogo pójść z tym wszystkim? – powiedziała, żeby wrócić do rozmowy, zając czymś myśli. – Jak już wrócę do Polski?

– Na razie do nikogo. Potrzebujesz czegoś więcej. Jakiejś podkładki.

– Okej.

– Ale znów, Julita... Czy naprawdę...

– Jeśli X1 jest w to zamieszany? – weszła mu w słowo. – To tak. Warto.

Janek składał folię po chrupkach w harmonijkę, powoli, precyzyjnie, jakby robił origami. Był myślami gdzieś daleko.

– Twarda z ciebie babka – powiedział po chwili.

– O mój Boże, Janek. – Julita położyła dłonie na policzkach. – Czy to był komplement?!

– Oj tam, od razu...

– Heeeej! – zawołała, patrząc w sufit. – Jeśli słuchacie, to zanotujcie proszę: czwartego sierpnia dwa tysiące dwudziestego, dwudziesta pierwsza czterdzieści, Janek mi powiedział komplement!

– Głupia jesteś – rzucił. Ale z uśmiechem. – Serio już jest za dwadzieścia dziesiąta?

– Bez trzech minut, ale tak.

– Dobra, to czas się zawijać. – Janek wstał, otrzepał ręce. – Jutro wstajemy z samego rana. Kto pierwszy bierze prysznic? Ja czy ty?

– Ja – powiedziała. – Faceci zawsze zalewają całą podłogę.

– Okej.

Janek walnął się na łóżko, wyciągnął telefon; chyba coś czytał. Julita weszła do łazienki, rozebrała się, spuściła zimną wodę z prysznica. Kiedy strumień był w sam raz, weszła pod natrysk, namydliła skórę, potem włosy; zamknęła oczy. Cholera, uderzyło ją nagle, przecież nie wzięłam piżamy, a szlafrok został na łóżku. Zawsze może owinąć się w ręcznik, albo poprosić go, żeby jej podał ciuchy, albo...

A może tak wyjść nago, powiedział cichy głosik z tyłu głowy.

Cała mokra.

Ciekawe, jak by zareagował.

Przesunęła namydlone dłonie w dół brzucha, aż poczuła pod palcami włosy.

Wkurzyłyby się na nią, pewnie. Na początku. A potem...

Julita otworzyła oczy, spojrzała w zaparowane lustro.

– Boże, Wójcicka, ja pierdołę – szepnęła, zawstydzona, przestraszona własną wyobraźnią, swoją podświadomością, która wypłynęła na powierzchnię niesiona szampanem, stresem, proszkami. – Ale z ciebie zdzira.

Szybko skończyła prysznic, wytarła się, zaczęła wklepywać w nogi balsam. Cały czas miała czerwone policzki. Nie, mówiła sobie, ja tak naprawdę wcale tego nie chcę, po prostu spędzamy teraz razem dużo czasu, no i okej, jest jakaś chemia, nie zaprzeczam, ale bardziej mnie wkurza, niż pociąga, a poza tym...

Nagle zgasło światło. W łazience zrobiło się zupełnie ciemno.

– Bardzo śmieszne, Janek! – krzyknęła.

Nikt nie odpowiadał. Strach rozlał się po całym jej ciele, wszedł do nóg, do rąk, wlał się do płuc, ścisnął za gardło, uderzył w brzuch.

– Janek? – zawołała; drżał jej głos. – Janek, zapal światło, do cholery!

Kroki. Ktoś stoi przy drzwiach łazienki. Słysząc jego oddech.

– To nie ja – szepnął Janek. – Wychodź. Szybko.

Julita ubrała się w kilka sekund. Wyszła z łazienki na bosaka, w mokrych legginsach, koszulce bez stanika; woda ściekała ze splątanych włosów na plecy. Janek stał przy oknie, z nieodłączną torbą w ręku, wyglądał za okno; czarna sylwetka na tle neonów.

– Co się stało? – spytała.

– Wysiadł prąd – powiedział. – Ale tylko na naszym piętrze.

– Dzwoniłeś na recepcję, czy...

– Nie ma sygnału – przerwał jej. – Na komórkach też nie. Słuchaj, gdzie masz...

– Szanowni państwo. – Z głośników sączył się kobiecy głos. Miły, spokojny, budzący zaufanie. – Przepraszamy za przerwę w dostawie prądu. Prosimy, aby goście na dwunastym piętrze dla własnego bezpieczeństwa pozostali w swoich pokojach. Będziemy informować państwa o...

– Paszport, gdzie masz paszport? – powiedział Janek. Prawie krzyknął.

– Tu, razem z portfelem – zdołała powiedzieć.

– Bierz. I idziemy.

– Ale komputer...

– Nie ma czasu.

Janek złapał ją za rękę, pociągnął. Wyszli na korytarz. Oświecały go tylko światła alarmowe przy listwach podłogowych; panel od windy był wygaszony. Niewiele było widać. Poza sylwetką na końcu korytarza.

– O mój Boże, Janek, o mój Boże, tam...

– Chodź – powiedział. Pociągnął ją na koniec korytarza. No tak, drzwi do wyjścia ewakuacyjnego, do schodów przeciwpożarowych, zejść na dół, będą bezpieczni, już je widziała, trzydzieści, dwadzieścia metrów przed nimi, może zdążą, może...

Janek pociągnął ją w boczny korytarz.

– Janek! – Szarpnęła się. – Tam było wyjście!

– Wiem.

– Puszczaj! Przecież tam...

Zatrzymał się na chwilę. Ścisnął ją za nadgarstki.

– Julita – szepnął. – Musisz mi teraz zaufać. Musisz. Rozumiesz?

Skinęła głową. Po policzkach ciekły jej łzy.

– To chodź. Szybko.

Biegli korytarzem. Na końcu było kilka pokoi. Wszystkie drzwi były zamknięte. Janek otworzył torbę, wyciągnął coś, metalowe pudełko wielkości dłoni. Przyłożył je do zamka magnetycznego. *Bip*, światelko zmieniło kolor na zielony, otwarte. Julita otworzyła usta, ale nie było czasu pytać, nie było czasu się dziwić, już byli w środku.

– Kto tam?! – zawołał ktoś z wewnątrz. Teraz go zauważyła; w korytarzu stał mężczyzna w szlafroku. Trzymał w rękach metalowy drążek, chyba do regulacji żaluzji.

– Nie chcemy zrobić ci krzywdy – powiedział Janek. – My tylko...

– Wypierdalać! – wrzasnął mężczyzna. – Wypierdalać, bo zatłukę!

– Posłuchaj mnie! Nie chcę...

Ale mężczyzna już się zamachnął, drążek przeciął powietrze ze świstem. Janek popchnął Julitę na ścianę, a sam kucnął, unikając ciosu. Chwilę potem uderzył: najpierw w brzuch, a kiedy facet zgiął się wpół, od góry, w nasadę karku, z całej siły. Mężczyzna upadł na ziemię, uderzył twarzą o kamienną posadzkę; coś chrupnęło, chyba nos. Krzyk. Ktoś krzyczy, pomyślała Julita. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to ona, że to jej własny głos.

– Cicho – szepnął Janek. – Musimy być cicho.

Weszli w głąb pokoju. Był trzy, może cztery razy większy niż jej. Ogromne okna, od podłogi po sufit, za nimi rozświetlone miasto. Na

środku bulgotało jacuzzi, obok stało łóżko w kształcie serca. Leżały w nim dwie dziewczyny: chude, tleniony blond, szpilki.

– Błagam, błagam, o Jezusie, mam dziecko – jęczała jedna z nich. Druga zeskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki; trzasnęły drzwi.

– Tędy. – Janek pociągnął Julitę za rękę. Na drugim końcu pokoju, w rogu, były kręcone schody. Apartament był dwupoziomowy. Zbiegli po metalowych stopniach na poziom niżej, wypadli na korytarz. Tu już było światło, z głośników leciała przyjemna muzyka.

– Teraz wyście ewakuacyjne – powiedział Janek. Pobiegli do drzwi, potem w dół schodów, szybko, szybko; Julita zdała sobie sprawę, że krwawi jej stopa, musiała ją o coś rozciąć, i to głęboko; nawet nie poczuła, kiedy się to stało. Słyszeli nad sobą kroki, piętro wyżej. Ktoś biegł. Ktoś w ciężkich butach. O Boże, pomyślała. Ktoś tam czekał. Zabiliby mnie. Już by mnie zabili. Szybciej, szybciej, zeskakiwała po kilka stopni, dyszała, łkała, mało co widziała przez załzawione oczy.

– Teraz tu. – Janek ją pociągnął za rękę. Uniosła oczy do góry. Byli na pierwszym piętrze, nad kasynem. Pobiegli do windy, akurat się zamykała; Janek wsunął rękę między listwę a drzwi, żeby zasłonić fotokomórkę. W środku była dwójka ludzi, facet i kobieta, razem z naręczem dzieci w strojach kąpielowych. Każde trzymało nadmuchiwaną koło ratunkowe: koło-koń, koło-miś panda, koło-smok. Widać wracali z jednego z czterech basenów.

– Bardzo przepraszam – powiedział facet, opalony czterdziestolatek. – Ale chyba się nie zmieścimy, bo...

Janek nie dał mu skończyć, wbił się do środka, zepchnął całą rodzinę pod ścianę; nadmuchiwane zwierzęta zaskrzypiały, dzieci zaczęły się drzeć.

– Tato, tato, on mnie uderzył!

– Waaaaaagh!

– Rick, no powiesz coś, do cholery?!

– Hej! – Ojciec złapał Janka za ramię. – Co ty sobie myślisz?!

Janek nic nie odpowiedział. Po prostu na niego spojrzął, spojrzął tak, że facet z miejsca ucichł. Może pomogło to, że Janek miał na rękach krew; skapywała z rozbitych kłykci, pokrywając podłogę windy ciemnoczerwonymi kropkami.

– O nie... – stęknęła Julita. – Winda... Ona jedzie na górę... Na dziewiąte piętro...

Janek odwrócił się do panelu. Przycisnął guzik „otwórz drzwi” przez pięć sekund, potem „zamknij drzwi” przez kolejne pięć. Na

ciekłokrystalicznym ekranie pojawił się napis: *VIP ACCESS*. WYBIERZ PIĘTRO. Janek wcisnął guzik „C”, kasyno. Winda posłusznie ruszyła w dół.

Stali ściśnięci jak sardynki, twarzą w twarz, spoceni, wystraszeni, każdy z innego powodu. Matka przyciskała do siebie dziewczynkę, ojciec trzymał za rękę dwóch chłopców. Jeden z nich, chyba sześćioletni, spojrzał Julicie prosto w oczy. A potem pokazał jej język.

Winda się zatrzymała. Kasyno. Janek pociągnął Julitę, ruszyli szybkim krokiem w stronę wyjścia. Mijali rzędy jednoręcznych bandytów, wszystko wokół błyskało, świeciło, grało, grzechotały wypadające drobniaki. Julita rozglądała się wokół. Emeryci. Wieczór kawalerski. Wycieczka Japończyków. Kilka dziewczyn w obcisłych satynowych sukienkach. Nagle spomiędzy automatów wyszedł potężny czarny facet w przyciasnym garniturze. Nie było jak go obejść, wyminąć, może się cofnąć, ale tamci z góry już na pewno depczą im po piętach. Kurwa, kurwa, kurwa!

– Przepraszam państwa bardzo – powiedział osiłek, patrząc na bose, zakrwawione stopy Julity. Specjalnie się nie zdziwił. Widział pewnie gorsze rzeczy; w końcu to było Las Vegas. – Ale w naszym kasynie obowiązuje *dress code*, buty i koszula są obowiązkowe.

– Słucham? – spytał Janek. – A, tak oczywiście, my tylko przechodzimy...

– Rozumiem. W takim razie odprowadzę państwa do wyjścia.

– Nie, nie trzeba. Spieszmy się... Spieszmy się na koncert.

– Na koncert? – Ochroniarz uniósł brew, znów spojrzał na jej stopy. – Mhm...

– Wie pan, wyszliśmy tak w pośpiechu, bo na naszym piętrze kręcili się jacyś podejrzeni ludzie. Rozumie pan? Lepiej dmuchać na zimne.

– Rozumiem. – Facet nagle spoważniał. – Zajmę się tym.

Ochroniarz ruszył w stronę windy, mówiąc coś szeptem do mikrofonu ukrytego w mankiecie koszuli. Janek pociągnął Julitę w stronę drzwi.

– To ich może spowolni – powiedział.

– Czemu mu nie powiedziałaś, co się dzieje? Może by nam pomogli, zadzwonili po policję...

– Ten hotel nie jest bezpieczny – odpowiedział Janek, nie zwalniając. – Nie wiemy, ilu ich jest, gdzie są, za kogo mogą być przebrani. Nawet jeśli przyjedzie tu policja... To wcale nie oznacza, że zawiozą nas na posterunek. Rozumiesz?

– To jaki jest plan?

– Musimy się stąd wydostać – powiedział. – Na Strip. Tam złapiemy transport na lotnisko. To nasza najlepsza opcja, na lotnisku nie odważą się uderzyć. Okej?

– Okej.

– Idziemy przed siebie. Szybko, ale nie biegniemy. Nie chcemy na siebie zwrócić uwagi ani tym bardziej wywołać paniki. Jeśli ludzie wokół się przestraszą, zrobi się chaos i łatwiej będzie nas zdjąć. Jasne?

Julita kiwnęła głową. Chwilę później byli już na zewnątrz; wciąż było gorąco, duszno. Przeszli przez most nad oczkiem wodnym, chwilę później dotarli na Strip, byli w tłumie pijanych ludzi: mężczyźni w koszulkach rozpiętych do pępka, dziewczyny chwiejące się na obcasach jak na szrudłach. Teraz tylko złapać taksówkę, czemu w tym pieprzonym mieście jest tak mało taksówek, może tam, na rogu, będzie można obstać dwie ulice naraz.

Julita zobaczyła znajomą twarz. Przed nimi. Łysa głowa, zadarty nos, zimne niebieskie oczy. Trzymał coś w ręku, pod przewieszoną przez ramię kurtką. Pistolet. Z tłumikiem.

– O Boże, Janek. – Szarpnęła go za rękę. – Patrz... Tam... Widzisz?

– Nie zatrzymuj się.

– Z tyłu też są. Widzę ich z tyłu.

– Wiem, że są z tyłu.

– Nie zastrzelą nas tu? Prawda? Janek, prawda? Za dużo ludzi?

– Tylko, że nikt na nas nie patrzy. Wystarczy, że nas dogonią, przystawią lufę do pleców. To koniec. Chodź, nie zwalnij, do cholery.

– Janek, moja stopa... Rozcięłam sobie do mięsa...

– Musisz. Musisz, Julita.

– O Jezu, o Jezu, oni tu idą... Ten przed nami... I ten z tyłu...

– Nie zatrzymuj się.

– Pomocy!!! – krzyknęła Julita. Nie chciała tego zrobić. Po prostu nie wytrzymała. – Ratunku!!!

Janek zatrzymał się, zasłonił jej usta. Drżała mu ręka. Ludzie posyłali im zdziwione, lekko zaniepokojone spojrzenia; wszyscy pamiętali o strzelaninie, która wydarzyła się tu trzy lata temu. Wariaci? A jeśli tak, to czy uzbrojeni? Uciekać? Nie uciekać?

– Nie krzycz – syknął. – To nic nie da, a jeśli wybuchnie panika...

Nie słuchała go. Myśl. Myśl. Myśl, bo zginiesz. Rozejrzała się wokół. Byli koło tego salonu Swarovskiego, obok wielkiej szklanej kuli, która mieniła się jak brylant.

– Klękniij – powiedziała, zadziwiona własnym spokojem.

– Julita, co ty...

– Teraz to ty musisz mi zaufać. Okej?

Spojrzał jej w oczy. Skinął głową. Zrobił, jak prosiła.

– *Ooooh myyyyy goooood!!!* – wrzasnęła Julita co sił w płucach. Włożyła w ten krzyk cały swój strach. – Nie wierzę! Janek, ojej, myślałam, że już nigdy tego nie zrobisz!!!

Ludzie zaczęli zwalniać. Zaintrygowane miny, co się dzieje? Dobrze, o to chodziło. Julita zsunęła z palca pierścioneł – proste metalowe kółko z ametystem, które dostała od Magdy na czternaste urodziny – i wsunęła je Jankowi w dłoń. Uśmiechnął się. Zrozumiał.

– Julita – powiedział, też głośno, z teatralną emfazą. – Znamy się co prawda krótko, bo nieco ponad dwa lata...

Ludzie zaczęli się zatrzymywać. Najpierw dwie, trzy osoby. Za nimi następne, zaintrygowane, co zaciekało tamtych. Ktoś wyciągnął telefon, zaczął ich nagrywać.

– ...i szczerze mówiąc, były takie momenty, że strasznie, ale to strasznie mnie wkurzałaś... – ciągnął Janek.

– ...o mój Boże, ty mnie też! Nawet sobie nie wyobrażasz!

– ...parę razy nazwałem cię nawet wariatką. – Janek mówił tak głośno, że zaczął chrypieć. – ...Ale ... Ale i tak nie chcę nikogo innego...

– Oooo, ale słodkie – powiedziała kobieta z tłumu.

– Romantyk!

– Tśś, nie przeszkadzajcie im!

– I bardzo, bardzo mi zależy – wył Janek, teraz oświetlony już dziesiątkami fleszy, otoczony wianuszkami ludzi. Ich uwaga, ich komórki, transmisje *live*, były gwarancją bezpieczeństwa. – Żebyś wróciła ze mną do domu...

– Och!

– No i... Dlatego chciałbym cię spytać... Wyjdiesz za mnie?

– Powiedz „taaak”! – krzyknął ktoś z tłumu.

– Morda! – warknął ktoś inny w odpowiedzi.

– Taaaaak!!! – powiedziała Julita. A potem pociągnęła Janka do góry, oplótła ramionami i pocałowała. Oklaski. Flesze. Gwizdy. Nie udawała. On też nie. Miał słone usta, gorący język, pachniał potem, słońcem, krwią; ścisnął ją w biodrach, złapał za włosy. Dali tłumowi show, którego ten oczekiwał.

– Wooooow!

– Vegas, *baby*!

– Sto lat, sto lat, sto lat!

W końcu odsunęła się od niego; delikatnie. Czas zniknąć.

– Janek... – powiedziała, głośno, żeby przebić się przez tłum. – Weźmy ślub już teraz! W Vegas!

– Oooooo!

– Aaaach!

Jeszcze więcej gwizdów, oklasków, tłum zrobił się jeszcze gęstszy.

– Taksówka! Wezwie pan nam taksówkę?

– Co? Tak, pewnie...

– A wy? Wy tam? Będziecie naszymi świadkami?

– Helen, co myślisz...

– Nie no, chętnie...

– Taxi! Jest taxi!

Julita spojrzała na kierowcę. Hindus w turbanie, uśmiechnięty od ucha do ucha. On też mógł być podstawiony, ale nie mogli dłużej zwlekać, musieli zaryzykować. Wsiedli do środka, zamknęli za sobą drzwi. Za szybą widziała dziesiątki uśmiechniętych twarzy. I jedną, na której rysowała się irytacja. Łysy mężczyzna o niebieskich oczach.

– Gdzie mam was zawieźć? – spytał taksówkarz.

– Na lotnisko – powiedział Janek.

– Co? Ale tam nikt wam nie udzieli...

– Wiem. Po prostu jedź.

Kiedy samochód ruszył, Julita opadła na siedzenie i schowała twarz w dłoniach.

Bzzt. Bzzt. Bzzt. Oleg wciskał guzik domofonu raz za razem; nic, żadnej odpowiedzi. Może po prostu nie słyszy, powiedział sobie w myślach. Może właśnie bierze prysznic. Bardzo długi prysznic.

Ruch na klatce; w szybie pojawiła się sylwetka, rozpixselowana przez zatopioną w szkle drucianą siatkę. Kiedy drzwi się otworzyły, pchnięte przez dziadka w staromodnym kaszkiecie, Oleg wślizgnął się do środka. To była stara, jeszcze przedwojenna kamienica; w Warszawie rzadki okaz. Podłoga wyłożona kaflami, wysokie sufity, gięta poręcz. I oblepiający wszystko brud, brud nawarstwiony przez dziesięciolecia, zamalowany cienką warstwą łuszczącej się farby. Gdyby go zdrapać, kluczem albo pięciogroszówką, można by się pewnie dokopać do sadzy wyplutej w powietrze przez umierające miasto, czarny puder, który opadł na budynki po prawej stronie Wisły.

Oleg biegł po schodach; jego kroki niosły się echem po klatce. Liina wynajmowała mieszkanie na samej górze, na piątym piętrze. Był tu już

kiedyś, pomógł jej wnieść kanapę. Zajęło im to pół godziny, bo cholera ważyło chyba z pół tony, nie było jak go wygodnie złapać, wrzynało się w palce, więc co chwilę robili przystanki. W ramach podziękowania Liina wzięła go potem na pizzę do knajpy po drugiej stronie ulicy. Musisz kiedyś jeszcze wpaść, powiedziała, kiedy szedł już na przystanek. Inaczej sobie to wyobrażał.

Wbiegł na ostatnie piętro zlany potem, łapał haustami stęchłe, nagrzane powietrze. Mieszkanie numer 12, potężne drewniane drzwi pomalowane na wściekle zielony kolor. Zapukał. Załomotał. Nic. Przystawił ucho do drzwi. Coś słyszał. Coś jakby śmiech.

– Liina! – krzyknął. – Liina, jesteś tam?

Żadnej odpowiedzi. Pchnął drzwi z całej siły; przesunęły się o jakiś centymetr, dwa, potem szcęknął napięty łańcuch. Przez szparę widać było korytarz: na ziemi leżała jej torba, bluza. A obok kocie gówno.

– Cholera... – jęknął Oleg. Rozejrzył się dookoła. Długi parapet zastawiony doniczkami z aloesem, wgnieciona plastikowa butelka wypełniona zielonkawą wodą, a w rogu, oparte o ścianę, czyjeś kule. Oleg złapał je i wetknął w szparę w drzwiach mieszkania Liiny, i popchnął, raz, drugi, trzeci; łańcuch strzelił, rozsypując wokół pozłacane ogniwa. Oleg rzucił zgięte kule i wszedł do środka. Śmierdziało. Ale nie tak, jak się obawiał. Nie gnijącym mięsem. Liina leżała na kanapie, owinięta kocem, skulona. Wokół wały się puszki, papierki. A przed nią, na stoliku, stał laptop, na którym leciał odcinek *Przyjaciół*. Sypały się żarty, rozochocona niewidzialna widownia kwiczała ze śmiechu.

– Liina? – Oleg kucnął przy kanapie. – Hej, co z tobą?

Spojrzała na niego. Czerwone oczy obramowane rozmazanym tuszem. Nic nie odpowiedziała.

– Hej, strasznie się o ciebie martwiłem... Słyszałem, że coś się stało w pracy i...

– Przesuń się – wychrypiała.

– Słucham?

– Zaraz będzie scena ze strefami erogennymi.

– Że co?

– Patrz.

Oleg odruchowo spojrzał na ekran. Słynne nowojorskie mieszkanie złożone do kupy w kalifornijskim studiu. Rachel i Monica siedzą na kanapie, obok nich Chandler; wszyscy młodzi, piękni, zamrożeni w latach dziewięćdziesiątych, kiedy wciąż rządziła flanela i balejaż, kiedy wszystko było o tyle prostsze. Monica rysuje właśnie w zeszycie schemat

kobiecych stref erogennych, postanowiła wreszcie wytłumaczyć mężczyznom co i jak.

– Ta... Ta tu też? – Speszony Chandler pokazuje coś na rysunku.

– Mhm. I to dość ważna.

– Tak, tak. Oczywiście, wiem. Po prostu patrzyłem do góry nogami.

– To czasem pomaga – dorzuca Rachel.

– Ha, ha, zawsze mnie to bierze. – Liina zaniósła się śmiechem suchym jak kaszel, wtórując widowni. A potem, nagle, jak gdyby ktoś pstryknął przełącznik, zaczęła łkać. Strasznie. To był szloch, który wyginał ciało, rwał oddech, zabierał słowa. Próbowwała coś powiedzieć, ale w ustach wzbierała ślina, której nie była w stanie przełknąć, która ściekała jej po brodzie, a z krtani wydobywały się tylko jęki.

– Już w porządku, w porządku – powtarzał Oleg jak mantrę, głaszcząc ją po pozlepianych włosach, chciał zaszeptać jej strach, swój strach. – Już w porządku.

– Ja... Ja... – Każde słowo to była dla Liiny walka, wysiłek.

– Tśś. Już w porządku.

Siedział przy niej. Kołysał ją w ramionach, szeptał, aż zaschło mu w gardle. Dopiero po jakiejś półgodzinie poczuł, że Liina przestaje dygotać, że się uspokaja. Pomógł jej usiąść, podał chusteczki, zrobił herbatę; żeby dostać się do kranu, musiał wyjąć ze zlewu naczynia pokryte zaskorupiałym brudem i przepędzić wygłodniałe koty. Minęła godzina, nim Liina była w stanie mówić.

– O Boże, Oleg... – wychrypiała, zaciskając dłonie na kubku. – Przepraszam...

– Nie przepraszaj.

– Ja... – Dziewczyna omiotła wzrokiem zaśmiecony pokój, w oczach znów zaczęły wzbierać jej łzy. – Ja naprawdę...

– Wszystko okej. Nie przejmuj się.

Liina zbliżyła kubek do spierzchniętych, drżących ust, upiła zimnej herbaty. Mimo że w mieszkaniu był ukrop – ostatnie piętro pod blaszanym dachem – wciąż siedziała zawinięta w gruby polarowy koc.

– Dzięki, że przyszedłeś – powiedziała po chwili. – Sama... Nie wiem, kiedy sama bym wstała.

– Nie ma za co.

– Jest. – Liina się wzdrygnęła, poprawiła koc. – Jest.

O nogi Olega ocierały się dwa koty, wydając z siebie roszczeniowe miauczenia: nakarm! zmień wodę! wyczyść kuwetę! Odtrącił je delikatnie. Wszystko w swoim czasie.

– Słuchaj... – zaczął. – Co... Co się właściwie stało?

– Nic wielkiego. Po prostu... Przekonałam się, gdzie leży moja granica.

– Liina wytarła wyschniętą ślinę z kącików ust. – Myślałam, że skoro pracuję w moderacji już dwa lata, to mam taką grubą skórę, że wiesz... Że nic nie robi na mnie wrażenia. Ale wczoraj... Cały dzień spływały do nas te nagrania z Nowej Zelandii. Non stop. Tam jest taki kawałek... Jak ten chłopiec... – Znow zaczął drzeć jej głos.

– Wiem – powiedział Oleg ze ściśniętym gardłem. – Wiem który.

– ...za pierwszym razem po prostu skasowałam. Za drugim. Za trzecim. Ale jak zobaczyłam to po raz czwarty... Ten strach w jego oczach, i potem pada na ziemię... Już się nie rusza, ale ten facet strzela do niego dalej i się śmieje...

– Liina...

– I wszyscy krzyczą... Boże, jak strasznie krzyczą... I... Ten chłopiec nie ma już głowy, tylko...

Oleg usiadł koło niej na kanapie, objął ją. Liina wzięła głęboki oddech, wypuściła powoli powietrze.

– Jak zobaczyłam to po raz czwarty – powiedziała po chwili, już spokojniej – poczułam, że muszę stamtąd wyjść. Natychmiast. Jakoś jeszcze dotarłam do domu... Jakby mnie ktoś nakręcił... Ale jak tylko tu weszłam... Totalnie się rozsypałam.

– Spokojnie. Pozbieramy cię.

Za oknem wylądował gołąb. Przyglądał się im chwilę okiem jak koralik, czymś zdziwiony, a potem odfrunął.

– Cholera... – Oleg podrapał się po głowie. – Miałem nadzieję, że po tej czystce... Wiesz, po skasowaniu tych fejkowych kont... Że będzie lepiej. Że będzie mniej tego syfu.

– Moim zdaniem jest na odwrót.

– Co?

– Jest tego więcej.

– Serio?

– Mhm. Któryś raz już to widzę. Wywalają fałszywe profile... I zaraz potem jeb! – Liina pstryknęła palcami. – Wybija szambo.

– Hm. Dziwne. Znaczący nie spodziewałbym się, że problem zupełnie zniknie, bo część tego gówna wrzucają w końcu normalni ludzie...

– No, czy tacy znowu normalni, tobym polemizowała.

– Racja. Prawdziwi ludzie, o to mi chodziło.

– Szczerze mówiąc, nie byłabym taka pewna – powiedziała Liina. – Po tym, jak mi powiedziałeś, jak można rozpoznać fałszywe profile, sama

zaczęłam na to zwracać uwagę... Wiesz, zrobiłam z tego taką grę, żeby czymś zająć głowę... No i część tego ruchu to na pewno fejki.

– Powaga?

– Mhm.

– Ale takie... Takie polityczne?

– Hm... – Liina potarła nos. – No, chyba tak. Tak bym powiedziała. Bo to są te same wątki. Wiesz, że przyjdą uchodźcy, Arabowie i lesbijki i to będzie koniec świata.

– Dziwne... Bardzo dziwne...

Miaaaaau!!!, jeden z dachowców tracił już cierpliwość.

– Słuchaj, nakarmię te twoje koty, bo zaraz zaczną mi obgryzać nogi.

– Tak, tak... Boże, od dwóch dni nic im nie dałam... Karma jest w tej szafce koło lodówki.

– Tu?

– Jedna wyżej... O, tam właśnie. Dzięki.

Kiedy tylko Oleg otworzył drzwiczki, koty zaczęły tańczyć wokół misek. Suche kulki zagrzechotały o dno plastikowych miseczek, a potem słychać było już tylko miarowe *chrup, chrup, chrup*.

– Wiesz, o co chodzi? – zawołała Liina z kanapy. – Moim zdaniem?

– Hm?

– No, czemu jest więcej toksycznego kontentu zaraz po czystce.

– A. No?

– Bo robi się próżnia. – Liina odstawiła pusty kubek po herbacie na stół. – Okej, skasowaliśmy ileś stron czy profili, które wrzucają ten syf... Ale nie ludzi, którzy chcą to oglądać. Oni tam wciąż są. Do wzięcia.

– Czyli co...

– Po czystce powstają na wyścigi strony linkujące hardcore'owy kontent... Bo ludzie ich chcą. Bo stracili swoje stare źródła rozrywki, więc szukają nowych.

– Jest popyt, to jest podaż?

– Dokładnie. A przy okazji... Przy okazji możesz im napakować do głowy, co chcesz.

Oleg wstał, zaczął wkładać brudne naczynia do zmywarki. Na dnie zlewu, między kawałkami rozmiękłego jedzenia, kłębiły się rybiki. Oleg skrzywił się, a potem odkręcił kran i splukał je gorącą wodą.

– Mówiłaś o tym komuś? – spytał.

– A myślisz, że na górze o tym nie wiedzą?

Dobre pytanie, pomyślał Oleg, namydłając ręce.

– Zobaczymy – powiedział. – Pogadam z Polą.

– Mhm. Oleg?

– No?

– Jak będziesz jutro w biurze – Liina wstała, zachwiała się, oparła o ścianę – to przekaż, że ja już nie wrócę.

Julita przez cały lot nie zmrużyła oka. Janek zresztą też nie. Gadali. Najpierw o tym, co się właściwie stało w hotelu („Skąd wiedziałeś, którądy iść?”, „Kiedy ty poszłaś pod prysznic, oglądałem plany budynku. Pomyślałem, że lepiej opracować trasę ewakuacji, tak na wszelki wypadek”, „A te drzwi? Jak otworzyłeś drzwi w pokoju tamtego gościa?”, „W Lancelocie były zamki Onity. One są wadliwe, mają wgrany do pamięci własny klucz kryptograficzny. Wystarczy taki gadżet za pięćdziesiąt dolców, żeby go zgrać, a potem otworzyć nim drzwi. To tak, jakby każde drzwi z zamkiem tej firmy miały klucz schowany pod wycieraczką”. „Aha. A winda?”. „Wiele modeli ma wbudowany taki *override*, dla obsługi. Jest w dokumentacji, którą można znaleźć w sieci”). Potem o tym, co się stanie, jak wylądują („Udało mi się załatwić, żeby wypuścili nas z lotniska bocznymi drzwiami. Masz miejsce, w którym możesz się na jakiś czas zaszyć?” „Coś wykombinuję”). Nie poruszyli za to innego palącego tematu, o którym oboje chętnie by zapomnieli.

– Witamy państwa na lotnisku Chopina w Warszawie – powiedziała stewardesa. – Lokalny czas to dziesiąta piętnaście rano, a temperatura wynosi dwadzieścia siedem stopni. Życzymy...

Pasażerowie nie byli najwyraźniej zainteresowani życzeniami, bo zerwali się z foteli, zaczęli zbierać swoje rzeczy, wyciągać torby ze schowków. *Trzask, trzask, trzask*. Julita zamknęła oczy, zacisnęła ręce na oparciach fotela. Oddychała powoli, tak, jak pokazał jej wtedy Janek. Spokojnie, zaraz stąd wyjdiesz, staniesz na twardym gruncie. A potem... Potem będziesz się martwić, co potem.

Ludzie stali w korytarzu, stłoczeni, zgięci, wymiętoszeni. Wreszcie otworzyły się drzwi i ruszyli przed siebie. Teraz albo nigdy, pomyślała Julita.

– Janek?

– No?

– Słuchaj, jeśli chodzi o... No, wiesz... O tamto...

– Mhm. Wiem.

– No... Nie powinniśmy o tym pogadać?

Janek schylił się, żeby zawiązać buty. Na kłykciach miał strupy.

– A jest o czym? – spytał.

– No właśnie to mnie intryguje. Jest? Twoim zdaniem?

Janek się wyprostował, poprawił koszulkę. Widać było, że jest skrępowany, że nie lubi takich rozmów. Wcale jej to nie zdziwiło. No dobrze, westchnęła w myślach. To w takim razie ja zacznę.

– Bo widzisz... Mówię sobie, że to była tylko, no, potrzeba chwili... Że to nic nie znaczyło... Ale... – Zawahała się. – Sama nie jestem pewna, czy to prawda. Czy to wszystko, co powiedziałam, to były kłamstwa. Rozumiesz?

– Mhm.

– Nie mówię, że będę cię trzymać za słowo... Wiesz, że cię zaciągnę zaraz przed ołtarz...

– Uff.

– Ale... No... Może coś jest na rzeczy. Hm? Janek? Powiesz coś?

Janek wstał, przewiesił torbę przez ramię.

– To nie jest dobry moment.

– Wiem, że to nie jest dobry moment – zachnęła się. – To jest fatalny moment. No, ale tak wyszło.

Stanęli w korytarzu. On z przodu, ona z tyłu.

– Janek, naprawdę, to twoje zbywanie mnie milczeniem jest strasznie...

– Myślę.

– Aha. Okej. To nie przeszkadzam.

Przeszli dwa rzędy foteli, potem się zatrzymali. Jakiś facet postanowił przepakować walizkę na środku korytarza. Rozległy się znaczące chrząknięcia i pełne pretensji westchnięcia. Wszyscy chcieli już wyjść.

– Julita... – szepnął Janek. Stanęły jej włosy na karku. – Ktoś próbował cię zabić. Nie wiemy, czy nie spróbuje tego zrobić znowu. To jest to, na czym się musisz teraz skupić.

– Ale...

– A kiedy sytuacja się uspokoi... Wrócimy do tej rozmowy. Okej?

– Okej – odpowiedziała. Ścisnęło ją w brzuchu.

Wyszli z samolotu do rękawa, potem na terminal. Czekają na nich dwoje policjantów, w cywilu, jakiś facet i ta babka, przyjaciółka Janka ze służby, chyba Martyna czy jakoś tak. Skinęli im głowami na powitanie, pokazali, żeby pójść za nimi. Podeszli do nieoznakowanych drzwi.

– Macie bagaże do odbioru? – spytała policjantka.

Julita pokręciła głową. Nie miała nic poza portfelem i komórką; jej ubrania były przeпоcone i brudne. Tylko buty świeciły nowością. Kupiła je na lotnisku w Las Vegas za czterdzieści dolarów. Razem ze skarpetkami, które zdążyły już przesiąknąć krwią.

– W takim razie zapraszam – powiedziała Martyna. Zeszli schodami na dół, do samochodu. Umówili się, że policja zawiezie ich na terminal cargo, żeby zmylić trop, na wszelki wypadek. Tam na Julitę mieli czekać Magda i Leon. Janek był temu przeciwny, mówił, że oni też mogą być pod obserwacją. Przekonała go, żeby odpuścił. Strasznie chciała się z nimi zobaczyć. Z różnych względów.

Boże, pomyślała, Leon. Muszę z nim porozmawiać. A może nie muszę? Może na razie nie ma o czym? To nie jest tak, że się z Jankiem przespała, a te oświadczyły, no, nie mieli wyboru. Ale nie, skarciła się w myślach, on zawsze jest wobec mnie taki fair, szczerzy, wręcz szczerzy do bólu. Nie mogę mu tego zrobić.

– Gdzie jest to mieszkanie? – Janek wyrwał ją z zamyślenia.

– Hm?

– To mieszkanie Magdy, do którego cię zawiezie?

– Muranów. Chyba gdzieś na Andersa.

– Okej. Staraj się nie wychylać przez jakiś czas, dobra? Ja pomyślę, co da się zrobić... Może Bobrzycki nam pomoże.

– Prokurator?

– Mhm.

Samochód zatrzymał się pod terminalem cargo. Wysiedli z auta.

– Będziesz miała komputer? – spytał Janek.

– Tak, poprosiłam, żeby przywieźli mi zapasowy. A co?

Janek chwilę nie odpowiadał. Szli po rozgrzanym asfalcie w stronę krytego blachą budynku; obok nich przejechała ciężarówka z kontenerami.

– Nie zrób teraz nic głupiego, okej? – powiedział w końcu. – Nie wsadźaj ręki w drzwi. Nie wychylaj się. Jasne?

Julita skinęła głową; znała stawkę. Chciała jeszcze porozmawiać, ale Janek uciekł od jej spojrzenia. Kiedy weszli do hali, od razu zobaczyła znajome twarze. Magda, jak zwykle odwalona, ale z niepokojem wymalowanym na twarzy. I Leon. Z wielkim bukietem czerwonych róż.

Mieszkanie było małe i tandetnie wykończone, typowy lokal na wynajem; Magda kupiła je kilka miesięcy wcześniej, płacąc pieniędzmi, które Leszek musiał jej przelać po przegranej rozprawie rozwodowej. Łóżko. Julita marzyła o łóżku. Jakimkolwiek, mógłby nawet być stary materac rzucony na podłogę albo karimata. Ale wiedziała, że prędko się nie położy. Najpierw Magda zmyje jej głowę, powie, co myśli o jej życiowych wyborach, a Julita będzie przytakiwać, bo, po pierwsze, ze starszą siostrą ciężko się dyskutowało, a po drugie, no cóż, miała sporo racji. A to i tak tylko rozgrzewka, bo potem czekała ją jeszcze rozmowa z Leonem. Na samą myśl cierpła jej skóra.

Usiedli w kuchni, przy chińszczyźnie odgrzanej w mikrofalówce. Julita, dla której nie zaczęła się jeszcze nawet pora na śniadanie, grzebała w talerzu z grzeczności. Leon i Magda też nie przejawiali większego zainteresowania jedzeniem. Wiedzieli, co się stało w Las Vegas, może nie wszystko, nie znali każdego szczegółu, ale dość, żeby stracić apetyt.

– Nie rozumiem, czemu policja nie przydzieli ci ochrony? – Magda próbowała złapać kawałek smażonego tofu jednorazowymi pałeczkami.

– Przerabialiśmy to już. Bo nie mam żadnych dowodów na to, że moje życie jest zagrożone.

– Aha. To, że ktoś cię ganiał po mieście z pistoletem, się przypadkiem nie kwalifikuje?

– Gdybym to zgłosiła w Las Vegas, to pewnie tak. Ale jak już wsiadłam do taksówki, nie miałam ochoty na przystanek na posterunku.

Zrobiło się cicho. Magda była zła, to jasne. Leon też jakiś nieswój.

– Słuchajcie... Przepraszam, że was przepuszczam przez coś takiego. Rozumiem, że to musi być ciężkie...

– Julita, kochanie... – Leon położył jej dłoń na ramieniu.

– Ja tam się już przyzwyczaiałam. – Magda wsadziła tofu do ust; mówiła z pełną buzią. – Wiesz, co mi pomogło? Czytałam ostatnio książkę o jednym z tych alpinistów, co to wyszedł w góry i nie wrócił, zostawiając pogrążoną w żałobie wdowę i czwórkę zapłakanych dzieci. Koleżanka z pracy mi mówiła, że to takie inspirujące, że wzruszające. Ale ja miałam inne myśli.

– Jakie?

– Że ci koleś to samolubne chujki. – Magda popiła jedzenie wodą, zostawiając na szkle ślad szminki. – Doskonale przecież wiedzą, czym grozi to łażenie po Himalajach, jak to się może skończyć. Ba! Specjalnie sobie utrudniają życie. Latem jest w miarę bezpiecznie? No, to chodźmy zimą. Ubezpieczenie? E tam, ubezpieczenie, żal pieniędzy. Hej, przygodo! I po co to wszystko? Po gówno. Tak, tak. Gówno. Robią to dla adrenaliny. A rodzina? Niech siedzi i gryzie do krwi paznokcie. I ty jesteś taka sama.

– Magda...

– Nie magduj mi tu – warknęła. – To jest nałóg, moja droga. Próbowałam interweniować, raz, drugi, ale widzę, że to nic nie daje. Trudno. Ja od teraz żyję ze świadomością, że nie dożyjesz trzydziestki. Dla własnego zdrowia psychicznego już się z tobą pożegnałam. Wiem już nawet, co założę na twój pogrzeb. To futro, którego nie znosisz.

– Słuchaj, rozumiem, że jesteś zła, ale... – Leon spróbował wejść jej w słowo; w jego głosie było słychać wzbierającą irytację.

– A wiesz, co będzie na wstędze? – ciągnęła niezrażona Magda. – „Mojej siostrze idiotce. Zginęła na własne życzenie”.

– Jesteś nie fair. Ja wcale...

– Sorry, nie mam zamiaru tego słuchać. – Magda wstała od stołu. – Ciuchy masz w tej torbie, komputer jest w plecaku, lodówka jest pełna żarcia. Możesz tu zostać, jak długo chcesz. Tylko jak przyjdą cię zabić, to wyjdź, proszę, na korytarz, bo ciężko potem wynająć mieszkanie, w którym znaleźli trupa.

– Magda! – Leon walnął pięścią w stół.

– Uwaga, nie tak mocno, blat jest ze sklejki – rzuciła jeszcze starsza z sióstr, a potem trzasnęła drzwiami. Chwilę jeszcze było słychać jej obcasy tłukące wściekle o posadzkę.

Julita odsunęła talerz. Teraz to już naprawdę nie miała ochoty jeść.

– Tym razem już przegięła – mruknął Leon, a potem spojrzał w jej stronę. Z troską w oczach. – Trzymasz się?

– Tak, tak – skłamała Julita. Tak naprawdę było jej przykro. Kurewsko przykro.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

Przytul mnie, pomyślała Julita. Przytul mnie i trzymaj, dopóki nie zasnę. A najlepiej dopóki się nie obudzę. Kusiło ją, żeby to powiedzieć na głos. Zrobiłby to, zrobiłby bez dwóch zdań. Ale musiała z nim najpierw porozmawiać. Chociaż to była ostatnia rzecz, na którą miała teraz ochotę.

– Leon... Muszę ci coś powiedzieć.

– Okej... – Spojrzał w bok. – Hm.

– Co?

– No... – Leon przejechał palcami przez włosy. – No tak się składa, że ja też. Chciałem poczekać na lepszy moment, bo... Chyba nie muszę tłumaczyć, czemu.

– Ale o co chodzi?

– Muszę... Cholera. Muszę ci się do czegoś przyznać.

No pięknie, pomyślała Julita. Robi się coraz ciekawiej.

– Aha... – powiedziała. – No dobra, miejmy to za sobą. Ty pierwszy.

Leon wbił wzrok w podłogę, skubał nerwowo paznokcie.

– Zanim... Zanim przejdę do rzeczy... Julita, ja strasznie się o ciebie martwię. Już wtedy, jak wyjechałaś do Londynu... Non stop myślałem, co się z tobą dzieje. Czy nie dostałaś ataku paniki, czy pamiętałaś o proszkach, czy... No, wiesz. Czy ci się nic nie stało. Czy ktoś ci nie zrobił krzywdy.

– Mhm. – Julita odsunęła się od stołu, skrzyżowała ramiona na piersiach. Zaniepokoiła ją ta obszerna preambuła.

– Jak obwieściłaś, że lecisz do Las Vegas... Ot, tak, z marszu, bez żadnego przygotowania, bez konsultacji z terapeutą, mimo że jak ostatnim razem próbowałaś wejść do samolotu, skończyło się to...

– Byłeś przeciwny. – Julita postanowiła przejść do sedna. – Co zakomunikowałeś jasno i dobitnie.

– A ty mnie zignorowałaś.

– Nie, nie zignorowałam. Po prostu podjęłam własną decyzję.

– Racja. Masz rację... – Urwał. – Ale... Na myśl, że będziesz tam na drugim końcu świata, sama, a ja nie będę wiedział, co się z tobą dzieje, że gdyby coś się stało, nie będę w stanie ci pomóc...

Przestała go słuchać. Bo zrozumiała, dokąd zmierza.

– O mój Boże... – wyszeptała.

– Co?

– To ty wsadziłeś mi tego trackera do torby?

Leon otworzył szeroko usta. Jeszcze nic nie powiedział, ale jego przeproszająca mina stanowiła wystarczający dowód. Julita czuła, jak poczucie winy ustępuje miejsca wściekłości.

– Ja pierdołę... – jęknęła. – Nie wierzę... Mój własny chłopak...

– Julita, zrozum... To było na wszelki wypadek, gdyby...

– Zaobrączkowałeś mnie. – Weszła mu w słowo. – Jak jebanego bociana.

– Oczywiście, możesz to w ten sposób strywializować, ale...

– Och, ty i te twoje mądre słowa. Stry-wia-li-zować – powiedziała, przeciągając sylaby.

– O co ci chodzi?

– Zawsze to robisz. Chowasz się za ładnymi zwrotami, za okrągłymi zdaniami. Żeby przypadkiem nie nazwać rzeczy po imieniu. – Julita zgrzytnęła zębami, przełknęła cisnące się na usta przekleństwa. – Wiesz, co to było? Totalny brak zaufania. Inwazja w moją prywatność. Potraktowałeś mnie jak swoją rzecz.

– Julita, rozumiem, że jesteś zła, ale może się nie zapędzajmy...

– Wiesz, jak się najadłam strachu, kiedy go znalazłam? Wiesz, co sobie wtedy pomyślałam? Prawie dostałam zawału. Spróbuj postawić się na moim miejscu. Spróbuj...

Urwała. Bo Leon zwiesił głowę. I uśmiechnął się pod nosem.

– Można wiedzieć, co szanownego pana tak rozbawiło?

– „Spróbuj postawić się na moim miejscu...” – powtórzył po niej. – A to dobre. Szkoda, że sama nie stosujesz czasem tej metody. Zdajesz sobie sprawę, co ty nam robisz? Na jaki stres nas wystawiasz?

– O, widzę, że wymienialiście się z Magdą notatkami.

– Znowu to robisz.

– Co?

– Trywializujesz – powiedział Leon. – Zbywasz głupim żartem. A ja mówię poważnie. Tak, przyznaję, zrobiłem źle. Ale zrobiłem to dlatego, że wariowałem ze strachu o ciebie.

Nie odpowiedziała. Utkwiła wzrok w wystygłym jedzeniu.

– Jezu, Julita... – Leon potarł czoło. – Wiem, że to nie jest to, czego teraz potrzebujesz... Że... Boże, nawet nie chce mi to przejść przez gardło. Że ktoś próbował cię zabić. Może wrócimy do tej rozmowy później, kiedy dojdiesz do siebie.

Cisza. Julita założyła nogę na nogę.

– Julita, przeprosiłem cię. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić, żeby...

– Nic. Nic nie możesz zrobić.

Westchnął ciężko, teatralnie, żeby pokazać jej, jak mu smutno, żeby wymusić jakąś reakcję. Nie zareagowała. Znała ten trik. I bardzo go nie lubiła.

– A ty? – spytał Leon. Widać wolał kolejną kłótnię niż dzwoniącą w uszach ciszę. – Co ty mi chciałaś powiedzieć?

– Żebyś wyszedł – powiedziała, nie unosząc wzroku.

– Julita... To naprawdę nie jest dobry pomysł, żebyś była teraz sama...

– Nie jest, racja – powiedziała. – Ale wolę to niż alternatywę.

Milczeli. W końcu Leon wstał od stołu, wsunął krzesło.

– Jeśli zmienisz zdanie, zadzwoń.

– Mhm. Będę pamiętać.

Zatrzymał się jeszcze w korytarzu, obejrzał, czy go nie zatrzyma w ostatniej chwili. A potem wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Julita siedziała jeszcze przez jakiś czas, potem wstała, posprzątała talerze z ledwo ruszonym jedzeniem. A róże wyrzuciła do kosza.

Pola! – zawołał Oleg. – Hej, Pola, zaczekaj!

Szefowa polskiego oddziału Security Operations zatrzymała się w korytarzu, spojrzała ostentacyjnie na zegarek. Wyglądała na zmęczoną. Nie były tego w stanie zamaskować nawet legginsy w kanarkowożółtym kolorze ani koszulka z kryształową czaszką.

– Oleg, Oleżka... – powiedziała. – Słuchaj, mam akurat pięć minut na siku, więc jeśli to nie jest nic pilnego...

– Trochę jest.

– Hm, okej... Ale jak się zleję na spotkaniu z zarządem, to będzie twoja wina. Przy okazji, jak ci idzie tagowanie tych postów?

– Dobrze, już prawie kończę.

– O, super, super. Dobra, tu jest wolny pokój... Chodź.

Weszli do narożnej sali konferencyjnej. Motywem przewodnim była Kalifornia: na ścianę była naklejona fototapeta z plażą i palmami, pod sufitem podwieszona deska surfingowa, blat stołu miał kształt amerykańskiej tablicy drogowej z napisem *Route 1*, a naprzeciwko wejścia wisiał plakat z Golden Gate Bridge. Starsi stażem koledzy powiedzieli Olegowi, że to początkowo miała być strefa relaksu, że pracownicy mieli tu przychodzić, żeby złapać chwilę oddechu, pomedytować, poćwiczyć *mindfulness* do puszczanego z taśmy kojącego szumu fal i krzyku mew. No, ale potem okazało się, że ciągle brakuje przestrzeni do spotkań, więc *RELAXATION ROOM* przemianowano na *CONF ROOM CALI*, a mewy ucichły już na zawsze.

– No, o co chodzi? – spytała.

– Wiesz, widziałem się wczoraj z Liiną...

– Kim?

– To taka dziewczyna z moderacji, Łotyszka, miała ostatnio...

– Przypominam, że masz pięć minut – wtrąciła Pola – więc przejdź do rzeczy.

– Tak, sorry. No więc ona powiedziała, że po tej czystce, którą zrobiliśmy... Że wcale nie widać, żeby zmniejszyła się ilość

ekstremalnego kontentu. Też takiego, który wrzucany jest w celach politycznych... Z ewidentnie fałszywych kont.

– Mhm.

– Mało tego... Liina miała wrażenie, że tego jest więcej niż wcześniej. Że wiesz... Że skoro powstała próżnia, to ktoś ją próbuje wypełnić...

Pola się uśmiechnęła. Na smutno.

– Lubię cię, wiesz? – Klepnęła go w ramię. – Jesteś taki mały zadzioras, co to nie może usiedzieć w miejscu.

Gdyby te słowa powiedział ktoś inny, Oleg potraktowałby je jako obelgę. A tak... Czuł się mile połączony.

– Tak... Wiem o co chodzi. Między innymi o tym będę rozmawiać z zarządem. Ale... Hej, mogę ci zaufać? To, co ci powiem, zostanie między nami?

– No pewnie.

– Wątpię, żeby cokolwiek z tym zrobili.

– Aha... Czemu?

– No bo pomyśl, jak by to wyglądało... – Pola poprawiła się w fotelu. – Dopiero co miała miejsce wielka konferencja, narobiliśmy szumu, że ho, ho, skasowaliśmy tyle a tyle profili, tyle a tyle stron... I co, trzy dni potem robimy to znowu? Wiesz, jak by to wyglądało? Że nie kontrolujemy sytuacji. Że nie jesteśmy w stanie tego ogarnąć.

– Mhm. A jesteśmy?

– Ha! – Pola klepnęła się w udo. – Dobre pytanie. No, jesteśmy, jesteśmy, pewnie, że jesteśmy. Ale ogromnym kosztem. Trzeba by było zmienić zasady rejestracji, zatrudnić dziesięć razy więcej ludzi do moderacji, pewnie też zmienić reguły, wedle których działają nasze algorytmy... Bo wiesz... – Pola spojrzała na zegarek. Uznała najwyraźniej, że ma jeszcze trochę czasu, więc ciągnęła dalej. – Wiesz w ogóle, jak one działają? Co łąduje w twoim feedzie, a co nie?

– No, to co najbardziej odpowiada moim zainteresowaniom...

– Właśnie nie. Wiele osób tak myśli, a to nieprawda. Wyświetlamy to, co wywoła twoją reakcję. Co sprawi, że coś polubisz. Udostępnisz. Skomentujesz. Bo jeśli to zrobisz, możemy pokazać to potem twoim znajomym, a oni wtedy też to zrobią, i tworzy się taki łańcuszek. Tak to działa, efekt grupy. No, a co wywołuje u ludzi reakcję? Przecież nie wyważone analizy socjoekonomiczne profesora Pipsińskiego albo felietony z „Tygodnika Powszechnego”, tylko rzeczy skrajne. Albo skrajnie słodkie, typu ślepy mops, który nauczył się jeździć na hulajnodze, albo skrajnie okropne, wkurzające, obrzydliwe.

– Czekać, czyli my sami... Cholera. My sami to wywołujemy?

– Aha. – Pola skinęła głową. – Machamy ludziom czerwoną płachtą przed oczami. I zarabiamy na tym grube, grubaśne miliony. Bo każda czynność użytkownika przekłada się na kasę. Ktoś to nawet obliczył: każde kliknięcie jest warte pięćdziesiąt centów. A aktywnych użytkowników mamy dwa miliardy.

– Wow...

– Witaj w dwudziestym pierwszym wieku. – Noga Poli zaczęła drgać, coraz szybciej i szybciej. Rzeczywiście musiało jej się chcieć sikać. – Szczerze mówiąc, ja już się do tego przyzwyczaiłam... Wiesz, wpadłeś między wrony, kracz jak one, no trudno... Ale... Tym razem coś mnie zaniepokoiło.

– Co?

Pola spojrzała mu oczy. Miała intensywne, świdrujące spojrzenie.

– Gęba na kłódkę, tak? – spytała. – Zmowa milczenia?

– Masz moje słowo.

Pola skinęła głową. Zbierała myśli.

– Tak jak mówiła ta twoja koleżanka – powiedziała – dzień po czystce wypłynęły nowe fałszywe konta, takie, których wcześniej nie widzieliśmy. I to jest normalne, spodziewałam się tego. To, co nie jest normalne... To, że większość z nich ma właśnie zacięcie polityczne. I promuje jedną partię.

– Kogo?

– Polskę Jutro. I okej, każda partia tworzy swoje fałszywki, to standardowy element dzisiejszej polityki. Ale Polska Jutro ich wcześniej właściwie nie miała. Albo dokładniej: nie używała. Czyli wiesz, inne partie od miesięcy okładały się pałami po głowie, dzięki czemu mogliśmy zidentyfikować i oznaczyć fałszywe profile, a Polska Jutro siedziała cichutko. Oczywiście, musieli stworzyć te konta już wcześniej... Ale ich nie używali. Czekali. A teraz, kiedy wyczyściliśmy krajobraz... Weszły do gry. I nie mają za bardzo konkurencji.

– Ale to znaczy... – Oleg aż uniósł się w fotelu. – To znaczy, że oni musieli wiedzieć, że zrobicie czystkę. I mniej więcej kiedy.

– Aha. Bingo. Jakiś cwaniak nami pogrywa. Dlatego właśnie będę cisnęła zarząd, żeby mi pozwolili zrobić apokalipsę 2.0 i wyciąć te nowe profile. Ale... No, Oleg, powiem ci szczerze, że nie robię sobie wielkich nadziei. Po pierwsze, tak jak ci mówiłam, to jest przyznanie się do porażki, PR-owa katastrofa. Po drugie, trzeba to wpierw uzgodnić z wyższymi siłami – Pola uniosła wzrok ku podwieszanej pod sufitem

desce surfingowej – które są teraz niezwykle czułe na tematy polityczne i wszystko chcą mikromenedżować. Zanim zapadną jakieś decyzje, będzie październik, no, może późny wrzesień. Tak czy owak... – Wzruszyła ramionami. – Po ptakach.

Ktoś zajrzał do środka pokoju przez przeszklone drzwi, i widząc Polę, znacząco postukał w tarczę zegarka.

– Słuchaj, muszę już iść – powiedziała Pola.

– Powodzenia.

– No, nie dziękuję.

Oleg został w pokoju sam. Żałował, że w biurze nie ma już strefy relaksu.

Znowu. Znowu to samo. Kiedy tylko położyła głowę na poduszce, senność nagle gdzieś uleciała, znikła, jak balon przekłuty szpilką. Może dlatego, że jest za jasno. Julita wstała, zaciągnęła mocniej kotary. Nie, nic nie pomogło. Poprawiła poduszkę. Zrzuciła poduszkę. Podniosła ją z podłogi. W końcu skopała z siebie kołdrę i poszła do dużego pokoju, tam, gdzie stała torba z jej rzeczami. Może w jakimś przebłysku geniuszu Magda wpadła na to, żeby spakować jej proszki nasenne. Nie, nic z tego. Co prawda niedaleko była apteka, dosłownie dwie ulice dalej, na skrzyżowaniu... Ale wołała nie opuszczać domu. Nawet wyjście na balkon, żeby zapalić – tak bardzo chciała zapalić! – wydawało się ryzykowne.

Nic dziwnego, że nie mogę spać, pomyślała. Po takim powitaniu. Jakby się zmówili, żeby ją wyprowadzić z równowagi. Wróciła do sypialni, spojrzała na zmiętoloną kołdrę; przez głowę, jak po światłowodzie, przepływało jej milion myśli na sekundę. Obróciła się na pięcie. Wyciągnęła komputer. Zapasowy, może nie tak dobrze zabezpieczony, jak jej laptop, który został w Las Vegas, zaszyfrowany na wieki wieków, ale powinien wystarczyć.

Odpaliła wyszukiwarkę, wyłamała palce ze stawów. Miała siedzieć cicho, nie wychylać się, ale... Przynajmniej skupi na czymś myśli, ucieknie od samej siebie. Tylko najpierw musiała sprawdzić jedną rzecz... Oczywiście, że są. Nagrania z oświadczyń Janka. „Odjechana parka mówi sobie TAK”, „Najbardziej romantyczny film, jaki dzisiaj zobaczysz”, „Zakochani w Las Vegas” i tak dalej, i w tym duchu... Dziewięć różnych wersji, najpopularniejsza była już wyświetlana osiemnaście tysięcy razy. Kusilo ją, żeby kliknąć, żeby przekonać się, jak to wyglądało. Ale tego nie zrobiła. Bała się, co zobaczy. I jak zareaguje.

Julita zamknęła YouTube i przeszła do rzeczy. Skoro chodzi o wybory, poczytajmy o wyborach: *e-voting*, enter. Czytała kolejne artykuły z przerwami na ziewanie. „Czemu głosowanie przez internet jest zagrożeniem dla demokracji”, „Jedenastolatka hakuje maszynę do głosowania”, „Krytyczny błąd odkryty w szwajcarskim systemie do głosowania elektronicznego”, „Holandia rezygnuje z maszyn do głosowania pod naciskiem aktywistów”. Zresztą nie tylko Holandia. Irlandia. Niemcy. Wielka Brytania.

No dobrze, pomyślała, a zobaczmy, co na ten temat pisze się w polskiej sieci: *e-wybory*, enter. Julita przeczytała tytuł pierwszego linku. Potem drugiego. Przy trzecim poczuła, jak pokrywa ją gęsia skórka.

„Wprowadźmy system głosowania przez internet na wzór estoński”, mówi Warecki

<https://wiadomosci.wiesci24.pl>

Na środowowej konferencji poseł Artur Warecki (Polska Jutro) zachęcał do...

Czas wejść w XXI wiek! Głosuj na e-głosowanie!

<https://polskajutro.pl/e-glosowanie>

Odwiedź naszą stronę i przekonaj się, czemu e-głosowanie jest kluczowe dla...

Czempion modernizacji. Kim jest poseł Artur Warecki?

<https://cotampaniewpolityce.pl/sylwetki/artur-warecki-czempion>

Artur Warecki, niegdyś gwiazdor boisk, dziś daje się poznać jako jeden z...

Jeśli to zbieg okoliczności, pomyślała, przewijając w dół stronę z wynikami, to dość nieprawdopodobny. Warecki, Warecki, to nazwisko obilo jej się o uszy, ale nie kojarzyła go bliżej, nie interesowała się polityką. Pora nadrobić zaległości. Urodzony w siedemdziesiątym ósmym w Kłodawie... Piłkarz, aktywny w latach tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt trzy–dwa tysiące dziesięć... W latach dwa tysiące jedenaście–dwa tysiące piętnaście prowadzący program *Jak oni kopią!*... Poseł na Sejm RP VII kadencji, założyciel i przewodniczący partii Polska Jutro. Żona: Katarzyna Lubiś-Warecka, trenerka osobista, dietetyczka, autorka popularnego profilu instagramowego „Biegam, więc jestem”... Dwójka dzieci, Lucjan i Weronika... Hm, ciekawe. Nic w tym życiorysie

nie sugeruje bliższych związków ze światem nowych technologii, więc skąd ta obsesja? Julita zawęzła wyszukiwania dla hasła „Warecki” i „e-wybory”: wyniki z ostatniego miesiąca, półrocza, roku... Nie było żadnych rezultatów sprzed dwa tysiące dziewiętnastego. Ciekawe.

Julita weszła na stronę Polski Jutro, ale litery zaczęły się rozjeżdżać, tańczyć. Potarła oczy; nie pomogło. Wstała od stołu, zrobiła dwa kroki i musiała się zatrzymać; ściany, sufit, podłoga zaczęły tańczyć oberka. Dotarła jakoś do łazienki, wsadziła głowę do umywalki i puściła zimną wodę. Setki szpilek zaczęło kłuć skórę; jęknęła, otworzyła szeroko oczy. Pomogło. Zarzuciła ręcznik na mokrą głowę i usiadła znowu przy komputerze.

Strona Polski Jutro składała się z ogólników i zdjęć Artura; trzeba było mu przyznać, był diablo fotogeniczny. Uwagę Julity zwrócił link w bocznej szpalcie, opatrzony zachęcającym podpisem „Twoja Polska, Twoja Przyszłość. Wypełnij ankietę, a otrzymasz kupon rabatowy na zakupy w sieci sklepów Motylek o wartości 50 zł!”. Okej, zobaczmy. *Klik.*

Na ekranie komputera odpalił się filmik, na którym kontury Polski rozrastały się i kurczyły w rytmie sukcesów i, z czasem coraz częstszych, porażek. Ale Julita na niego nie patrzyła. Jej uwagę zwrócił malutki kwadracik w prawym górnym rogu przeglądarki – ikona rozszerzenia Disconnect, którego celem było blokowanie ciasteczek, niewidzialnych pikseli, beaconów i całej reszty wyrafinowanej infrastruktury służącej śledzeniu poczynań niczego nieświadomych internautów. Aplikacja zliczała każdą odrzuconą próbę połączenia; na małych stronach było ich zwykle kilka, na dużych kilkanaście, w najgorszych przypadkach – kilkadziesiąt. Na stronie „Twoja Polska, Twoja Przyszłość” Disconnect odbił ich ponad sto. Julita rozwinęła listę zablokowanych połączeń i pokręciła z niedowierzaniem głową. Każdy, kto wszedł na tę stronę bez odpowiedniego zabezpieczenia, zostawał natychmiast oznaczony dziesiątkami szpiegujących programików, chodził potem po internecie jak kudłaty pies oblepiony rzepami, jak trzmiel obsypany pyłkiem. Każdy następny ruch, każda odwiedzana potem strona, każdy wykonany za pośrednictwem sieci zakup był następnie zapisywany, rejestrowany, interpretowany. Anonimowo, oczywiście. O ile w dwudziestym pierwszym wieku można było jeszcze mówić o anonimowości. „Zgodnie z wymogami RODO informujemy, że ta strona używa tzw. ciasteczek, aby analizować ruch na stronie i optymalizować świadczone usługi”, głosiły białe literki na kremowym tle na samym dole witryny. Mało powiedziane.

Julita wypełniła ankietę; test psychologiczny przebrany za kwestionariusz wyborczy, do tego rejestracja odbywała się przez Facebooka, dzięki czemu można było zassać dodatkowe dane. Potem ściągnęła na telefon aplikację, która była niezbędna, aby zrealizować kupon na zakupy w Motylku, tyle że nim ją uruchomiła, zrobiła to, czego nie robi nikt: przeczytała postanowienia ogólne. „Uruchamiając aplikację, zezwalasz jej na dostęp do listy kontaktów, rejestrów połączeń, wykazu zainstalowanych programów, aparatu fotograficznego, mikrofonu, danych geolokalizacyjnych, połączeń z sieciami Wi-Fi...”. Wiadomo, wszyscy to robili. Ale rzadko kiedy aż tak agresywnie.

Julita odsunęła od siebie komputer. Jeśli ktoś przeszedł wszystkie kroki – zarejestrował się, wypełnił ankietę, zainstalował aplikację – stawał przed tajemniczym instytutem „Polska Przyszłości” jak na Sądzie Ostatecznym, nago, z listą popełnionych grzechów. Na podstawie przekazanych danych można było wywnioskować wszystko: wiek, płeć, status socjoekonomiczny, poglądy polityczne, przekonania religijne, orientację seksualną, liczbę oraz wiek dzieci, znane języki, ambicje, obawy. Wszystko. Jedyna pocięcha, że bez imienia, to znaczy do czasu, aż ktoś nie zada sobie trudu, żeby je określić. Julita nie miała żadnych wątpliwości, ta cała operacja była jednym wielkim skokiem na dane. Pytanie, rzecz jasna, skąd Artur Warecki, poseł pierwszej kadencji, były piłkarz, miał na to wszystko środki i *know-how*. Kto mu pomagał. I czego chciał w zamian. W świetle tego, czego dowiedziała się w Las Vegas, nasuwająca się odpowiedź była bardzo niepokojąca.

Sięgnęła po telefon, wybrała numer do Piotrka.

– No, co tam? – W słuchawce rozległ się jego głos.

Julita otworzyła usta, ale nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Język przykleił jej się do podniebienia.

– Halo? Julita? Jesteś tam?

– T-... Tak – wykrztusiła wreszcie.

– O matko, wszystko w porządku?

– Mhm. Czemu pytasz?

– Brzmisz, jakbyś wstała z grobu.

I tak wyglądam, pomyślała, patrząc w odbicie w czarnym, wygaszonym ekranie laptopa.

– Nie, nie... *Jet lag* po prostu... Słuchaj, znowu mam do ciebie prośbę...

– Jeśli chodzi o Wiolkę Słaby, to odpowiedź brzmi nie, nie i jeszcze raz nie.

– Nie, o coś innego.

- Aha... A o co?
- Wyślę ci szczegóły przez Signal.
- Ho, ho, tajemnica! Uwielbiam tajemnice.
- Akurat ta... – Julita z trudem przełknęła ślinę. – Akurat ta może ci się nie spodobać.

Artur żonglował. Dryblował. Trafiał do bramki z drugiego końca boiska. Nawet teraz, po czterdziestce, w spodniach w kant i eleganckich sztybletach, miał niesamowitą kontrolę nad piłką, odnosiło się wrażenie, że sama się ku niemu toczy, jakby przyciągał ją magnes. Ganiały za nim dzieciaki w przydługich koszulkach, zziajane, upieprzone błotem i trawą, a każdy próbował wybić mu piłkę spod nóg, okiwać, choćby wybić z rytmu; bez powodzenia. Artur wymijał podrostków jak slalomowe tyczki, nawet nie zwalniając. Dziennikarze byli zachwyceni. Raz po raz błyskały flesze, ręce same składały się do oklasków.

Po pokazowej rozgrywce przyszedł czas na konferencję prasową. Kilka minut na zapleczu, ręcznik, puder, perfumy, żel do włosów i Artur był jak nowo narodzony, i to narodzony chyba z morskiej piany albo z boskiego podudzia, bo zwykli ludzie tak nie wyglądali. Wszedł na scenę sprężystym krokiem, stanął za mikrofonem. Dziś mówił o tym, jakie zmiany chciałby wprowadzić do sportu: jak należałoby wyłapywać i wspierać młode talenty, jak zmienić zasady współpracy ze związkami. Tym razem nie trzeba go było długo przygotowywać, podsuwać mnemotechnik, przepytować z cyfr; w tej tematyce poruszał się jak ryba w wodzie, czuć było, że to jego pasja.

Czemu on w ogóle poszedł w politykę, pomyślała Aneta, usadowiona jak zwykle w pierwszym rządzie, tuż pod sceną, po co? Bo nie mógł przeżyć, że po zakończeniu kariery piłkarskiej media już się nim tak nie interesują, że nie musi się już opędzać od paparazzi? Bo chciał wszystkim udowodnić, że nie jest tylko tępym przystojniakiem, że ma też olej we łbie? Bo naprawdę chciał coś zrobić, wierzył, że może zmienić kraj na lepsze? Od dawna się nad tym zastanawiała. Teraz zdała sobie sprawę, że może być jeszcze inne wytłumaczenie. Bo ktoś go do tego zainspirował.

Artur skończył mówić; ukłon, oklaski.

– Dziękuję państwu. Czy są jakieś pytania? O, proszę, pani w drugim rządzie.

– Dzień dobry, Aleksandra Resztych, „Gazeta Wieczorna”. Czy jeśli pana partia wejdzie w koalicję, rozważałby pan przyjęcie stanowiska ministra sportu?

– Za wcześniej, żeby o tym rozmawiać. Tak? Pani w okularach?

– Grażyna Kalęba, „Poprzek”. Czemu przypisuje pan nagłe odbicie się Polski Jutro w sondażach? Jeszcze niedawno deklarowane poparcie dla pana formacji oscyloowało w granicach czterech–pięciu procent, tymczasem wczorajszy sondaż CBOS dawał państwu już osiem procent.

– Myślę, że to potwierdza moją tezę: Polacy są zmęczeni starymi podziałami, szukają czegoś nowego, nowych odpowiedzi. Polska Jutro, jak sama nazwa wskazuje, patrzy w przyszłość. I tego oczekują Polacy. – Artur uśmiechnął się szeroko, jak dobry wujek, który zaraz poczęstuje dzieci czekoladkami. – Tak? Pan z tyłu?

– Dzień dobry – powiedział chłopak z wąsikami *à la* Herkules Poirot. Pytania miał zapisane na kartce. – Piotr Miąsek, Meganewsy.pl. Panie pośle, jest pan wielkim zwolennikiem głosowania przez internet. Ale co z kwestiami bezpieczeństwa? Co z ryzykiem fałszowania wyników?

Artur spoważniał, ściągnął usta.

– Każde wybory można sfalszować, proszę pana.

– Tak, ale w przypadku głosowania tradycyjnymi metodami zostają przynajmniej po tym jakieś ślady. Można sprawdzić, no nie wiem, czy krzyżyk nie był zamazany albo czy w danym okręgu nie oddano więcej głosów, niż jest wyborców w rejestrze. W modelu estońskim, który pan stawia za wzór, nie ma takiego...

– Proszę pana. – Warecki wszedł mu w słowo. – Głosowanie elektroniczne odbywa się w Estonii od lat i nigdy nie było żadnych problemów.

– Ale zgłaszano wątpliwości. Profesor Halderman z Uniwersytetu w Michigan wykazał, że...

– Następne pytanie, proszę. Tak? Pan w rogu?

– Robert Kowalczyk, „Nowa Piłka Nożna”. Panie pośle, kiedy...

– Panie pośle. – Wąsacz z Meganewsów nie odpuszczał. – Czy mówi panu coś nazwisko Alexander McCabe?

Artur drgnął. Ledwo zauważalnie, minimalnie, ale drgnął. Z tyłu sali nie było pewnie tego widać. Ale z perspektywy pierwszego rzędu, gdzie siedziała Aneta, już tak.

– Nie, pierwsze słyszę – powiedział Warecki. Spokojnie, kulturalnie. – Proszę pana, proszę dać szansę innym. Tak? Pan z „Nowej Piłki Nożnej”?

Aneta nie słyszała ani pytania, ani odpowiedzi. Patrzyła na Artura. Na strużkę potu, która ściekała mu po skroni.

– Obawiam się, że nie mam czasu na więcej pytań... Och, proszę nie robić takich smutnych min, na pewno będzie jeszcze okazja. Dziękuję

państwu, do zobaczenia.

Dziennikarze podnieśli się ze składanych krzeseł, zaczęli zbierać swoje szpargały. Artur poszedł na zaplecze; Aneta ruszyła jego śladem. W środku był też Tomek, szef sztabu, i Lena, rzeczniczka prasowa.

– Bardzo fajnie wypadłeś – powiedziała Lena. – Myślę, że powinniśmy coś takiego powtórzyć, tylko w innym mieście. Może w ogóle na jakimś Orliku? Tak bardziej kameralnie, do ludzi?

– Jestem za – wtrącił Tomek. – Najlepiej gdzieś na ścianie wschodniej, bo tam wciąż mamy słabe wyniki. Białystok, Augustów, coś takiego. Aneta, co myślisz?

– Mhm. Brzmi dobrze.

– Słuchajcie. – Artur stał do nich tyłem, robił sobie kawę, mielone ziarna chrobotwały w ekspresie. – Co to był za chłopak? Ten z wąsikami?

– No właśnie też się zastanawiałam. Czekać, sprawdzę... Jak on miał na nazwisko? Miąsek, tak? – Lena stuknęła w ekran smartfona. – Rzeczywiście, jest ktoś taki... Szef działu „Kultura” w Meganewsach...

– Kultura? – Artur dorzucił do espresso kostkę cukru; jedyne węglowodany, na które pozwalała ułożona przez żonę dieta. – Ciekawe, że się tak zainteresował kwestiami wyborów.

– To samo pomyślałem. – Tomek kiwnął głową.

– Lena... – Artur upił łyk kawy. – Moglibyśmy zrobić tak, żeby tego pana już nie zapraszać? Ordynarny typ.

– Mhm. – Rzeczniczka skinęła głową. Jeśli zdziwiła ją ta prośba, to nie dała tego po sobie poznać. – Pewnie.

– No dobra. To co dalej?

– O jedenastej trzydzieści musimy być z powrotem w biurze, mamy spotkanie z liderami regionów...

– Cholera, to musimy zaraz jechać. – Artur odstawił filiżankę. – Aneta, przygotowałaś tę rozpiskę emocji z rozbiem na województwa?

– Tak, przekazałam już Tomkowi, ale... – Aneta przełknęła ślinę. – Przepraszam, ale mnie nie będzie.

– O? Czemu?

– Lekarz. Wybaczcie, ale to pilna sprawa, a nie było innych terminów.

– Nie no, oczywiście. – Artur się zatroskał. – Mam nadzieję, że to nie ta głowa?

– Hm?

– No wiesz, wtedy, jak byliśmy w Katowicach, miałaś tę straszną migrenę...

– Nie, nie. Coś innego.

– Okej. Dbaj o siebie, dobra? *Ciao*.

– Aha. Cześć.

Aneta weszła do sali konferencyjnej. Pusto, nikogo już nie było. Ruszyła do głównego wyjścia; musiała się powstrzymać, żeby nie biec. Kilka osób stało przy drzwiach, jakieś kularowe rozmowy, wymiana anegdotek. Omiotła wzrokiem twarze; nie, nie było go tu. Wyszła przed stadion, na Myśliwiecką, spojrzała na prawo, na lewo. Tam. Na przystanku autobusowym, po drugiej stronie ulicy, pisze coś na telefonie. Przebiegła przez jezdnię, podeszła do niego.

– Przepraszam... Piotr Miąsek?

Chłopak aż podskoczył, prawie upuścił komórkę.

– Tak... O Boże, wystraszyła mnie pani. Aaa... Uff... A o co chodzi?

– Możemy porozmawiać?

Julicie w końcu udało się zasnąć, ale dopiero rano – na fotelu, w rogu pokoju, skulona w pozycję embrionalną, z kocem naciągniętym na głowę. Kilka godzin później obudził ją telefon Piotrka. Potem nie mogła już zmrużyć oka. To, co powiedziała szefowa kampanii internetowej Polski Jutro, potwierdziło wszystkie jej najgorsze podejrzenia – i wzbudziło kolejne. Jeśli Aneta zgodzi się bliżej współpracować, jeśli uda jej się skopiować ten e-mail, będzie miała wreszcie konkret, coś, co mogłoby ściągnąć na dno Artura Wareckiego... Oraz jego mocodawców.

No, ile jeszcze, mówiła do siebie w myślach, chodząc w kółko po pokoju, powiedział, że będzie za pół godziny, a minęło już dobre czterdzieści minut. Zatrzymała się przed lustrem, przyjrzała się sobie krytycznie. Wory pod oczami. Przygryzione do krwi usta. Fryzura jak na ostatnim dniu Przystanku Woodstock. Boże, pomyślała, poprawiając potargane włosy, muszę się za siebie wziąć, jak już będzie po wszystkim. O ile będzie jakieś „po wszystkim”.

Dzwonek do domofonu. Pobiegnęła do przedpokoju, prawie wywróciła się na dywaniku.

– Kto tam? – spytała.

– Ja – zatrzeszczał głos w słuchawce. Niby znajomy, ale lepiej dmuchać na zimne.

– Jaki „ja”?

– Janek. Janek Tran.

– Aha... To... – Zawahała się. – To powiedz coś po wietnamsku.

– Serio?

– No, jak się nie ustaliło hasła, to trzeba improwizować.

– Im dłużej stoję na ulicy, tym... Ugh... – Mruknięcie. – *Giận hóa mất khôn*. Zadowolona?

– Proszę.

Chwilę później usłyszała kroki na schodach, coraz bliżej i bliżej. Wyjrzała przez wizjer. To on. Otworzyła jeden zamek, drugi, zdjęła zasuwkę. Kiedy tylko wszedł do środka, znów zatrzasnęła drzwi.

– Nikt cię nie widział?

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Na tyle, na ile mogę być.

Janek zdjął bluzę, powiesił ją na haczyku. Miał na sobie czarne dżinsy i czarną koszulkę. Dobrze mu było w tym kolorze.

– Co powiedziałaś? – spytała.

– Hm? Nic nie mówiłem.

– Nie, tam na dole. Po wietnamsku.

– A, to. – Podrapał się po głowie. – Takie stare powiedzenie.

– Jakie?

– „Kto słucha wariatkę, dzieli z nią klatkę”.

– Bardzo śmieszne.

– Przysłowia mądrością narodów. – Przyglądał jej się przez chwilę. Westchnął. – Jadłaś coś w ogóle?

– Nie. Nie jestem głodna.

– Chodź do kuchni.

– Janek, mówię ci przecież, że...

– Chodź.

Julita stwierdziła, że ma na razie dość kłótni, więc podreptała za nim. Janek otworzył lodówkę, wyciągnął z niej jogurt i biały ser.

– Lubisz twarożek? – spytał.

– Może być.

– Na słodko czy na słono?

– Na słodko.

Janek zaczął się krzątać w kuchni: nastawił czajnik, wyciągnął z szafki miskę, talerze.

– Czytałeś moją wiadomość? – Julita usiadła na krześle, podciągnęła kolana pod brodę. – O tym, co powiedziała Piotrkowi ta dziewczyna ze sztabu Wareckiego?

– Aha.

– I co o tym wszystkim sądzisz?

– Hm. Ja to widzę tak. – Janek postawił kubki na blacie, odwrócił się w jej stronę. – Alex McCabe wymyśla, jak zhakować estońskie wybory. Postanawia zaprezentować swoje odkrycie na DEFCONIE, ale o całej sprawie dowiadują się jakoś Rosjanie... Nie wiem, GRU albo FSB... W tej chwili to nieważne. Kradną mu komputer, pewnie grożą, że jeśli komukolwiek piśnie o tym, co się stało, to ukrećą mu łeb. Biorą jego *malware*... I przepisują wyniki e-wyborów. Projekt wypalił na tyle, że udało im się przepchnąć przyjaznego Moskwie kandydata. Słowem, wielki sukces. Kawa czy herbata?

– Wiesz... Może wyjątkowo herbata. Z cytryną, jeśli jest.

– Jest. – Janek sięgnął do miski z owocami. – No więc Rosjanie zaczęli się rozglądać, gdzie by można było przeszczepić cudowny zwyczaj głosowania przez internet. Uznali, że spróbują z Polską... I odezwali się do pośła Wareckiego.

– Myślisz teraz o tym mejlu do żony, o którym mówiła Aneta? Tam, gdzie wspominał o dopisywaniu postulatów?

– Mhm. Oczywiście, to nie jest żaden dowód, nawet gdyby udało się nam go dostać do ręki... Masz. – Postawił przed nią parujący kubek. – Pij.

– Ale mogę poczekać, aż wystygnie? Czy mam pić wrzątek?

– Jak za gorące, to sobie podmuchaj. Gdzie ja... Aha. No więc ktoś spotyka się z Wareckim i mówi mu mniej więcej tak: panie pośle, Polska Jutro ma poparcie na granicy proggu wyborczego, może wejdzie do następnego Sejmu, może nie wejdzie... My panu możemy pomóc zdobyć dodatkowych kilka procent, kto wie, może nawet podwoić wynik... Mamy tu taką zaprzyjaźnioną firmę... Jak ona się nazywała?

– Net Solutions – powiedziała Julita. – Co ciekawe, założona w zeszłym roku. O panu Królaku nie byłam w stanie znaleźć niczego, poza tym co sam umieścił na stronie. Nic. A pozostali ludzie, którzy rzekomo pracują w tej firmie, istnieją tylko w internecie. Ich zdjęcia na LinkedInie to stockowe obrazy w odbiciu lustrzanym i przepuszczone przez filtry, żeby utrudnić *reverse search*.

– Pamiętałaś, żeby się wylogować?

– Ha, ha. Tak, pamiętałam.

– To dobrze. No więc, ktoś mówi Wareckiemu: panie pośle, Net Solutions będzie na pana usługi, taka przyjacielska pomoc... A w zamian chcemy jednego: żeby do postulatów dopisać głosowanie przez internet. I zaznaczyć, że koalicję zawrze pan tylko z takim partnerem, który pana w tym poprze. A potem, kiedy już wprowadzi się głosowanie przez internet... Będą mogli ruszać języczkiem u wagi. Kilka procent tu, kilka

procent tam... Kto wie, ile czasu minie, nim ktoś się zorientuje. O ile w ogóle.

– Nawet jeśli to by szybko wyszło na jaw, to Rosjanie i tak osiągną swój cel. Wyobraź sobie, co by się działo. Oskarżenia, dochodzenia, komisje śledcze... Ludzie by już w ogóle przestali wierzyć w wybory.

– Też racja.

Janek kucnął przy szafce. Wyciągnął słoik wyschniętego na kamień miodu, zaczął go kruszyć nożem.

– Myślisz, że Warecki wiedział, o co chodzi? – spytała Julita.

– Nie mam pojęcia. Ale podejrzewam, że z początku mógł myśleć, że to taki, no wiesz, lobbying na pograniczu prawa. Może z początku nawet nie zdawał sobie sprawy, z kim rozmawia... A potem było za późno.

– Bo już mieli na niego haka.

– Dokładnie. – Janek wymieszał twaróg z jogurtem. – No i wszystko szło ładnie... Aż pojawiły się komplikacje. Tak jak mówiłaś, Alex musiał się czegoś dowiedzieć. Gdybym miał strzelać... Zorientował się, że jego badania wykorzystano w praktyce. A może miał powody, żeby podejrzewać, że jego znajomi z Las Vegas będą chcieli przeszczepić ten model do Polski. Masz – powiedział, stawiając przed nią miskę z twarożkiem. – Jedz.

– Ale...

– Jedz. Żadnego ale. No więc... Alex coś odkrywa. Coś, co nie może wypłynąć na jaw, a co dokładnie... Tego jeszcze nie wiemy. W każdym razie wygaduje się Kandy.

– Nie tylko wygaduje – powiedziała Julita między kęsami. – Musiał jej coś przesłać. Jakiś dowód.

– Niby czemu?

– Widziałeś to nagranie? Jej morderca czegoś szukał. Wywrócił pokój do góry nogami.

– Hm. Ciekawe. – Janek oblizał palce z miodu. – Na jej prywatnym komputerze niczego nie znaleziono.

– Bo to była mądra dziewczyna. Wiedziała, że ma w ręku coś niebezpiecznego. Coś, czego nie powinna trzymać na wierzchu.

– Okej. No, a potem na ten trop wpadasz ty...

– Nie. Nie ja. Emil. Wszystko zaczęło się od tego pliku, który mi zostawił. „Sprawdź”.

– No tak, racja. Ciągłe nie wiemy, jak w to wszystko wpisuje się X1.

– O ile w ogóle.

– Właśnie. W każdym razie... – Janek podsunął sobie krzesło, usiadł koło niej. – Sprawa trafia do ciebie. Ty zaczynasz grzebać, a Rosjanie zaczynają się denerwować, obserwują cię... Aż w którymś momencie uznają, że wiesz już za dużo, nawet jeśli nie jesteś w stanie poskładać wszystkich puzzli do kupy. Potem, jak to masz w zwyczaju, zachowujesz się jak idiotka i posyłasz Piotrka na konferencję Wareckiego...

– No przepraszam cię bardzo, ale rezultaty mówią za siebie. Ta Aneta podrzuciła nam kluczowe informacje.

– Tak – zgodził się Janek. – Ale pokazałaś karty. I niepotrzebnie naraziłaś Piotrka.

– A co miałam niby zrobić? Sama tam pójść?

– Miałaś poczekać – westchnął Janek. – No, dalej. Zjedz do końca.

– Już nie mogę...

– Nie marudź.

– Ostatnia łyżka.

– Niech będzie.

Julita przełknęła twarożek, popiła herbatą.

– Wiesz, co mi w tym wszystkim nie pasuje? – spytała.

– No?

– Jak popatrzysz na partie, które wspierają Rosjanie... To jest prawa ściana. A program Artura... Jeśli w ogóle można mówić, że ma jakiś program... Jest raczej centrowy. Modernizacja, gospodarka... Trzyma się z daleka od historycznych podziałów...

– Może się zorientowali, że skrajnymi ugrupowaniami więcej nie ugrają. A może działają oportunistycznie. Wiesz, w Stanach grali jednocześnie na Trumpe i na Sandersa. Byle rozbijać łódź, byle wyrzucić do góry nogami establishment.

– Też prawda. To... – Julita zawiesiła głos. – To co teraz?

Janek wstał i podszedł do okna, wyjrzał przez szparę w żaluzjach. Może chciał się pozachwycać warszawskim latem. A może chciał sprawdzić, czy ktoś nie kręci się pod blokiem.

– Gadałem z Bobrzyckim – powiedział. – Może uda się dla ciebie załatwić ochronę, ale to zajmie co najmniej tydzień, dwa...

– I co ja mam robić przez ten czas?

– Czekać.

– Aha. I co dalej?

– Może tej Anecie uda się wynieść z biura partii jakieś materiały, dowody. Ja spróbuję przekazać sprawę dalej... Nie mamy żadnej

podkładki, ale może ktoś mnie potraktuje poważnie. Wtedy do akcji wkroczą trzyliterkowe agencje.

– Okej, ale jaka jest szansa, że tak się stanie? Że ktoś to weźmie?

– Nie wiem.

– Janek... – Drżał jej głos. – Jest sierpień. Wybory za dwa miesiące. Co, jeśli nikt nie podejmie tego tropu? Albo nie zdąży rozwiązać sprawy? Co, jeśli Warecki ugra te swoje pięć, sześć, siedem procent? Co wtedy?

– A jaka jest twoja propozycja? – spytał.

– Wyjść z cienia. Napisać o tym. Nagłośnić sprawę.

– Nie masz żadnych dowodów.

– Na to, że siedzi w kieszeni Rosjan? Faktycznie, nie mam. Ale mogę zrobić gównoburzę wokół tej ankiety, tego, jak wyciągają od ludzi dane, jak nimi potem manipulują. O tym, że Net Solutions to firma krzak o niewiadomej proveniencji. Myślę, że ta Aneta chętnie mi więcej o tym opowie. Mogę też napisać o problemach z modelem estońskim, że Warecki chce ludziom sprzedać kota w worku.

– Mało.

– Może. Ale jeśli to dobrze rozegramy, dobrze wypromujemy tę historię... Inni też mu się zaczną przyglądać, zaczną zadawać pytania. To może być kamyk, który ruszy lawinę.

Janek odszedł od okna, oparł się o kuchenkę.

– Nie jestem przekonany. Duże ryzyko.

– Mhm. I za późno, żeby się wycofać.

– Ale jeśli zaczekasz...

– Jeśli zaczekam, może nigdy o tym nie napiszę. Może... – Załamał jej się głos. – Może już o niczym nie napiszę.

– Hej, hej, nie rozklejaj mi się tu...

– Janek, taka jest prawda. Jak długo mogę tu siedzieć? Ile czasu minie, zanim mnie namierzą? Co wtedy?

Janek podszedł do niej, położył dłonie na jej ramionach. Długo milczał.

– Okej – powiedział w końcu. – Zróbmy, jak mówisz.

Znalazł ją. Trochę to zajęło, ale ją znalazł. Musiał. Wadim czuł niewiele – ta część jego mózgu, która odpowiadała za emocje, z czasem uległa atrofii, jak mięśnie pogrążonego w śpiączce człowieka, jak oczy żyjącego pod ziemią zwierzęcia. Miłość, radość, współczucie, to były słowa z egzotycznego języka, opisujące zupełnie obce doświadczenia. Ale Wadim wciąż był zdolny do czucia gniewu. I czuł go mnóstwo.

Upokorzyła go. Ośmieszyła. Zniszczyła jego reputację. Miał troje ludzi do pomocy, otoczyli ją, mieli ją w potrzasku, a jednak się wymknęła. A potem, kiedy już szedł w jej stronę, kiedy już miał wcisnąć jej lufę pistoletu między łopatki, odstawiła tę szopkę z zaręczynami. Musiał się zatrzymać. Musiał na to patrzeć. Musiał potem to wszystko opowiedzieć szefostwu. Suka.

Jakby tego było mało, potem jeszcze ją zgubili. Wadim dwa dni nie spał, dwa dni jeździł po Warszawie, sterczał pod domami jej rodziny, przyjaciół, znajomych z pracy, gapił się długimi godzinami w puste okna, aż lornetka odcisnęła kręgi wokół przekrwionych oczu. Tak samo jak reszta zespołu. Opłaciło się. Była tu, po drugiej stronie ulicy, na trzecim piętrze, widział jej sylwetkę przez zaciągnięte kotary, podsłuchiwał, jak jej palce stukają w klawiaturę, jak zanosi się suchym kaszlem. Teraz spała. Miał już plany tego mieszkania, znał już model zamku w drzwiach: gówno, które można otworzyć w trzy sekundy. Jedyne, czego potrzebował, to zielone światło. Nie mógł się doczekać, aż go nosiło. Noga podskakiwała raz za razem na samochodowej wycieracze, komórka obracała się w spoconych dłoniach; czarna tafla szkła odbijała światło ulicznych latarni.

Zrobię to powoli, powiedział sobie Wadim, jak dziecko, które rozpakowuje w myślach prezent, żeby umilić nieznośnie dłużyący się czas przed przyjęciem urodzinowym. Tak, żeby wiedziała, co się dzieje, żeby jeszcze słyszała, jaki dźwięk wyda z siebie jej miażdżona grdyka, żeby czuła, jak szczyiny leją jej się po udach. Może na chwilę ją puści, żeby spróbowała uciec, żeby spróbowała się czołgać z przetrąconymi nogami. To będzie widok.

Wreszcie upragniony dźwięk, wreszcie krótkie, słodkie *ding!* Wadim zbliżył telefon do oczu i przyglądał się literom tak długo, aż je rozpoznał, aż połączył je w słowa, a słowa w zdanie; bezgłośnie ruszające się usta, skupione oczy.

Nieznany numer

14.08.2020

23:14

Zmiana planów

Kiedy dotarło do niego, co właśnie przeczytał, uderzył z całej siły w kierownicę. Przeciągły, płaczący dźwięk klaksonu niósł się po pustej ulicy, odbijał echem od budynków, wdzierał do mieszkań, wystraszył

bezdolne koty. A potem samochód zjechał z chodnika i zniknął za rogiem.

Aneta uklękała, oparła się o deskę klozetową. A potem zwymiotowała. Jej gardło zapłonęło, zeszkliły się oczy, włosy opadły na spocone, zimne czoło. Pozbieraj się, pomyślała, weź się, kurwa, w garść. I to szybko. Zanim zasnę się zastanawiać, czemu tak długo cię nie ma. I znów. Zgięła się, jęknęła. Teraz z ust pociekła już tylko żółć.

Obok, po drugiej stronie korytarza, odbywało się spotkanie kryzysowe. Godzinę temu sztab otrzymał informację, że „Poprzek” opublikuje jutro materiał o kampanii wyborczej Polski Jutro autorstwa Julity Wójcickiej. Temat na okładkę, sześć stron analiz, infografik, wykresów, napisane tak, żeby każdy zrozumiał, żeby na pewno dotarło. Redakcja prosiła o komentarz – i zapraszała do rozmowy w TVN24. Jutro o dziewiątej rano. Na żywo.

Aneta podniosła się i wytarła usta papierem toaletowym. Jeszcze ją mdliło, ale wiedziała, że musi już wyjść, musi się ogarnąć, zanim ktoś przyjdzie jej szukać. Spuściła cuchnącą wodę, podeszła do umywalki. Artykuł Wójcickiej w dwóch miejscach powoływał się na anonimowego informatora. Aneta patrzyła mu właśnie w oczy, w odbiciu lustra. Zastanawiała się, czy widać w nich winę, czy można z nich odczytać, co zrobiła. Wytarła rozmazany tusz mokrą chusteczką, zaczęła poprawiać makijaż.

Umiała kłamać, umiała zachować kamienną twarz, schować stres pod maską. Bez tego by nie przetrwała w domu. Gdyby ojciec wiedział, co naprawdę o nim sądzi, wywaliłby ją na ulicę. Gdyby matka zdała sobie sprawę, co o niej myśli, pękłoby jej serce.

Poprawiła koszulę, podciągnęła spodnie. Już. Po wszystkim. Kryzys zażegnany. Wyszła na korytarz. Biuro, zwykle tętniące o tej porze życiem, teraz było upiornie ciche. Ci pracownicy, którzy zostali przy komputerach, siedzieli w milczeniu. Ci, którzy byli za zamkniętymi drzwiami sali konferencyjnej, rozmawiali przyciszonymi głosami. Przed wejściem, w czerwonym plastikowym koszyczku, leżały wyciszone telefony, a każdy mrugał, wibrował, błyskał światłem; wyglądały jak zwierzęta rzucające się w klatce. Warszawka już wiedziała. Już się rozeszło.

Aneta miała wątpliwości, oczywiście, że je miała. Mogła zachować wiedzę o tym mejlu dla siebie, udawać, że nic się nie stało. Gdyby wytrzymała do końca wyborów, gdyby udało im się utrzymać wyniki

z ostatnich sondaży, mogłaby odejść w glorii i chwale, przebierać w ofertach. Po tym, jak inne partie zorientowałyby się w końcu, co się stało, kiedy zrozumieliby, że poszli na wojnę w internecie z naostrzonymi patykami, jej wiedza byłaby na wagę złota. Miałaby to, na czym zależało jej tak naprawdę najbardziej: uznanie. Więc czemu? Czemu podeszła wtedy do Piotra Mięska z Meganewsów, czemu zgodziła się porozmawiać z Julią Wójcicką? Gdyby ktoś ją spytał, powiedziała by pewnie, że czuła, że tak trzeba, że tak jej mówiło sumienie. I to byłaby prawda, ale było coś jeszcze, coś, czego sama nie potrafiła ubrać w słowa, ale rozumiała to intuicyjnie, czuła. Była zła. Zła, że Artur ją okłamał, wykorzystał. Że była pożyteczną idiotką pożytecznego idioty. Że ktoś, komu chciała zaimponować, okazał się tego kompletnie niewarty. Znowu.

Nacisnęła na klamkę. Nikt na nią nie spojrział, nie zwrócił uwagi, byli zbyt zajęci dyskusją. Dobrze.

– ...moment, moment – powiedział Staszek, prawnik. – Chciałbym wam przypomnieć, że nie robimy nic nielegalnego. W ten sam sposób dane o klientach zbierają firmy marketingowe i nikt nie robi rabanu.

– Naprawdę nie widzisz różnicy? – warknął szef sztabu. – Między tym, jak ktoś próbuje ci opchnąć swój papier toaletowy, a tym, co my robimy? Bo ludzie zobaczą. Jak ktoś im to wetknie pod nos i każe wreszcie spojrzeć, to zobaczą.

– Może to oleją. Może przejdzie bokiem.

– Po artykule Wójcickiej? – Lena uniosła brew. – Czy wy wiecie, jaki zasięg mają jej teksty? Mogłaby napisać o cyklu życiowym żuka gównojada i miałaby dziesięć tysięcy udostępnień.

– Ja od początku byłem temu wszystkiemu przeciwny. – Staszek skrzyżował ręce na piersiach.

– Tak? To szkoda, że nic, kurwa, nie powiedziałeś.

– A może właśnie powiedział. Może to Staszek był anonimowym informatorem.

– Jeszcze raz coś takiego powiesz, to...

– Cisza. – Artur, do tej pory milczący, wszedł im w słowo. Głos miał spokojny, jak zwykle. Ale był szary na twarzy. Szary jak popiół. Aneta pierwszy raz widziała go w takim stanie. – Nie jesteście na boisku. Lena, a nie możemy odbić piłeczki? Powiedzieć, że inne partie też tak robią?

– Sęk w tym, że właśnie nie do końca...

– Jak rozumiesz, o co w tym wszystkim chodzi, to tak. Ale dla większość ludzi to jest czarna magia. Możemy tym zagrać.

– No, gdyby Aneta przygotowała dla mnie takie zestawienie, z jakich metod korzysta konkurencja...

– Już to zrobiłam – powiedziała. – Masz wszystko w mejlu.

– Zuch dziewczyna. – Artur uśmiechnął się.

– A telewizja? Idziemy do studia?

– Ja jestem przeciwny – powiedział Staszek. – Przecież to jasne, że ta Wójcicka chce nam ściągnąć gacie na wizji.

– A wiesz, jak to będzie wyglądało, jeśli odmówimy? – odparła Lena. – Jak nie będzie przeciwwagi dla tego, co ona będzie mówić? Możemy się wszyscy spakować i pojechać na wakacje.

– Poczekajmy z decyzją na Królaka – powiedział Warecki.

– Nie wiem, czy to rozsądne. On jest tylko doradcą, nie będzie przecież wiedział, czy...

– Nalegam.

– Ale...

– Proszę. – Artur nalał sobie wody do kubka. Zawsze dużo pił, kiedy się denerwował. Teraz dopijał trzecią butelkę.

– Okej. A kiedy tu będzie?

– Jak dzwoniłem, powiedział, że wsiada w samochód.

– No dobrze, czyli... – Staszek urwał w pół słowa, bo otworzyły się drzwi. Stał w nich Królak. Jakby go przywołali, wypowiadając na głos jego nazwisko. Grafitowy garnitur, skórzany neseser, okulary w prostokątnych oprawkach i krawat zaciągnięty pod ogoloną na gładko szyję. Kim ty jesteś, pomyślała Aneta. Jaki masz w tym wszystkim interes? Zwykle wystarczyło, żeby rzuciła na kogoś okiem i potrafiła go rozgryźć: wiedziała, że Lena ma kompleksy na punkcie wagi, Tomek zdradza żonę, a Staszek ma problemy z alkoholem; to było widać. Ale Królak był pustą kartą. Człowiek manekin.

– Dzień dobry – powiedział, zamykając za sobą drzwi.

– No właśnie niezbyt dobry, w tym rzecz – mruknął Tomek.

– Panie Danielu, sytuacja rzeczywiście wygląda nieciekawie... – zaczął Artur. Czy oni wymienili porozumiewawcze spojrzenia, pomyślała Aneta, czy tylko jej się tak wydawało?

– Tak. Zdaję sobie sprawę.

– Ciekawi jesteśmy pana opinii co do tego zaproszenia do telewizji...

– Tak, tak, oczywiście. – Królak usiadł przy biurku, oparł łokcie o blat.

– Chętnie przedstawię państwu moją perspektywę. Ale najpierw prosiłbym, żeby pani Aneta opuściła pokój.

Cisza. Wszystkie oczy na nią. Ścisnęło ją w brzuchu, pusty żołądek jeszcze się skurczył.

– Słucham? – wydusiła.

– Proszę nie udawać zaskoczonej. – Królak rozpiął suwak torby, wyciągnął komputer. Gładki, szary, bez żadnych naklejek, choćby nazwy producenta. – Przecież to pani rozmawiała z Wójcicką.

– Panie Danielu, przyjęliśmy taką zasadę, żeby nie rzucać oskarżeń, bo to w niczym nie pomoże, tylko...

– To nie jest oskarżenie. To fakt.

O mój Boże, pomyślała Aneta, może ktoś nas widział, może ktoś mu doniósł, może nas śledzili. Ale wszystkie te myśli kłębiły się pod powierzchnią. Nic nie było po niej widać.

– Aha. – Uśmiechnęła się kpiąco. Idź w zaparte. To twoja jedyna szansa. – Rozumiem, że w takim razie zaprezentuje pan dowody?

– Skoro pani nalega. – Królak uruchomił komputer. – Jak państwo wiecie, firma Net Solutions świadczy usługi analityczne w oparciu o dane komórkowe i internetowe. Kiedy zależy nam na dużej dokładności i wielowymiarowym modelu, zbieramy te informacje sami, tak jak w wypadku naszej współpracy z Polską Jutro... A w innych projektach opieramy się na informacjach zebranych przez zaprzyjaźnione firmy agregujące takie dane.

– Co to ma wspólnego z naszą...

– Cierpliwości, panie Tomaszu. – Królak odpalił jakąś prezentację. – Każdy z nas ma smartfona. Każdy z nas ma na nim jakieś darmowe aplikacje, które zarabiają na sobie, wyświetlając reklamy. A przy okazji zbierają informacje na temat tego, gdzie przebywał dany aparat w momencie, kiedy rzeczona reklama została wyświetlona. Dlatego możemy na przykład określić, co Polacy robili w pierwszą niedzielę niehandlową. Że tylu a tylu zamiast do centrum handlowego poszło do parku, tylu do kina, a tylu zostało w domu.

Królak zamilkł na chwilę, klikał coś na komputerze.

– Te dane są anonimowe... Ale tylko teoretycznie. Bo przecież nie każdy użytkownik spędza średnio osiem godzin dziennie w redakcji portalu Meganewsy. I nie każdy codziennie biega w parku Dreszera, a potem przyjeżdża tramwajem na przystanek Kino Femina, zatrzymuje się w narożnej kawiarni, a potem idzie na piechotę do siedziby Polski Jutro. Prawda, pani Anetko?

Aneta nie wiedziała, co powiedzieć. Nie wiedziała nawet, co myśleć. Królak nie patrzył na nią, nie posyłał jej żadnych złośliwych uśmiezków.

Po prostu odwrócił ekran laptopa w stronę zebranych. Wyświetlała się na nim mapa Warszawy pokryta wściekle czerwonymi kropkami; miasto chore na ospę.

– Kiedy pan Artur zadzwonił i powiedział, co się stało, postanowiłem sprawdzić, czy jestem w stanie zidentyfikować pana Miąska... Proszę, to ta kropeczka. Przyjechała na konferencję autobusem linii 188 z przystanku GUS, po przesiadce z tramwaju linii 17, jadącego z Domaniewskiej, o kilka kroków od redakcji Meganewsów na Cybernetyki... A po jej zakończeniu wyszła ze stadionu i przeszła na drugą stronę Myśliwieckiej. A tu, proszę zobaczyć... – Królak nacisnął klawisz i obraz zaczął się ruszać, pulsować, jakby mieli przed sobą podgląd z mrowiska, pszczoły tańczące na plastrze miodu – ...dołącza do niego druga kropeczka. Nasza pani Anetka. Niestety, nie wiemy, gdzie pojechała potem, bo ktoś jej pewnie powiedział, żeby wyłączyła telefon. Ale podejrzewam, że jednak nie do lekarza.

– Ja pierdolę – szepnęła Lena. Była przerażona.

– Aneta? – Artur patrzył na swoje perfekcyjnie zadbane paznokcie. – Masz coś do powiedzenia?

– Nie – powiedziała Aneta, ale jej głos brzmiał obco, dziwnie, jakby nie mówiła sama, tylko ktoś szarpał za jej struny głosowe.

– W takim razie... – Warecki odchrząknął. – W takim razie proszę, żebyś opuściła biuro. Tomek... Odprowadzisz Anetę do drzwi?

– Pe-pewnie – wykrztusił szef sztabu.

Pozegnali się bez słowa; Tomek wyglądał, jakby miał się przewrócić. Aneta zabrała swoją torbę, zeszła po schodach, stała chwilę przed budynkiem, mrużąc oczy przed ostrym sierpniowym słońcem.

A potem zwymiotowała do kosza na śmieci.

Julita odświeżyła stronę „Poprzek”. A potem znów. I jeszcze raz. Chyba po raz setny, odkąd opublikowali artykuł. Trzysta lajków. Trzydzieści komentarzy. Nieco ponad sto udostępnień. Czemu tak mało, do cholery? Myślała, że ten tekst wybuchnie, rozleje się po całej sieci, że będzie zaraz o tym trąbić cały kraj...

Nagle przed oczami stanęła jej scena z DEFCON-u. Janek pod ścianą, czeka na nią, czyta coś na telefonie. „Coś ciekawego?”, słyszy swój głos. „Czystka w mediach społecznościowych”. Dopiero teraz do niej dotarło, dopiero teraz zrozumiała, co to dla niej znaczyło; przez ten cały stres, strach, pogoń do utraty tchu, nie przyswoiła wtedy tej informacji. Botnet Emila został rozmontowany. Ktoś zdarł jej z pleców płaszcz

superbohaterki i nawet tego nie zauważyła. Ale jak? Emil pisał, że stworzone przez niego fałszywe konta są doskonale zamaskowane, nie do rozpoznania dla strzegących mediów społecznościowych algorytmów. Ktoś je musiał wskazać. Ręcznie. Poczwała wzbierający gniew. I strach.

– Obawiam się, że musi pani na chwilę odłożyć telefon – powiedziała makijażystka.

– Momencik, tylko...

– Proszę pani, za dziesięć minut ma pani być już w studiu. Proszę mi wierzyć, nie chce tam pani iść z taką twarzą.

– Aż tak źle?

– Znaczący, proszę mnie źle nie zrozumieć, piękna z pani kobieta... – Makijażystka się zmieszała. – Tylko wie pani, trzeba się czasem położyć spać, a nie tylko imprezować.

Tak, pomyślała, moje życie w pigułce.

– Teraz pani zamknie oczy, dobrze? – Kobieta sięgnęła po pędzel.

– Mhm. Robi się.

Ciemność. Błoga i przerażająca jednocześnie, obietnica odpoczynku, pierwszy krok do koszmaru. Rozchyliła nieco powieki, tak, żeby do oczu wpadała choć odrobina światła. Wychodziła z domu z duszą na ramieniu, z sercem w gardle. Janek przyjechał po nią samochodem kolegi, zaparkował z tyłu budynku. Założyła czapkę z daszkiem, wielkie okulary przeciwsłoneczne, szła z wzrokiem wbitym w ziemię. Pojechali naokoło, przez Wawer. Wpuścili ich przez drzwi dostawcze; trzeba się o to było kłócić, ale w końcu się zgodzili. Janek był z nią cały czas. Siedział tu, w rogu pokoju, słyszała, jak przerzuca szeleszczące strony kolorowej gazety, jak prychnął, czytając wyznania gwiazd. Boże, jak dobrze było słyszeć to prychnięcie.

Pędzel łaskotał policzki, nos, oczy. Przygryzła usta, żeby nie kichnąć. Okej, dam radę, powiedziała sobie w myślach, będzie trudniej, ale mam już wyrobioną pozycję, nazwisko, będę o tym pisać, mówić, krzyczeć, aż ludzie usłyszą. A kiedy nie będę siedzieć przy mikrofonie, będę węszyć, aż znajdę twardy dowód. Może przed wyborami, może po. Ale nie odpuszczę.

– Tu potrzebujemy więcej podkładu... – usłyszała głos makijażystki. – Jeszcze chwila, dobrze?

– Mhm.

Ciekawa była Wareckiego. Co zrobi, kiedy rzuci mu oskarżenia w twarz. Kiedy zacznie przepytawać go z procedur estońskich e-wyborów, pokazywać wszystkie dziury. Kiedy pokaże na wizji, co można zrobić

z danymi, które zbierał zaprzyjaźniony instytut. Oglądała nagrania z jego występami, widziała, że jest świetnym mówcą, że trudno go będzie wyprowadzić z równowagi, zmusić do błędu. Ale robi to. Musi. Jeśli sprawi, że Warecki się zająknie, że straci język w gębie, świat zwróci uwagę. Bo to się będzie dało przerobić na mema.

Otworzyły się drzwi. Męskie kroki. Zapach wody kolońskiej.

– No wreszcie pan jest. – To druga makijażystka. – Proszę, niech pan siada.

Julita otworzyła oczy... I zdębiała. To nie był Warecki, tylko Królak. Daniel Królak z Net Solutions.

– Dzień dobry, pani Julito, panie Janku – powiedział z szerokim uśmiechem. Widziała w odbiciu w lustrze, że Jankowi drgnęła powieka. Nie powinien był znać jego imienia. – Miło państwa widzieć.

– Z panem to szybko pójdzie – powiedziała makijażystka. – Skóra jak u niemowlaka, ani jednej zmarszczki... Tylko trochę przypudrujemy, żeby się czółko nie świeciło.

– Oczywiście. Oddaję się w pani doświadczone ręce.

– Myślałam, że będę rozmawiać z posłem Wareckim – powiedziała Julita.

– Tak, tak, zdaję sobie sprawę. – Królak zamknął oczy. – Niestety, wyskoczyło mu coś ważniejszego.

– Ważniejszego? Mianowicie?

– Ach, wiedzieć wszystko. – Królak uśmiechnął się. – Czyż to nie jest marzenie każdego?

– Na pewno pańskie.

– Pani Julito, pani też ma wścibską żyłkę. Nie jesteśmy znowu tacy różni.

– No, nie wiem. – Julita posłała mu promienny uśmiech. – Ja na przykład nie znam tak dobrze rosyjskiego.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– Zobaczy pan na wizji, co chcę przez to powiedzieć.

– Przepraszam... – powiedziała makijażystka, wyraźnie onieśmielona. Trudno było nie wyczuć napięcia, które wisiało w powietrzu. – Proszę przez chwilę nie mówić... Sekundka...

– Jak tam goście? – Do charakteryzatorni zajrzał producent wydania. – Gotowi?

– Tak, właśnie skończyłam.

– W takim razie zapraszam. Dwie minuty.

Królak wstał, podziękował makijażystce i wyszedł na korytarz. Julita ledwo podniosła się z fotela. Drżały jej nogi.

– Powodzenia. – Janek ścisnął ją za dłoń. Mocno. Aż zatrzeszczały kości.

– Myślisz... Myślisz, że będzie okej?

– Myślę... – szepnął jej do ucha – że rozjedziesz go jak walec. No, idź już.

Julita uśmiechnęła się, stanęła pewniej na nogach. A potem dołączyła do Królaka.

– Zapraszam państwa. – Producent poprowadził ich długim korytarzem, potem otworzył drzwi do studia. Zielone ściany, które na ekranach telewizorów zmieniały się w mapy, zdjęcia, regały z książkami; na podłodze kłębowisko grubych czarnych kabli, dalej długi szklany stół, a za nim trzy fotele. Na jednym z nich siedział już gładko ogolony prezenter.

– Proszę zająć miejsca – powiedział producent. – Pani z lewej, pan z prawej... Filip, mikrofony!

– Zaraz.

– Żadne zaraz, tylko teraz! Minuta do wejścia!

– Dzień dobry. – Prezenter podał dłoń Julicie, potem Królakowi. – Zapowiada się ciekawa dyskusja?

– Bardzo. – Królak uniósł głowę, żeby ułatwić zadanie dźwiękowcowi, który przypinał właśnie malutki mikrofon do kołnierzyka jego koszuli. – Nie mogę się doczekać.

– Ja również – powiedziała Julita.

– Atmosfera jak na ringu. – Prezenter uśmiechnął się. Dobrze. Będzie oglądalność.

– Wchodzimy za dziesięć... – zaczął odliczać producent. – Dziewięć... Osiem...

– Aha. – Królak pochylił się do Julity. – Zrobiliśmy, o co pani prosiła.

– Słucham?

– Dziewięta dwadzieścia siedem, czwarty sierpnia. Pan Tran panią skomplementował. Mamy wszystko zapisane, tak jak pani chciała. – Królak mrugnął porozumiewawczo, po czym wyprostował się i spojrzał z uśmiechem w rybie oko kamery.

Hotel. Las Vegas. Jej pokój. Kolacja z minibaru. Julita nie mogła złapać powietrza. Strach. W piersiach wzbierał jej strach. Zapaliło się czerwone światło nad reżyserką.

– Witamy państwa w „Polityce faktów” – zaczął prezenter. – Nazywam się Rysław Kowalewski, a moimi gośćmi są pani Julita Wójcicka, dziennikarka zajmująca się tematyką cyberbezpieczeństwa, oraz pan Daniel Królak, CTO Net Solutions, doradca do spraw marketingu internetowego, współpracujący z partią Polska Jutro. I właśnie o tej partii, i o jej kampanii internetowej, będziemy dzisiaj dyskutować. Pani Julito, opublikowała pani dzisiaj w „Poprzek” wybuchowy artykuł. Padają w nim mocne oskarżenia. Czy mogłaby pani je przybliżyć naszym widzom?

– Ja... – wydusiła. Tłum ludzi. Niebieskie oczy. Pistolet z tłumikiem schowany pod kurtką. – Chodzi o to... Przepraszam... Rzecz w tym...

– To może ja zacznę. – Królak uśmiechnął się. – A pani Wójcicka pozbiera tymczasem myśli. Otóż artykuł stawia tezę, jakoby Polska Jutro zachowała się nieetycznie. Tymczasem korzystamy ze standardowych, ogólnie przyjętych metod.

O nie, skurwysynu, pomyślała Julita. Nie odpuszczę ci. Nie będziesz miał tak łatwo.

– Są ogólnie przyjęte bez wiedzy ludzi – powiedziała. Mocnym głosem, pewnie. – Bez ich świadomości. Państwo uczestniczycie w procederze wyłudzenia danych i manipulowania ludźmi. Robicie to w celach politycznych.

– Oczywiście, że w celach politycznych. Polska Jutro jest w końcu partią, a...

– A partie powinny mieć program. – Julita weszła mu w słowo. – Polska Jutro nie ma programu. Albo inaczej: ma ich setki. Tysiące. Każdemu obiecuje inną kiełbasę. Tych obietnic nie da się spełnić i wy doskonale o tym wiecie.

– Zabawne. Tyle pani mówi o etyce, a sama korzystała pani z pomocy botów, by promować swoje artykuły. Zna pani to biblijne powiedzenie? Widzisz źdźbło w oku bliźniego, a belki we własnym nie dostrzegasz?

Zrobiło jej się gorąco, strużka potu spływała jej po policzku. No tak, pomyślała, mogłam się spodziewać, że to oni, że maczali w tym palce. Podcięli jej skrzydła tuż przed publikacją tekstu, a teraz grają jeszcze tą kartą, żeby ją zdyskredytować.

– Naprawdę myśli pan, że to równoważny temat? – odpowiedziała, starannie modulując głos, żeby się nie złamał, nie zadrżał, nie podniósł się. – Te sposoby promocji i kampania wyborcza partii, która może stać się jęczyzkiem u wagi w następnym parlamencie?

– Sposoby promocji.... – Królak pokręcił głową. – Piękny eufemizm, pani Julitko. Ale nazwijmy rzeczy po imieniu. Pani manipulowała swoimi czytelnikami. Nadużyła pani ich zaufania.

Uśmiechnęła się. Łyknął haczyk.

– Tak? Manipuluję? To jak nazwać metody Polski Jutro? Jak nazwać waszą pseudoankietę, której celem było wyłudzenie informacji o wyborcach? Jak nazwać aplikację, która miała ich śledzić? Albo reklamy, które opierały się na...

Rzuciła kątem oka na prezentera. Nie słuchał jej. Przyciskał palec do schowanej w uchu słuchawki. W reżyserce było jakieś zamieszanie, ludzie zerwali się z krzeseł. Producent wyciągnął z kieszeni wibrujący telefon. Coś się działo. Coś poważnego. Nie daj się rozproszyć, pomyślała, wracając wzrokiem do kamery, nie daj się rozproszyć.

– ... Które opierały się na... – ciągnęła dalej.

Nagle zgasła czerwona lampka nad reżyserką.

– Przepraszam... Przepraszam państwa... – Prezenter wszedł im w słowo. Był blady. Mówił z trudem. – Musieliśmy przerwać program.

– Słucham? Co się stało?

Ktoś biegł po korytarzu. Trzaskały drzwi. Krzyki.

– Strzelanina... – jęknął prezenter. – Kolonie... Pod Mikołajkami...

– Co?!

– Przed chwilą PAP podał... Ktoś wszedł do świetlicy... Nie żyje dwadzieścia pięć osób... W większości dzieci...

– O mój Boże... O Jezu... – Julita zasłoniła usta.

– Straszne. – Królak pokręcił głową. – Straszne.

Podszedł do nich producent. Wokół biegali ludzie.

– Musimy... Musimy państwa stąd wyprowadzić...

Julita wstała z krzesła, ruszyła za nim, ale bezwiednie, jak nakręcona zabawka. Nie, pomyślała. To niemożliwe. To nie może być zbieg okoliczności. To jakaś ściema. Już miała zaprotestować, już miała złapać producenta za rękaw, wykrzyknąć to Królakowi, ale kiedy wyszli do lobby, zobaczyła otoczony tłumem ludzi telewizor. Szlochali. Przyciskali dłonie do ust. Kręcili z niedowierzaniem głowami.

Podążyła za ich wzrokiem, na ekran. Chwiejne, niewyraźne nagranie. Duża, ciemna sala. Dym. Ciała. Niektóre w krótkich spodenkach. Przebitka na inne nagranie. Czyjaś zakrwawiona twarz, jakiegoś mężczyzny, chyba opiekuna, mówi z trudem. Głos był wyciszony, ale nawet ona potrafiła odczytać słowa z jego ust. Pomocy. Pomocy. Na pomoc.

Wtedy coś zauważyła. Przeskok. Cięcie. Przez ułamek sekundy usta jak gdyby odkleiły się od twarzy, nie nadążały za resztą ciała. A potem już wszystko normalnie, wszystko jak trzeba. Widziała coś takiego. Na szkoleniu, jak rozpoznawać manipulowane nagrania wideo. Twarze mówiące słowa, których nigdy nie wypowiedziały.

– To jest ściema! – krzyknęła. – Ludzie! To nie jest prawda!

– Cisza!

– Jak ona może...

– O mój Boże... O Boże...

– To się nie dzieje naprawdę! – wrzasnęła Julita. Czuła, jak po twarzy ciekną jej gorące łzy. – To jest zmanipulowane nagranie! To...

– Proszę pani, proszę się uspokoić – przerwał jej ochroniarz. Mówił cicho, ale stanowczo.

– To jest kłamstwo! Proszę przekazać, że to jest kłamstwo!

– Proszę pani, jeśli się pani nie uspokoi, będę zmuszony...

– Odsuń się! Ja...

Nie dokończyła. Ochroniarz złapał ją za rękę, szarpnął.

– Nie! – krzyknęła. – Zostaw mnie! Zostaw mnie, do cholery!

– Proszę natychmiast opuścić budynek.

– Puszczaj mnie! Janek! Janeeeeeek!

Próbowała zaprzeć się stopami, ale płaskie podeszwy ślizgały się po kamiennej posadzce. Nie była w stanie nic zrobić, nie miała dość sił, żeby się wyrwać. Ochroniarz wyprowadził ją za bramki bezpieczeństwa; zrobiło się zbiegowisko. Nagle dostrzegła w tłumie twarz Królaka. Coś powiedział. Na początku nie zrozumiała, nie dotarło do niej, dopiero po chwili, kiedy Królak zniknął już w tłumie, głoski złożyły się w słowo.

Do swidania.

Październik 2020

Julita siedziała nieruchomo, w absolutnej ciszy. Wiedziała, że nie może wydać z siebie teraz żadnego dźwięku: nie może zaszeleścić papierek, zaskrzypieć podłoga, zaszumieć czajnik. Telefon był wyciszony, w telewizorze wyłączyła dźwięk. Wreszcie doszedł do jej uszu ledwie słyszalny szcęk zwalnianej klamki, potem wytlumione kroki.

– I jak? – szepnęła, obracając się w kanapie.

– Zasnęła. – Magda już otwierała barek, już odkręcała butelkę. I to ona prawiała mi morały o uzależnieniach, sarknęła w myślach Julita. Ale nic nie powiedziała. To nie był dobry moment, żeby poruszać ten temat.

– To mogę podgłośnić telewizor? – spytała.

– Troszeczkę. – Siostra usiadła koło niej, założyła nogę na nogę. W kieliszku martini kołysała się jak szałwik oliwka. – Już, już, już. Tyle wystarczy.

Z Saszka było lepiej, przynajmniej w ciągu dnia. Ale wciąż zasypiała tylko przy zapalonym świetle, we własnym łóżku, w uścisku matki. Jakby znów miała trzy latka. Psycholożka powiedziała Magdzie, żeby się nastawiła, że to potrwa długo. Rok, może dwa. Dziecko nie powinno być oglądać takich rzeczy. Nikt nie powinien. Julita zrobiła w klasie Saszki warsztaty, tak, jak obiecała, drugiego września. Uczniowie zostawiali teraz telefony w szafce po wejściu do szkoły, odbierali je po ostatnim dzwonku. Oczywiście, to nie załatwiało problemu, co najwyżej go zmniejszało. Koledzy mogą przecież pokazać jej podobny film po lekcjach: na boisku, na placu zabaw, na zajęciach z francuskiego. Od tego nie dało się uciec. Wystarczyło jedno kliknięcie dziecięcego palca, a bity już leciały przez powietrze, po pogrzebanych na dnie oceanu światłowodach, odbijały się od krążących w ziemskiej orbicie satelit. Cały świat na wyciągnięcie ręki. Cały. Bez wyjątków.

– Skutki uboczne? – zaświergotała kobieta z reklamy. – Że znikają boczki!

– Ja pierdołę... – jęknęła Magda. – Znowu to? Przecież ta reklama ma ze trzy lata.

– Musisz przyznać, że zapada w pamięć.

– No, ale ile można...

– Co, powinni wymyślić coś nowego? – zapytała Julita, a potem zaszczebotała, trzepocząc rzesami. – Skutki uboczne? Półdupki niewidoczne.

– Ha, ha! Czekaj, czekaj, ja mam coś lepszego.

– No?

Magda odstawiła kieliszek i zachichotała. Była fatalna w opowiadaniu dowcipów. Tak bardzo bawiły ją własne żarty, że nie była w stanie ich dokończyć, bo dusiła się ze śmiechu, a kiedy już w końcu docierała do puenty, zwykle okazywało się, że nie była ona warta nabudowanego suspense. Ale Julita i tak się uśmiechnęła. Bo dobrze było znowu z nią być. Dobrze było się znowu razem wygłupiać. Choćby w takich gównianych okolicznościach.

– Uboczne skutki? – zaczęła. – Że cię swędzą...

– Tśś! – syknęła Julita. – To już!

Skończył się blok reklamowy, wjechał dzingiel *Wiadomości*. WYBORY PARLAMENTARNE 2020, głosił wielki napis nad głową prezenterki. Julita zerwała się z kanapy i zacisnęła dłonie na pilocie, tak mocno, aż zatrzeszczał plastik, jak gdyby to była rękojeść miecza, którym zaraz przyjdzie jej stoczyć pojedynek na śmierć i życie.

– Szanowni państwo – powiedziała prezenterka. – Spływają do nas wyniki *exit polls*. Najwięcej głosów zdobyła...

Julita już nie słuchała. Patrzyła na słupki, a konkretnie – na czwarty w kolejności. Miał kolor niebieski, był podpisany „Polska Jutro”. I wystawał tuż ponad magiczną granicę pięciu procent. Julita opadła na kanapę. I spuściła głowę.

– Hej, to jeszcze nie koniec świata. – Magda położyła jej dłoń na plecach. – Może jak policzą wszystkie głosy, okaże się, że jednak im trochę zabrakło...

– Nie sądzę. – Julita pokręciła głową. – Najwyższe poparcie mieli w miastach, a tam *exit polls* są najdokładniejsze. Weszli. Na sto procent.

Siedziały obie na kanapie, wpatrzone w telewizor. Julita sięgnęła po kieliszek Magdy i odstawiła go dopiero, gdy był pusty. Otarła piekące usta. Wszystko na nic. Ostatnie dwa miesiące pracowała dzień i noc, biła na alarm, robiła, co mogła, żeby zwrócić uwagę na niepokojące praktyki Polski Jutro, dziwne powiązania Artura Wareckiego i tajemniczego Daniela Królaka, o którym nikt nie słyszał. Mało komu chciało się nadstawić ucha. Media wciąż żyły tematem fałszywki z Mikołajek – jak to możliwe? Kto to zrobił? Po co? Nie było jednoznacznej odpowiedzi na te

pytania. Julita miała, rzecz jasna, swoje podejrzenia, podejrzenia graniczące z pewnością... ale żadnych dowodów. Wiadomo było tylko: jak. Ktoś włamał się na konto twitterowe Polskiej Agencji Prasowej i lokalnej gazety, „Głosu Mazur i Warmii”. W tej samej minucie, w której Julita i Królak weszli na wizję, „Głos” wgrał do sieci fejkowe nagranie, a PAP puścił je w świat. Chwilę potem o rzekomej strzelaninie na koloniach zaczęły rozpisywać się setki fałszywych kont na mediach społecznościowych, pojawiały się kolejne zdjęcia, filmy. Wybuchła histeria. Przerażeni rodzice dzwonili na policję i do szpitali. Zwykli, normalni ludzie zaczęli wypisywać, że też słyszeli strzały, że widzieli dym. Ogłupiali policjanci gnali na sygnale od ośrodka do ośrodka i szukali rzekomej masakry, o mały włos nie zderzając się z pędzącymi w przeciwną stronę ambulansami. Nim udało się to wszystko odkręcić, nim wszyscy pojęli, że to była podpucha, minęło kilka ładnych godzin. Nikt już wtedy nie pamiętał o artykule Julity Wójcickiej. Zresztą może ten tekst też był zmyślony? Kto wie? W końcu też miała swoje grzechy na koncie; oskarżenia Króla nadszarpnęły jej reputację, podważyły wiarygodność.

Na ekranie pojawił się Artur Warecki. Uśmiechnięty, z doskonale dopasowanym do koszuli krawatem. Rozmowy koalicyjne już się toczą, mówił. Jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia, dodał. Warunkiem jest, rzecz jasna, deklaracja realizacji naszego pakietu „Polska Przyszłości”, podkreślił. Szczególnie ważna jest dla nas kwestia głosowania przez internet, zaznaczył.

– Oblesny mydłek – skwitowała go Magda.

– Wicepremier oblesny mydłek.

– Tak myślisz?

– Mhm. Masz to jak w banku.

– Boże, ciężko mi w to wszystko uwierzyć, wiesz? Przecież w twoich tekstach jest wszystko wyłożone, czarno na białym... Jak to możliwe, że go to nie zatopiło?

– Nie wiem – westchnęła Julita. – Będę musiała spytać ludzi, którzy pisali o Srebrnej.

– A nie toczą się w jego sprawie jakieś śledztwa? Przecież przekazałaś materiały...

– Toczą się, toczą. – Julita skinęła głową. – I pewnie będą się toczyć rok, dwa albo trzy. A zmiany w ordynacji wyborczej przegłosują jeszcze w tym roku.

– A ta dziewczyna? Aneta?

– Ciągłe nic. Świadek koronny rozpląnął się w powietrzu.

Julita wstała, otrzepała kolana. Przełknęła napływające do oczu łyzy frustracji.

– Dobra. – Zarzuciła na ramię torbę na laptopa. – Idę.

– Na pewno? Może jeszcze posiedzisz...

– Nie, będę tylko smęciła. Poza tym muszę napisać jakieś podsumowanie tej całej afery... I zacząć krucjatę przeciwko e-wyborom.

– Okej, ale... Uważaj na siebie, dobra?

– Pewnie. – Julita pocałowała siostrę w policzek i otworzyła drzwi na klatkę. – Pa.

Jankowi, z pomocą prokuratora Bobrzyckiego, udało się w końcu załatwić jej ochronę. Trzech policjantów stało pod jej mieszkaniem dzień i noc przez dwa tygodnie. Nie zauważyli niczego podejrzanego, niczego nie wykryli. Wyglądało na to, że zagrożenie minęło, przynajmniej na razie. Że ktokolwiek sprzątał aferę z Kandy, Alexem i Wareckim, uznał, że usunięcie Julity spowodowałoby teraz więcej złego niż dobrego, zwróciłoby uwagę na jej teksty. Wszystko wskazywało na to, że postanowili uciszyć ją inaczej: szumem. I dopięli swego.

Kiedy tylko otrzymała informację, że jest względnie bezpieczna, pojechała do Magdy. Nie była pewna, co jej powie, czy chce ją przeprosić, czy opieprzyć. Okazało się, że mówienie nie było potrzebne. Padły sobie w ramiona, popłakały się. A potem udawały, że wszystko jest po staremu. Magda oczywiście wciąż uważała, że Julita powinna zająć się jakimś innym, bezpieczniejszym tematem. Tak po prawdzie Julita też tak uważała. Ale nie potrafiła tego zrobić.

Julicie nie chciało się czekać na windę. Była już piętro niżej, kiedy usłyszała głos siostry.

– Hej! Jesteś tam jeszcze?

– Jestem – odpowiedziała.

– Że cię swędzą sutki!

– Że co?

– Uboczne skutki? Że cię swędzą sutki!

– Jezu, Magda... – Julita uderzyła się otwartą dłonią w czoło, aż klasnęło. – Ty idź już lepiej spać, dobra?

– Też cię Kocham! Pa!

Trzask, zamknęły się drzwi do mieszkania. Julita prychnęła, pokręciła głową, po czym wyszła przed budynek. Ciepły, bezwietrzny wieczór. Pewnie ostatni taki w tym roku. Zaraz zacznie się sezon smogu i cementowych chmur. Julita wyciągnęła telefon z sakiewki Faradaya,

żeby zadzwonić – broń Boże nie zamówić przez aplikację – po taksówkę. Ale nim zdołała wybrać numer, komórka zawibrowała. Nowa wiadomość. Od Janka. Julita wzięła głęboki oddech. Janek. Kolejny trudny temat.

od: Janek <rfg4dndn@yandex.ru>
do: Ja <teodozja.ambrozja@protonmail.com>
data: 20 października 2020 21:21
temat: jeszcze jeden czat

Koledze z jednostki do spraw walki z cyberprzestępczością udało się wyciągnąć z dysków DreamNetu jeszcze jeden log rozmów Kandy i Alexa. Rzuciłem okiem – nic ciekawego. Podsyłam tak na wszelki wypadek.

J

Powinnam przeczytać dopiero w domu, pomyślała. Tak by było najrozsądniej, stwierdziła z całą stanowczością. A potem usiadła na ławce i rozpięła suwak od torby. Taki ciepły wieczór, usprawiedliwiała się sama przed sobą, żal byłoby nie skorzystać. Ściągnęła szarpane wiatrem włosy gumką, zapaliła papierosa. Kilka minut później miała przed sobą zapis rozmowy Alexa i Kandy. Ta była najstarsza, z sierpnia dwa tysiące osiemnastego. Na długo przed tym, jak zaczęły się ich problemy. Wypuściła z ust dym, zmrużyła oczy.

KandyKroosh: o hej, jak miło, że jesteś
KandyKroosh: miałam nadzieję, że pogadamy
KandyKroosh: dostałam Twoją paczkę – dziękuję!
KandyKroosh: to naprawdę miłe z Twojej strony
KandyKroosh: bardzo fajne te LUSH
KandyKroosh: w Polsce nigdy nie widziałam tych kosmetyków
KandyKroosh: ...
KandyKroosh: helloooooo
KandyKroosh: jesteś tam?
Alexxander12: ojej, przepraszam
Alexxander12: tak
Alexxander12: zagapiłem się
Alexxander12: wyglądasz niesamowicie <starryeyes.gif>
Alexxander12: nie widziałem cię jeszcze w tej sukience
KandyKroosh: poczekaj, aż zobaczysz, co mam pod spodem

Alexxander12: a... co masz?
KandyKroosh: nic:*
Alexxander12: uffff
Alexxander12: wiesz, jak mi zawrócić w głowie
KandyKroosh: w głowie, powiadasz? ;)
Alexxander12: oj, nie czepiaj się słówek
KandyKroosh: racja
KandyKroosh: może w ogóle odkleję się na chwilę od klawiatury
KandyKroosh: i zajmę ręce czym innym...
KandyKroosh: co ty na to?
Alexxander12: jestem za <3

I tyle, koniec, później już przecież nie rozmawiali. Janek miał rację: nic ciekawego. No, poza jednym małym szczegółem.

Leon Nowiński potarł obolały nadgarstek. Rysował od jedenastu godzin, z przerwami na żarcie i siku. Gra, nad którą pracował – *Jack Downing, PI* – wychodziła niby dopiero za rok, ale już teraz musieli zamknąć pracę nad okładką. Był na niej, wiadomo, facet z pistoletem, eponimiczny twardeł serii. Kwadratowa szczęka pokryta dwudniowym zarostem, żarzący się papieros w kąciку ust, nieśmiertelnik dyndający na szerokiej klacie. Leon narysował tysiąc wersji tego obrazka: Jack Downing od tyłu, z boku i od dołu, Jack Downing strzela, Jack Downing kuca, Jack Downing zdmuchuje dym unoszący się z lufy, Jack Downing przeładowuje magazynek. W końcu stanęło na dynamicznej pozie: detektyw był pokazany w biegu, wyglądał, jakby kogoś ścigał. Ta wersja nie była ani gorsza, ani lepsza od poprzednich – była po prostu ostatnia. Deadline na wysłanie grafiki do wydawcy upływał następnego dnia, w poniedziałek, o jedenastej polskiego czasu, a dyrektorstwo wciąż było niezadowolone. Oświetlenie jakieś takie płaskie. Skórzany płaszcz brzydtko się marszczy. Cień pod nosem wygląda jak wąsik. Palec nie powinien być na spuście.

– Leon? – Przy biurku stanął jego producent, Marek. – Jak tam idzie?
– Dobrze. Dzisiaj skończę.
– Super. Słuchaj... – Marek zawiesił głos. – A dasz radę wpaść też jutro? Na wypadek gdyby rano pojawiły się jeszcze jakieś uwagi.
– Aha.
– Zdaję sobie sprawę, że proszę o dużo... Przyszedłeś specjalnie w niedzielę, pewnie chcesz jutro odpocząć... No i wiem, że twoja

dziewczyna traci już do nas cierpliwość...

– To akurat już nieaktualne.

Producent wyglądał na zakłopotanego.

– A, okej... Kurczę... – wybąkał. – Mam nadzieję, że to nie przez pracę...

– Nie przez moją, jeśli o to pytasz.

– Stary... Nie wiem, co powiedzieć... – Marek położył mu dłoń na ramieniu. – Strasznie mi przykro... Jak się z tym czujesz?

– Wiesz, dobrze się stało. – Leon odłożył rysik od tabletu, odsunął się od biurka. – My... No, nie pasowaliśmy do siebie. Ja miałem ochotę na takie spokojne, normalne życie. Rozumiesz, wieczorem jakiś serial, w weekend ulubiona knajpka i piwko ze znajomymi...

– Mhm. Kumam.

– A ona... Ona nie potrafiła tak funkcjonować, wiesz? Ona musiała... – Leon urwał w pół zdania. Zorientował się, że Marek nie pytał go, jak się trzyma, żeby usłyszeć szczerą odpowiedź, tylko żeby odegrać oczekiwaną rolę, zamarkować empatię. Teraz, kiedy Leon zaczął wchodzić w szczegóły, był skrępowany. Oczy uciekały mu w bok, myślał, jak skończyć tę rozmowę. – A zresztą... Nie będę ci zawracał głowy.

– Nie no, stary, żaden problem – powiedział Marek z wyraźną ulgą. – Jakby co... Wal jak w dym.

– Pewnie. Dzięki.

– To co? Widzimy się w poniedziałek?

– Zgadza się.

– Super. To na razie.

Leon wziął do ręki rysik i zastygł bez ruchu. Mimo że siedział tuż przy monitorze, nie widział Jacka Downinga, pogromcy przestępców, jego muskularnych ramion, czoła skroplonego potem ani cienia pod nosem, który faktycznie wyglądał trochę jak wąsik. Przed oczami miał Julitę, ich ostatnie spotkanie. Rozstali się spokojnie, bez oskarżeń i krzyków. Chociaż to ona go rzuciła, poza smutkiem czuł też pewną ulgę. Że nie będzie musiał się już martwić, co się z nią dzieje. Że nie będzie budził się w nocy i zastanawiał, czemu jeszcze nie ma jej w łóżku, czemu wciąż ślęczy przy komputerze. Że nie będzie już pytał sam siebie, ile jest prawdy w rzadkich wyznaniach miłości.

Leon westchnął i wrócił do rysowania. Postanowił, że puści sobie jakąś muzykę. Z głośników, nie przez słuchawki. Nie musiał się przejmować, że będzie komuś przeszkadzać. Wybiła dziesiąta wieczór, był w biurze zupełnie sam.

Budynek był odpychający. Toporna bryła ukryta między ruderami, wejście przez upstrzony olejem samochodowym parking, w środku labirynt korytarzy: farba odłaziła od ścian, zdarta klepka ruszała się pod stopami, pęknięte szyby posklejane zieloną taśmą klejącą. Ale to właśnie tu, w tej starej fabryczce gdzieś na Pradze, mieściły się liczne studia fotograficzne do wynajęcia na godziny, tu kreowało się iluzję perfekcyjnego życia, tu tworzyło się niewystępujących w przyrodzie ludzi bez zmarszczek czy fałdek tłuszczu, o śnieżnobiałych zębach i niemożliwie wąskich kibiciach. W jednym z tych studiów swoją sesję miała właśnie Wiolka Słaby. Julita jeszcze raz sprawdziła wskazówki ze strony internetowej atelier – „wejdź klatką C, kręconymi schodami na drugie piętro, potem w prawo i do końca korytarza, ostatnie drzwi z lewej” – po czym ruszyła przed siebie. Wściekły stukot jej obcasów niósł się echem po całym budynku.

Kariera Wiolki Słaby eksplodowała. Ludzie kochali ją nienawidzić. Jej spuchnięte od botoksu usta, wylewające się ze stanika silikonowe cycki, obklejone diamencikami tipsy. Jej denne piosenki i żałosne teledyski, rwący się głos, kretyńskie monologi z kurwą na przydechu, zniekształcone mamlaną bezustannie gumą do żucia. Ale ona brzydka. Ale tandetna. Ale głupia. Tyle że Wiolka nie była głupia. Prymitywna, owszem. Niedouczona, jak najbardziej. Ale nie głupia. Doskonale wiedziała, co robi, czym wkurzyć ludzi, jak nadmuchać ich oburzenie i poczucie wyższości. Owszem, każdego dnia wylewały się na nią hektolitry pomyj, ale one były przecież wodą na jej młyn. Każde wyzwisko, każde życzenie śmierci brzęczało jak moneta wrzucona do puszk.

– Mhm. Teraz ręka na biodro... Aha... Uśmiech... – Słysząc było już głos fotografa. – O, świetnie... Tak przytrzymaj.

Błysk. Błysk. Błysk. Półmrok korytarza przecinało ostre światło flesza; drzwi były otwarte. Julita weszła do środka. Małe, obskurne pomieszczenie; Wiolka, w trampkach na koturnie i lajkrowym body w barwy narodowe, wygina się na tle czarnej plandeki. W rogu toaletka zavalona kosmetykami, obok, na wieszaku, wiszą ciuchy wysłane przez agencje pijarowe: bluzy, legginsy, ortalionowe kurtki. Niektóre marki unikały Wiolki jak ognia – prawnicy ślali jej pisma, żeby nie pokazywała się publicznie w ubraniach klienta – inne wręcz przeciwnie, walczyły o każdy centymetr kwadratowy jej ciała. Jej uda, biust, brzuch, to wszystko była cenna powierzchnia reklamowa.

– A teraz tyłem... – Fotograf schował się za aparatem, znów błysnęły lampy. – Tak... Pochyl się do przodu i odwróć... Aha... Super...

– Przepraszam bardzo, tu trwa sesja. – W stronę Julity podeszła kobieta w białym żakiecie, pewnie agentka Wiołki. Ściągnięte brwi i ręka na biodrze mówiły „nie wchodź” wymowniej niż czerwony znak stopu.

– Widzę. Julita Wójcicka, „Poprzek”. Mam pilne pytanie do gwiazdy.

– Rozumiem... – Słyszac nazwę prestiżowego tygodnika, dziewczyna złagodniała. – Niech mi pani da swój numer, odezwę się jak tylko...

– Spoko, ja ją znam! – zawołała Wiołka. – Jak ty się nazywałaś? Jowita chyba?

– Julita.

– Julita, właśnie. No, dawaj, czego chcesz?

– Wiołka, studio mamy wynajęte do trzynastej... – wtrąciła agentka.

– No i? Co, wyrzucą nas?

– Nie, ale...

– Właśnie. – Wiołka sięgnęła po butelkę z wodą; sztuczne pazury były tak długie, że z trudem chwyciła zakrętkę. – No?

– Słuchaj, robię taki duży materiał o gwiazdach estrady, skąd czerpią inspiracje, takie tam... – zaczęła Julita.

– O?

– Mhm, tekst na okładkę, muszę go zamknąć do końca dnia. Odpowiedziałabyś na kilka pytań? To zajmie parę minut.

– Pewnie. – Wiołka wydeła dumnie usta. – Wal.

– Ulubiona europejska stolica?

Wiołka przekrzywiła głowę, zmrużyła oczy.

– A to, kurwa, co, kartkówka z geografii?

– Nie, nie. – Julita uśmiechnęła się przyjaźnie. – Chodzi raczej o to, gdzie lubisz jeździć na zakupy, takie tam.

– No do galerii chyba?

– Mhm. Czyli wyjazdy za granicę nie bardzo? Nawet na wakacje?

– Nie. Byłam raz w tym, no, Szarm-el-Szejk, ale to nie dla mnie, tylu tych brudasów, że...

– Wiołka lubi polskie klimaty, rozumiesz, słowiańskie rytmy... – wtrąciła szybko agentka.

– Aha, zapiszę sobie – odparła Julita, nie wyciągając rąk z kieszeni. – Ale tak jeszcze *à propos* tych zakupów... Może masz chociaż jakieś ulubione zagraniczne marki? Coś, o co prosisz znajomych, żeby ci przywieźli z urlopu?

Wiołka, chyba zniecierpliwiona już rozmową, pokręciła tylko głową, wprawiając w ruch gigantyczne złote kolczyki.

– To skąd miałaś kosmetyczkę LUSH? – spytała Julita. – W Polsce nie ma tej firmy.

– Że co?

– Widziałam ją, kiedy spotkałyśmy się po raz pierwszy, w lipcu, w tej knajpie z balonami. Wyciągnęłaś z niej chusteczki.

Piosenkarka skrzyżowała ramiona na wydatnych piersiach, skrzywiła się.

– Chyba coś ci się pomyliło, laska – powiedziała. – Dobra, słuchaj, w dupie mam ten twój artykuł, i tak nikt nie czyta gazet. Nara.

– Wiolka... – szepnęła przerażona agentka.

– No co? Sama chyba mówiłaś, że studio jest do trzynastej, nie? To musimy się spieszyć, tak? No to się, kurwa, spieszę – syknęła Wiolka, po czym dała znać fotografowi, że przerwa skończona, pstrykamy dalej.

– Ostatnie pytanie dla czytelników „Poprzek” – zawołała za nią Julita. Wiolka udawała, że nie słyszy. Stała w *contrapposto*, które eksponowało wszystkie napompowane krągłości, złożyła usta w dzióbek i spojrzała w obiektyw.

– Okradłaś Hankę, zanim ją udusili? – ciągnęła Julita. – Czy po?

Fotograf zamarł z palcem nad spustem migawki.

– Sorry, laska, nie wiem, o czym mówisz – rzuciła Wiolka, eksponując lewy profil, tam, gdzie nad kącikiem ust miała kolczyk z diamentem. – No? Na co czekasz? Cykaj te foty, kurwa!

– Myślę, że po – odpowiedziała sobie Julita. – Uznałaś, że trupowi kosmetyki i tak się nie przydadzą, więc co się mają zmarnować. A poza tym trochę jej pewnie zazdrościłaś, co? Że nie dość, że te portfele płacą jej takie kokosy, to jeszcze ślą prezenty?

Przez twarz Wiolki przebiegł grymas. Miarka się przebrała. Była wściekła.

– Może ktoś w końcu wyjechać tę upierdliwą pizdę?! – wrzasnęła.

Agentka puściła jej niepewne spojrzenie. Fotograf zwiesił aparat. Widać, że marzył o tym, żeby być gdzie indziej. Na jakimś weselu albo chrzcinach na przykład.

– Mogą. – Julita skinęła głową. – Ale wtedy ta upierdliwa pizda cię zniszczy. Bo za kradzież materiału dowodowego i utrudnianie dochodzenia w sprawie morderstwa idzie się za kratki.

Wiolka wciąż tkwiła w pozie, chociaż nikt nie robił jej zdjęć. Teraz naprawdę wyglądała jak rzeźba. Nie licząc zgrzytających zębów.

– Monika – warknęła do agentki. – Na korytarz. I ten dupek z aparatem też.

Zostały w studiu same. Twarz Wiolki stężała, opalona na solarium skóra pobrała.

– No?! – wycedziła. – Czego, kurwa, chcesz?

Julita nie odpowiedziała od razu. Chciała, żeby Wiolka zrozumiała, że te krzyki nie robią na niej wrażenia. Że to ona kontroluje sytuację. Że ma ją w garści.

– Hanka coś schowała do tej kosmetyczki, prawda? – spytała w końcu.
– Coś niepozornego. Coś, co nie pasowało do reszty.

Cisza. Żadnej odpowiedzi. Nawet zaprzeczenia.

– Daj mi to – powiedziała Julita.

Mierzyły się chwilę wzrokiem. Widać było, że Wiolka nad czymś myśli, że stara się wybadać, czy to wszystko blef, czy może te groźby rzeczywiście mogą się ziścić. Julita uśmiechnęła się szeroko, posłała jej swoje najbardziej bezczelne spojrzenie. No, dalej, mówiły jej oczy. Tylko spróbuj.

Wiolka zakłęta pod nosem, sięgnęła do przewieszanej przez oparcie krzesła torby. A potem wyciągnęła z niej pendrive w kształcie szminki.

Oleg zajrzał do kuchni. Też nie. Sprawdził już wszystkie salki konferencyjne, *common room*, kantinę, nawet firmową siłownię. Nigdzie jej nie było. Powoli kończyły mu się pomysły.

– Szukasz kogoś? – spytał Davydas. Robił sobie właśnie kawę: potrójne espresso. Ostatnie miesiące nie oszczędziły nikogo.

– Tak. Poli. Widziałeś ją może?

– A ona nie ma przypadkiem jakiegoś szkolenia? – Litwin podniósł głos, żeby przekrzyczeć chrobot ekspresu. – Bo widziałem, jak szła na górę.

– Do „Ljubljany”? – upewnił się Oleg. Większość pokoi w warszawskim biurze nosiło nazwy wschodnioeuropejskich stolic. Niegdyś odcięte od Zachodu żelazną kurtyną, teraz były ciasno oplecione tymi samymi kablami, co on.

– Aha.

– Dzięki. A jak tam u was? Lepiej?

– Weź, kurwa, nie żartuj – mruknął Davydas.

Afera z Mikołajkami wzięła firmę z zaskoczenia. Oczywiście, wszyscy wiedzieli, że taki dzień nadejdzie. Technologia do robienia przekonujących deep fake'ów istniała już od lat, tylko używano jej głównie w celach, nazwijmy to, rozrywkowych. Szczególną popularnością cieszyły się filmy pornograficzne, gdzie twarze bezpruderyjnych aktoreczek zastępowano wizerunkami sławniejszych koleżanek

z Hollywood. Oleg trochę się naoglądał tych montaży w *content moderation*. Niektóre trąciły fałszem na kilometr: prężące się kobiety wyglądały jak postaci z jakiegoś makabrycznego horroru, w niedopasowanych maskach z ludzkiej skóry. W innych przypadkach trzeba było się naprawdę dobrze przyjrzeć, żeby dostrzec, że coś jest nie tak. Niektórzy koledzy z zespołu robili to z nieskrywaną przyjemnością.

Technologia więc istniała. Nigdy przedtem nie użyto jej jednak w tak przemyślany, skoordynowany sposób, nigdy nie była elementem tak szeroko zakrojonej akcji. A media społecznościowe oczywiście ją nagłośniły. Nie mogło być inaczej, miały to przecież wpisane w swój kod DNA: nim ktokolwiek zdążył obejrzeć wrzucony przez „Głos” materiał do końca, link był już udostępniony dziesiątki tysięcy razy. Mainstreamowe media też nie mogły zwlekać, redaktorzy wiedzieli, że kto pierwszy opisze szokujące zdarzenie, zgarnie większość ruchu, a co za tym idzie – przelewające się śladem internautów pieniądze.

A potem, kiedy sytuacja się uspokoiła, kiedy było już jasne, że cały kraj został zrobiony w konia, posypały się na nich gromy: bo do siania dezinformacji użyto fałszywych kont, bo przyczynili się do rozdmuchania historii, bo nie nadążali z kasowaniem teorii spiskowych dowodzących, że pod Mikołajkami NAPRAWDĘ doszło do masowego mordu, a rząd zamiata to pod dywan. Wszyscy ważni ludzie w firmie, którzy zwykle przemierzali korytarze dostojnym krokiem, uśmiechnięci, otoczeni wianuszkami sykofantów i lizusów, teraz biegali w tę i w tę, z telefonami przyciśniętymi do policzków, rozsypując za sobą papiery.

Oleg tymczasem skończył swoje zadanie. Dwa tygodnie temu, i to przed ustalonym terminem. Trzaskał nadgodziny, pracował jak maszyna, ale się udało. Wszystkie wpisy przeklikane, posegregowane, gdzie trzeba, opatrzone stosownym komentarzem. Wszystkie siedemnaście tysięcy. Wysłał Poli mejla w tej sprawie – hej, skończyłem, co dalej – i nic. Siedział całymi dniami przed komputerem, nie mając absolutnie nic do roboty. Tortura. Z początku jeszcze udawał, że coś robi, markował pracę: przeglądał jakieś tabelki, materiały szkoleniowe. Potem już nie dbał o pozory i oglądał transmisje z meczów ulubionych klubów piłkarskich – ale i to w końcu mu się znudziło, postanowił więc wziąć sprawy w swoje ręce. Oczywiście, wiedział, że Pola jest zajęta, że jako dyrektorka regionalnego działu do spraw bezpieczeństwa ma teraz roboty pod korek, że siedzi w biurowcu po nocach, czekając, aż nad odległą Kalifornią wreszcie wstanie słońce i będzie można porozmawiać z szefami

wszystkich szefów, ale przecież potrzebował jej tylko na minutkę: przypomnieć o skończonym zadaniu, upomnieć się o nowe.

Chwilę później był już piętro wyżej, przed wejściem do tak zwanej szkoleniówki. Dostęp do tej części biura mieli tylko wybrani pracownicy, Oleg uniósł więc dłoń, żeby zadzwonić przez interkom – kiedy zorientował się, że drzwi są niedomknięte. Pchnął je lekko i wszedł do środka; wykładzina na podłodze tłumiła kroki. W „Ljubljanie” faktycznie było zapalone światło, niosły się stamtąd czyjeś głosy. Bingo.

– W trakcie wewnętrznego dochodzenia zidentyfikowaliśmy ślady dwóch szeroko zakrojonych kampanii, mających na celu manipulację użytkowników w przededniu wyborów parlamentarnych – mówiła Pola, głośno i wyraźnie, starannie wymawiając każdą głoskę. – Pierwsza z nich, Kampania „A”, korzystała przede wszystkim ze znanych dotychczas metod: sieć fałszywych grup i profili, promowanie fałszywych bądź tendencyjnych materiałów, eskalowanie konfliktu i podgrzewanie emocji.

Oleg zatrzymał się w pół kroku. Widział tylko część salki (rzutnik, ręka Poli, plecy Tymka z HR-u), reszta była schowana za rogiem. Cholera, pomyślał, chyba nie powinno mnie tu być.

– Kampania „B” stosowała znacznie bardziej wyrafinowane metody – kontynuowała Pola. – Opierając się na szczegółowych danych, uzyskanych poprzez zakamuflowaną ankietę osobowościową, do której logowano się za pomocą naszej platformy, i uzupełnionych o informacje przesyłane przez aplikację mobilną, Kampania „B” stworzyła szczegółowe profile psychologiczne tysięcy polskich internautów...

– Za długie to zdanie – wtrącił Tymek. – Ciężko się słucha.

– Okej. Chcesz teraz zmienić?

– Nie, nie, potem. Mamy czas, delegacja ląduje dopiero jutro o szesnastej.

Zdecydowanie nie powinno mnie tu być, skonkludował Oleg. A potem przypomniał sobie, że zatrzasnął za sobą drzwi na piętro i nie ma do nich klucza. *Bliadz.*

– Gdzie ja byłam... – Ręka Poli sięgnęła po bidon, zniknęła na chwilę z jego pola widzenia. – Aha. Tysięcy internautów. Ekhem. Baza ta została następnie wielokrotnie poszerzona przy wykorzystaniu tak zwanego efektu sobowótora, dzięki któremu Kampania „B” mogła sprofilować również użytkowników, którzy nie wypełnili ankiety. Zebrane w ten sposób dane zostały następnie użyte, by wyświetlać internautom wysoce spersonalizowane reklamy wyborcze, odnoszące się do preferencji danej osoby, również tych niewypowiedzianych czy wręcz nieświadomych.

– Mhm. – Tymek sprawdził czas na zegarku. – Przejdź do konkluzji.

– Nie jesteśmy jeszcze w stanie jednoznacznie określić, kto stoi za omawianymi kampaniami. W przypadku Kampanii „A” ślady wyraźnie wskazują na Rosję, w przypadku Kampanii „B” nie ma wyraźnego tropu. Zważywszy na geopolitykę regionu, wydaje nam się jednak wysoce prawdopodobne, że i ona była sterowana z Moskwy. Już w wyborach prezydenckich w USA widzieliśmy, że Rosjanie nie działają w sposób skoordynowany: agencje szpiegowskie FSB oraz GRU nie tylko postępowały niezależnie od siebie, ale też wręcz ze sobą konkurowały.

– Super. Następny slajd.

„LEKCJE NA PRZY, głosił częściowo przysłonięty tytuł nowej planszy. Oleg czuł, jak wali mu serce. Cholera, jak mnie znajdą, będę miał przesrane. Trzeba się gdzieś schować. Może w „Budapeszcie”?

– O ile działaniom przeprowadzonym w Kampanii „A” bylibyśmy w stanie przeciwdziałać, modyfikując zasady rejestracji i algorytmu rekomendacji, o tyle niezwykle ciężko byłoby powstrzymać kolejną Kampanię „B”. Jej główna strategia była legalna i zgodna z zasadami użytkowania platformy. Mówiąc wprost, opierała się na naszym modelu biznesowym, powieliała nasze własne metody. Dlatego...

Teraz, pomyślał Oleg. Zrobił krok. Nacisnął klawisz. Zaskrzypiały zawiasy.

– Halo, jest tam ktoś? – Tymek obrócił się w krzesło.

– To ja, Oleg... Przepraszam, szukam Poli...

– Trzeba było zadzwonić, mój drogi. – Twarz HR-owca, zwykle rozpromieniona szerokim uśmiechem, była teraz śmiertelnie poważna.

– Tak, ja wiem, ale drzwi były otwarte i pomyślałem, że tylko zajrzę...

– Pola ma jutro ważne spotkanie i nie ma teraz czasu. Zapraszam do wyjścia i...

– Nie, czekaj. – Pola wyszła z salki. – I tak już kończyliśmy, a ja faktycznie mam do pogadania z Olegiem.

– Za pięć minut jesteś umówiona z pijarem...

– Pięć minut wystarczy. Oleg, chodź, usiądziemy sobie. – Pola otworzyła drzwi do „Budapesztu”, zaprosiła go gestem do środka. Uff, pomyślał. Chyba nie będzie chryi. – No, to o czym chciałeś porozmawiać?

– Wysłałem ci mejla, że skończyłem już z bazą wpisów...

– Tak, tak, widziałam, tylko nie miałam jeszcze czasu odpisać. Dobra robota. Jacek przepuścił te dane przez maszyny i wygląda to obiecująco, będziemy to chyba komercjalizować.

– Komercjalizować? – zdziwił się Oleg. Nie o tym była mowa, kiedy zaczynali.

– Mhm. – Pola skinęła głową. Miała pod oczami wory z przemęczenia.
– No bo zobacz, jeśli jesteśmy w stanie wyłapać, że ktoś pisze po polsku, ale jest gdzieś tam ze Wschodu, to jest to zajebiście cenna informacja dla reklamodawców. Można tych użytkowników połączyć z pośrednikami wizowymi, lektorami języka albo operatorami sieci komórkowych, którzy mają specjalne oferty na połączenia z Ukrainą czy tą, no... Przypomnij, skąd ty do nas przyjechałeś?

– Z Białorusi.

– Właśnie, i z Białorusią też. No? Jest coś jeszcze?

– Tak, no bo... – Oleg był zbity z tropu, chwilę zbierał myśli. – Wiesz, nie bardzo mam co robić, więc myślałem, że może znalazłabyś dla mnie jakieś nowe zadanie.

– Hm, hm. – Pola potarła brodę. – Nie kodujesz, prawda?

– Nie.

– No to, wiesz, nie bardzo, obawiam się.

Tymek zastukał w szklane drzwi. Czas się zbierać. Zbliża się kolejne spotkanie.

– To... Przepraszam, ale co ze mną będzie?

– Z tego co się orientuję, masz umowę do końca miesiąca. – Pola wstała z krzesła. – No, to wygaśnie i przybijemy sobie piątkę na pożegnanie.

Oleg siedział bez ruchu. Czekał, aż szefowa klepnie go w ramię i zawoła „żartowałam!”. Ale nie. Po prostu otworzyła drzwi, a Tymek rzucił mu niecierpliwe spojrzenie, no już, kurtyna opadła, mamy pilniejsze sprawy na głowie. Wstał, wyszedł na miękkich nogach na korytarz. Szumiało mu w skroniach, kłuło w klatce piersiowej. Naprzeciwko była sala „Mińsk”. W ogóle go to nie rozbawiło.

Złoty cylinder długości trzech centymetrów. Kiedy się go otworzyło, w środku był wyprofilowany czerwony sztyft. Tyle że twardy w dotyku, że nie barwił. To była plastikowa skuwka, pod którą ukryto port USB. Nietrudno było sobie wyobrazić, co się stało. Alex w końcu zadzwonił do Hanki. Wygadał jej się. Opowiedział, co się stało w Las Vegas. Że historia, którą uznał za zamkniętą, jeszcze się nie skończyła, że ktoś go śledzi, że musi zniknąć. Obiecała, że mu pomoże. Że przechowa kopię materiałów, tak na wszelki wypadek, a jeśli trzeba będzie, to komuś przekaże. Bo go kochała. Kochała go jakąś dziwną, pojebaną miłością, która możliwa była

tylko w dwudziestym pierwszym wieku. Sieć łączyła ludzi na niespodziewane sposoby.

Hanka wiedziała, że ktoś będzie szukał tych plików. Pewnie jakiś facet. Więc ukryła je tam, gdzie mało który zagląda, a jeśli już to zrobi, to nie wie na co patrzy, nie rozróżni pudru od podkładu, lakieru od zmywacza, a szminki od dysku w kształcie szminki – mimo że był znacznie cięższy, że inaczej leżał w dłoni. I udało jej się, przegapili to. Cwana dziewczyna, pomyślała z żalem Julita, obracając błyszczący *pendrive* w dłoni. A potem wsunęła go do komputera. Za pierwszym razem oczywiście nie wszedł, za drugim też nie, udało się dopiero za trzecim; święty, niezmienny rytuał.

Kiedy na monitorze wyświetliła się nazwa głównego folderu, Julita jęknęła z zawodem. *WIOLKA*. A w środku: *TELEDYSKI, ZDJENIA, FILMIKI, PIOSENKI*. Tego się obawiała. Skoro Wiolka nie wyrzuciła tego dysku ani go nie sprzedała, to musiała go używać. I robiła to od dwóch lat. Pytanie, jak intensywnie, jak często wgrywała i zapisywała kolejne wersje autorskich coverów takich klasyków jak *My pierwsza brygada* czy *Szara piechota*. Czy udało jej się zatrzeć to, co umieściła na dysku Hanka.

Julita odpaliła program do odzyskiwania danych. Nie wyglądało to dobrze, na dysku był duży ruch: setki, tysiące plików, w tym oczywiście również filmik, który Wiolka nagrała ze swoim partnerem w zaciśnięciu alkoholu. Większość elementów sprzed feralnego listopadowego dnia z roku dwa tysiące osiemnastego była uszkodzona. Może ktoś lepszy w te klocki coś z nich wyciągnie, może nie, zobaczy się. Co nieco można było wywnioskować z samych tytułów: *ZERO_DAY_OPIS.docx*, brzmiał jeden, *DEFCON_PREZENTACJA.ppt*, głosił kolejny. Materiały na temat jego programu, które mogły potwierdzić to, co Liz powiedziała im w Las Vegas. Nie był to rzecz jasna dowód na to, że estońskie wybory faktycznie zhakowano, ale kto wie, może w odpowiednich rękach pchnęłoby to sprawę do przodu.

Trzy odzyskane pliki dało się otworzyć. Pierwszy: zdjęcie hotelowego pokoju, za oknem spalona słońcem Nevada. Julita wpatrywała się w fotografię. Nic ciekawego, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Może Alex zauważył coś niepokojącego, może ktoś pod jego nieobecność wszedł do pokoju, coś poprzestawiał, ale bez kontekstu trudno stwierdzić. Drugi: zapis korespondencji z moderatorem, Joshem. Alex napisał mu, co się stało, dlaczego opuścił prezentację. Ciekawe, dopełniające obraz, ale nie rewolucyjne. Trzeci: plik audio, czterdzieści siedem sekund. Julita napiła się wystygłej kawy i kliknęła play. Słysząc kogoś, kto mówi przez telefon; wyrwany z kontekstu fragment rozmowy, bez początku i bez końca.

Męski, niski głos, miejscami zagłuszony jakimiś szelestami i trzaskami. Mówił po rosyjsku; Julita rozumiała co trzecie słowo. Zmiksowała dźwięk, żeby wyciszyć zakłócenia, po czym odpaliła Trint, żeby wyciągnąć transkrypt rozmowy, który następnie przepuściła przez Google Translate. A potem podciągnęła kolana pod brodę i czytała te kilka zdań raz po raz, i znów, i jeszcze, aż znała każde słowo na pamięć.

POCZĄTEK NAGRANIA

Nieznajomy rozmówca: ...jest zabezpieczony.

Nieznajomy rozmówca: Tak. Rozumiem.

Nieznajomy rozmówca: Wyślę jeszcze wieczorem.

Nieznajomy rozmówca: Pewnie, że będzie otwarte. To nie Tomsk.

Nieznajomy rozmówca: Aha, w torbie jest jeszcze telefon.

Nieznajomy rozmówca: Nie wiem, zaraz sprawdzę.

SZUM

Nieznajomy rozmówca: Tak, Pietia. Zablokowany.

Nieznajomy rozmówca: Rozumiem. Już wyłą...

KONIEC NAGRANIA

O co tutaj chodzi, zastanawiała się Julita, kręcąc bezwiednie loczek z kosmyka włosów, o czym oni mówią? Sprawdziła datę nagrania – i wtedy ją olśniło. Jedenasty sierpnia dwa tysiące osiemnastego. Dzień, w którym Alex miał wygłosić swoją prezentację, dzień, w którym pobito go i zabrano mu komputer. To właśnie laptop jest zabezpieczony, a dźwięk nagrywał wspomniany telefon. Alex musiał mieć na nim zainstalowaną aplikację, która pozwalała zdalnie uruchomić mikrofon; technologicznie ogarnięci rodzice parowali tak czasem telefony, żeby zamienić je w elektroniczną nianię, a zazdrośni partnerzy używali jej do podsłuchiwania. Czemu miał ją Alex? Może miało to związek z którąś z jego licznych fobii, może już wtedy podejrzewał, że ktoś spróbuje go okraść, i chciał się zabezpieczyć; nieważne. Wtedy, w Las Vegas, użył jej, żeby podsłuchać tych dwóch smutnych panów, którzy wyrwali mu torbę. Może na podstawie tego nagrania zdołał ustalić ich tożsamość? Może w którymś momencie zorientowali się, że jest na ich tropie, i to dlatego postanowili go usunąć?

Ale... Jak? W zapisie rozmowy padają tylko dwa słowa, które mogłyby mieć jakąkolwiek wartość: nazwa miasta, „Tomsk”, i imię, „Pietia”. Zacznijmy od pierwszego, pomyślała Julita. Może po rosyjsku jest takie powiedzenie, „To nie Tomsk”, jak u nas dowcipy o Wąchocku albo

złości o skąpych poznaniakach? Sprawdziła w wyszukiwarce, wpisując kwerendę z pomocą słownika po rosyjsku. Nie, nic podobnego. W takim razie dla mężczyzny z nagrania i jego rozmówcy Tomsk musi być jakimś punktem odniesienia, wspólnym mianownikiem. Może tam mieszkali, może chodzili do szkoły albo pracowali. Ciekawe, ale za mało, żeby cokolwiek z tego wywnioskować. W takim razie pomyślmy o imieniu, „Pietia”, dość popularne, więc... Julita zastygła z palcami na klawiaturze, otworzyła szeroko oczy. *Pietia*. Tak zwrócił się do X1 kolega z nieistniejącego już darknetowego forum. Widziała ten post na zrzucie ekranu. Dostała go w paczce od Emila. Obok tego, w którym X1, w dniu piątego maja dwa tysiące siódmego roku, żalił się, że dostał mandat.

– O ja pierdołę... – szepnęła. Rwał jej się głos. – O cholera...

Julita położyła drżącą rękę na myszce i odszukała policyjną bazę, którą miała zamiar sprawdzić kilka miesięcy temu, w lipcu. Dostała kopię tego pliku od dziennikarzy z BellBoya. To był jeden z setek takich zbiorów danych z Rosji, który wyciekł do sieci w ostatnich latach, obok list klientów banków, firm ubezpieczeniowych, biur paszportowych, rejestrów celnych. Kraj był ciągle pogrążony w kryzysie, więc kiedy rosyjscy informatycy zorientowali się, że za każdą, nawet pozornie najnudniejszą bazę danych ktoś jest gotowy płacić w dolarach, wrzucali je do sieci na wyścigi.

Jest. Podwójne kliknięcie, nerwowe oczekiwanie; ważący kilkadziesiąt megabajtów arkusz otwierał się powoli. Julita ledwo dawała radę wysiedzieć w krześle, trzęsła się, gryzła do krwi paznokcie. Wreszcie, załadowało się, teraz trzeba tylko przefiltrować wyniki. IMIĘ: Pyotr. MIASTO: Tomsk. DATA: 05.05.2007. Arkusz wyświetlił tylko jeden wiersz: Pyotr Nikołajewicz Semenov, urodzony 12.04.1950 w Nowosybirsku. Mandat w wysokości pięciuset rubli za przekroczenie prędkości.

– O Boże... – jęknęła Julita. Ledwo łapała oddech. Ledwo trzymała się prosto. Obraz się rozjeżdżał. W tym samym folderze miała kopię paszportowej bazy danych. Znalazła go. Znalazła zdjęcie Xtraterrestria1. Zupełnie zwykła, okrągła twarz, przerzedzone włosy zaczesane na bok, pieprzyk pod lewym okiem. Było coś jeszcze, coś, co przykuło jej wzrok. X1, a właściwie Pyotr Nikołajewicz Semenov, ostatni raz użył paszportu w roku dwa tysiące piętnastym. Wsiadł wtedy w Moskwie do samolotu Aeroflotu lecącego do Los Angeles. I już stamtąd nie wrócił.

Aneta zapukała do pokoju numer pięćset dziewiętnaście. Odczekała chwilę, nasłuchując odgłosów: szczebiotu telewizora, szelestu pościeli. Nic, cisza. Przyłożyła więc do czytnika kartę, która otwierała wszystkie drzwi w hotelu. Mimo że był środek dnia – dzwony w Herz-Jesu-Kirche dopiero co wybiły południe – w środku było ciemno; grube kotary szczelnie zasłaniały okna. Na łóżku leżały zmięte ręczniki, a obok, na szafce nocnej, leżały pusta butelka po piwie ze zdrapaną etykietą i paperek po batoniku po batoniku, upieprzony rozpuszczoną czekoladą. Nic więcej, żadnych innych śladów tego, że ktoś tu był, ktoś tu spał. Dobrze, pomyślała Aneta, szybko się uwinę. Cofnęła się po odkurzac. Chwilę później pokój wypełnił szum; jękliwe „uuuuuuu” stanowiło doskonały podkład do czarnych myśli kłębiących się w jej głowie.

Kiedy wyszła z tamtego pamiętnego spotkania w siedzibie Polski Jutro, zrozumiała, że musi zniknąć, już, teraz, póki Królak i ludzie, których reprezentuje, mają pilniejsze sprawy na głowie, nim sobie o niej przypomną. Tyle że znikanie nie było wcale takie proste; rozumiała to teraz aż za dobrze. Kiedy tylko wróciła do domu, rozłożyła na stole laptopa, obie komórki, prywatną i służbową, Ipada, Kindle'a, smartwatcha. Potem każdy z tych gadżetów rozwaliła młotkiem, a resztki włożyła do czarnego foliowego worka, który następnie wywaliła do kontenera na osiedlu po drugiej stronie ulicy. Wyszła z mieszkania jedynie z turystycznym plecakiem, do którego spakowała trochę ciuchów i kosmetyczkę. Wszystko inne zostało: stolik kawowy z recyklingowanego drewna, mozaikowa miska na owoce z Duki, kupiona na wyprzedaży, zestaw do robienia jajek po benedyktyńsku, którego nigdy nie użyła, wszystkie te bezużyteczne pierdoły wypatrzone w pismach wnętrzarskich, elementy układanki, z których tak pieczołowicie budowała scenografię idealnego życia. Potem jeszcze dwa przystanki: bankomat, z którego wyciągnęła wszystkie oszczędności, i kantor, gdzie wymieniła je na euro. Nie dzwoniła na pożegnanie, nie zostawiła listów; bała się ryzyka. Miała wyrzuty sumienia, że robi coś takiego matce. I czuła ulgę, że nigdy już nie będzie musiała widzieć się z ojcem.

Warszawę opuściła autobusem. Najpierw pojechała do Wrocławia, stamtąd do Cieszyna, gdzie przeszła na czeską stronę, ot tak, bez żadnej kontroli, niewiarygodnie łatwo; granica się rozmyła, nawet języki na napisach przecierały się łagodnym gradientem. W Czeskim Cieszynie przenocowała; kiedy recepcjonista poprosił o dowód, powiedziała, że nie pamięta, gdzie go włożyła, że wypełni kartę meldunkową następnego dnia. Ale skoro świt była już w autobusie do Pragi, tam przesiadła się

z kolei w pociąg do Bratysławy; dzień później była w Grazu. Wybrała to miasto na chybił trafił, nie miała z nim żadnego związku, nigdy w nim nie była – i o to właśnie chodziło. Niemiecki znała dobrze (kolejna olimpiada językowa, kolejny dyplom, który przestał cieszyć w momencie, w którym dostała go do ręki), więc bez trudu znalazła pracę, w której nikt nie pytał o dokumenty, a wypłat dokonywano w gotówce: Hotel Albert przy Schumannngasse.

Pierwsze dni pracy były okropne. Szlochała, szorując zaszraną kible; łzy skapywały z palących ze wstydu policzków. Ale Aneta miała plan. Przez Alysę, inną sprzątaczkę, dostała namiary na człowieka, który obiecywał, że za kilka tysięcy euro załatwi jej bułgarski paszport. Wieczorami chodziła na kurs księgowości. Radziła sobie nieźle, instruktor już ją pytał, czy przypadkiem nie szuka pracy. Wiedziała, że nim mniej rok, odbije się od dna, że pod nowym nazwiskiem osiągnie nowe sukcesy. Nie wiedziała tylko po co.

Janek przeglądał wydrukowane dokumenty ze stoickim wyrazem twarzy. Wykaz plików z dysku Hanki. Transkrypt. Policyjna baza danych. Zdjęcie paszportowe. Kiedy przeczytał ostatnią stronę, odłożył plik papierów na kawiarniany stolik i utkwiał na chwilę wzrok w blacie. A potem zaczął klaskać.

– Brawo, Wójcicka – powiedział. Bez śladu ironii.

– Dziękuję. – Julita wstała z krzesła, dygnęła, posłała ukłony zdezorientowanym ludziom przy sąsiednich stolikach, niby aktorka wzruszona stojącą owacją. – Dziękuję pięknie.

– Sama to wszystko zrobiłaś?

– Sama.

– Szacun.

– Janek, przestań już z tymi komplementami, bo pomyślę, że ktoś cię podmienił.

– Jak wolisz – powiedział, sięgając po puszkę z colą. – Co jeszcze o nim wiadomo?

– Niewiele. Skończył inżynierię elektroniczną na Uniwersytecie Łomonosowa w Moskwie, potem przeniósł się właśnie do Tomka. Pracował tam na uczelni do dziewięćdziesiątego czwartego.

– Aha. A potem?

– Zwolniony w ramach redukcji kadr, uczelnia miała problemy finansowe. Otworzył wtedy własny biznes, sklep komputerowy, który zbankrutował kilka lat później... I to tyle. Potem nie było już żadnego

miejsca zatrudnienia... Ale w dwa tysiące jedenastym ubezpieczył nowiusieńkie bmw serii 3.

– Skubany... – Janek napił się kawy. Sam wciąż jeździł dwudziestoletnim fordem mondeo.

– Mhm. Podejrzewam, że już wtedy robił kasę w sieci.

– Pewnie tak. A wiadomo, po co wyjechał do tych Stanów?

– Nie – zaprzeczyła Julita.

– Może rzeczywiście skaptował go rosyjski wywiad?

– Nie sędzę. Wtedy wyrobili mu przecież papiery na inne nazwisko.

– Racja, głupie pytanie. – Janek pokiwał głową, spojrzął w bok. Zapanowała niezręczna cisza, dźwięczały w niej niezadane pytania. Rozmowa, którą mieli odbyć, jeszcze się nie odbyła. Zawsze było coś pilniejszego, coś ważniejszego. A przynajmniej tak sobie mówili. Bo oboje jej się bali.

– To... Co teraz? – spytał Janek. – Przekażesz to komuś?

– Właśnie się zastanawiam. Znaczy, w końcu na pewno... Ale zastanawiam się, czy tego jeszcze trochę nie pociągnąć. Wiesz, powęszyć jeszcze, pozbierać informacje. Ten koleś... Ten koleś naprawdę zalał mi za skórę.

– Wyobrażam sobie. Ale... – Janek nie dokończył.

– Ale co?

Spojrzał na nią spode łba. I uparcie milczał.

– No co? – naciskała.

– Rób to z głową, okej? – powiedział wreszcie. – Na spokojnie. I po cichu.

– Pewnie. Słowo harcerki.

– Harcerki... – prychnął Janek. – Proszę cię. Żadna z ciebie harcerka.

– A skąd ta pewność?

– Każdy zastępowy wywaliłby cię na zbity pysk po pierwszej zbiórce.

– Ha, ha. – Julita zaśmiała się. – Pewnie masz rację.

Znów umilkli. Znów patrzyli sobie na stopy. Miała wrażenie, że potrafiłaby narysować czarne, przydeptane trampki Janka z pamięci. Bez sensu, pomyślała. Jak dzieci.

– Słuchaj... – zaczął, zbierając się do wyjścia. – Gdyby coś jeszcze wyszło, zawsze... – Chętnie. – Julita weszła mu w słowo, podniosła głowę. – W przyszłym tygodniu. Piątek o dwudziestej. Pasuje?

– Może być. Przynieść komputer?

– Nie – odparła Julita. – Butelkę wina. A ja coś ugotuję.

Janek wstał, zdjął z wieszaka wyciągniętą bluzę z kapturem. A potem się uśmiechnął.

– Okej – powiedział. – Jesteśmy umówieni.

Wadim zatrzymał motor na żwirowym podejździe, zdjął kask i spojrzał prosto w kamerę. Chwilę później kuta żelazna brama zaczęła się rozwierać, bezdźwięcznie, jakby za wypowiedzeniem magicznego zaklęcia. Mężczyzna ruszył obsadzoną drzewami alejką, nie za szybko, żeby spod opon nie strzeliły kamienie. Za moment zza bujnych roślin wyłoniła się willa, która była kwintesencją willowatości, jej platońskim ideałem: smukłe kolumny, balkony z kamiennymi balustradami, ogromne okna, w których odbijało się zachodzące słońce, a wszystko to okolonie soczyście zielonym trawnikiem, co w tym klimacie było chyba wyraźniejszym wyznacznikiem statusu niż zaparkowany pod wejściem bentley. Wadim wyłączył silnik i ściągnął skórzaną kurtkę. Pod spodem miał sportową marynarkę i granatowy T-shirt. Jednak co okazja, to okazja.

Wszedł do środka. Dwupiętrowe lobby, podłogi wyłożone marmurem przykrytym afgańskimi kobiercami, w wazonach świeżo ścięte kwiaty, a pod sufitem obowiązkowy kryształowy żyrandol. Pokojówka o śniadej cerze zaprosiła go na piętro. Wspinając się po krętych schodach, Wadim mijał obrazy oprawione w złoczone ramy. Gdyby tylko był nieco bardziej obyty, gdyby liznął w życiu choć odrobinę historii sztuki, z pewnością rozpoznałby niektóre płótna.

Zza drzwi prowadzących na taras słychać było głosy. Wadim przestąpił próg. Poczul na skórze wiejący od oceanu wiatr, zmrużył oczy przed odbijającymi się od wody promieniami – i pokiwał z uznaniem głową. Mimo że był tu już któryś raz, widok na Zatokę San Francisco wciąż robił wrażenie.

Wadim przywitał się z zebranymi. Skinął głową Loganowi, ucisnął dłoń Christine, poklepał po plecach Królaka. W ruch poszła taca z kieliszkami zmrożonej wódki. Piotr Semenov wzniósł toast.

– Za przyszłość – powiedział. – Za przyszłość, którą sami napiszemy.

Posłowie

Sposoby manipulacji API Facebooka, przedstawione na stronach 179–185 oraz 246–247, zostały opracowane przez Henka van Essa, holenderskiego eksperta od internetowych technik śledczych. Miałem okazję uczestniczyć w prowadzonych przez niego zajęciach w ramach warsztatów zorganizowanych przez dziennikarzy śledczych serwisu Bellingcat w październiku dwa tysiące osiemnastego roku w Berlinie.

Henk zgodził się, abym przedstawił jego metody – ustaliliśmy jednak, że pominię w swoim opisie jeden ważny krok, aby niniejszej książki nie można było użyć jako instrukcji do śledzenia użytkowników Facebooka. Warto też zaznaczyć, że od dwa tysiące osiemnastego roku, kiedy odbyły się wspomniane warsztaty, niektóre z technik używanych przez Julitę i Janka przestały działać.

Ale nie wszystkie.

Podziękowania

Przy pracy nad tą książką otrzymałem wsparcie od wielu osób.

Markowi Niedużakowi, Wojtkowi Chmielarzowi oraz Krzysztofowi Ciesielskiemu dziękuję za pomoc w nawiązaniu kontaktu z ekspertami od kampanii internetowych.

Sergiuszowi Trzeciakowi oraz Piotrowi Kołomyckiemu dziękuję za arcyciekawe rozmowy na temat roli internetu w dzisiejszej polityce. Za uwagi dotyczące realiów polskiej polityki dziękuję serdecznie Wojciechowi Szackiemu.

Pieter van Huis oraz Henk van Ess pokazali mi, jak prowadzi się dziennikarskie śledztwa w sieci. Dziękuję za Wasze zaufanie, trzymam kciuki za cały kolektyw Bellingcat i Wasze kolejne śledztwa.

Idzie Świerkockiej oraz Filipowi Modrzejewskiemu dziękuję serdecznie za redakcję książki, a Ewie Waszkiewicz i Małgorzacie Denys – za korektę. Chylę czoła przed Małgorzatą Danowską oraz Maciejem Marciszem, którym zawdzięczam świetną promocję pierwszego tomu cyklu. Dziękuję też Marcinowi Mellerowi za nieustającą wiarę w projekt.

Gorąco dziękuję moim cierpliwym przewodnikom po sieci i świecie nowych technologii: Ewie Infeld oraz Bartkowi Rynarzewskiemu. Tylko dzięki Waszemu wsparciu mogłem uniknąć potknięć i błędów – a jeśli jakieś jednak się ostały, ponoszę za nie pełną odpowiedzialność.

Fundacji „Panoptykon” dziękuję za pracę na rzecz zdrowszego internetu.

Szczególne podziękowania należą się moim przyjaciołom i rodzinie, moim pierwszym czytelnikom i czytelniczkom: Dominice Gonsierowskiej, Marcie Grabiec, Zdzisławowi Książkowi, Maćkowi Lisickiemu, Zofii Łapniewskiej, Danielowi Michalskiemu, Magdzie Milewskiej, Lene Thu Phuong Nguyen, Krzysztofowi Pawłowskiemu, Natalii Pawłowskiej, Monice Płatek, Grażynie Szamałek, Krzysztofowi Szamałkowi, Agnieszce Szamałek-Michalskiej, Marcie Szulkin, Mai Zabawskiej, Weronice Zaruckiej, Magdzie Zych oraz Przemkowi Żelazowskiemu.

W trakcie prac nad tą książką bywały takie momenty, że miałem ochotę cisnąć komputer za okno. To, że do tego nie doszło, jest w dużym stopniu zasługą Marysi Pawłowskiej. Dziękuję za wsparcie w chwilach zwątpienia, słowa zachęty, przenikliwą krytykę oraz sugestie, jak

poprawić tekst. Współczuję pisarzom, którzy nie mają u swojego boku kogoś takiego jak Ty.

Matyldzie dziękuję za to, że przypomina mi, co jest w życiu ważne. A mianowicie: książki, czas spędzany z bliskimi oraz lody czekoladowe.

Redaktor inicjujący: Filip Modrzejewski
Redaktorka prowadząca: Ida Świerkocka

Korekta: Ewa Waszkiewicz, Małgorzata Denys
Projekt okładki: Joanna Strękowska
Fotografia na pierwszej stronie okładki: © Joseph Akbrud / Unsplash

Skład i łamanie: Typo – Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. 22 826 08 82, 22 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-7404-0

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo